



Odkupienie  
diabła

BESTSELLEROWA AUTORKA *USA TODAY*

natasha knight

# **ODKUPIENIE DIABŁA**

TYTUŁ ORYGINAŁU Devil's Redemption

Copyright © 2022 by Natasha Knight

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Papierówka Beata Bamber, 2023

Copyright © by Wydawnictwo Papierówka Beata Bamber, 2023

Redaktor prowadząca: Anna Ćwik

Redakcja: Beata Bamber

Korekta: Patrycja Siedlecka

Zdjęcie na okładce: © WANDER AGUIAR PHOTOGRAPHY LLC

Opracowanie graficzne okładki: Justyna Sieprawska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Beata Bamber

Wydanie 1

Gołuski 2023

ISBN 978-83-67303-54-5-999

Skład, łamanie, przygotowanie do druku i rysunki:

Agnieszka Makowska

[www.facebook.com/ADMakowska](http://www.facebook.com/ADMakowska)

Wydawnictwo Papierówka Beata Bamber Sowia 7, 62-070 Gołuski

[www.papierowka.com.pl](http://www.papierowka.com.pl)



## **SPIS TREŚCI**

- 1 JERICHO
- 2 ISABELLE
- 3 JERICHO
- 4 JERICHO
- 5 ISABELLE
- 6 JERICHO
- 7 ISABELLE
- 8 JERICHO
- 9 ISABELLE
- 10 ISABELLE
- 11 JERICHO
- 12 ISABELLE
- 13 ISABELLE
- 14 JERICHO
- 15 ISABELLE
- 16 JERICHO
- 17 ISABELLE
- 18 JERICHO
- 19 ISABELLE
- 20 ISABELLE
- 21 JERICHO
- 22 ISABELLE
- 23 JERICHO
- 24 JERICHO
- 25 ISABELLE
- 26 JERICHO
- 27 JERICHO
- 28 ISABELLE
- 29 JERICHO
- 30 ISABELLE
- 31 JERICHO
- 32 JERICHO
- 33 ISABELLE
- 34 ISABELLE
- 35 JERICHO
- 36 ISABELLE
- 37 JERICHO
- 38 JERICHO
- 39 ISABELLE
- 40 JERICHO
- 41 ISABELLE
- 42 ISABELLE
- 43 ISABELLE
- 44 JERICHO

45 ISABELLE  
46 ISABELLE  
47 JERICHO  
48 ISABELLE  
49 JERICHO  
50 ISABELLE  
51 JERICHO  
Epilog 1 ISABELLE  
Epilog 2 JERICHO  
O AUTORCE

SERIA PIONEK DIABŁA

tom 1

PIONEK DIABŁA

tom 2

ODKUPIENIE DIABŁA

## 1 JERICHO

Coś ty zrobił?! – syczy Isabelle. Stoi naga i drobnymi pięściami tłucze moją klatkę piersiową, lecz brakuje jej sił. Całą energię wyczerpała w ciągu kilku dni, podczas których nie mogła utrzymać jedzenia w żołądku, i pewnie kilku tygodni życia we frustracji i stresie. Kiedy na nią patrzę, myślę sobie, że dostałem, co chciałem. No, przynajmniej załóżek tego, co chciałem. Potomkini Bishopów wpadła w moje szpony. Jest tak słaba, że ledwo trzyma się na nogach, a w jej brzuchu rośnie moje dziecko.

Powinienem się cieszyć. Przyszłość maluje się w jasnych barwach. Jestem na dobrej drodze, by pogrzebać Carltona Bishopa. Ale jakoś nie potrafię się radować. Właściwie nie czuję nic prócz wpełzającego do duszy mroku. Biorę żonę w ramiona i staram się jej nie posiniaczyć. Nie zrobić krzywdy.

Jakiś czas temu oskarżyłem brata o słabość wobec tej konkretnej członkini wrogiego klanu. Czyżbym teraz sam stał się równie słaby? Czyżby Isabelle osłabiła mnie w podobnym stopniu jak ja ją?

– Co się dzieje? – Z korytarza dobiega cichutki głosik. – Zabierzcie ją stąd! – krzyczę, choć nie wiem, czy ktoś mnie słucha. – Zabierzcie Angelique!

Córka nie może być świadkiem tej sceny. Nie pozwolę, by zobaczyła Isabelle w takim stanie. Ani mnie. Nie dopuszczę, żeby dowiedziała się, co uczyniłem.

Przez oskarżenia Isabelle przebija się kojący głos mojej matki, a chwilę później słyszę, jak zamykają się drzwi. To ona zawiadomiła mnie o „nieżycie żołądka” Isabelle, chociaż jestem pewien, że doskonale wiedziała, że to nie żadna choroba.

– Proszę położyć żonę. Dam jej coś na uspokojenie – mówi doktor Barnes.

– Zabierz ode mnie łapy! – protestuje Isabelle, gdy owijam ją ręcznikiem, podnoszę i przytulam do piersi. – Puszczaj, draniu! Ty kłamliwy sukinsynu!

– Nigdy cię nie okłamałem – wyjaśniam spokojnie, niosąc ją do łóżka. Dziewczyna próbuje się wyrwać. Jeszcze nie wie, że jej nie wypuszczę? Zwłaszcza teraz. W sumie ta szarpanina na niewiele się zda. Tylko ręcznik ląduje na podłodze.

Doktor Barnes odsuwa koc, ale potrzebuję przecząco głową.

– Zniosę ją do mojego łóżka – oznajmiam i przechodzę przez drzwi łączące nasze sypialnie.

– Nie! Puszczaj! – Isabelle na przemian łka i się szamocze.

– Nie – odpowiadam cichym, opanowanym głosem. – Nigdy cię nie puszcze. – Kładę ją na łóżku i siadam obok. Jedną ręką trzymam jej nadgarstki. Używam tylko tyle siły, by się nie wyrwała. – Przestań ze mną walczyć.

– Nigdy nie przestanę z tobą walczyć! – krzyczy. Głos jej się załamuje, gdy łzy tryskają z oczu. Wzrok wędruje ponad moim ramieniem, a panika przybiera na sile. Spoglądam do tyłu i widzę, że doktor Barnes zbliża się do nas ze strzykawką.

– Lek nie stanowi zagrożenia dla niej ani dla dziecka?

– Nie. Nawet jeśli żona jest w ciąży, nie ma przeciwwskazań do jego podania.

Kiwam głową.

– Nie! Proszę!

Isabelle miota się na łóżku i kopie. Przygważdżam jej nadgarstki do klatki piersiowej, po czym przekręcam na bok, żeby wolną ręką przytrzymać także nogi, kiedy lekarz przeciera skórę

na pośladku wacikiem nasączonym preparatem do odkażania, a potem sprawnie wbija igłę.

Dziewczyna wydaje z siebie jęk, lecz zastrzyk ma niemal natychmiastowe działanie. Czuję, jak mięśnie jej rąk i nóg słabną, a ciało wiotczeje. Zwalniam uchwyt i przekręcam ją na plecy. Gdy się od niej odsuwam, kończyny leżą bezwładnie na prześcieradle. Isabelle próbuje mnie uderzyć, ale udaje jej się podnieść rękę ledwie kilka centymetrów nad materac.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pyta bełkotliwym głosem i usiłuje utrzymać powieki w górze.  
– Jak mogłeś?

Ogarniają mnie wyrzuty sumienia, jakich nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Ani wtedy, gdy zginęła Kimberly, ani wtedy, gdy zawłaszczyłem sobie Isabelle. Teraz wina leży wyłącznie po mojej stronie. Wyrządzam żonie krzywdę swoim działaniem. Szkodzę jej. Z premedytacją niszczę życie. To mój wybór. Zawsze mamy wybór. Całe nasze życie to sztuka wyboru. Prześladują mnie własne słowa. Kiedy je wypowiadałem, miałem na myśli coś błahego. Ale teraz? Teraz jest zupełnie inaczej.

Przełykam poczucie winy. Otaczam serce twardym pancerzem. Zmuszam się, by pomyśleć o Kimberly. O tym, jak umarła mi na rękach. Lecz coś się zmieniło. Przed sobą widzę tylko twarz Isabelle. W jej głosie słyszę desperację i porażkę.

– Dlaczego? – pyta słabo po raz ostatni, po czym powieki jej opadają, a głowa odchyła się na bok.

Chwilowo zostałem wybawiony od odpowiedzi, bo zasnęła. Naciągam na nią koc i odgarniam włosy z twarzy. Patrzę, jak leży w moim łóżku, drobna i bezbronna. Tak bardzo bezbronna. I widzę, jakim jestem potworem. Cóż, zawsze to wiedziałem, po prostu nigdy nie miało to znaczenia. Aż do teraz.

– Przepraszam – mówię tak cicho, żeby nikt nie usłyszał.

Doktor Barnes odchrząkuje, a ja biorę się w garść i wstaję. Okrywam żonę drugim kocem, który podciągam aż pod brodę.

– Czy będzie śnić? – pytam, nie spuszczać z niej oczu.

– Słucham?

Odwracam się do mężczyzny, który według moich przypuszczeń dobiega pięćdziesiątki. To jeden z nowych medyków pracujących dla Socjety. Zrobi wszystko, co mu każę. Poświęcam chwilę tej myśli. Zaplanowałem dokładnie każdy szczegół.

– Czy coś jej się przyśni? – ponawiam pytanie bardziej obsesowo, niż zamierzałem.

– Nie.

– To dobrze. – Nie chciałbym, żeby ugrzęzła w tym piekle, które przyśniło jej się w naszą noc poślubną. Biorę głęboki wdech. – Niech pan zrobi wszystko, co konieczne. Muszę mieć potwierdzenie, że jest w ciąży i od jak dawna. Od kilku dni nic nie je i ciągle wymiotuje, schudła parę kilo. – Jakim cudem nie zauważyłem, że zrobiła się taka szczupła?

– Musi jej pan zapisać jakiś lek, dzięki któremu będzie mogła utrzymać jedzenie w żołądku. I witaminy. Aha, jest wegetarianką – dodaję, zaskakując samego siebie, bo przecież nie powinno mnie obchodzić nic poza dobrem dziecka. – Jeżeli może jej pan podać coś już teraz, proszę to zrobić.

Mężczyzna kładzie mi rękę na ramieniu.

– Pańskiej żonie nic nie będzie. Proszę zaczekać na zewnątrz, zbadam ją.

Potrząsam głową.

– Zostaję.

– Byłoby lepiej...

– Zostaję – powtarzam.

Lekarz zamyka usta i potakuje. Nie wątpię, że każdy medyk niebędący na usługach



Socjety zakwestionowałyby moje postępowanie, lecz Barnes tego nie robi. To kolejna korzyść płynąca z wysokiej pozycji w hierarchii stowarzyszenia. Dzięki, tato.

O kurwa, ojciec!

Jutro powinienem lecieć do Austrii. Ale nie mogę zostawić Isabelle. Przynajmniej dopóki się nie upewnię, że wszystko z nią w porządku i że nie zrobi krzywdy sobie ani dziecku. Chociaż jestem przekonany, że to drugie w ogóle nie wchodzi w grę. Poznałem ją wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie byłaby do tego zdolna.

Siadam w fotelu i przyglądam się, jak lekarz wykonuje swoją pracę. Pobiera Isabelle kilka fiolek krwi, aż w pewnym momencie mam ochotę go ostrzec, żeby nie przeholował. Ona jest taka krucha. Potem Barnes przystępuje do badania. Przykrywa Isabelle w taki sposób, by ani przez chwilę nie była całkowicie odsłonięta. Po jakimś czasie, który dłuży mi się niczym wieczność, daje jej zastrzyk z witaminami i stawia na stoliku nocnym dwa pojemniczki. Wstaję.

– Wypiszę żonie receptę, którą można zrealizować w razie potrzeby, ale proszę najpierw spróbować z witaminami. Powinny pomóc na mdłości. Jeśli nadal będzie wszystko zwracać, proszę iść do apteki.

– Leki są bezpieczne dla niej i dla dziecka?

– Całkowicie. Poza tym mdłości powinny z czasem same ustąpić. Poproszę sekretarkę, żeby przesłała państwu mailem ulotki. Żona jest dość szczupła.

Spoglądam na drobną postać rysującą się pod kocami i kiwam głową. Czy jej wychudzona sylwetka to wina ciąży, czy zacząłem łamać Isabelle już w chwili, gdy sprowadziłem ją do tego domu i uczyniłem moją więźniarką?

– Będziemy mieć na nią oko. A tymczasem proszę dawać jej do jedzenia to, co zdoła przełknąć. Proste potrawy. Kilka mniejszych posiłków zamiast trzech obfitych.

– W porządku.

– Chciałbym, żeby jak najszybciej pojawiła się w moim gabinecie. Najlepiej jeszcze w tym tygodniu.

Potakuję.

– Kiedy będzie pan znał wynik testu ciążowego?

– Za kilka godzin. Dam znać, jak tylko go dostanę.

– Dziękuję, doktorze Barnes.

– Do usług, panie St. James.

Kiedy wymieniamy uprzejmości, ktoś puka do drzwi. To matka. Wchodzi do pokoju i patrzy kolejno na Isabelle, na lekarza i na mnie.

– Mamo, mogłabyś odprowadzić doktora Barnes'a? Chciałbym zostać z żoną. – „Żona”, jak to dziwnie brzmi. Moje życie bardzo zboczyło z kursu przez ostatnich pięć lat.

– Oczywiście, Jericho. Tędy, doktorze.

Gdy wychodzą i zamykają za sobą drzwi, idę do sypialni Isabelle po bieliznę. Pod poduszką znajduję znoszony T-shirt, w którym lubi spać. Wracam, podnoszę ją delikatnie i ubieram. Czuję, jakie ma zimne stopy, więc znajduję parę ciepłych skarpet, zakładam jej na nogi i z powrotem przykrywam. Oddycha cicho i spokojnie, jakby dla kontrastu z zachowaniem sprzed kilku minut. Długo jej się przyglądam, nim w końcu pochylam się, by pocałować ją w czoło. W tym samym momencie otwierają się drzwi.

Opanowuję mimikę twarzy i się odwracam. Spodziewam się matki i z zaskoczeniem widzę, że to Angelique. Najwyraźniej płakała. Na widok Isabelle oczy dziecka robią się duże i okrągłe.

– Stało jej się coś złego? – pyta i zaczyna łkać.

Podchodzę do córki i biorę ją na rękę.

– Nie, wszystko w porządku. Po prostu od kilku dni źle się czuje i doktor Barnes dał jej lek, żeby mogła spokojnie pospać.

– Kiedy się obudzi?

– Niedługo, kochanie – mówię i odgarniam Angelique włosy z twarzy. Niesforne loki odziedziczyła po Kimberly.

– Widziałam, jak ją pocałowałeś. – Uśmiecha się, lecz w jej oczach wciąż czai się smutek.

W odpowiedzi tylko unoszę kąciki ust, a mała dotyka mojego policzka.

– Tatusiu, krew ci leci.

Patrzę na jej mały kciuk, na którym widać czerwoną smugę. Ścieram ją z opuszki. Pewnie Isabelle mnie podrapała, gdy szamotała się w moich ramionach.

– To nic takiego. Zaciąłem się przy goleniu. – Przyglądam się córce. – Isabelle nie jest twoją mamusią, wiesz o tym, prawda?

Angelique odwraca wzrok w stronę dziewczyny, ale potakuje.

– Dlaczego nie mam mamusi?

Ja pierdołę! Pytała mnie o to wielokrotnie, lecz za każdym razem równie trudno odpowiedzieć. Bo zabił ją brat Isabelle. Oto dlaczego.

– Twoja mamusia zmarła, zanim się urodziłaś, kochanie. Zapewniam jednak, że bardzo cię kochała. Nie mogła się doczekać, aż cię pozna.

– Ale się nie udało. – Angelique zna wszystkie odpowiedzi na pamięć. Nasza rozmowa na temat Kimberly zawsze przebiega tak samo.

Kiwam głową, w gardle rośnie mi gula nie do przełknięcia. To przez wzrok małej. Jej młody umysł nie potrafi przeprosować usłyszanych informacji. Zrozumieć czegoś tak nienaturalnego. Czegoś, co nie powinno było się wydarzyć.

– Dlaczego umarła?

– Nie wiem – kłamię. – Chodź, naprawimy twoją książeczkę, dobrze? Wiem, że Isabelle bardzo chciałaby to zrobić, ale skoro śpi, to ja ci pomogę. O ile mi pozwolisz.

– O co się pokłóciliście? – dopytuje Angelique. Jej oczy tak bardzo przypominają moje. Wydaje się, jakby patrzyły prosto w duszę. Czy widzi drzemiącego w niej potwora?

– Jak ona się miewa? – pyta stojąca w progu matka, dzięki czemu nie muszę odpowiadać córce.

– Wszystko będzie dobrze.

Przygląda mi się, lecz wie, że przy małej nie powinna zadawać pytania, na które ja też chciałbym poznać odpowiedź. Czy Isabelle jest w ciąży?

Zwracam się znów do Angelique:

– Co ty na to? Pójdziemy po książeczkę i ją naprawmy? Jak Isabelle się obudzi, będziemy mogli jej ją pokazać.

– A poczytasz mi później?

– Jasne.

– No, dobrze. Ale zostaw drzwi uchylone. Na wypadek gdyby Belle nas potrzebowała – mówi Angelique, kiedy wychodzę na korytarz.

Zostawiam drzwi uchylone.

Tak na wszelki wypadek.

## 2 ISABELLE

Budzę się powoli i zamglonym wzrokiem wpatruję w światło przeświecające przez zaciągnięte zasłony. Na stoliku nocnym leży książka, ale nie potrafię odczytać tytułu, grzbiet jest zbyt pomarszczony. Na oparciu krzesła wisi marynarka, za krzesłem znajdują się drzwi. Drzwi między moją sypialnią a sypialnią męża. Są otwarte. Na podłodze leży ręcznik. Przypominam sobie, skąd się tam wziął, gdy mój wzrok pada na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie pomieszczenia, w dużym fotelu obitym skórą.

Jericho St. James.

Mój mąż.

Mój diabeł.

Kłamca.

Kiedy podciągam się na łokciach, odkłada na bok lekturę. Ze zdziwieniem zauważam, co czyta.

– Dlaczego wzięłeś mój notatnik? – pytam, chociaż w głowie kłębi mi się milion ważniejszych pytań, na które muszę poznać odpowiedź.

Jericho podchodzi do mnie.

– Komponujesz własne utwory – stwierdza. – Dlaczego nie chodzisz do żadnej szkoły?

– Nie pamiętasz? Nie dostałam pozwolenia.

– Są niezłe. – Zbywa komentarz i wkłada ręce do kieszeni.

Między jego brwiami dostrzegam pionową zmarszczkę. W ogóle wygląda jakoś inaczej niż wcześniej. Czyżby na twarzy męża malowało się poczucie winy? Czyżby właśnie to zdradzała jego postawa? Nie, ludzie pokroju Jericha St. Jamesa nie odczuwają wyrzutów sumienia, natura nie przewidziała odpowiedniego genu w ich łańcuchu DNA.

– Moja muzyka to nie twoja sprawa.

– Chciałbym posłuchać, jak grasz.

Koc spada na podłogę, gdy siadam. Ze zdumieniem dostrzegam, że mam na sobie koszulkę Christiana. Jericho podchodzi, żeby poprawić leżące za moimi plecami poduszki. Choć bardzo chciałbym kazać mu iść do diabła, gryzę się w język. Muszę oszczędzać siły. Będę ich potrzebować, jeśli moje podejrzenia okażą się słuszne.

– Jak się czujesz? – pyta.

Podnoszę na niego wzrok. Typowy dla Jericha tupet gdzieś się ulotnił i dzięki temu mąż stał się przystojniejszy. Jakby złagodniały mu rysy twarzy. Nie, odpędzam tę myśl z głowy. Facet nie ma w sobie krzty łagodności. To diabeł. Kłamca. Wróg.

Julia wiedziała to od początku, a ja jej wmawiałam, że nie ma racji. W końcu cały czas brałam tabletki antykoncepcyjne. Myślałam, że mi ich nie zabrał. Boże, jaka jestem głupia.

– Czuję się chujowo. Jakbym została okłamana. Oszukana w najpodlejszy sposób. Mówić dalej?

Ktoś puka do drzwi, a Jericho zaprasza go do środka. To Leontine. Dźwiga tacę. Kiedy do moich nozdrzy dociera zapach zupy, burczy mi w brzuchu. Umieram z głodu.

– Isabelle – mówi teściowa z uśmiechem, gdy syn odbiera od niej tacę i stawia ją na nocnym stoliku. – Cieszę się, że się obudziłaś.

– Wiedziłaś?

Milczy.

Chyba mam swoją odpowiedź.

– Wiedziałaś, że podmienił mi tabletki antykoncepcyjne? – pytam na głos, oskarżając tym samym ich oboje. Dźwięk wypowiedzianych słów sprawia, że zdrada wydaje się jeszcze paskudniejsza. Bardziej potworna. Rzucam okiem na Jericha, który ani piśnie. Niczemu nie zaprzecza. Po prostu patrzy mi w twarz.

Leontine zerka na syna.

– Idź – nakazuje matce, nie spuszczać ze mnie wzroku. – I przypilnuj, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Leontine kiwa głową i nie zaszczywiwszy mnie ani jednym spojrzeniem, wychodzi.

– Widzę, że wszyscy chodzą u ciebie na smyczy.

Mąż siada na krawędzi łóżka, podnosi koc i otula mnie nim.

– Trzymaj łapy przy sobie!

Zamiera. Nie komentuje mojego wybuchu, ale nie próbuje mnie już dotknąć. Podnoszę stopy, na których mam puchate skarpetki w kropki. Czy to Jericho mi je założył? Byłam goła, kiedy podali mi środki uspokajające, bo właśnie wyszłam spod prysznica. Zresztą to bez znaczenia.

– Musisz jeść, Isabelle. Nakarmię cię.

– Sama mogę się najść.

– Jesteś osłabiona.

– Poradzę sobie.

– Mam cię przywiązać do łóżka, żebym mógł to zrobić?

– Nie wątpię, że byłbyś do tego zdolny. Czy istnieje jakaś podłóść, której nie potrafiłbyś się dopuścić? Granica, której byś nie przekroczył? Wiesz, co oznacza pojęcie ludzkiej przyzwoitości? A może nic cię ona nie obchodzi?

– Mam użyć sznura? – pyta ponownie.

– Nie – odpowiadam, bo mówiąc szczerze, naprawdę brak mi sił. Pod wieloma względami.

Jericho podnosi miseczkę, w której widzę klarowny bulion z drobnymi kluskami.

– Domowej roboty i całkowicie wegetariański – mówi. – Catherine ugotowała to specjalnie dla ciebie.

– Pewnie i tak zwrócę.

– Nie będziemy się śpieszyć z jedzeniem. Doktor Barnes podał ci witaminy. Te z grupy B powinny zmniejszyć mdłości. Zostawił też receptę na inne leki, na wypadek gdybyś wciąż miała problem z utrzymaniem jedzenia w żołądku.

Spoglądam na stolik nocny, na którym dostrzegam dwa opakowania leków. Nagle zalewa mnie fala różnych doznań. Przykrywam dłońmi oczy, a kiedy je odrywam, są mokre.

– W takim razie to już pewne? Lekarz potwierdził, że zaszłam w ciążę? – Mój głos brzmi dziwnie. Przepelniają go emocje, które zbyt długo staram się stłumić.

Jericho kiwa głową.

– Za kilka dni pójdziemy do niego na wizytę. Wtedy dowiemy się więcej.

– Mam dopiero dziewiętnaście lat. – W gardle staje mi wielka gula. – Nie tego chciałam.

– Nie na to liczyłam w życiu.

Mąż odstawia na bok miskę i kładzie mi ręce na ramionach. Mięśnie zuchwy ma napięte, jednak jego dotyk, choć stanowczy, jest delikatny.

– Zadbam o ciebie, Isabelle. Obiecuję – oświadcza.

Mam ochotę go odepchnąć, ale z zaskoczeniem stwierdzam, że to miłe, kiedy tak mnie trzyma. Jest jak kotwica. To ktoś silny, na kim mogę polegać. Od tak dawna nie byłam tulona,

dotykana w taki sposób. Nikomu na mnie nie zależało.

Lecz wtedy sobie uświadamiam, że jemu także nie. Przynajmniej nie na mnie. Troszczy się tylko o swoje dziecko. To potwór. Bestia w ludzkiej skórze. Strząsam z siebie jego ręce.

– Podmieniłeś mi pigułki. Julia znalazła te właściwe.

Milczy.

– Gdybym nie dowiedziała się od niej prawdy, tobyś mnie okłamał, tak? Powiedziałbyś, że to pewnie wypadek, że żadna metoda nie jest stuprocentowo skuteczna?

– Ani razu cię nie okłamałem, Isabelle.

– Może i nie, ale zrobiłeś coś o wiele gorszego.

Jericho bierze miseczkę i nabiera bulionu na łyżkę.

– Jedz.

Patrzę wygłodniała na zupę. Otwieram usta, a mąż ostrożnie wlewa w nie gorący płyn. Bulion jest nieco mdły w smaku, ale za to bardzo ciepły i nieprzekombinowany. Takie zupy lubię.

Jestem w ciąży.

Przełykam kolejną łyżkę wywaru, na wargach czuję słony smak łyzy, która spłynęła po policzku.

Jestem w ciąży z Jerichem St. Jamesem.

Mąż wyciera mi brodę i podaje następną łyżkę, tym razem z kluseczką. Smakuje wybornie, jest miękka i delikatna. Jem w milczeniu. Jericho okazuje cierpliwość, nie popędza. Kiedy w końcu opróżniam miskę, odstawia ją i bierze talerz grubo pokrojonego białego chleba z masłem.

– Posolić? – pyta, wskazując na solniczkę. Pamięta, jak doprawiałam chleb ostatnim razem.

Kiwam głową i przyglądam mu się, jedząc kanapkę, którą mnie karmi. Rozmyślam o tym, w jakim stopniu przejął kontrolę nad moim życiem. Jak stał się dyktatorem. Mieszkam w jego domu. Sypiam w jego łóżku. To jego ręka mnie karmi, i to dosłownie. Mam na skórze wytatuowany jego znak. Jeśli zechce, może mnie zamknąć w tej obmierzłej piwnicy i trzymać w niej aż do porodu, a potem odebrać mi dziecko i zostawić tam na śmierć. Potem pochować potajemnie w grobie obok Nellie Bishop, by nikt nie poznał prawdy. A nawet gdyby ktoś się dowiedział o moim losie, i tak by mi nie pomógł. Może Angelique by mnie zapamiętała, lecz jej tatuś z pewnością wymyśliłby jakąś historyjkę, żeby odwrócić uwagę córki. W końcu i ona o wszystkim by zapomniała. Czy ktokolwiek w ogóle przejąłby się moją śmiercią? Julia? Carlton? Może jedynie Matty.

– Muszę wiedzieć jedną rzecz – odzywa się Jericho, gdy odstawia pusty talerz, a ja przełykam ostatni kęs chleba.

– Zamieniam się w słuch – mówię sztucznie wesołym tonem. Czuję, jakby coś wykręcało mi wnętrzności, łyzy same płyną.

Mąż patrzy na mnie, wwierca się spojrzeniem w twarz.

– Zamierzasz skrzywdzić moje dziecko?

Wzdrygam się. Potrzebuję kilku minut, by dokładnie przeanalizować te słowa. Czy zamierzam skrzywdzić jego dziecko? Skrzywdzić dziecko? Jego dziecko?

– Jeśli odpowiem twierdząco, przykujesz mnie do łóżka?

Kiwa głową, jakby odpowiedź na to pytanie nie wymagała zastanowienia. Jakby była oczywista. I najzupełniej normalna.

– Jesteś popierdolony.

– Wierz mi, doskonale wiem, jaki jestem.

Jego komentarz zbija mnie z tropu.

– Odpowiedz – naciska.

Czuje się silniejsza. Pewnie dzięki zupie, kanapkom i podanym witaminom.

– Nie jestem do ciebie podobna, Jerichu St. Jamesie. Nie potrafiłabym skrzywdzić innej istoty ludzkiej.

Tym razem to on się wzdyga. No i dobrze. Po chwili kiwa głową i wstaje.

– Na wszelki wypadek jeszcze przez jakiś czas nie będziemy nic mówić Angelique.

– Nie ma żadnych „nas”. Jestem ja i jesteś ty.

Ignoruje moje stwierdzenie.

– Nie chciałbym, żeby niepotrzebnie robiła sobie nadzieję.

– Cóż, przynajmniej w tej kwestii się zgadzamy.

– To dobrze. Od tej chwili śpisz w moim łóżku, a twoim priorytetem będzie dbanie o swoje zdrowie. I o zdrowie mojego dziecka.

– A nie sprawianie ci przyjemności? To zadanie straciło na ważności? – pytam kpiącym tonem.

– Isabelle...

– Od początku właśnie o to ci chodziło.

Nie wiem, dlaczego świadomość tego faktu tak bardzo boli. Przecież to żadna nowość, na jakimś poziomie świadomości zdawałam sobie z tego sprawę. Wiedziałam, że nie darzy mnie żadnym uczuciem. Rogaty diabeł, który uratował mój tyłek przed pijanymi facetami w kaplicy, okazał się złoczyńcą, nie bohaterem. I to po wielokroć. Z drugiej strony wątpię, by kiedykolwiek chciał zostać bohaterem, choć tamtej nocy przemknęło mi przez głowę, że to mój rycerz na białym koniu. Nieznajomy, który przybył, by zawrócić mi w głowie i zabrać mnie stamtąd. Teraz sama sobie zadaję pytanie: zabrać dokąd? I po co. Ostatnie trzy lata przeżyłam w prawdziwym piekle. Utrata rodziców była niezwykle bolesna, ale utrata Christiana i to, w jaki sposób zginął, załamały mnie. Przez cały czas, który spędziłam w domu Bishopów, pod opieką człowieka będącego moim krewnym, moim przyrodnim bratem, czułam się samotna i niekochana. Nawet w towarzystwie Julii. Jedynie Matty darzył mnie uczuciem, tylko on przytulał. A przecież ludzie potrzebują fizycznej bliskości, dotyku drugiej osoby, pieszczot. Chcemy być kochani. I potrzebni.

Potrząsam głową. Jezu, jaka jestem żałosna.

Jericho bierze głęboki wdech i czeka. Patrzy z wysokości swoich prawie dwóch metrów. Ciekawe, jak mnie postrzega.

– Julia miała rację. – Skoro dowiedział się o komórce, nie ma sensu dłużej ukrywać przed nim prawdy. – Powiedziała mi, na jakich zasadach dziedziczy się spadek u Bishopów i że Carlton musi spłodzić dziedzica, żeby zachować rodzinny majątek.

– Twój brat nie jest w stanie zrobić dziecka.

– Został mu jeszcze rok. Z pewnością...

– Wszystkie cięższe u jego żon kończyły się poronieniami.

Tak, wiedziałam o tym.

– Nie boję się o to, że twojemu bratu w ostatniej chwili uda się za sprawą magii wyprodukować potomka. Jako jego najbliższa krewna jesteś następną w kolejce do spadku. Kiedy urodzi się dziecko, twoje prawo do majątku Bishopów zostanie przypieczętowane, podobnie jak los Carltona.

– A tym samym twoja pozycja jako głowy rodu, co? Będiesz mógł przejąć pełną kontrolę nad fortuną.

– Zgadza się. Taki właśnie mam zamiar. A przyście mojego dziecka na świat powinno

ładnie zbiec się w czasie z czterdziestymi urodzinami Carltona.

– Okropny z ciebie człowiek, wiesz o tym?

Oczy Jericha zwięzają się w wąskie szparki, a głowa przechyla się groźnie.

– Nie zdajesz sobie sprawy, co twój brat ma na sumieniu.

– Masz na myśli czyny, o które go oskarżasz? Wydaje mi się, że mierzysz innych własną miarą, Jerichu St. Jamesie. – Czuję się na tyle silna, żeby odrzucić koc i wstać. Podchodzę do męża tak blisko, że dzieli nas zaledwie kilka centymetrów. – Tylko taki potwór jak ty byłby w stanie dopuścić się tych podłości.

Oblicze Jericha okrywa się mrokiem, a szyderczy, niegodziwy uśmiech wykrzywia mu wargi. Zmusza mnie, bym zaczęła się cofać, aż uderzam plecami w ścianę.

– Chcesz usłyszeć więcej rewelacji na temat brata, Isabelle?

– Daruj sobie, bo i tak nie uwierzę w ani jedno twoje słowo.

– Może opowiedzieć ci, jak Carlton zdecydował o twoim losie, zanim w ogóle dowiedziałas się o jego istnieniu?

Słowa męża zbijają mnie z tropu, ale nim zbieram myśli i odpowiadam, zakłada mi ręce za plecy i chwyta jedną dłonią za obydwa nadgarstki.

– Nie, oszczędzę ci szczegółów. Lecz w zamian powiem ci coś innego. – Jego oczy wędrują na moje usta, a potem niżej, na odsłonięty dekolt. – Jesteś moją żoną. Nosisz pod sercem moje dziecko. Należysz do mnie, Isabelle St. James.

Isabelle York. Isabelle Bishop. Isabelle St. James. Wygląda na to, że przez trzy lata przesłama długą drogę.

Otwieram usta, żeby zaprotestować, by go przekląć i kazać mu iść do diabła, bo przecież nie robi mi krzywdy. Nie teraz, gdy jestem w ciąży. Ale nim cokolwiek zdąży wy dostać się spomiędzy moich warg, słyszę, jak Jericho rozpina klamrę paska, a następnie rozporek. Przełykam ślinę i zerkam w dół, a potem z powrotem na niego. Wyraz jego twarzy się zmienił, na ustach błąka się uśmieszek, w oczach czai się mroczne pożądanie.

– Co więcej, droga żono, ty chcesz do mnie należeć – stwierdza i puszcza moje nadgarstki, żeby chwycić biodra, po czym mnie unosi.

Nie mam wyboru, oplatom go nogami w pasie. Przytrzymuje mnie opartą plecami o ścianę. Palcami odsuwa moje majtki. I choć nie potrafię znieść tej myśli, jestem podniecona.

– Nieprawda – mówię, chociaż czuję jego członek przy swoim wejściu, a moje ciało przygotowuje się na powitanie go. – Nieprawda. – Oplatom ramionami barki Jericha, a on chwyta mnie za włosy i ciągnie. Boleśnie.

– Ależ z ciebie kłamczuszka, żono – odpowiada i wbija się po nasadę. Jęczę z bólu, bo zrobił to zbyt szybko, zbyt gwałtownie. – Pocałuj mnie – nakazuje wraz z kolejnym mocnym pchnięciem i przesuwam dłonie na pośladki.

– Chcesz całusa? – pytam. Ocieram się o niego lechtaczką, a moje ciało reaguje dokładnie tak, jak powiedział. Pragnie go. I pragnie do niego należeć.

– Może być krwawy. Zezwalam. Pokaż, na co cię stać.

Zatapiam zęby w dolnej wardze Jericha, a po języku rozlewa się miedziany posmak krwi. Nie przestaję ssać, aż ruchy Jericha stają się coraz szybsze. Sama już nie wiem, czy to ja jęczę czy on. Kiedy dochodzę, przywieram do niego mocno, ramionami ściskam jego barki, udami – biodra. Mąż kołysze mnie na kutasie, wchodzi raz za razem, rośnie coraz bardziej. Dyszę z rozkoszy i powtarzam jego imię. Moje ciało pulsuje, wzrok się rozmywa, a nabrzmiałe sutki stają się wyczulone na najlżejszy dotyk koszulki, którą wciąż mam na sobie. Każde doznanie odczuwam ze zdwojoną siłą.

Gdy Jericho szczytuje, słyszę swoje imię i czuję, jak mąż przyciska pierś do mojej i

przygważdża mnie do ściany, by po chwili znieruchomieć. Patrzymy sobie w oczy, oboje z zakrwawionymi wargami, i nienawidzimy się nawzajem. Składam bezgłośnie przysięgę, że go zniszczę. Że odbiorę mu wszystko, co on planuje odebrać mnie. Bo seks daje mi nad nim władzę. Jericho pragnie mnie tak bardzo, jak ja pragnę jego. I nie zawaham się użyć tej przewagi, by rzucić go na kolana.





### 3 JERICHO

Samolot do Austrii odlatuje za ponad godzinę, więc mam dość czasu, żeby złożyć wizytę Bishopom. Chociaż nasze posiadłości przylegają do siebie, do bramy na ich posesję trzeba jechać jakieś piętnaście minut. Otwiera się, jak tylko podjeżdżamy. Najwyraźniej Carlton się mnie spodziewa.

– Chcesz, żebym poszedł z tobą, szefie? – pyta Dex.

– Nie, dzięki. Zajmie mi to chwilę.

Kiwa głową, a ja rozglądam się dokoła. Rezydencja Bishopów była niegdyś wyjątkowo okazała. W domu mam plany budynku i terenu, znam wszystkie zakamarki. Ciekawe, czy Carlton kiedykolwiek poświęcił im trochę uwagi. Czy zna słabe punkty muru dzielącego nasze posiadłości.

Ogród jest zaniedbany, przydałoby się zgrabić liście i poprzycinać krzewy, zwłaszcza róże, które zaczęły wchodzić na ścianę, poobrywać zwiędłe kwiaty. Wiem, że Bishop cienko przędzie. Chociaż wciąż pozostaje właścicielem nieruchomości, brak mu płynności finansowej. Prędzej czy później będzie musiał zacząć odsprzedawać ziemię, pozbyć się apartamentu, który kupił w Paryżu dla żony. Potrzebuje gotówki.

Wysiadam z rolls-royce'a, jak tylko koła zatrzymują się na podjeździe. Poprawiam marynarkę i spoglądam na fasadę kamiennej willi. Jest podobna do naszej, obie zbudowano w stylu francuskiego pałacyku i wyposażono w ogromne okna przesłonięte zdobionymi drewnianymi okiennicami. Jeśli ktoś nie przyjrzy się dość uważnie, nie dostrzeże, że farba gdzieniegdzie obłazi, a część okiennic się poprzekrzywiła.

Drzwi otwierają się, nim zdążę zapukać, ale w progu stoi ktoś inny, niż się spodziewałem. Na moje spotkanie nie wychodzi ani kamerdyner, ani pokojówka, ani nawet gospodarz domu. Nie, to Julia. Zatrzymuje się z ręką na klamce. Dziś jej twarzy nie zdobi uśmiech. Ma na sobie spodenki do biegania oraz sportowy stanik, brzuch zostawiła goły. Jest umięśniona i opalona, jakby wkładała w swój wygląd dużo pracy.

– Panno Bishop – mówię, wchodząc po stopniach.

– Panie St. James – odpowiada. Błądzi wzrokiem po moich barkach i piersi, zanim w końcu spogląda mi w oczy. – Właśnie szłam pobiegać, kiedy zobaczyłam, jak pan podjeżdża.

Odnoszę wrażenie, że kłamie. Wcale nie wybierała się na przebieżkę, a fakt, że to ona otworzyła mi drzwi, został starannie przemyślany.

Odsuwa się na bok i gestem zaprasza do środka. Kiedy wchodzę, ocieram się ramieniem o jej piersi. Chciałbym móc powiedzieć, że to przez nie dość szerokie przejście, ale coś mi mówi, że to także nie jest dziełem przypadku.

Julia zamyka drzwi, w rozległym domu zapada cisza. Z miejsca, w którym stoję, widzę kręte schody wiodące na górę, salon i jadalnię. Jest tak cicho, że zastanawiam się, czy w budynku znajduje się ktoś oprócz nas. Odwracam się przodem do kobiety. Jest podobnego wzrostu co Isabelle, a kiedy spogląda na mnie błękitnymi oczami, jakie cechują większość członków jej rodziny, zauważam, że ma na twarzy pełny makijaż. Gruba kreska na powiece, krwistoczerwona szminka i inne takie. Do tego mocne perfumy. Ciekawe, po co się tak malowała, skoro miała zamiar biegać.

Posyła mi uśmiech i staje ciut bliżej, niż wypada. Nie poruszam się, gdy unosi ramiona, przecząc mięśnie brzucha. Długie blond włosy związuje w koński ogon na czubku głowy.

Przeczesuje je wypielęgnowanymi, starannie pomalowanymi paznokciami i ściąga gumką, po czym powoli przeciąga dłonią przez całą długość kitki i przerzuca ją sobie przez ramię.

– Carltona nie ma w domu – oznajmia.

Doznaję olśnienia. A przynajmniej wydaje mi się, że zaczynam rozumieć, o co chodzi.

– Czyżby?

Potrząsa głową.

– Ale jestem pewna, że mogę pomóc, niezależnie od powodu tej wizyty. Zapraszam do mojego gabinetu. Napije się pan kawy?

– Nie, dziękuję.

Znów się uśmiecha, odwraca się na pięcie i rusza korytarzem. Przez całą drogę kręci przede mną kształtnym tyłkiem, który w obcisłych spodenkach prezentuje się obłudnie. Nie mam wątpliwości, że doboru stroju także dokonała świadomie. Zastanawiam się, jak bardzo jest zżyta z moją żoną i jak dużo Isabelle o niej wie. Zapamiętuję, by zdobyć o Julii jak najwięcej informacji.

Otwiera drzwi do gabinetu, który według mnie nie wygląda, jakby należał do kobiety. Pokój jest stary i pełen ciemnego drewna. Bardzo męski. A może to ja myślę stereotypowo.

– Jest pani pewna, że to nie gabinet pani kuzyna? Ciężko uwierzyć, że wystrój wnętrza wybrała kobieta.

– Rozumiem, że za mało tu różu?

Spoglądam na nią. Ponownie rzuca mi się w oczy przesadny makijaż, za mocno pomalowane usta. Julia Bishop przyjechała do Nowego Orleanu jakieś pięć lat temu jako samotna matka. Wprowadziła się do Carltona mniej więcej w tym samym czasie, w którym Monique się wyniosła. Niewiele więcej wiem o tej kobiecie, ale teraz zaczynam myśleć, że jej nie doceniłem.

Sięgam do kieszeni, wyjmuję telefon Isabelle i kładę go na biurku. Karta SIM została w moim gabinecie.

– Domyślałem się, że przekazała to pani mojej żonie tamtej nocy, gdy zastałem was na rozmowie w kaplicy.

Julia rzuca okiem na komórkę, a potem zwraca na mnie twarz wyrażającą bezbrzeżne zdumienie.

– Sądziłam, że człowiek, który zabierał stąd jej rzeczy, po prostu go przeoczył. Sam pan wie, że w dzisiejszych czasach bez telefonu jak bez ręki. Właściwie nie da się bez nich żyć. – Uśmiecha się bez troski.

– Och, jestem pewien, że kierowały panią najlepsze chęci i troska o Isabelle.

– Oczywiście. Jak się miewa moja droga kuzynka?

– Myślę, że pani wie.

Kobieta mruga, lecz jej twarz nie zdradza myśli.

– Chyba wypada mi pogratulować przyszłym rodzicom. Mam rację?

Uśmiecham się tylko, ani nie potwierdzam, ani nie zaprzeczam. Nie utrzymamy ciąży Isabelle w tajemnicy zbyt długo. Gdyby to zależało ode mnie, nikt by się o niej nie dowiedział, dopóki dziecko nie byłoby bezpieczne w moich ramionach.

– Jeśli żona jest przy nadziei, to pani i Carlton możecie wiele stracić, czyż nie?

Co prawda widziałem ją tylko kilka razy, a jeszcze rzadziej miałem okazję z nią rozmawiać, ale twarz Julii Bishop zawsze skrywała się pod maską. W tej chwili maska opadła, zdradzając jej myśli i sprawiając, że zazwyczaj atrakcyjna kobieta wydała mi się brzydka. Trwało to ledwie kilka sekund, lecz uderzyło mnie na tyle, że zacząłem się zastanawiać, czy to rzeczywiście Carlton stoi na czele rodziny.

– Spadek nigdy mi się nie należał, ponieważ mój ojciec był młodszym bratem. Wie pan, to tak jak w rodzinie królewskiej, zawsze jest następca i zastępca. Tata był tylko zastępcą, a ja? No cóż, nawet tym tytułem nie mogę się pochwalić.

– Spędza to pani sen z powiek?

Julia marszczy brwi.

– Nie rozumiem.

– Istnienie Isabelle. I fakt, że ma wyższą pozycję od pani.

Przełyka ślinę.

– Absurdalna insynuacja. Kocham kuzynkę.

– Hmm. A tak w ogóle gdzie się podział Carlton?

– Nie wrócił na noc do domu. Pewnie utknął w Domu Kocic.

Nie wiem dlaczego, ale ta informacja mnie zaskakuje, przynajmniej w pierwszej chwili.

– Czy to panią martwi? – Chcę sprawdzić pewną hipotezę.

– Słucham?

– Pytam, czy martwi panią, że Carlton spędza tam czas na pieprzeniu innych kobiet.

Twarz Julii oblewa się rumieńcem.

– My nie... On... Przecież jesteśmy kuzynostwem. I tyle.

– Och, też kiedyś byłem bardzo zżyty z kuzynką – kłamię i unoszę jeden kącik ust.

– Nas takie relacje nie łączą!

– Przepraszam, widocznie źle zinterpretowałem sytuację – mówię i okrążam gabinet. W końcu siadam na kanapie i rozpieram się wygodnie na oparciu, kostkę jednej nogi kładę na kolanie drugiej. Kobieta stoi w miejscu, wciąż wyraźnie zdenerwowana. – Była pani tutaj, kiedy brat Isabelle został zabity, a ona sama o mało nie zginęła, prawda? Kiedy Carlton przyjął ją pod swój dach.

Julia potakuje i krzyżuje ręce na klatce piersiowej w obronnym geście.

– Od jak dawna wie pani o istnieniu kuzynki? I o tym, że jest z państwem spokrewniona.

– Przepraszam?

– Od jak dawna wie pani o Isabelle? Carlton dowiedział się, że ma przyrodnią siostrę, po otwarciu testamentu ojca, w którym staruszek przyznawał się do posiadania drugiego potomka. Wykonano badanie porównawcze DNA, przy okazji zaznaczę, że bez wiedzy Isabelle, na długo, nim zamieszkała w tym domu. Carlton od dawna wiedział o jej istnieniu. Pytam, jak długo wiedziała pani.

– Dopiero od momentu, w którym się tu przeprowadziła.

– Czyżby?

– Do czego zmierzasz, Jericho?

Jericho.

Wstaję i podchodzę do niej.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi i nie przypominam sobie, żebym przechodził z panią na ty. Proszę się do mnie zwracać per panie St. James.

Podnosi wzrok na moją twarz i przerzuca ten swój niepoważny kucyk na plecy. Nie lubię jej. Właściwie odczuwam wobec niej niemal fizyczny wstręt. Jest w Julii coś sztucznego. Od tej kobiety bije chłód. A może chodzi o to, że należy do klanu Bishopów, a nienawisć do wszystkiego, co z nim związane, tkwi we mnie bardzo głęboko zakorzeniona. Ale wtedy na myśl przychodzi mi członkini ich rodziny, która mieszka tuż za murem granicznym. Tu sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej. Może dlatego, że nosi pod sercem moje dziecko. Może dlatego, że sypia w moim łóżku. A może dlatego, że widziałem ją w chwilach, gdy była najbardziej bezbronna, że całkowicie ode mnie zależy, że to moja ręka ją karmi. Nie mam pojęcia. Ale wiem

jedno – z pewnością nie jest taka jak Julia.

– Proszę się trzymać z daleka od mojej żony. Wyrażam się jasno, pani Bishop?

– Isabelle to moja kuzynka, a do tego przyjaciółka. I z pewnością przydałby jej się ktoś bliski.

Nachylam się w jej stronę.

– Proszę się trzymać od niej z daleka.

Julia przełyka z trudem ślinę i cofa się o krok.

Usatysfakcjonowany jej reakcją ruszam do drzwi. Trzymam już dłoń na klamce, kiedy się odzywa:

– Co pan z nią zrobi, gdy dziecko się urodzi?

Zaciskam szczęki i odwracam się powoli. Kobieta najwyraźniej zauważa jakąś słabość w wyrazie mojej twarzy lub w postawie, bo nagle jakby rośnie o kilka centymetrów, a na jej zbyt mocno umalowanych ustach wykwita paskudny uśmiech.

– Pochowa ją pan tak samo jak narzeczoną? Tak jak pański przodek pochował Nellie Bishop?

Prycham i wracam na środek gabinetu. Z przyjemnością zauważam, że Julia cofa się przede mną żwawym krokiem.

– Proszę się trzymać z daleka od mojej żony i całej mojej rodziny, bo w przeciwnym wypadku ja przyjdę po pani najbliższych.

Cios poniżej pasa. Wiem. Nieładnie grozić kobiecie, że zrobi się krzywdę jej dziecku.

Twarz Julii blednie. Kobieta porusza wargami, lecz nie wydostaje się spomiędzy nich żaden dźwięk. A może coś mówi, ale ja już tego nie słyszę. Wychodzę z gabinetu, z tego obmierzłego domu, i jedyne, na co mam ochotę, to wyszorować porządnie skórę, żeby zetrzeć truciznę, którą pozostawił na niej kontakt z tą jędzą.

## 4 JERICHO

Do Austrii lecę sam. Wziąłbym ze sobą Dexa, jednak zważywszy na zmianę okoliczności, chcę, żeby został w domu i czuwał nad Isabelle i Angelique. Powierzyłem mu także zadanie przeprowadzenia rozmów kwalifikacyjnych z trzema kandydatami na ochroniarzy mojej żony. Wiem, że nie mogę trzymać jej w domu pod kluczem w nieskończoność. Nie byłoby to dobre ani dla niej, ani dla dziecka. Ale nie pozwolę, żeby gdziekolwiek chodziła sama, szczególnie teraz, po mojej wizycie u jej krewniaczki. Przeczucie co do ludzi nigdy mnie nie myli. Raz go nie posłuchałem i Kimberly zginęła. Felix Pérez wywarł na mnie dokładnie takie samo wrażenie jak Julia Bishop, lecz je zignorowałem. W końcu robiłem interesy. Załatwiałem sprawy, które zbyt długo leżały odłogiem i które należało załatwić. I tyle. Ale okazało się, że na interesach się nie skończyło.

Nikt oprócz Dexa nie ma pojęcia o mojej wyprawie do Austrii. A zwłaszcza Zeke nie może się dowiedzieć. Po spotkaniu z Santiagiem zżera mnie jeszcze większa ciekawość, czego on i brat mi nie mówią.

Ojciec zginął w Alpach podczas wyjazdu na narty. Wiem, że spotkał się wówczas z jakimiś ludźmi, by sfinalizować nie do końca legalny interes. Lecz z tego, co udało mi się ustalić, wszystko przebiegło pomyślnie, więc ci ludzie nie mieli powodu, by wyrządzić mu krzywdę. Wręcz przeciwnie.

Wyjechał z jedną ze swoich kochanek. Dziś się z tego cieszę, bo gdyby zabrał matkę, to ją także bym stracił.

Wypadek wydarzył się w nocy. Ojciec i ta kobieta wracali po kolacji do naszego domku w górach. Było późno i ciemno, padał śnieg. Takie warunki mogą sprawić, że niedoświadczony kierowca wypadnie z drogi. Tyle że ojciec nie był żółtodziobem. Co prawda połowę życia spędził w Nowym Orleanie, ale urodził się i wychował w Kolorado, gdzie uzależnił się od jazdy na nartach. Jako nastolatek i później, przed trzydziestką, właściwie każdą zimę spędzał w górach. Znakomicie prowadził, nawet w fatalnych warunkach.

SUV, którym jechał tamtej nocy, wyleciał z drogi na ostrym zakręcie ledwie pięć minut jazdy od celu podróży. W miejscu, w którym barierka uległa wcześniej uszkodzeniu. Jej naprawę zaplanowano na następny tydzień. Nim policja dotarła na miejsce zdarzenia, śnieg rozpadał się na dobre, ukrywając wszelkie ewentualne dowody, jak ślady hamowania, tropy zwierząt czy cokolwiek innego, co mogłoby zdradzić powód, dla którego doszło do wypadku. Winą obarczyli śliską nawierzchnię, chociaż jezdnia wcale nie była pokryta lodem. Padał śnieg, a z nim ojciec radził sobie świetnie.

Auto zjechało w przepaść i wybuchło przy zderzeniu ze skałą, wywołując niewielką lawinę. Z kierowcy i pasażera nie pozostało nic prócz zwęglonych kości. Na myśl o tym przewraca mi się w żołądku. Ojciec nie był dobrym człowiekiem, zdaję sobie z tego sprawę. Stosował przemoc wobec matki, czasem również wobec nas, szczególnie wobec Zeke'a. Lecz nie zmienia to faktu, że dzięki niemu żyję.

Specjalnie podjeżdżam pod domek w stylu alpejskim, który sprzedaliśmy po wypadku. Wygląda wciąż tak samo, może tylko sprawia wrażenie starszego. Parkuję na podjeździe i przez kilka chwil przyglądam się budynkowi. Dla mnie to miejsce nie wiąże się z żadnymi wspomnieniami. Ani ja, ani rodzeństwo nigdy tu nie byliśmy. Przyjeżdżali wyłącznie rodzice, głównie ojciec. Wydaje mi się, że matkę zabrał ze sobą ledwie parę razy.

W środku zapala się światło i ktoś odsuwa zasłonkę, żeby spojrzeć na drogę. To cicha okolica i rzadko ktokolwiek się tu zapuszcza bez powodu. Jedyni przyjezdni to goście restauracji mieszczącej się na szczycie góry, a ta jest teraz, poza sezonem, zamknięta.

Wrzucam w aucie jedynkę i zawracam na trzy razy, żeby dostać się z powrotem do hotelu. Nie poświęcam nawet minuty, by dotrzeć do miejsca, w którym samochód ojca przeleciał przez barierkę. Może zrobię to później. Ale teraz śpieszę się na spotkanie z kierownikiem hotelu Petterhof.

Hotel jest duży, znajduje się w nim ponad pięćset pokoi. Standard o jedno oczko wyżej od hostelu. To miejsce, w którym łatwo zniknąć w tłumie, zostać przeoczonym. Zatrzymuję SUV-a na parkingu przed budynkiem – nie ma tutaj parkingowych – i wchodzę do środka. Wnętrze widziało lepsze czasy, a wyposażenie i umeblowanie to taniocha, którą należało wymienić już ze trzydzieści lat temu. Hotel mocno odbiega standardem od miejsc, w których Zeke zwykł się zatrzymywać.

Podchodzę do recepcji ze ściśniętym żołądkiem. Zza kontuaru podnosi na mnie wzrok młoda kobieta i uśmiecha się promiennie.

– Dobry wieczór. W czym mogę panu pomóc?

– Przeszedłem na spotkanie z panem Spencerem. Z Mitchem Spencerem.

Celowo nie podaję kobiecie swojego nazwiska.

– Tak, wspominał, że oczekuje gościa. Proszę usiąść, a ja po niego zadzwonię.

– Dziękuję.

Za pracę, którą wykonał, przesłałem panu Spencerowi pokazną sumkę. W zamian oczekuję dyskrecji. Dyskrecji oraz informacji. Bo w aktach Santiaga znalazłem coś ciekawego. Coś, czego być może miałem nie zauważyć. Na liście gości tego hotelu rozpoznałem jedno z nazwisk. Jack J. Z. Wilder. Tak się nazywał najlepszy kumpel mojego brata z liceum. Nie sądzę, żeby jego dane znalazły się tutaj przypadkiem. Santiago posunął się nawet do tego, że zdobył informacje na temat wszystkich gości pobliskich hoteli i pensjonatów, jak również przyjezdnych, którzy wynajmowali w okolicy domki, oraz lokalnych mieszkańców. Przyłożył się. A nazwisko Jacka w dokumentach przykuło mój wzrok, zwłaszcza inicjały J. Z., ponieważ tak właśnie nazywaliśmy go w szkole.

Gdy skontaktowałem się ze Spencerem, który pracował w hotelu od piętnastu lat, okazał się na tyle miły, że po drobnej zachęcie finansowej zgodził się podzielić ze mną informacją na temat istnienia nagrań z kamer rejestrujących ruch w lobby oraz wokół wejść: głównego, bocznych i służbowych. Standardowe procedury bezpieczeństwa. W dodatku obsługa hotelu Petterhof nigdy nie kasowała nagrań. Dzięki temu Mitchowi Spencerowi udało się odnaleźć zapisy z tygodnia, w którym zginął mój ojciec. Z tygodnia, który Jack J. Z. Wilder rzekomo spędził na nartach w Austrii. Tyle że Jack poniósł śmierć w wyniku wypadku na motocyklu, jakiś rok po skończeniu liceum. Byłem nawet na jego pogrzebie.

Na nagraniu z kamery, choć jest nieco ziarniste, widać wyraźnie wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę podającego się za Wildera. To mój brat. Zeke był w Austrii tej samej nocy, kiedy samochód ojca wyleciał z zakrętu. Przebywał w hotelu położonym niecałe pół godziny jazdy od miejsca wypadku. A ja nawet nie miałem pojęcia, że w ogóle wyjechał wtedy z kraju.

– Dzień dobry. Miło mi pana poznać, panie St. James. Jestem Mitch Spencer.

Mrugam, żeby oczyścić umysł, i wrywam się z zadumy, by porozmawiać z kierownikiem hotelu. To niski, krępy mężczyzna pod sześćdziesiątkę. Kiedy wyciąga do mnie rękę, zauważam, że mankiety jego ciemnej marynarki są mocno wytarte.

– Panie Spencer – mówię, ściskając podaną dłoń. – Dziękuję, że w tak krótkim czasie

udało się panu znaleźć dla mnie chwilę.

– Tędy, proszę.

Idziemy korytarzem. Na podłodze leży wytarty, postrzępiony dywan. Ściany przesiąkły zapachem jedzenia, dymu papierosowego i trawki. Zeke z pewnością czuł odrazę do tego miejsca.

Wchodzę za Spencerem do niewielkiego biura przepełnionego księgami rachunkowymi i rejestrami, a także stosami starych taśm video. Stojące pod oknem biurko widziało lepsze czasy, a obrotowe krzesło wyraźnie przechyliło się na bok. Jedynym, co ratuje to pomieszczenie, jest spektakularny widok rozciągający się za oknem.

– Biuro może nie przedstawia się najlepiej, ale proszę mi wierzyć, warto posiedzieć tutaj wieczorem, żeby zobaczyć zachód słońca – mówi kierownik, jakby czytał w moich myślach.

– Nie wątpię.

Spencer wskazuje mi dłonią krzesło. Korzystam z zaproszenia. Gospodarz siada za biurkiem. Odwraca laptop ekranem w moją stronę i bez zbędnych wstępów włącza odtwarzanie. Uważnie oglądam film, z którego zrzuty widziałem kilka dni temu. Na ekranie Zeke wchodzi do lobby z czapką bejsbolową naciągniętą głęboko na czoło. Ma na sobie ciężki, bezkształtny płaszcz zimowy zapięty aż pod brodę. Kieruje się do windy. Sprawdzam datę nagrania. To noc, gdy doszło do wypadku ojca. Tłumię wszelkie emocje i myśli.

Kierownik naciska parę klawiszy, by odtworzyć inną scenę. Na laptopie znów pojawia się brat, tym razem ubrany w garnitur i wełniany płaszcz, zdecydowanie nieprzeznaczone do szusowania na nartach.

– Wymeldował się wczesnym rankiem. Miał rezerwację na dwie noce, ale wyjechał już pierwszego dnia.

Spoglądam na oznaczenie daty i godziny.

– Zaledwie godzinę po przyjeździe. Proszę puścić nagrania jeszcze raz.

Spencer spełnia prośbę. Ponownie wpatruję się, jak Zeke wchodzi do lobby w czapce i za dużym płaszczu. Kierownik życzliwie włącza pauzę, po czym powiększa obraz. Choć jest ziarnisty, udaje mi się dostrzec wyraz twarzy brata, przynajmniej częściowo. Wygląda na zdeterminowanego. I najwyraźniej gdzieś się spieszy. A kiedy się wymeldowuje, ma mokre włosy. Najwyraźniej zdążył nie tylko się przebrać, lecz także wziąć prysznic.

– Jest jeszcze jedno nagranie – oznajmia Spencer. – I to dość ciekawe.

Przekręca laptop w swoją stronę i wciska kilka klawiszy, a potem znów ustawia go tak, bym widział ekran, na którym Zeke wychodzi z hotelu, wyrzuca wypchaną torbę podróżną do śmietnika nieopodal wejścia, wsiada do taksówki i odjeżdża.

– Nagrał pan kopię? – pytam. Uważam, żeby z niczym się nie zdradzić.

– Oczywiście. – Mężczyzna otwiera jedną z szuflad biurka, z której wyjmuje pendrive, i wręcza mi go.

– Dziękuję.

Wyciągam komórkę, loguję się do aplikacji bankowej i robię kolejny przelew. Kiedy wstaję, telefon mojego rozmówcy oznajmia dźwiękiem, że przyszła wiadomość. Spencer rzuca okiem na ekran, po czym podnosi na mnie wzrok i się uśmiecha.

– Dziękuję. Bardzo panu dziękuję – mówi.

– Proszę nie zapomnieć o dyskrecji, panie Spencer. Nagranie ma zniknąć.

Naciska jakiś klawisz.

– Zrobione.

– Dobranoc.

Opuszczam tani hotel. Nogi mam jak z waty. Wsiadam do wynajętego SUV-a i kieruję

się na małe prywatne lotnisko, skąd jeszcze dzisiejszej nocy wrócę do domu. I chociaż poleciałem prawie na drugi koniec świata, to wcale nie jestem mądrzejszy.





## 5 ISABELLE

– Tatusiu! – wykrzykuje Angelique.

Odwracam się i widzę, jak do jej pokoju wchodzi Jericho. Wygląda, jakby w ciągu ostatniej doby nie przespał ani minuty. Z jakiegoś powodu spodziewałam się, że będzie bez przerwy tkwił u mojego boku. Nie spuszczał mnie z oka. Pilnował, żebym jadła. Upewniał się, że nie zrobię krzywdy dziecku. A tu proszę, nie widziałam go od tamtego dnia, gdy nakarmił mnie zupą. Kiedy się obudziłam, jego strona łóżka była pusta i wciąż starannie zaścielona.

– Dzień dobry, kochanie – odpowiada i chwyta córkę w ramiona, kiedy ta do niego podbiega, a potem ją tuli.

Nadal zaskakują mnie takie sceny z jego udziałem. Wobec Angelique zachowuje się zupełnie inaczej niż wobec mnie. Inaczej niż wobec kogokolwiek. Jakbym w ogóle go nie знаła. Zachowuje się jak człowiek, którego chciałabym poznać. Dotykam brzucha. Czy wobec naszego dziecka też taki będzie? A może znienawidzi je z powodu krwi Bishopów płynącej w jego żyłach?

– Babcia powiedziała, że pewnie miałeś mnóstwo spotkań – mówi Angelique. – Dlatego nie zjadłeś z nami obiadu.

– To był długi dzień – stwierdza Jericho.

Stawia małą na podłodze. Wciąż trzymając ją za rękę, podchodzi z nią do biurka. Rzuci okiem na jedną z książeczek, która akurat leży otwarta. To opowieść dla dzieci o muzyce, a dokładniej o niedźwiadku mającym talent do grania na skrzypcach. W dzieciństwie była to jedna z moich ulubionych lektur. Kiedy spytałam Leontine, czy możemy ją kupić dla Angelique, teściowa zamówiła tę książeczkę oraz kilka innych. Wszystkie dostarczono do rezydencji w ciągu zaledwie kilku godzin.

Lecz to działo się przed. Używam teraz przyimków „przed” i „po” do wyznaczania ram czasowych własnego życia. Przed to czas, kiedy wiedziałam, że Jericho St. James jest zły, ale nie zdawałam sobie sprawy jak bardzo. Teraz, czyli po, już to wiem.

– Isabelle – zwraca się do mnie i kładzie mi ciężką dłoń na ramieniu. – Jak się czujesz?

– Już jej lepiej. Dużo, dużo lepiej – odpowiada za mnie pasierbica. – Prawda, Belle?

– Zgadza się, kochanie. – Uśmiecham się do niej.

Nim odwracam się do męża, przybieram poważny wyraz twarzy. Chcę, żeby zrozumiał, co mam mu do przekazania, ale nie zamierzam przy okazji zranić Angelique.

– Zaczęłaś jeść? – pyta.

– Tak.

– To dobrze.

Wstaję i kieruję się ku drzwiom.

– Pójdę już. – Zakładam, że Jericho chce spędzić trochę czasu z córką.

– Co czytasz? – pyta i podnosi książkę. Przez chwilę przygląda się okładce, a potem kartkuje kilka stron.

– To o misiui, który umie grać na skrzypcach, choć jest bardzo młody – odpowiada rezolutnie dziewczynka. – Widzisz? – Wyjmuje ojcu książkę z rąk i przerzuca kartki. – Belle nauczy mnie kiedyś grać, ale na razie jestem za mała.

Jericho rzuca mi spojrzenie.

– Wspaniale. A może później coś by dla nas zagrała? Jak ci się podoba ten pomysł,

Angelique?

– Och, tatusiu, ona jest naprawdę dobra, powinieneś jej posłuchać.

Czuję, że się rumienię. Odwracam się od męża.

– Z przyjemnością posłucham, jak Isabelle gra. W takim razie jesteśmy umówieni na wieczór – zwraca się do mnie.

– O ile nie będę zbyt zmęczona. – Usiłuję zmusić usta do uśmiechu.

W tym momencie słyszymy pukanie do drzwi i do pokoju wchodzi Leontine.

– Czas na lunch – oznajmia.

– A potem pojedziemy? – pyta ją wnuczka.

– Gdzie chcecie jechać? – Jericho marszczy brwi.

– Twoja mama i ja zabieramy Angelique do lokalnej księgarni – mówię, jakbym rzucała mu wyzwanie. Jestem w buntowniczym nastroju. Brwi męża tworzą już prostą kreskę, która unosi się pod samą linię włosów.

– Co proszę?

– Wybieramy się do księgarni. Wiesz, to takie miejsce, gdzie sprzedają książki. Po lunchu organizują dla dzieci w wieku Angelique spotkanie, podczas którego będą czytane bajki. Najpierw posłucha opowieści, a potem zjemy ciasto w cukierence.

– Tatusiu, to wyjątkowe miejsce. Nazywa się Wata Cukrowa. Belle pokazywała mi na zdjęciach. Wszystko w środku jest różowe i wygląda jak zrobione z waty cukrowej. Mają nawet...

– Kto powiedział, że możecie tam pojechać? – przerywa jej ojciec i piorunuje mnie wzrokiem.

Uśmiecham się szeroko.

– Naszła mnie ochota na kawałek ciasta. Ot, taka niewinna zachcianka.

Jericho kładzie mi dłoń na karku i lekko naciska w ramach ostrzeżenia.

– Catherine może wam upiec ciasto.

– Niestety nie. Chodzi o konkretny rodzaj ciasta, które można dostać tylko w Wacie Cukrowej. Chyba nie chcesz, żebym ignorowała swoje zachcianki, prawda?

– Proszę, tatusiu. Mógłbyś pojechać z nami.

Jericho patrzy na córkę i już otwiera usta, jednak dziewczynka jeszcze nie skończyła.

– Wujek Zeke powiedział, że zje kawałek ciasta na lunch. Też bym tak chciała, ale babcia powiedziała, że najpierw muszę zjeść coś konkretnego.

– Zeke też ma zamiar jechać? – dopytuje mąż.

– O, tak – przytakuję, a mój uśmiech staje się szerszy. – Czy to nie słodkie z jego strony, że postanowił poświęcić nam trochę swojego cennego czasu? Przecież jest taki zapracowany.

Widzę, jak na skroni Jericha zaczyna pulsować żyła.

– No dobrze – cedzi przez zaciśnięte zęby.

– Tatusiu, jedziesz z nami? – pyta podekscytowana Angelique i podskakuje z radości.

– Tak.

– Miło mi to słyszeć – odzywa się Leontine. Wygląda na zaskoczoną, ale jednocześnie usatysfakcjonowaną rozwojem wydarzeń. – W takim razie wszystko ustalone. Sądzisz, że powinnam do nich zadzwonić i zmienić rezerwację, Isabelle?

– Nie, bez problemu dostawią nam jedno krzesło. A nawet jeśli nie, to Jericho może usiąść na podłodze na własnym... – Ostatnie słowa kieruję do niego.

– Belle zna właścicielkę – wtrąca Angelique. – Przyjaźni się z nią. Ta pani jest cukierniczką i upiecze nam coś specjalnego.

– Nie wątpię.

– Może nawet poproszę ją, żeby twoją porcję okrasiała jakimś szczególnym dodatkiem. Wzrok męża przesuwają się na mnie. Mężczyzna ciska gromy z oczu.

– Chodź, Angelique – mówi Leontine, a ja zastanawiam się, czy czuje narastające między nami napięcie.

– A ty nie będziesz nic jadła, Belle? – pyta mnie pasierbica.

– Oczywiście, że będę. – Robię krok w ich stronę, lecz Jericho łapie mnie za ramię.

– Zejdziemy za kilka minut – mówi.

Angelique spogląda na nas, ale babcia wyprowadza ją stanowczo z pokoju.

Kiedy znikają za drzwiami, wyrwam się mężowi i wychodzę na korytarz. Udaje mi się dotrzeć do drzwi sypialni i położyć rękę na klamce, gdy Jericho mnie dogania i przykrywa ją swoją dłonią.

– Naszła cię ochota na ciasto? – pyta szorstko.

Jego bliskość sprawia, że czuję łaskotanie w żołądku, a włoski na karku stają dęba. Przenoszę wzrok z naszych dłoni na jego oczy. Nie odwracam głowy.

– Jeszcze wczoraj nie mogłaś utrzymać jedzenia w żołądku, droga żono.

– Widocznie witaminy rzeczywiście pomogły.

Naprawdę czuję się lepiej, lecz szczerze mówiąc, nie udało mi się wmusić w siebie nic oprócz kilku kolejnych porcji ugotowanej przez Catherine zupy. Nie jestem pewna, czy mój żołądek zniesie ciasto, ale dałabym wszystko, żeby tylko się stąd wyrwać, a to był jedyny pomysł, jaki przyszedł mi do głowy. Wiedza o ciąży sprawiła, że stałam się odważniejsza. Nabrałam pewności siebie.

– Hmm.

Mąż otwiera drzwi i gestem zaprasza mnie do środka. Kiedy go mijam, czuję znajomy zapach. Nie potrafię sobie uzmysłwić, skąd go znam, ale z pewnością nie pasuje do Jericha. Nie pasuje do tego domu.

– Gdzie byłeś? – pytam, gdy zamyka drzwi.

– Czyżbyś się za mną stęskniła?

– Nie, tak się tylko zastanawiałam. Nudności ustąpiły akurat wtedy, kiedy wyjechałeś, więc pomyślałam, że może byłoby najlepiej, gdybyś trzymał się ode mnie z daleka przez najbliższych dziewięć miesięcy. Albo może już zawsze. Oba rozwiązania mnie zadowolą. A najbardziej pozwolenie na powrót do domu.

Dom. W tej chwili uświadamiam sobie, co to za zapach. Zbliżam się do Jericha, wspinam na palce i obwąchuję kołnierzyk jego koszuli.

– Co ty wyprawiasz? – pyta, a ja cofam się o krok.

– To perfumy Julii.

Zapach jest nikły i być może to odmienny stan wyostrzył moje powonienie, ale nie mam wątpliwości. A świadomość, że Jericho pachnie kuzynką, podnosi mi ciśnienie.

Mąż wydaje się zaskoczony tą uwagą i przez dobrą minutę szuka w głowie właściwej odpowiedzi.

– Natknąłem się na nią, kiedy oddawałem twój telefon. – Wymija mnie, kieruje się w stronę drzwi łączących nasze sypialnie i wchodzi do swojej. Podążam za nim.

– Co to znaczy, że się na nią natknąłeś?

Jericho zdejmuję marynarkę, rozwiązuje krawat, ściąga go i rzuca na łóżko. Odpina górne guziki koszuli oraz te na mankietach, zanim wyjmuje ją ze spodni i zdejmuje przez głowę. Po chwili i ona łąduje na pościeli. Na koniec mąż zzuwa buty, po czym idzie do łazienki.

– To znaczy, że pojechałem do rezydencji Bishopów, żeby zwrócić twój telefon Carltonowi i powiedzieć mu, że ani on, ani Julia nie mogą więcej się z tobą kontaktować, ale nie

zastałem go w domu. Była tylko ona. – Odkręca wodę pod prysznicem, odpina pasek od spodni i odwraca się do mnie. – Chyba nie jesteś zazdrosna, co? Czyżbym miał szminkę na kołnierzyku?

– A skąd miałyby się na nim wziąć szminka? – We własnym głosie słyszę gniewne, agresywne nuty. Może to naprawdę zazdrość? Nagle zdaję sobie sprawę, że skrzyżowałam ręce na piersi, więc czym prędzej opuszczam je wzdłuż tułowia.

Jericho szczerzy zęby usatysfakcjonowany.

Potrząsam głową.

– Ty kutasie, wcale nie jestem zazdrosna. Po prostu nie rozumiem, w jaki sposób przyłgnał do ciebie zapach jej perfum.

Mąż unosi brwi, robi kilka kroków w moją stronę i chwyta mnie w tali.

– Nie musisz się obawiać, nie jest w moim typie.

– Ja wcale nie... Jezu! Co z tobą nie tak?! – Popycham go, ale tylko zacieśnia uścisk.

– Ty jesteś w moim typie. No i zostałeś moją żoną. Nie wspominając już o tym, że nosisz pod sercem moje dziecko. Na razie chcę pieprzyć tylko ciebie.

Ponownie próbuję go odepchnąć.

– Możesz zerznąć wszystkie kobiety pracujące w Domu Kocic, bylebyś mnie zostawił w spokoju!

– Nie sądzę, że rzeczywiście tak myślisz.

– Ależ tak.

– Mam ci to udowodnić?

– Odpierdol się!

Jericho wyszczerza zęby i wciąż oplatając moją talię ręką, drugą sięga pod prysznic, żeby zakręcić wodę. Bierze mnie na ręce i niesie do sypialni, gdzie sadza na krawędzi łóżka. Kładzie mi dwa palce na piersi i popycha lekko, a ja padam na plecy. Mąż zadziera sukienkę, po czym zsuwa majtki.

– Co ty robisz?! – Siadam gwałtownie, kiedy przy mnie kuca z twarzą między moimi nogami.

– Zamierzam wylizać twoją cipkę – odpowiada i nim udaje mi się cokolwiek odpowiedzieć, ściąga moje biodra na sam skraj materaca i przykładą usta do centrum sterowania rozkoszą.

Wyłączam myślenie. Koncentruję się na jego wilgotnym, gorącym języku, który wyprawia cuda na lechtaczce. Jericho rozchyła szerzej moje uda i wsuwa we mnie dwa palce, a potem zaciska usta wokół nabrzmiewającego guziczka i zaczyna ssać.

– O Boże!

Mąż zaprzestaje pieszczot na chwilę i spogląda na mnie.

– Mów mi „Jericho”, to w zupełności wystarczy. – Pokazuje zęby w uśmiechu, po czym kładzie sobie nogi na barkach.

Ułamek sekundy później zasysam gwałtownie powietrze, wplątuję palce w jego włosy i szczytuje. Wraz z mijającym orgazmem moje ciało wiotczeje.

Jericho wstaje, spogląda na mnie z góry i ociera usta. Gdy ściąga z siebie resztę ubrań, widzę, że jest gotowy. Klęka jednym kolaniem na łóżku i chwyta fiuta w dłoń. Nachyla się nade mną, nie przestając się pieścić.

– Już wiesz, co miałem na myśli? – pyta, całuje mnie i odsuwa się na chwilę, by pobłądzić wzrokiem po moim ciele.

– Nienawidzę cię – oznajmiam w odpowiedzi.

– Bzdura.

Wolną dłonią zadziera sukienkę jeszcze wyżej, żeby odsłonić cycki zakryte

koronkowym stanikiem. Szorstkimi ruchami ściąga miękką miseczkę najpierw z prawej, potem z lewej piersi, tak że materiał zbiera się pod nimi. Obie są obrzmiałe i tkliwe.

– Chodź tutaj – rozkazuje mąż i kładzie dłoń na mojej potylicy. Zdecydowanym ruchem pomaga mi usiąść i przybliżyć się na tyle, że nie mam wątpliwości, co chce zrobić. Szybko okazuje się jednak, że się mylę, bo Jericho zaciska mi palce na włosach i odchyła głowę. – Kto zaprosił Zeke’a?

– Co?

– Kto zaprosił Zeke’a do kawiarni?

– No... Angelique.

– A przypadkiem nie ty?

Chcę pokręcić głową, ale trzyma mnie za włosy tak mocno, że nie mogę.

– Jesteś tego pewna?

– Tak – odpowiadam, a on rozluźnia chwyt.

– To dobrze. Nie jesteś jego, tylko moja. Im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej.

Kiedy mnie puszcza, upadam na łokcie. Jericho odsuwa się o kilka kroków i wpatruje w moje rozchylone nogi i w to, co znajduje się pomiędzy nimi. Ociekam sokami, bo pragnę czegoś więcej niż tylko jego ust. Chcę poczuć go w środku.

– Chciałabyś dojść jeszcze raz, prawda? – pyta.

W odpowiedzi przygryzam wargę. Mam ochotę mu powiedzieć, że go nienawidzę, ale nie potrafię. Przyjdzie na to jeszcze czas. Teraz myślę tylko o orgazmie.

Jericho uśmiecha się szeroko i łapie moje uda. Kiedy czuję w sobie jego męskość, chwytam go za ramiona i wpijam się paznokciami w ciało. Sposób, w jaki się we mnie porusza, jak się we mnie wpatruje, jak mnie pieprzy, i rozkosz, którą mi daje, sprawiają, że z mojej głowy wyparowują wszelkie myśli.

– No dalej, Isabelle. Dojść, bym mógł się na ciebie spuścić.

W tej chwili szczytuję. Choć się za to nienawidzę, dochodzę na rozkaz męża.

Przygląda mi się przez moment, wciąż twardy jak stal, lecz po kilku kolejnych pchnięciach, gdy moje ciało się rozluźnia, wychodzi ze mnie i chwytą kutasa. Po dwóch szybkich ruchach ręką dochodzi, a ja się temu przypatruję. Widzę, jak napinają się mięśnie jego twarzy i całego ciała, po czym przenoszę wzrok na mocno ściskany dłonią członek. Nie mogę oderwać oczu, kiedy naznacza mnie swoim nasieniem na brzuchu i piersiach. Kładzie wolną rękę na łóżku i pochyla się nade mną, tryskając resztką spermy. Oczy ma zamknięte, oddech ciężki i urywany. Gdy kończy, rozchyła powieki, prostuje się i patrzy na bałagan, którego narobił. Kładzie dłoń płasko na moim brzuchu i wsmarowuje nasienie w skórę, w piersi, między nogami. Przez cały czas nie spuszczam z niego wzroku, wpatruję się, jak pokrywa mnie nim, zostawiając swój zapach, naznacza, jakby tatuaż na moich plecach mu nie wystarczał. W końcu spogląda na mnie, na swoje dzieło. Zaszczyca pojedynczym kiwnięciem głowy i idzie do łazienki. Chwilę później słyszę, że odkręcił wodę pod prysznicem.

Unoszę się na łokciach i patrzę na siebie. Należę do niego. Pod każdym względem. Wstaję. Nogi mi drżą. Ściągam z siebie sukienkę i ruszam do łazienki, żeby dołączyć do męża. Nie wygląda na zaskoczonego, kiedy staję tuż przed nim. Przechyla głowę i przygląda mi się przez dłuższy czas. W końcu kładzie rękę na mojej potylicy i całuje w usta. Jednak w tym pocałunku brak czułości. To kolejny sposób, by mnie naznaczyć. By pokazać, że jestem jego. Lecz ja także pragnę zostawić na nim swój znak. Kiedy wbijam mu paznokcie w plecy i przeciągam nimi w dół, na moment się spina, ale zaraz przyciąga mnie bliżej i całuje mocniej. Gdy kończy pocałunek, a ja kończę kreślić na jego skórze swoje znaki, myje nas oboje, po czym zakręca wodę. Owija ręcznikiem najpierw mnie, potem siebie.

Bez słowa wychodzimy z łazienki i się ubieramy. Zachowujemy się tak, jakby ta dziwna chwila pomiędzy nami w ogóle nie miała miejsca. W milczeniu schodzimy do jadalni na lunch i szykujemy się, by zabrać Angelique do księgarni na czytanie bajek, a później do cukierni. Jakbyśmy byli rodziną.

I jesteśmy, z tym że dysfunkcyjną, w której mąż kładzie żonie dłoń na karku, by przypomnieć jej, że sprawuje nad nią kontrolę, i aby zawsze mieć ją na wyciągnięcie ręki. Jericho nigdy nie pozwoli mi zapomnieć, że do niego należę.

## 6 JERICHO

Po raz pierwszy w życiu córka uczestniczy w publicznym czytaniu bajek. Siada na dywanie z Misią na kolanach, w kręgu z kilkunastoma innymi dziećmi. Znajdujemy się w sekcji dziecięcej niewielkiej księgarni. W kącie stoi regał reklamowy wypełniony pociągami mieszkającymi w wiosce z serialu animowanego Tomek i przyjaciele. Otaczają nas pluszowe zwierzaki w żywych kolorach, różnorakie zabawki i książeczki, a na jednej ze ścian widnieje mural przedstawiający bajkowy świat. Dział znajduje się na tyłach sklepu. Stoję niepewnie w lukrowatym przejściu pomiędzy nim a resztą księgarni. Matka i Isabelle siedzą w pobliżu Angelique i przysłuchują się czytającej kobiecie.

Nie potrafię oderwać wzroku od twarzy córki. Wygląda na przeszczęśliwą. Cały czas się uśmiecha, klaszcze i stara się dotrzymać kroku innym dzieciom w śpiewaniu, choć nie kojarzy słów piosenek, które pozostałe maluchy zdają się znać na pamięć. Gdy się myli, przygląda się rówieśnikom. Wydaje mi się, że naśladuje ich, by wpasować się w grupę. Na ten widok coś chwyta mnie za serce. Nie podoba mi się, że moja córka musi zachowywać się w ten sposób.

Obok mnie staje Dex.

– Świetnie się bawi.

Dex był z nami przez większość życia Angelique. W którymś momencie zaczęła nazywać go wujkiem, a ja nigdy jej nie poprawiałem.

– Na to wygląda. – Nie mam co do tego wątpliwości.

– Jak poszło spotkanie? – pyta Dex po dłuższej chwili, kiedy dzieci kończą śpiewać, a córka odnajduje mnie wzrokiem i macha radośnie.

Uśmiecham się i odmachuję w odpowiedzi, ale robię to mechanicznie.

– Znalazłem, czego szukałem.

Chociaż żałuję, że mi się to udało. Kumpel nie komentuje moich słów. Wie, po co polecałem do Austrii. Robię głęboki wdech, potem wydech i odwracam się w jego stronę.

– A teraz muszę zrozumieć dlaczego.

Kiwa głową.

Dzieciaki zaczynają wstawać, a matki pchają wózki z młodszym rodzeństwem, żeby odebrać swoje pociechy. Angelique podchodzi najkrótszą drogą do Isabelle. Ta bierze ją za rękę i podprowadza do półki z książkami. Następných dziesięć minut spędzają na wybieraniu lektury.

Moja matka, która się temu przygląda, podchodzi do nas.

– Traktuje Isabelle jak nową, błyszczącą zabawkę – mówię, ponieważ nie chcę, aby zrobiło jej się przykro, że wnuczka woli kogoś innego.

– Och, Jericho, nie czuję się pokrzywdzona – odpowiada i poklepuje mnie po dłoni. – Isabelle dobrze się nią zajmuje.

Obserwuję żonę i córkę. To prawda. Widać z daleka.

– Jednak nie zastąpi jej ojca – dodaje.

Uśmiecham się.

– Ja także nie czuję się pokrzywdzony – oznajmiam, chociaż z każdym kolejnym słowem coraz bardziej uświadamiam sobie, że to nie do końca prawda.

– Cóż, w twoim przypadku byłoby to całkowicie naturalne.

Zaciskam zęby, bo matka zna mnie na wylot.

– Możemy to kupić, tatusiu? – Córka taszczy pokaźny stosik książek. Za nią podąża

Isabelle.

– Czy one nie są dla niej ciut za trudne? – pyta matka synową po przejrzeniu wybranych lektur.

– Nie sędzę. Angelique umie już nieźle czytać.

– Chciałabym też prosić o taki notatnik, jaki ma Belle – dodaje mała.

Spoglądam na Isabelle z uniesionymi brwiami.

– Zeszyt do nut – odpowiada i odwraca się do Angelique. – Zazwyczaj sama je przygotowuję. Jeżeli masz pusty notes, to możemy zrobić...

– Kup, co potrzeba. Dla siebie też.

Dziewczyna podnosi na mnie wzrok, jakby chciała coś powiedzieć, ale nagle się rozmyśla, bierze Angelique za rękę i prowadzi ją do, jak sędzę, działu muzycznego. Idziemy za nimi, a kilka minut później stosik wzbogaca się o dwie kolejne książki, notatnik i nową przytulankę. Córka promienieje ze szczęścia, jej oczy błyszczą jak gwiazdy, a policzki są zaróżowione. Z szerokim uśmiechem rozgląda się dokoła.

– Możesz zapłacić za zakupy? – pytam Dexe i wręczam mu kartę kredytową.

– Jasne – odpowiada. – Chodź, mała. Wskakuj na barana.

– Wujku, jestem już za duża na noszenie na barana – mówi Angelique, ale ochoczo wdrapuje mu się na plecy.

Matka idzie za nimi, a gdy Isabelle usiłuje mnie wyminąć i do nich dołączyć, chwytam za jej ramię, by ją zatrzymać.

– Czego chcesz?

Słodycz, z jaką zwracała się do mojej córki, wyparowała.

– Dlaczego sama robisz zeszyty do nut?

– A co cię to obchodzi?

– Nie łatwiej byłoby po prostu je kupić?

– Kupić... No taaak. To właśnie robią goście przy forsie. Kupują wszystko, na co akurat mają ochotę. Z ludźmi włącznie.

– Chodzi o pieniądze?

Isabelle oblewa się rumieńcem i odwraca wzrok.

Nie musi odpowiadać. Widzę, że jest zażenowana.

– To dlatego nie kontynuujesz nauki?

Dziewczyna zakłada ręce na piersi.

– Należę do grupy, z którą wspólnie uczę się grać na skrzypcach. A przynajmniej kiedyś tak było.

– Dlaczego nie poszłaś do konserwatorium?

– Ponawiam pytanie: a co cię to obchodzi?

Wzruszam ramionami.

– Po prostu jestem ciekaw.

– Nie miałam funduszy na studia muzyczne, więc znalazłam grupę, z którą było mnie stać na naukę. Carlton płacił mi skromne kieszonkowe. Przeznaczałam je na ten cel. Zadowolony? Nie zamierzam czuć się upokorzona, bo nie mam pieniędzy. Nie pozwala mi się iść do pracy, więc nie studiuje.

– Nie pytam po to, żeby cię poniżyć, Isabelle. Naprawdę chcę poznać powody. A teraz powiedz, czego potrzebujesz.

– Dziękuję, ale niczego mi nie brak.

– W takim razie powiedz, czego potrzebujesz, by móc uczyć moją córkę.

Isabelle zaciska zęby. Uparciszka. Po chwili jednak wyraz jej twarzy się zmienia, a



oczy zaczynają błyszczeć. Niemal widzę, jak nad głową dziewczyny pojawia się włączona żarówka.

– Przegapiłam kilka lekcji gry na skrzypcach i chciałabym je wznowić. No i chciałabym iść do pracy.

– Rozmawialiśmy już o twoim pójściu do pracy. Odpowiedź nadal jest odmowna.

– A co z lekcjami?

Po szybkości, z jaką porzuca temat pracy i wraca do pytania o skrzypce, zdają sobie sprawę, że z góry zakładała, co powiem. Zapytała tylko po to, by polepszyć swoją pozycję negocjacyjną. Podbiega do nas Angelique z torbą zakupów w dłoni.

– Skończyliśmy. Teraz idziemy na ciasto!

Oboje obdarzamy ją uśmiechem, a ja czekam, aż Isabelle znów na mnie spojrzy.

– Kup wszystko, co niezbędne, żebyś mogła uczyć małą gry na skrzypcach. Później porozmawiamy o twoich zajęciach.

– Później? To znaczy kiedy?

– Zobaczymy.

– Taka odpowiedź mnie nie satysfakcjonuje. Dzisiaj?

Wzdycham.

– W porządku. Dzisiaj.

Isabelle posyła mi uśmiech, jakiego nigdy wcześniej u niej nie widziałem.

– Dobrze, pospieszę się – mówi, bardziej do mojej córki niż do mnie, i pędem zgarnia kilka rzeczy z półek. Wręcza mi wybrane towary i znów się rumieni. Idziemy razem do kasy.

– Nie znoszę tego – oznajmia, gdy czekamy w kolejce.

– Czego?

– Że ty za wszystko płacisz. Naprawdę chciałabym iść do pracy, Jericho, i zarabiać na swoje utrzymanie.

– Będę ci płacił za lekcje z Angelique – proponuję, po czym kładę rzeczy na ladzie i patrzę na żonę. – Umowa stoi?

– Poważnie?

Kiwam głową, a dziewczyna przygląda mi się z wyraźną rezerwą. Unoszę brwi.

– Jasne – odpowiada w końcu. – Umowa stoi.

– Dobrze. – Dziękuję kasjerowi, biorę torbę z zakupami i nachylam się w stronę żony. –

A teraz chodźmy kupić to ciasto, na które tak cię naszło, kłamczuszeko.

Isabelle uśmiecha się zwycięsko.

Przyznaję, rozegrała to po mistrzowsku.



## 7 ISABELLE

W Wacie Cukrowej jak zwykle panuje ogromny ruch, ale właścicielka to moja przyjaciółka Megs, więc udaje mi się zająć najlepszy stolik na tyłach cukierni. Kiedy wchodzimy, Zeke już jest w środku. Angelique pędzi do niego, żeby pokazać mu nowe książki. Macham do Megs i ruszam w kierunku lady. Jericho, jak zwykle podejrzliwy, chwytam mnie za ramię.

– Gdzie idziesz?

Patrzę na jego rękę, a potem przenoszę wzrok na twarz.

– Chcę się przywitać z przyjaciółką. – Zatrzymuję się, przekrzywiam teatralnie głowę i mówię z udawaną troską: – Mam zdefiniować, kim jest przyjaciółka?

Mąż rozgląda się po sali pełnej ludzi, rzuca okiem na Dexa, który czai się w wejściu jak jakiś zbir, a potem odnajduje wzrokiem brata, który przypatruje mu się ponad głową Angelique.

– Pójdę z tobą.

– Myślisz, że mam zamiar zrobić coś nie po twojej myśli? Będę stać nie więcej niż półtora metra od ciebie. Obiecuję, że nie rzucę się do ucieczki.

– Nie o to chodzi, Isabelle. Mam wrogów.

– Szczerze... Wcale mnie to nie dziwi.

– Ty także masz wrogów.

Na te słowa zatrzymuję się gwałtownie. Czuję, jak po moim wnętrzu rozlewa się chłód. Przypominam sobie noc, gdy włamano się do starego mieszkania. W głowie pojawiają się wspomnienia Christiana, który zaskakuje napastnika i odciąga go ode mnie. Który każe mi uciekać, lecz sam ginie. Zbliża się kolejna rocznica tamtych wydarzeń. To już niedługo. Najgorsze dni w roku. Potrząsam głową, żeby wyrzucić z niej niechciane myśli. Agresor siedzi w więzieniu. Został schwytany, osądzony i skazany. Nie skrzywdzi już ani mnie, ani nikogo innego.

Otwieram usta, by powiedzieć Jerichowi, że się myli, ale on nachyla się nade mną i mówi cicho:

– Teraz, kiedy jesteś w ciąży, stanowisz jeszcze większe zagrożenie dla Carltona i Julii niż wcześniej.

– Nie stanowią dla nich żadnego zagrożenia. To moja rodzina, przecież by...

– Nie chcę, żeby stała ci się krzywda, Isabelle.

„Nie chcę, żeby stała ci się krzywda”.

Mrugam zdezorientowana jego słowami i zawartymi w nich pokładami czułości. Nie, muszę zachować trzeźwy umysł. Jericho St. James ma tylko jeden cel. Pragnie zniszczyć mojego brata niezależnie od kosztów, jakie to za sobą pociągnie. Mną się nie przejmuje. Nie chce, żeby stała mi się krzywda, bo rośnie we mnie jego dziecko. I tyle. Prawie dałam się nabrać na jego troskę, chociaż powinnam twardo stąpać po ziemi.

– Ja naprawdę nikomu nie zagrażam, a już na pewno nikomu nie zagraża nienarodzone dziecko.

– Tak sądzić może tylko ktoś taki jak ty, ale...

– Ktoś taki jak ja? Co to miało znaczyć?

– Ty nikogo nie oszukujesz, Isabelle, nie działasz podstępnie. Lecz jesteś wyjątkiem.

Zbija mnie z tropu. Czy to miał być komplement? Ale wtedy spoglądam na jego palce owinięte wokół mojego ramienia i uświadamiam sobie ich nacisk. Jericho nie trzyma mnie

mocno, jednak tym uściskiem jasno do zrozumienia, że bez jego pozwolenia nigdzie nie pójdę.

– Nie boisz się o mnie, tylko o dziecko.

– Jak mówiłem, nie chciałbym, żeby coś ci się stało.

– Bo to naraziłoby życie dziecka. Proszę, nie udawaj, że ci na mnie zależy. Mów, jak jest, Jericho.

Mija chwila wypełniona milczeniem. Jakaś część mnie chciałaby, aby zaprzeczył, aby powiedział, że się mylę i że ja też jestem dla niego ważna. Lecz on tego nie robi, tylko stoi z zaciśniętymi ustami, niewzruszony jak kamienny mur.

– Posłuchaj, chcę się tylko przywitać z przyjaciółką, której nie widziałam od czasu, gdy u ciebie zamieszkałam. Proszę, pozwól mi chociaż zamienić z nią parę słów. – Ostatnie zdanie cedzę przez zaciśnięte zęby.

– Nie zatrzymuję cię. Po prostu idę z tobą.

Nie daję mi czasu na wyklócanie się, tylko rusza w stronę kasy, ciągnąc mnie za sobą.

– Cześć, nieznajoma – mówi Megs.

Wychodzi zza lady, żeby się z nami przywitać. Uśmiecha się do mnie i rzuca zaciekawione spojrzenie w stronę mojego męża. Obserwowała nasze małe przedstawienie.

Jestem ciekawa, co udało jej się z niego wywnioskować.

– Cieszę się, że cię w końcu widzę. – Otacza mnie ramionami i przytula mocno, zmuszając Jericha, by mnie puścił. – Wszystko w porządku? – szepcze mi do ucha.

– Tak – odpowiadam i odwzajemniam uścisk.

Jak dobrze czuć jej ciepło. Ostatni raz widziałyśmy się na lekcji gry na skrzypcach ponad dwa miesiące temu. Megs jest samotną matką po czterdziestce i jedną z najmiłszych, najżyczliwszych osób, jakie znam. Obiecała sobie, że już nigdy nie zwiąże się z żadnym facetem. Czasem z tego żartuje, twierdząc, że ciasto jest lepsze niż seks, lecz wiem, że pod fasadą dobrego humoru kryją się doznane krzywdy. W przeszłości musiało ją spotkać coś bardzo złego.

– W zeszłym tygodniu wpadła tu Julia – oznajmia i odsuwa się ode mnie. – Zasmrodziła cukiernię tymi swoimi perfumami, ale Matty był słodki jak zawsze. – Megs nie znosi mojej kuzynki i wcale się z tym nie kryje. – Przekazali mi radosne wieści.

Przygląda się Jerichowi, najwyraźniej niezrażona gniewnym spojrzeniem potężnie zbudowanego mężczyzny.

– Ty pewnie jesteś mężem Isabelle. Jakim cudem udało ci się sprzątnąć taką dziewczynę innym sprzed nosa? – pyta, wskazując mnie kciukiem.

Jericho zbiera się w sobie przez chwilę, nim udziela odpowiedzi, i w końcu wyciąga dłoń.

– Jericho St. James. Miło mi poznać przyjaciółkę Isabelle.

– Ten facet jest z wami? – Megs zmienia temat i macha dłonią w stronę Dexa.

Jericho kiwa w odpowiedzi głową.

– A mógłbyś go poprosić, żeby usiadł? Odstrasza klientów.

Jericho bierze głęboki wdech, rzuca mi spojrzenie, potakuje i zostawia mnie na chwilę samą, żeby pogadać z Dexem.

Jestem bezbrzeżnie zdumiona.

– Nie da sobie w kaszę dmuchać, co? – rzuca przyjaciółka.

– Nawet mi nie mów – odpowiadam. Wciąż nie wierzę, że się oddalił. Skupiam jednak uwagę na Megs. – Co u ciebie? Jak się miewa Janie?

– W porządku. Wiecznie zajęta szkołą i nastoletnim buntem. – Przewraca oczami. – Ale, ale... – Spogląda w kierunku stołu. – Czyżbyś też została mamą?

Mija kilka sekund, nim zdaję sobie sprawę, że mówi o Angeli. Przecież nie ma

pojęcia o ciąży.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, kim jestem dla małej. Chodź, poznasz ją. To prawdziwy aniołek.

Megs kładzie mi rękę na ramieniu, żeby mnie zatrzymać.

– Julia zachowywała się jakoś dziwnie, kiedy tu przyszła. Dziwniej niż zazwyczaj.

– Dlaczego jej nie lubisz?

– Jest w niej coś takiego... Sama nie wiem co. Ale wiem jedno. Nauczyłam się ufać instynktowi, a on włącza syreny alarmowe za każdym razem, gdy ta kobieta pojawia się na horyzoncie.

– Może Julia po prostu nie przepada za ciastami?

– Ludziom, którzy nie lubią ciast, nie można ufać. – Megs puszcza do mnie oczko. – A ta żoźa jest zdecydowanie za chuda. Nie wyjdzie jej to na dobre. Poza tym wcale nie przyszła tutaj, by podzielić się ze mną dobrą nowiną. Wpadła z Mattym i jakimś starszym gościem. Małemu buzia się nie zamykała, a ci dwoje siedzieli zamyśleni. – Przewraca oczami. – Nawet nic dla siebie nie zamówili. Jakby moje wypieki nie były dla nich wystarczająco dobre.

– Z kim przyszła Julia? Z Carltonem?

– Nie wiem.

Przypominam sobie, że Megs nie miała okazji poznać mojego brata.

– Z takim facetem w średnim wieku. Łysiejącym i niczym się niewyróżniającym.

Wypisz wymaluj Carlton.

– Dziwne.

Jericho dołącza do nas, gdy docieramy do stolika. Przedstawiam wszystkim przyjaciółkę, która przyjmuje od nas zamówienia i nadskakuje Angelique. Dziewczynka czuje się tym zachwycona i przytłoczona zarazem. Jest nieśmiała i nie lubi, jak ktoś za bardzo zwraca na nią uwagę. Ale z drugiej strony wprost kipi dzisiaj energią. Podekscytowała się wyjściem z domu i w końcu zachowuje się tak, jak powinny zachowywać się dzieci w jej wieku. Cieszy się życiem i promienieje szczęściem.

Wyczuwam napięcie między Jerichem a Ezekielem. Przyglądam się im z ciekawością, próbując odgadnąć, o co chodzi, ale Megs szybko wraca z ciastem, kawą i herbatą. Obecność Angelique rozładowuje nieco atmosferę, a przynajmniej sprawia, że wszyscy udają, że jest okej. Biorę kilka kęsów ciasta z nadzieją, że go nie zwrócę, lecz nim zjadam ćwierć porcji, czuję nadchodzącą falę mdłości.

Megs podchodzi do nas ponownie, kiedy szykujemy się do wyjścia.

– To co, widzimy się w środę wieczorem? – pyta.

Kładę dłoń w okolicy żołądka, by go nieco uspokoić. W środy odbywały się nasze lekcje gry na skrzypcach.

– Mam nadzieję.

– Wyślij mi SMS-a i daj znać. Może będę potrzebowała podwózki. Ostatnio z ziemniaka zrobił się prawdziwy wrzód na tyłku. – Ziemniakiem nazywa samochód, który odziedziczyła po ojcu. Ukochany mustang ma ponad dwadzieścia lat i sprawia problemy, odkąd pamiętam.

Spoglądam na Jericha, który przygląda się nam, pomagając jednocześnie córce upchnąć książki z powrotem do torby.

– Potrzebujesz auta, które nie byłoby tak zawodne – oznajmiam i wstaję.

– Jestem do niego przywiązana. Co więcej mogę powiedzieć?

Ściskamy się serdecznie.

– Naprawdę fajnie było cię spotkać – mówię Megs, boleśnie świadoma faktu, że stykamy się brzuchami, choć wiem, że to niemożliwe, by cokolwiek poczuła. Na razie nic nie widać, ale

już wkrótce się to zmieni.

– Wzajemnie. Przychodź tu częściej.

Czuję, jak łzy zaczynają mnie szczypać pod powiekami. Przyjaciółka nie ma pojęcia, jak teraz wygląda moje życie. Nie wie, że wyszłam z nowego domu po raz pierwszy, jeśli nie liczyć imprez organizowanych przez stowarzyszenie, na które zabierał mnie Jericho.

Nagle jedzenie podchodzi mi do gardła i muszę przytrzymać się oparcia krzesła.

– Wszystko w porządku? – pyta zaniepokojona Megs i otacza mnie ramieniem.

– Tak, nic mi nie jest, muszę tylko iść do toalety.

Ruszam, nim przyjaciółka ma czas, żeby cokolwiek dodać. Kiedy wchodzę do łazienki, czuję, że już dłużej nie utrzymam ciasta w żołądku. Cieszę się, że wszystkie kabiny są puste. Dopadam pierwszej z brzegu i odgarniam włosy na plecy. Udaje mi się klęknąć przy sedesie w samą porę. Już samo wymiotowanie jest obrzydliwe, lecz wymiotowanie w publicznej toalecie pasuje się o kilka stopni wyżej na skali ohydy.

Wstrząsana torsjami czuję, jak ktoś kładzie mi dłoń na plecach i przytrzymuje włosy. Jestem wycieńczona, oczy mi łzawią. Nie ruszając się z miejsca, sięgam ręką do spłuczki.

– Dobrze się czujesz? – pyta Jericho.

Zrywam się na nogi i przepycham obok niego do umywalki. Przypominam sobie jednak, o czym rozmawialiśmy w księgarni. Że pozwoli mi znów brać udział w lekcjach. Że będzie mi płacił za naukę Angelique gry na skrzypcach i że to najlepsza namiastka prawdziwej pracy, na jaką mogę liczyć. Przypominam sobie nadzieję, która we mnie zakiełkowała podczas tamtej rozmowy. Głupią i zapewne próżną nadzieję.

– Nie, nie bardzo – odpowiadam, po czym płuczę usta i spryskuję twarz zimną wodą. Wyciągam rękę, żeby wyjąć z podajnika papierowy ręcznik, ale Jericho już trzyma kilka. Kładzie mi dłoń z tyłu głowy i wyciera moją twarz.

– Nudności w końcu ustąpią. Ale może lepiej jeszcze przez kilka dni trzymaj się zupy.

– Nie wiedziałam, że skończyłaś medycynę – drwię. – To przez ciebie ciągle mnie mdli, więc lepiej się odsuń.

Zaciska zęby, lecz oddaje mi ręczniki, żebym sama mogła się powycierać, i stoi w milczeniu. Usiłuję nie zwracać na niego uwagi, kiedy wyrzucam wilgotny papier i wychodzę z łazienki. Niestety okazuje się to trudne, bo mąż depta mi po piętach.

– Isabelle – zagaduje, gdy idę przez salę.

Reszta rodziny już wyszła, macham więc Megs na pożegnanie i modłę się, żeby nie zauważyła wzbierających w moich oczach łez. Usilnie staram się ich nie uronić. Na szczęście jest zajęta i nie muszę z nią rozmawiać, chociaż na jej twarzy maluje się mnóstwo pytań. W końcu docieram do drzwi, a kiedy je otwieram, owiewa mnie chłodne powietrze, dzięki któremu czuję się odrobinę lepiej.

– Belle! – woła do mnie Angelique.

Nim prowadzony przez Ezekiela sportowy samochód znika mi z oczu, widzę, jak dziewczynka macha do nas na pożegnanie przez uchyloną szybę. Przyjechaliśmy dwoma autami, bo w jednym się nie pomieściliśmy. Miałam nadzieję, że będę wracać razem z nią, lecz jak zwykle okazała się płonna. Zmuszam się do uśmiechu i odmachuję.

Robię krok do przodu, ale ręka Jericha opada mi na ramię.

– Dex zaraz podprowadzi samochód.

– Nie mam teraz ochoty na twoje towarzystwo – odpowiadam i strząsam z siebie jego dłoń. – Przejdę się. Świeże powietrze dobrze mi zrobi.

– Do kurwy nędzy, Isabelle – cedzi przez zęby.

Nie słucham go i odchodzę. Na przejściu zmienia się światło, któryś z kierowców na

kogoś trąbi. Rzucam spojrzenie przez lewe ramię. Za plecami czuję obecność Jericha niczym wielki, zasłaniający światło cień. Nie wiem, jakie ma znaczenie fakt, że teraz od niego uciekam, lecz wiem, że jakieś ma. Gdy wszystkie auta przejeżdżają, ruszam na jezdnię, ale obcas wpada mi w szczelinę między płytami chodnikowymi. Potykam się i lecę do przodu. Jednocześnie słyszę pisk opon i głos wołający moje imię. Kątem oka widzę furgonetkę, która zbyt szybko i zbyt gwałtownie wchodzi w zakręt, aż najeżdża na krawężnik. To ostania rzecz, jaką rejestruje mój wzrok, bo pojazd zbliża się do mnie w takim tempie, że nie mam nawet czasu, by krzyknąć.

## 8 JERICHO

Wołam ją po imieniu i chwytam za ramię. Ciągnę w tył, ku sobie, by ściągnąć z drogi rozpedzonej furgonetki, która jednym kołem jedzie po chodniku. Kierowca nie zatrzymuje się na czerwonym świetle, tylko pędzi przed siebie, a ja tulę Isabelle i zastanawiam się, czy to jej serce wali tak mocno czy moje. Wdycham zapach szamponu żony i spoglądam ponad jej głową, by odszukać wzrokiem zdezelowany wóz, w którym ktoś pozaklejał okna workami na śmieci. Porusza się zbyt szybko, bym mógł dostrzec wszystkie znaki numeru rejestracyjnego. Gdy czuję, że ciałem Isabelle zaczynają wstrząsać dreszcze, zwracam na nią całą uwagę.

Dziewczyna podnosi na mnie wzrok. Jej błękitne oczy są okrągłe z przerażenia, białka zaróżowione, a skóra wilgotna.

– Nic ci się nie stało? – pytam, lecz ona jedynie wpatruje się bez słowa w moją twarz. – Isabelle? – Ściskam jej ramiona.

Mruga, odzyskuje ostrość widzenia, ale chwilę później kolana się pod nią uginają. Łapie się mnie.

– Już w porządku. Jesteś bezpieczna – uspokajam ją i przyciągam mocno do siebie. Rozglądam się wokół w poszukiwaniu Dexa, który kilka sekund później z piskiem opon zatrzymuje się tuż przy krawężniku.

– Ja pierdołę! – wrzeszczy, wyskakując z samochodu. – Nic jej się nie stało?

Kręcę przecząco głową, choć nie mam pewności, że z Isabelle wszystko w porządku.

– Udało ci się odczytać numer rejestracyjny? – pytam.

– Tylko początek. – Spogląda na dziewczynę, potem znów podnosi wzrok na mnie.

– Cholera, ja też nie widziałem całego. Posadzę ją w aucie.

Na szczęście Isabelle nie szarpie się ze mną, kiedy pomagam jej usiąść na tylnym fotelu. Prawie natychmiast pochyla się i ukrywa twarz w dłoniach. Wygląda, jakby miała znów zwymiotować.

– Skurwiel na was czekał – informuje mnie Dex ściszone głosem. – Przyjechał kilka minut po tym, jak weszliście do cukierni. Od razu zauważyłem tę furgonetkę. W tej okolicy aż kłula w oczy.

Patrzę w lewo, ale po wozie nie ma śladu. I tak nie spodziewałem się, że go jeszcze wypatrzę.

– No nic, zabierzmy Isabelle do domu.

Dex potakuje, a ja wsuwam się na siedzenie obok żony. Gdy gładzę ją po plecach, prostuje się i spogląda przez okno.

– Nic ci już nie grozi – mówię głosem zmienionym od buzujących emocji. Gdyby nie udało mi się złapać jej na czas... Nie, nie pozwolę myślom błądzić w tym kierunku. – Isabelle?

Dziewczyna odwraca się w moją stronę i wyciera oczy, ale łzy nie przestają płynąć.

– Nie zauważyłam go.

Kiwam głową, otaczam jej barki ramieniem i przyciągam żonę do swojego boku. Nie opiera się. Nie mówię Isabelle, że nie ma znaczenia, czy go widziała, czy nie. Ponieważ on doskonale widział ją.

– Obcas mi uwiązał – kontynuuje i zdejmuje sandałkę, żeby go pokazać. Obcas rzeczywiście jest pozdierany, jakby utknął w szczelinie między płytami chodnikowymi. Isabelle zakłada z powrotem but i odwraca się do mnie. – Dziękuję za uratowanie życia.

Przyglądam się jej. Najwyraźniej nie zorientowała się, że to nie był przypadek. Potknęła się, owszem, ale nie w tym problem. Nie chodziło też o to, że kierowca jechał za szybko i stracił panowanie nad kierownicą, bo wcale go nie stracił.

– Teraz pewnie już nigdy nie wypuścisz mnie z domu, co? Masz to wypisane na twarzy.

– Ja tylko nie chcę, żeby stało ci się coś złego.

– To był przypadek. Poza tym nic mi nie jest.

– Jedźmy do domu.

– Proszę! Nie mogę cały czas siedzieć zamknięta w czterech ścianach. Chcę spotykać się z przyjaciółmi. Potrzebuję przestrzeni. Potrzebuję wolności. Musisz mi dać jej chociaż trochę.

– Przed momentem niemal zginęłaś. Daj mi chwilę na zastanowienie.

– Ja wcale... – Milknie na widok moich uniesionych brwi.

– Wydaje ci się, że przeżyłabyś, gdybyś wpadła pod koła rozpędzonej furgonetki? Jeśli nie zdołałbym cię złapać... – Nie kończę, nie ma takiej potrzeby.

Isabelle otwiera usta, ale zaraz potem je zamyka. W końcu się odzywa:

– Proszę, Jericho. Proszę.

W jej głosie dźwięczy szczerłość. Nie słyszę drwiny ani nienawiści, tylko czystą rozpacz, której nie mogę ot tak zignorować. Nie mogę odmówić prośbie żony.

Oddycham głęboko, bo właśnie dojechaliśmy do domu. Brama jest otwarta, więc Dex wjeżdża na teren posiadłości, nawet nie zwalniając.

– Proszę. – Isabelle odzywa się znowu. Jej oczy są pełne łez.

Biorę jeszcze jeden głęboki wdech i powoli wypuszczam powietrze z płuc.

– W tym tygodniu będziesz miała lekcję gry na skrzypcach tutaj, w domu – mówię, a dziewczyna patrzy mi z niedowierzaniem w oczy. – To najlepsze rozwiązanie, jakie mogę ci zaproponować. Zgadzasz się czy nie?

– Zgadzam.

– Świetnie. Zajęcia odbywały się w środy, prawda?

– Tak.

– W takim razie zostaniemy przy środzie. Zrób mi listę osób, które się pojawiają.

– Mam ci też podać ich numery ubezpieczenia społecznego?

Uśmiecham się szeroko na tę ciętą ripostę.

– Jeśli jest taka możliwość, zaoszczędzi mi to sporo czasu.

Isabelle potrząsa głową i ociera łzy, które wciąż płyną niekontrolowanie po policzkach, lecz wydaje się usatysfakcjonowana takim rozwiązaniem.

– Dziękuję – mówi, a ja kiwam głową.

Jak tylko wchodzimy do domu, podaje mi nazwiska wszystkich uczniów, którzy chodzą z nią na lekcje gry na skrzypcach, oraz prowadzącego je nauczyciela. Co dziwne, kiedy nakazuję, żeby poszła na górę się zdrzemnąć, nawet nie próbuje się kłócić. Potakuje i idzie do sypialni, aby się położyć. To tylko potwierdza, jak mocno odcisnęło się na niej dzisiejsze wyjście na miasto. A może raczej jak mocno potrafi się odcisnąć na człowieku otarcie się o śmierć. Zastanawiam się, czy podświadomie zdaje sobie sprawę z faktu, że to nie był przypadek.

Jeszcze tego samego popołudnia każę swoim ludziom znaleźć pieprzoną furgonetkę, która nieomal rozjechała mi żonę. Kusi mnie, żeby doprowadzić do konfrontacji z Bishopami, ale się powstrzymuję. Pociuszający jest fakt, że moja córka nie była świadkiem tego zajścia. Ezekiel zniknął za zakrętem chwilę wcześniej.

A skoro mowa o nim... Odwiózł mamę i Angelique, a zaraz potem gdzieś pojechał. Wrócił późno. Czyżby mnie unikał?

– Zeke! – wołam go z ciemności panującej w salonie. Rozpaliłem w kominku i siedzę



przed nim ze szklaneczką whisky, wpatrując się w płomień i wsłuchując w trzaskanie szczap.

Zeke odwraca się i wpycha telefon do kieszeni.

– Nie mieliśmy dzisiaj zbyt wielu okazji, by porozmawiać – mówię. – Napijesz się ze mną?

Po dłuższej chwili kiwa głową, podchodzi i siada obok mnie. Nalewa sobie whisky z butelki, która stoi na stoliku między naszymi fotelami.

– Z Isabelle wszystko w porządku? – pyta.

Dex poinformował go, co się wydarzyło po tym, jak odjechał sprzed cukierni. Kiwam głową.

– Sądzi, że to był zwykły przypadek.

– Ty uważasz, że nie. – To nie jest pytanie.

– Dex widział, jak furgonetka podjechała, kiedy siedzieliśmy przy kawie. Kierowca czekał na Isabelle.

– Skąd pewność, że to ona była celem?

Zaciskam zęby. Wiem, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Może chodziło o ciebie – dodaje brat.

Pociągam łyk ze szklaneczki i spoglądam w ogień.

– Nie tym razem.

Przez kilka minut siedzimy w ciszy. W końcu przerywam milczenie.

– Zastanawiałeś się kiedyś, czemu Zoë nie zostawiła listu pożegnalnego? – Nie jestem jeszcze gotów, by rozmawiać o ojcu i o tym, czego dowiedziałem się w Austrii.

Ezekiel odchrząkuje, a gdy spoglądam mu w oczy, ucieka wzrokiem w bok i wpatruje się w płomień.

– Oczywiście.

– Gdyby tylko wyjawiała nam, dlaczego...

Po twarzy Zeke'a przemyka cień. Spogląda na swoje kolana i kręci pozostałym w szklance alkoholem. On i Zoë byli bliźniętami, więc domyślam się, że ich relacja miała szczególny charakter, odmienny od tych, jakie zazwyczaj panują między rodzeństwem. Pewnie odczuł jej stratę bardziej dogłębnie, być może wciąż nie zdołał się z nią pogodzić, choć minęło już ponad dziesięć lat.

– To i tak byłaby martwa – cedzi w końcu.

– Ale gdybyśmy znali powód...

– To nie miałyby najmniejszego znaczenia – przerywa mi ostrym tonem. – Nie przywróciłoby jej życia.

– Zrozumiałem za pierwszym razem.

– Czyżby?

– Co robiłeś w Austrii w dniu śmierci ojca? – wypalam z głupia frant.

W salonie jest zbyt ciemno, bym cokolwiek wyczytał z jego twarzy, jednak mógłbym przysiąc, że dostrzegam zdumienie w sposobie, w jaki otwiera, a potem zamyka usta. Wydaje z siebie ni to śmiech, ni to parsknięcie, podnosi szklankę do ust i opróżnia ją jednym haustem, po czym nalewa sobie kolejną porcję i od razu osusza szkło. Nagle zaczyna się zachowywać, jakby stracił nad sobą panowanie.

– Czyli to tam pojechałeś?

Potakuję, nie spuszczając z niego wzroku.

– Coś ty zrobił, Zeke?

Potrząsa głową.

– Nie widziałeś jej, prawda? Nie, tylko ja i mama widzieliśmy.

Odwracam się przytłoczony poczuciem winy. Wiem, że mówi o Zoë i o chwili, w której ją znaleźli. Tamtej nocy nie było mnie w domu. Dowiedziałem się, co się stało, dopiero dwa dni później, kiedy włączyłem z powrotem komórkę. W tamtym okresie miałem w zwyczaju znikać. Wychodziłem i rozpływałem się w powietrzu. Osiągnąłem w tym mistrzostwo. Jak tylko w domu zaczynało się robić chujowo, brałem dupę w troki. Gdy ojciec dawał w palnik, ja pryskałem. Lecz Zeke i Zoë byli uziemieni. Mieli po szesnaście lat, za mało, żeby móc o sobie decydować. Musieli znosić humory starego i wymierzane przez niego kary. Oni i matka.

– Wiesz, jak wygląda człowiek, który kilka godzin wcześniej się powiesił?

Wypijam resztę zawartości szklanki, żeby jakoś przełknąć gulę, która urosła mi w gardle.

– Oszczędzę ci opisów. Nie chcę, by ci się to śniło po nocach.

Odwracam się do brata.

– Powinienem tu być – odpowiadam głosem nabrzmiętym emocjami. – To ja powinienem ją znaleźć. A właściwie ojciec powinien.

– Nie, ojciec nie.

Gęsty mrok zasnuwa twarz Zeke'a i przeobraża ją w potworną maskę. A może to tylko blask płomieni na niej tańczy i zwodzi mój wzrok.

– W takim razie ja.

Potrząsa głową.

– Nie, to musiałem być ja. Nie bez powodu ją znalazłem. Może to zaplanowała, nie wiem. – Zeke znów spogląda w ogień. – Chciała mi powiedzieć. Jak się nad tym zastanowić, to kilka razy próbowała.

– Co próbowała ci powiedzieć?

– Fakt, że ja ją znalazłem, to była moja kara.

– O czym ty, do cholery, mówisz?!

Brat kładzie głowę na oparciu fotela i wlepia wzrok w sufit.

– Ojciec zasłużył na to, co go spotkało, ale Zoë nie. – Zrywa się z fotela i staje naprzeciwko mnie. – A jeśli chodzi o wydarzenia z Austrii, to po prostu zająłem się tym, czym należało się zająć. Nie kwestionuję twojego postępowania wobec Isabelle, więc bądź łaskaw nie kwestionować decyzji, które podjąłem w związku z naszą siostrą. Nie było cię tutaj. Nie widziałeś jej. Nie ty odciąłeś sznur. Nawet nie wiesz, co musiała znosić. Jeżeli chcesz się bawić w detektywa, to proszę, kurwa, bardzo. Lecz wiedz jedno... W gruncie rzeczy ty i ja niewiele się od siebie różnimy.

## 9 ISABELLE

Jericho wtacza się do sypialni na długo po tym, jak zasypiam. Budzi mnie hałas, który wywołuje, wpadając na coś. Gdy otwieram oczy, widzę zarys jego sylwetki w ciemnym pokoju. Nie poruszam się, tylko obserwuję, jak zdejmuje ubrania i mamrocze coś pod nosem. Jest pijany. Poznają to po chaotycznych ruchach, a chwilę później, kiedy wślizguje się do łóżka, wyczuwam także w jego oddechu.

– Wiem, że nie śpisz – oznajmia.

Przetaczam się na bok, by znaleźć się z nim twarzą w twarz.

– Nie wróciłeś na noc.

Jericho wpatruje się w sufit, od czasu do czasu mrugając. Nie komentuje mojego stwierdzenia. Nie jestem nawet pewna, czy mnie słucha. Wydaje się rozkojarzony.

– Spędziłeś ją z Julią? – Sama nie wiem, dlaczego go o to pytam. Właściwie nie uważam, żeby tak było, ale nie spodobało mi się, że wcześniej wyczułam od niego zapach jej perfum. Przypomina mi się, jak kuzynka się zachowywała, kiedy Jericho znalazł nas w kaplicy. Jak pytała o seks z nim. Po prostu nie jestem w stanie przejść nad tym do porządku dziennego.

Mąż patrzy na mnie.

– Myślisz, że mógłbym się przespać z Julią Bishop?

Nie podoba mi się brzmienie jego słów. Nie podoba mi się, że mówi o tym tak swobodnie.

– A przespałeś się z nią?

– Nie gadaj głupstw, Isabelle. Śpij.

Gdy Jericho odsuwa się ode mnie i kładzie na drugim boku, podnoszę się na łokciu.

– To wcale nie są głupstwa. Julia to piękna kobieta, bardziej zbliżona do ciebie wiekiem. Bardziej obyta w świecie niż ja. Bardziej doświadczona. Bardziej...

Nie udaje mi się dokończyć, bo Jericho przetacza się z powrotem w moją stronę, chwytając mnie za ramiona, przygniata do materaca i siada okrakiem na moich biodrach.

– Ta kobieta to wyrzutek. Zgadza się tylko z jednym twoim stwierdzeniem: jest mi bliższa wiekiem. A co się tyczy doświadczenia, to chyba nietrudno mieć większe niż ty, prawda?

– Zawsze musisz zachowywać się jak skończony dupek?

– Reszta to gówno prawda. Ty jesteś szczerą i uczciwą. Gdziekolwiek się pojawiaasz, niesiesz za sobą światło. Jesteś nim. I dokładnie tego potrzebuje ten dom. Ja tego... Angélique tego potrzebuje.

Mrugam zdziwiona. Przyglądam się, jak zmienia się wyraz twarzy Jericha, jakby poniewczasie uświadomił sobie, co tak naprawdę powiedział. Nie wiem, które z nas jest bardziej zdumione tym wyznaniem. Lecz wtedy mąż wszystko psuje.

– Mówiłeś, że nie jesteś o mnie zazdrosna – podkpiwa. Znowu brzmi jak skończony kutas, czyli jak zwykle. – Czyżbyś kłamała, Isabelle?

– Ja po prostu...

– Nie mów, że chcesz mnie na wyłączność.

– Jeśli pieprzysz kogoś innego, muszę o tym wiedzieć, żeby się zabezpieczyć. To wszystko.

Nachyla się i opiera na łokciach, które położył po obu stronach mojej twarzy. Jedną dłoń kładzie mi na czubku głowy.

– To z tobą się ożeniłem i wyłącznie ciebie pieprzę. Nie jestem zainteresowany pieprzeniem nikogo innego. A skoro już o pieprzeniu mowa...

Nie kończy zdania. Pochyla głowę jeszcze niżej i drapie mnie zarostem w policzek. Szturcza żuchwą, tak żebym odwróciła głowę, i przysuwa wargi do mojego ucha.

– Upiłeś się – protestuję słabo. Niewiele było trzeba, abym poczuła podniecenie.

– Bez przesady. – Liże mnie po małżowinie. Kładzie mi dłoń na brzuchu, przesuwa ją coraz niżej, wkłada w majtki, po czym dotyka łechtaczki. – Nie jestem aż tak pijany, żebym nie mógł doprowadzić cię do orgazmu. Wiesz, co lubię najbardziej?

– Co? – pytam na wdechu, kiedy palcami sprawia, że czuję się jak w niebie.

– Uwielbiam patrzeć na twoją twarz, gdy dochodzisz. Uwielbiam słuchać, jak szepczesz wtedy moje imię i jak przygryzasz dolną wargę.

Zamykam oczy i... przygryzam dolną wargę. Naprawdę zawsze tak robię?

– Właśnie tak – potwierdza i podciąga mi koszulkę, żeby possać sutek.

Krzyczę z rozkoszy. Na piersi czuję jednocześnie miękkie wargi, wilgotny język i twarde zęby. Mąż przygryza sutek i wsuwa we mnie palce. Dyszę i przywieram do niego całym ciałem. Otaczam jego szyję ramieniem, by przyciągnąć go jak najbliżej. Trzymam mocno, gdy tonę zalewana falami orgazmu. Jericho jest moją kotwicą.

– Jeszcze raz, kochanie – mówi, kiedy znów mogę swobodnie oddychać. – Połóż się na brzuchu.

Nie czeka, aż zrobię, co kazał. Podnosi się na tyle, by mnie przekręcić. Klęka i kładzie mi ręce na biodrach, żeby je unieść. Wyginam mocno plecy, gdy rozchyła moje nogi i sadowi się między nimi.

– Wiesz, że jesteś piękna?

Spoglądam przez ramię i widzę, jak patrzy na mnie z wyrazem zwierzęcego głodu w oczach.

– Idealna – dodaje.

Pochyla głowę, by przesunąć językiem wzdłuż cipki i rowka. Po chwili prostuje się i przyciąga mnie do siebie, po czym wchodzi płynnym ruchem.

Wciągam głośno powietrze. To takie rozkoszne uczucie, kiedy znajduje się w środku, gdy rozpycha się wewnątrz mnie.

– Zamierzasz patrzeć, jak cię pieprzę? – pyta, poruszając się rytmicznie. Oddech ma urywany.

Potakuję i opieram policzek na łóżku. Usta mam półotwarte.

– Dobrze. Nie odwracaj głowy. Chcę widzieć twoją twarz. Twoje oczy.

Chwilę później czuję, jak wsuwa mi palec w odbyt. Jęczę. Jericho zakrzywia go, przez co bardziej się wypinam. Drugą rękę kładzie mi na biodrze i zaczyna poruszać się coraz szybciej i mocniej. Pot skapuje mu z czoła na moje plecy. Unoszę się na łokciach, żeby lepiej przygotować się na jego pchnięcia. Podoba mi się to. Podoba mi się, jak mnie rżnie. A nie powinno. Powinnam go nienawidzić. Ale kiedy wsuwa dłoń między moje nogi i pieści nabrzmiałą łechtaczkę, wyrzucam ten fakt z głowy. Przestaję myśleć o czymkolwiek. Potrzebuję tego. Potrzebuję Jericha. Pozwalam się porwać chwili, bo muszę chociaż na trochę oderwać się od rzeczywistości.

Należę do niego. Tak mi powiedział. I bywają momenty, że chcę do niego należeć. Nawet po tym wszystkim, co się między nami wydarzyło. Chcę, by był moją kotwicą. Chcę odpuścić i całkowicie mu się poddać.

## 10 ISABELLE

Kilka godzin później budzę się sama w łóżku.

– Jericho?

Nie ma go w sypialni ani w łazience. Ściągam z siebie koc, zakładam koszulę, którą rzucił wcześniej na podłogę i otwieram drzwi. Korytarz jest opustoszały. Bosa skradam się po schodach. Zapinam dwa guziki koszuli i otulam się ramionami, żeby choć trochę się rozgrzać. Dom wiecznie emanuje chłodem, pewnie przez wszechobecny marmur.

W kominku w salonie dogasa ogień. Gdy przechodzę obok drzwi, czuję zapach wypalonego drewna i widzę poświatę w kolorze głębokiej czerwieni. Jeśli mój mąż tu był, już dawno sobie poszedł. – Jericho? – nawołuję cicho. Nic.

Nie mogę go znaleźć, chociaż zaglądam po kolei do wszystkich pomieszczeń na parterze. W końcu docieram do ciężkich stalowych drzwi, które prowadzą do piwnicy. Stoją otworem, a za nimi dostrzegam nagle światło emitowane przez pojedynczą gołą żarówkę. W zamku tkwi klucz. To niepodobne do Jericha. Zbyt lekkomyślne jak na niego. Nie zaryzykowałby, że Angelique mogłaby tu zejść, szczególnie nocą. Przypominam sobie jednak, że był podпиты. Może wstał i wypił jeszcze więcej? Skąd mam wiedzieć?

Otulam się ciasniej ramionami i zaczynam schodzić do piwnicy. Na wspomnienie pierwszej nocy, którą spędziłam w tym miejscu, przebiega mnie dreszcz. Powinna zwołać męża, ostrzec, że się zbliżam, lecz milczę i stawiam cicho krok za krokiem. Wspominam, jak mnie zamknął na dole, jak groził, że mnie tu zostawi albo przyprowadzi z powrotem za karę, jeśli coś przeszkobię. Przypominam sobie maskę, którą miał na sobie tego wieczora, gdy się poznaliśmy. Mój rogaty diabeł. Pamiętam, jak rozebrał mnie do naga, ale potem zostawił swoją koszulę, żebym mogła się ubrać. Lecz pamiętam także, jak odszedł, zamknawszy drzwi na klucz, mając świadomość, że będę umierać z przerażenia. I o to mu chodziło. Nie powinnam o tym zapominać.

– Co ukrywasz? – słyszę głos Jericha, gdy zbliżam się do podnóża schodów. Zostały wykute w ścianie w taki sposób, że nie można się rozejrzeć po korytarzu ani w jedną, ani w drugą stronę, dopóki nie zejdziesz się z ostatniego stopnia. Nad moją głową mruga światło, ale prawa część korytarza jest pogrążona w ciemności. To gdzieś tam spędziłam pierwszą noc w rezydencji St. Jamesów. Pamiętam, jak głęboki mrok spowijał drugą stronę.

Kiedy się tam kieruję, zaczynam żałować, że nie założyłam butów albo chociaż skarpetek. W piwnicy jest przynajmniej o kilka stopni zimniej niż na górze, a jedyne źródło światła znajduje się za otwartymi drzwiami na samym końcu tej odnogi korytarza.

– Jericho?! – wołam głosem zbyt słabym, by ktokolwiek mógł mnie usłyszeć.

Odpowiada mi cisza. Po chwili przerywa ją hałas rozlegający się gdzieś za moimi plecami. Podskakuję ze strachu, a serce podchodzi mi do gardła. Lecz to tylko odgłosy starego budynku. Idę dalej. Wiem, że znajdę Jericha w ostatnim pomieszczeniu. Słyszę jego mamrotanie, widzę, jak jego cień przesuwają się po ścianie korytarza, gdy chodzi od jednego krańca pokoju do drugiego. Łapię się na tym, że biegnę truchtem. Oddaliłam się za daleko od schodów, by na nie uciec, a ogarnia mnie zbyt wielkie przerażenie, aby zostać tu, gdzie jestem. Czuję, że w piwnicy znajduje się ktoś jeszcze. Czuję czyjaś lodowatą obecność.

Kiedy docieram do drzwi pomieszczenia, zatrzymuję się. W środku dostrzegam męża odwróconego do mnie plecami. Ma na sobie tylko spodnie od dresu, więc wyraźnie widzę tatuaż

z bliźniaczymi smokami. Jest ogromny i wygląda imponująco, ale to nie on przykuwa moją uwagę. Po raz pierwszy, odkąd poznałam Jericha St. Jamesa, mężczyzna wygląda na zagubionego.

Mąż jeszcze mnie nie zauważył. Siedzi na łóżku z kutego żelaza, które ma pewnie ze sto lat albo i więcej. Przy tym to z pokoju, w którym Jericho zamknął mnie pierwszej nocy, wydaje się nowiutkie. W przeciwieństwie do ramy materac jest współczesny i nie do końca pasuje rozmiarem, więc zwisa z każdego boku. Na szafce nocnej stoi prawie opróżniona butelka whisky. Już kiedyś widziałam Jericha pijanego i nie był to przyjemny widok. Ale dzisiaj jest inaczej, otacza go mrok, cień smutku. W końcu zdaję sobie sprawę, na czym polega różnica. Brakuje gniewu. Scena, którą mam przed oczami, obraz męża siedzącego samotnie w piwnicy, przepełnionego smutkiem i zagubionego, sprawia, że serce ściska mi się boleśnie.

Jericho przegląda zawartość starego drewnianego pudełka, które kiedyś chyba było pomalowane na różowo. Jedną po drugiej wyciąga ze środka poskładane kartki.

– Gdzie on jest? – pyta. – Gdzie go zostawiłaś?

Rozglądam się dokoła i wdycham stęchły zapach starego dymu papierosowego. Dostrzegam domek dla lalek i Barbie. W dzieciństwie miałam podobną. Ta tutaj wygląda na starszą, lecz niewiele. W rogu stoi mały stolik, a mieniący się niegdyś kolorami mozaikowy wzór na blacie dziś jest wyblakły i spękany. Mebel wygląda na ogrodowy. Obok niego ustawiono proste drewniane krzesło.

– No, gdzie? – pyta znów Jericho.

Przekraczam próg.

– Jericho?

Odwraca głowę w moją stronę i w ułamku sekundy zrywa się na równe nogi. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że to ja, co poznaję po tym, jak zmienia się wyraz jego twarzy.

– Nie powinnaś tutaj przychodzić. Wracaj na górę – mówi głosem brzmiącym jak chrząst kroków na żwirowej ścieżce.

Rozglądam się po pomieszczeniu i dostrzegam krucyfik wiszący na gwoździu. Na przeciwległej ścianie powieszono ramkę. Cokolwiek znajdowało się wewnątrz, pożółkło i wyblakło.

– Czyj to pokój?

– Niczyj. Wracaj na górę. – Jericho siada z powrotem na łóżku, pociąga łyk z butelki, po czym otwiera szufladę nocnego stolika i zaczyna ją przetrząsać.

– Czego szukasz? – zadaję kolejne pytanie i robię kilka kroków w stronę męża. Nie wiem, jak rozumieć jego zachowanie.

– Niczego.

Zamyka szufladę i wraca spojrzeniem do pudełka, które leży otwarte na materacu, oraz porozrzucanych wokół kartek. Zaczyna wpychać papiery z powrotem do środka, ale kiedy kończy, zamiast je zamknąć i odłożyć, podnosi je i w nagłym napadzie wściekłości ciska nim przez pokój.

Wydaję z siebie okrzyk strachu i odskakuję, a pudełko uderza w wiszącą na ścianie ramkę i upada na podłogę. Ramka kołysze się teraz na jednym gwoździu.

– To tutaj to zrobiły. Obydwie. – Jericho potrząsa głową, spogląda w górę i wskazuje coś palcem. – Na belce wisielców.

Podnoszę wzrok, a moim ciałem wstrząsa dreszcz, kiedy patrzę na drewnianą belkę ciągnącą się od jednej ściany do drugiej.

– Belka wisielców?

– Na tym krzesle stanęła Zoë. Nie wiem, dlaczego ciągle tutaj jest. Dlaczego go nie

spaliliśmy. Nie wiem, na co, do diabła, weszła Mary. Nie mam pojęcia, dlaczego Zoë przytączyła tu te wszystkie rzeczy. Nie znam odpowiedzi na tak wiele pytań.

– Jericho? – Podchodzę do niego, gdy siada z powrotem na łóżku i bierze do ręki butelkę.

– Dlaczego, do cholery, ktokolwiek chciałby tu przebywać?

Przełykam ślinę, siadam obok niego, wyciągam mu butelkę z dłoni i odstawiam ją na bok. Splatam swoje palce z jego.

– Chodź ze mną na górę – proszę.

Mruga, jakby powieki bardzo mu ciążyły, a ja zastanawiam się, ile whisky było w butelce, zanim zaczął ją osuszać.

– Lepiej, żebym nigdy nie znalazł cię tu na dole, Isabelle.

Usta same otwierają mi się ze zdziwienia. Czyżby sądził, że mam zamiar się powiesić? Czy to właśnie zasugerował?

– Chodź do sypialni.

– Zeke wie – mówi Jericho bez związku. – Wie dlaczego. Wiem, że wie.

Kładę mu głowę na ramieniu i ściskam mocniej jego dłoń.

– Dlatego zabił ojca – dodaje.

Jego słowa wywołują u mnie przerażenie. Odsuwam się.

– Co?

Ściska głowę rękami.

– Dlaczego?! – ryczy.

– Jericho, jesteś pijany, nie myślisz logicznie.

Zrywa się z łóżka i podchodzi do miejsca, w którym pudełko rozbiło się o podłogę. Kartki walają się rozrzucone wokół jego szczątków. Jericho staje pośrodku tego bałaganu i kręci gwałtownie głową.

Zbliżam się do niego, biorę za rękę i przykładam do swojego brzucha.

– Zabierz mnie na górę. Chce mi się jeść i spać, a tutaj jest zimno. Dziecko...

Patrzy na mnie z otwartymi ustami i ściągniętymi brwiami. Przyciska delikatnie dłoń do brzucha, po czym opiera czoło na moim ramieniu.

– Nie rozumiem dlaczego – mówi, a ja nie wiem, czy to słowa czy ton, z jakim je wypowiada, sprawiają, że serce mi pęka.

– Już dobrze. Chodźmy na górę.

Mąż prostuje się i patrzy na mnie przez moment.

– Twoje imię oznacza obietnicę, wiedziałaś?

Zaskakujące, że o tym słyszał.

– Tak, obietnicę złożoną przez Boga – odpowiadam. – Mama je dla mnie wybrała.

– Jebać Boga. Żaden pieprzony Bóg nie istnieje, a nawet jeśli, to nie zasługuje na twoją miłość. – Potrząsa głową, zaciska powieki i przeczesa włosy palcami. Po chwili otwiera oczy. – Mam nadzieję, że nie urodzi się dziewczynka. Kobiety z rodziny St. Jamesów... Los nie obchodził się z nimi łaskawie, wiesz? A ja nie chcę, żeby historia się powtórzyła.

– Nie powtórzy się.

– Angelique... – Wzdycha.

– Ta okropna historia się nie powtórzy.

– Historia zatacza wieczne koło. Ciągłe się powtarza. Tego pierdolonego cyklu nie da się przerwać.

Staję naprzeciwko niego i biorę jego twarz w dłonie.

– Spójrz na mnie.

– Błędne koło.

– Spójrz na mnie – powtarzam, a on w końcu spełnia moją prośbę. – Chodźmy na górę. Nie chcę już dłużej tutaj być. To niedobre dla dziecka.

Mruży oczy, jakby intensywnie się nad czymś zastanawiał, lecz w końcu kiwa potakująco. Kładzie mi dłoń na policzku, delikatnie gładzi skórę kciukiem. Całuje moje czoło, potem policzek, na końcu usta.

– Obiecaj mi – mówi i bierze mnie za rękę.

Gdy odwracamy się, by wyjść z pokoju, na karku czuję powiew. Spoglądam przez ramię i za przekrzywioną ramką dostrzegam skrytkę, z krawędzi której zwisa coś, co na pierwszy rzut oka wygląda jak sznur paciorków. Najwyraźniej wysunął się, kiedy Jericho rozbił pudełko o ścianę.

– Masz bosa stopy – zauważa mąż, czym odwraca moją uwagę od niezwykłego odkrycia. Bierze mnie na ręce i gasi światło. Nie trzując się zamykaniem drzwi, idzie w stronę schodów. – Nie chcę, żebyś schodziła do piwnicy. To niebezpieczne, rozumiesz? To przeklęte miejsce. Obiecaj mi.

Kiwam głową, a Jericho stawia mnie na podłodze dopiero na parterze. Nietrudno będzie mi dotrzeć słowa, ponieważ sama nie bardzo mam ochotę zapuszczać się na dół.

Przeglądam się mężowi, gdy zamyka drzwi. Olbrzym znów jest sobą, wysokim, potężnym mężczyzną. Smoki na jego plecach poruszają się, kiedy przekręca masywny klucz w zamku i wsuwa go do kieszeni spodni. Gdy odwraca się przodem do mnie, człowieka, którego ujrzałam w piwnicy, już nie ma. Nie odszedł na zawsze, po prostu schował się przed wzrokiem innych, jednak wciąż gdzieś tam jest. A ja go widziałam. Wiem o jego istnieniu.

– Nie żartuję, Isabelle. Masz tam nigdy nie schodzić. Wyrażam się jasno?

Kiwam głową, a mój żołądek wydaje z siebie głośnie, przeciągłe burknięcie. Poza bulionem ugotowanym przez Catherine nic dzisiaj nie jadłam.

Jericho się uśmiecha.

– Chodź, zrobię ci kanapkę.

Kiedy maszerujemy do kuchni, trzymamy się za ręce.





## 11 JERICHO

Isabelle jest w piątym tygodniu ciąży. Zastanawiam się, czy dziecko zostało poczęte w naszą noc poślubną. Przyglądałem się żonie, wracając z wizyty u lekarza i kiedy dawała Angelique lekcję muzyki. Była wyraźnie rozkojarzona. W sumie to nic dziwnego. Jak sama stwierdziła, dowiedziała się o ciąży, mając dopiero dziewiętnaście lat. Z pewnością ślub z człowiekiem mojego pokroju i urodzenie mu dziecka nie znajdowały się na jej liście rzeczy do zrobienia przed dwudziestką. Ale nie rzucam słów na wiatr. Zaopiekuję się nią. Chociaż kiedy o tym myślę, zdaję sobie sprawę, jak dziwnie to brzmi. Jak bardzo odbiega od mojego pierwotnego planu.

Po nocy, podczas której odbyliśmy naszą ostatnią rozmowę, Ezekiel pojechał w interesach do Calgary i jeszcze nie wrócił. Co prawda nasza firma ma tam siedzibę, lecz wiem, że to ściema. Zeke mnie unika. Nie mogę go za to winić.

Punktualnie o dziewiątej rozbrzmiewa dźwięk dzwonka do drzwi. Podekscytowanie Isabelle jest niemal namacalne, kiedy idziemy do foyer, gdzie Catherine już wita niewielką grupę skrzypków. Po wyrazie ich twarzy widać gołym okiem, że dom wywiera na nich ogromne wrażenie, może nawet ich onieśmiela. Stawiają na podłodze futerały z instrumentami, żeby zdjąć kurtki i płaszcze. Wręczają je Catherine, a ona z kolei przekazuje okrycia dziewczynie, której imienia nigdy nie mogę zapamiętać. Isabelle pewnie wie, jak się nazywa. Dobrze zna służbę. W ciągu dnia spędza z nią sporo czasu na rozmowach i wydaje się, że wszyscy ją lubią. Ma dar oczarowywania ludzi, z natury jest słodka i niewinna. Z jednej strony to rozumiem, ale z drugiej coś mi przeszkadza w jej relacjach z innymi. Być może zazdrość. Nie chodzi o to, że chciałbym się przyjaźnić z pracownikami, lecz o to, że chciałbym mieć żonę tylko dla siebie.

– Ja pierdzielę! Dziewczyno, gdybym wcześniej wiedziała, że mieszkasz w pałacu, to sama bym nalegała, żeby lekcje odbywały się u ciebie – mówi Megs, właścicielka cukierni, kiedy przytula Isabelle na powitanie. Właściwie to Isabelle przytula ją, bo kobieta trzyma po jednym pudełku z ciastem w każdej ręce.

Stoję z tyłu i przyglądam się im.

W grupie jest jeszcze jedna dziewczyna, Maria, nieco młodsza od Isabelle, ma może szesnaście, góra siedemnaście lat, i jej starszy brat o imieniu John. Oni także ściskają Isabelle. Gdy odchrząkuję, żona odwraca się w moją stronę. Uśmiecham się do przybyłych, choć ten uśmiech nawet mnie wydaje się wymuszony, i kładę żonie rękę na plecach.

– A tak... To Jericho – informuje gości.

Odczekuję moment, lecz kiedy nie odzywa się już więcej, dopowiadam:

– Mąż Isabelle.

Marię i Johna ta wiadomość zbija z tropu, ale po chwili ciszy i szybkiej wymianie nic nierozumiejących spojrzeń, oboje uśmiechają się i ściskają moją dłoń. Megs podchodzi do mnie. Jest starsza i bardziej pewna siebie. Mniej onieśmielona.

– Miło znów cię widzieć, Jericho. Jak twojej córeczce podobała się cukiernia?

– Zakochała się w niej. Ciągle mało jej cukru.

– Świetnie się składa – oznajmia kobieta i podaje mi jedno z trzymanyh przez siebie pudełek. – Bo to dla niej. Śpi już?

– Niestety tak, położyła się pół godziny temu. Ale dopilnuję, żeby dostała prezent z samego rana.

– Dziękuję – mówi i przenosi uwagę na Isabelle. – A to przyniosłam dla nas.  
Żona zagląda do środka.

– Och, bułeczki z kremem cytrynowym. Moje ulubione. Dzięki, Megs.

– Nie ma za co. Cieszę się, że wróciłaś do grupy.

– A skoro już o grupie mowa, to gdzie podziewa się Paul? – pyta Isabelle.

Paul Hayes to ich nauczyciel. Ma dwadzieścia osiem lat. Przez większość dnia pracuje jako wykładowca w prestiżowej prywatnej szkole muzycznej w centrum. Gra na skrzypcach i rzekomo jest całkiem niezły. Nie żebym miał o tym jakiegokolwiek pojęcie, po prostu wyczytałem te informacje w jego biogramie, który najprawdopodobniej sam napisał. Skrupulatnie sprawdziłem i Paula, i wszystkich członków grupy Isabelle.

– Jechał tuż za nami, ale utknął na czerwonym świetle na jednym ze skrzyżowań – wyjaśnia Megs i dokładnie w tej samej chwili odzywa się dzwonek przy wejściu. – O wilku mowa.

Drzwi otwiera John, który ma najbliżej. Przed wejściem stoi osoba, która nic a nic nie przypomina Hayesa ze zdjęć w sieci.

– Paul!

Isabelle pędzi, żeby się z nim przywitać, a na mnie cała scena działa jak czerwona płachta na byka. Z nikim innym nie przywitała się w ten sposób. Ale nie tylko o to chodzi.

– Przepraszam za spóźnienie – mówi Paul i chociaż odsunęli się od siebie, on wciąż oplata ramieniem talię mojej żony. – Najpierw zatrzymało mnie czerwone światło, a potem musiałem podjechać na stację benzynową, żeby zatankować samochód.

Facet jest mniej więcej mojego wzrostu, może ze trzy centymetry niższy. I szczuplejszy niż na zdjęciach. Znacznie szczuplejszy. Na fotkach, które wyszperałem, waży dobre sto trzydzieści kilo więcej.

– Aha, byłbym zapomniał – dodaje. Sięga do kieszeni i wyciąga trójkątną tabliczkę czekolady.

Usta Isabelle rozciągają się w szerokim uśmiechu.

– Zobaczyłem je na stacji, więc kupiłem ci jedną. Wiem, jak bardzo je lubisz.

– Uwielbiam! Dziękuję!

Bierze od niego tabliczkę – zapamiętuję, że to Toblerone – a potem znów go przytula.

Robię krok w stronę żony i widzę, jak pada na nią mój cień. Odchrząkuję i kładę jej dłoń na karku.

– Jericho St. James. Mąż Isabelle.

– Jericho... – zaczyna mówić Isabelle, lecz przerywa, gdy odciągam ją od Paula w swoją stronę.

Mężczyzna chrząka i przykleja sztuczny uśmiech na twarz.

– Właśnie się dowiedziałem, że się pobraliście – oznajmia w połowie do Isabelle, w połowie do mnie. – Gratulacje. Szczęściarz z ciebie.

Wyciąga dłoń w moją stronę.

Wpatruję się w długie, smukłe palce i delikatną skórę skrzypka oraz w postrzępiony mankiet kaszmirowego swetra. I nabieram pewności, że nigdy nie uderzył innego faceta.

– A ty jesteś jej nauczycielem – stwierdzam, ściskając jego rękę mocniej, niż by wypadło.

– Tak, tym jedynym. – Paul odwraca się w stronę Isabelle. – O ile mi wiadomo. – Puszczam do niej oczko.

Mam ochotę rozkwasić mu nos.

– Czyżbyś stracił ostatnio na wadze, Paul? – pytam.

Mężczyzna znów chrząka, a czuły uśmiech, który najwyraźniej został zarezerwowany dla mojej żony, znika z jego ust.

– O Boże! Paul, bardzo cię przepraszam – rzuca Isabelle.

Przeprosiła faceta w moim imieniu. Nie do wiary!

– No co? Nie sądzę, by to pytanie było w jakikolwiek sposób niewłaściwe – próbuję się bronić.

– Nic się nie stało. I tak, Jericho, masz rację – odpowiada Paul. – Dzięki operacji bariatrycznej oraz wsparciu rodziny, a także najlepszych lekarzy i pielęgniarek w mieście udało mi się zrzucić ponad dziewięćdziesiąt kilogramów.

– Facet ma żelazną wolę, odmawia nawet jedzenia moich słodyczy – oznajmia Megs i wpycha się między nas, żeby uściskać nauczyciela.

Nie bez zdziwienia zauważam, że Hayes obdarza ją zupełnie innym uśmiechem niż moją żonę, a ich powitanie trwa zdecydowanie krócej.

– Proszę tędy – mówi Catherine i kieruje grupę do biblioteki.

Isabelle odwraca się do mnie i wyslizguje z moich objęć.

– Co ty wyprawiasz? Dałeś książkowy pokaz chamstwa.

Przenoszę wzrok z tyłu głowy Paula z tymi jego stylowo zmierzwionymi blond włosami na żonę.

– On chce cię zerznąć.

– Słucham?

– On – mówię i pokazuję palcem w kierunku, w którym poszli jej znajomi – chce cię zerznąć. – Tym razem wskazuję ją.

– A tobie udało się to wywnioskować po trzydziestu sekundach, które spędziłeś w jego towarzystwie?

– Znam facetów, Isabelle. Powinnaś była mi powiedzieć.

– Co dokładnie?

Powieka drga mi nerwowo.

– Że facet nie waży już sto siedemdziesiąt kilo.

– Jesteś nienormalny – stwierdza i potrząsa głową. – Idę. – Odsuwa się ode mnie, a przynajmniej próbuje, bo łapie ją za rękę i przyciągam z powrotem do siebie. Podnosi głowę, żeby na mnie spojrzeć. – O co ci znowu chodzi? – warczy.

– Czy między wami coś jest?

– Między mną a Paulem? To mój nauczyciel i nic poza tym. Naprawdę. Idź się leczyć.

– Myślę, że to coś więcej. Powinienem o czymś wiedzieć? Jesteś moją żoną, a to wiele znaczy.

– Zmusiłeś mnie, bym nią została. Chyba nie zapomniałeś?

Zacieśniam chwyt, kiedy Isabelle próbuje mi się wyszarpnąć.

– Jesteś moją żoną i nosisz moje dziecko. Zresztą nieważne, czy jesteś w ciąży, czy nie, bo ja i tak niczym się nie dzielę.

– Z Kimberly było inaczej – odpyskowuje, ale już w chwili, gdy słowa wydostają się z jej ust, zdaje sobie sprawę, że źle zrobiła. Na jej twarzy maluje się skrucha. – Cholera, przepraszam. Wymknęło mi się.

Mrugam kilkakrotnie i wciągam ze świstem powietrze przez nos. Muszę przyznać sam przed sobą, że od wielu dni nie myślałem o Kimberly. A przynajmniej nie w taki sposób jak kiedyś.

– Przepraszam – powtarza Isabelle.

Najwyraźniej sądzi, że to jej komentarz wytrącił mnie z równowagi.

– Nie masz za co przepraszać, to prawda.

Ruszam do przodu i przypieram dziewczynę do ściany. Błądzą wzrokiem po jej twarzy. Jest taka piękną, choć nie ma na sobie ani grama makijażu. Teraz, w ciąży, jeszcze piękniejsza niż przedtem, chociaż pod oczami ma głębokie cienie po nocy, której z mojej winy nie przespała.

– Jesteś moja. Wiesz o tym, prawda?

Skonsternowana mruga i ściąga brwi.

Przez moment widzę w jej oczach jakąś czułość, która szybko znika zastąpiona surowością.

– Należę do ciebie, bo czegoś ode mnie chcesz.

– Należysz do mnie, bo cię pragnę.

– No jasne. Jesteś przyzwyczajony, że wyciągasz łapska po wszystko, czegokolwiek zapragniesz, że dostajesz każdą rzecz, jakiej chcesz, czyż nie?

Przesuwam dłonie po ramionach Isabelle aż do nadgarstków, podnoszę jej rękę do góry i przygważdżam do ściany. Oczy dziewczyny ciemnieją, język wysuwa się spomiędzy ust i oblizuje je, a ciało tężeje, jakby się przygotowywało.

– Zgadza się – odpowiadam złowieszczym tonem. – Ale ciężarna czy nie, Bishopówna czy nie, poślubiona z zemsty czy nie, pragnę właśnie ciebie. I pamiętaj, co już kiedyś powiedziałem. Jeśli jakkolwiek mężczyzna cię tknie, obetnę mu łapska. Nawet jeśli będzie to mój brat. A już tym bardziej jak będzie to Paul Hayes. Taki los spotka każdego. – Widzę, jak z trudem przełyka ślinę, a tętnica szyjna pulsuje gwałtownie. – Należysz do mnie. Powiedz to.

Jej usta otwierają się i zaraz potem zamykają.

– No, mów, Isabelle.

– Należę do ciebie.

– Tylko do mnie.

– Tylko do ciebie.

Całuję ją mocno i wypuszczam jeden nadgarstek, po czym kładę dłoń z tyłu jej głowy i przyciągam dziewczynę do siebie. Palce drugiej ręki splatają się z palcami Isabelle. I w tym momencie zdaję sobie sprawę, jak prawdziwe było to, co powiedziałem. Jest moja. Nieważne, że jest w ciąży, że należy do rodziny Bishopów, że chcę zemścić się na jej bracie. Należy do mnie i tylko do mnie.

I tak już pozostanie po kres naszych dni.

## 12 ISABELLE

Na lekcję docieram zarumieniona. Ponownie przepraszam Paula za zachowanie męża. W trakcie dwóch godzin zajęć nie potrafię skupić się ani przez chwilę. I chociaż czuję się zażenowana tym, jak Jericho potraktował Paula, to moją uwagę odwraca coś innego – rozmowa, którą przeprowadziliśmy przy drzwiach wejściowych. To, co powiedział mi mąż. To, co ja powiedziałam jemu.

Jericho mnie pragnie. Niezależnie od tego, czy jestem w ciąży, czy nie, czy jestem Bishopówną, czy nie, czy poślubił mnie z zemsty, czy nie. Jestem jego.

Kiedy lekcja się kończy i wszyscy szykują się do wyjścia, spodziewam się, że jak otworzę drzwi, zobaczę męża czającego się po drugiej stronie i próbującego podsłuchiwać. Chyba czuję delikatne rozczarowanie, gdy okazuje się, że na korytarzu nie ma żywej duszy.

Uczniowie opuszczają dom, jednak Paul się ociąga.

– Wiem, że wiszę ci za kilka lekcji, ale za jakiś tydzień powinnam móc przesłać ci czek. Znalazłam pracę, tyle że moja sytuacja stała się ostatnio dość... dziwna.

– Nie jesteś mi winna żadnych pieniędzy, wszystko zostało uregulowane.

– Wydaje mi się, że zalegam z płatnością za trzy lekcje. Zapisuję sobie takie rzeczy. Chciałabym też zapłacić za te, w których nie uczestniczyłam. Wiem, że masz innych chętnych, którzy z radością zajęliby moje miejsce...

– Przecież nie wyrzucam cię z grupy, Isabelle. Poza tym pozwoliłaś, by zajęcia odbywały się w twoim domu. To naprawdę cudowne, bo dzięki temu zaoszczędzimy na wynajmie sali.

– Nie, nie, zapłacę ci, jak tylko będę mogła.

– Nie przejmuj się.

– Słodki jesteś. Słuchaj, jeszcze raz przepraszam za to, co się stało.

– Nie ma sprawy. To żadna tajemnica, że sporo schudłem. – Spogląda mi ponad ramieniem i podchodzi kilka kroków. – Tyle że poczułem się nieco oszołomiony, kiedy doszły mnie wieści o twoim zamążpójściu. Jericho wydaje się dość zaborczym mężem. Wszystko u ciebie w porządku?

– Tak.

– Na pewno?

– No, tak.

Przygląda mi się uważnie, próbując wybadać, czy nie kłamię. Przecież nie kłamię. A przynajmniej nie do końca.

– W porządku – odpuszcza. – Skoro twierdzisz, że wszystko okej, to nie będę się czepiał. Po prostu wpadłem w osłupienie, gdy usłyszałem od Megs, że wyszłaś za mąż. Nawet nie wiedziałem, że się z kimś spotykasz.

– Cóż, ślub odbył się... dość niespodziewanie.

Paul kiwa głową i przygląda mi się uważnie.

– Przyślę ci bilety na koncert. Nadal się na niego wybierasz, prawda? Mogę się ciebie spodziewać?

– Koncert?

– Zapomniałaś?

Zastanawiam się przez chwilę.

– O kurczę! Nie, nie zapomniałam, po prostu czas płynie tak szybko, że nie zdawałam sobie sprawy, że to już niedługo.

Razem z kwartetem smyczkowym, z którym grywa, zaplanowali koncert w niewielkim teatrze. Będzie to jedno z pierwszych publicznych występów Paula.

– To świetnie. Chcesz jeden bilet czy dwa?

– Hmm... – Wiem, że Paul musi zapłacić z własnej kieszeni za bilety dla zaproszonych przez siebie osób, a nie chciałabym, żeby zmarnował pieniądze, w razie gdyby nie udało mi się dotrzeć. – Mogę sama je kupić.

– Nie, jesteś moim gościem. Na wszelki wypadek wyślę ci dwa. Żeby nie drażnić twojego przewrażliwionego męża.

Puszczą mi oczko jak wcześniej, a z mojego gardła wyrywa się nerwowy chichot. Oglądam się za siebie.

Paul otwiera drzwi wyjściowe i oboje wpatrujemy się w ulewę na dworze. Po chwili odwraca się i przytula mnie na pożegnanie. Nie protestuję. Nigdy nie postrzegałam Paula inaczej niż jako nauczyciela i mentora. Nie pociąga mnie i nigdy nie pociągał. Jego odczucia są dokładnie takie same. A przynajmniej tak mi się wydaje.

– Widzimy się w przyszłym tygodniu – mówię i się odsuwam, bo uścisk zaczyna się przedłużać. Czy on zawsze tulił się w ten sposób? A może przez Jericha popadam w paranoję?

– Do zobaczenia.

Zamykam za Paulem i odwracam się w stronę wnętrza domu. Jest cicho, w pokojach na dole panuje mrok. Wciąż mam wrażenie, że mąż zaraz wychynie z jakiegoś kąta i na mnie naskoczy, lecz nic takiego się nie dzieje, więc wracam do biblioteki. Posprzątam tam trochę, zanim położę się spać. Ale gdy tylko przekraczam próg, podskakuję ze strachu, bo o wilku mowa, a wilk tu. W wielkim skórzanym fotelu, gdzie wcześniej siedział Paul, teraz rozpiera się Jericho. Dookoła nadal tkwią porozstawiane w półkole krzesła. Mąż obraca w dłoniach skrzypce. Zdjął marynarkę, rozpiął dwa górne guziki koszuli, a rękawy podwinął aż do łokci.

– Przestraszyłeś mnie – mówię z nadzieją, że mój głos brzmi normalnie. – Dlaczego siedzisz tutaj po ciemku?

– Wcale nie jest ciemno. Zresztą już zastałem takie oświetlenie. Zgaduję, że chodziło wam o stworzenie odpowiedniego nastroju.

– Co? – W bibliotece palą się trzy lampki rzucające miękkie światło. Te bardziej jaskrawe pogasił. – Lepiej się gra, kiedy nic nie razi w oczy.

– Czyżby Paul wołał takie oświetlenie?

– Nie bądź dziecinny – odpowiadam i podnoszę tacę.

– Siadaj.

Rzucam mu przeciągłe spojrzenie.

– Posprzątam, a potem pójdę się położyć.

– Siadaj, Isabelle.

Odstawiam tacę i siadam naprzeciwko niego. Na mniejszym i niższym krześle czuję, że jestem na podległej pozycji. Jericho góruje nade mną w wielkim skórzanym fotelu. Kiedy siedział w nim Paul, nie odnosiłam takiego wrażenia.

Mąż wyciąga instrument w moją stronę.

– Zagraj coś.

– Nie umiem grać na zawołanie. – Podnoszę się z miejsca. – A poza tym muszę sprzątnąć ten bałagan. Jestem zmęczona po nocnych przygodach.

Wiem, że to cios poniżej pasa. Jericho nie tylko był pijany, ale także strasznie cierpiał. Nie przepraszam jednak za to, co powiedziałam, tylko odwracam wzrok i znów podnoszę tacę.

Ułamek sekundy później mąż wstaje, chwytając mnie jedną dłonią za ramię, podczas gdy z drugiej zwisają luźno skrzypce wraz ze smyczkiem.

– Dla niego możesz grać, ale dla mnie już nie?

– Czyżbyś był zazdrosny?

Prycha i odkłada instrument. Obraca mnie tyłem do siebie i przechyla przez podłokietnik skórzanej sofy. Tyłek mam wypięty wysoko, a twarz wciśniętą w siedzisko.

– Co ty wyprawiasz? – Usiłuję się podnieść, lecz Jericho zbyt mocno mnie przytrzymuje.

– Co ci mówiłem? – pyta, po czym bezceremonialnie zadziera mi spódnicę i zsuwa majtki. Odślania moje nagie ciało na swój użytek. I choć sytuacja powinna być dla mnie poniżająca, czuję się dziwnie podniecona. Sięgam ręką do tyłu, żeby obciągnąć spódniczkę.

– Jericho...

– Och, Isabelle – mówi i chwytając mnie jednorącz za obydwie nadgarstki. Podnosi spódniczkę z powrotem i pochyla się nade mną tak, że czuję na plecach ciepło jego ciała, a oddech łaskocze moje ucho. – Co ja ci mówiłem?

Wyczuwam, jaki jest twardy, i coraz mocniej się podniecam.

Wolną dłonią Jericho ściska mój pośladek, aż palce wpijają się w ciało.

– Co. Ja. Ci. Mówiłem?!

– Że jestem twoja – odpowiadam i odwracam głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

Potakuje usatysfakcjonowany i się prostuje. Wciąż trzymając mnie twarzą w dół, rozgląda się dokoła. Z początku nie wiem, za czym, ale po chwili pochyla się w stronę stolika, na którym stoi talerz z niedojedzoną przez jednego z naszych gości bułeczką. Jericho dwoma palcami zgarnia z niej masło.

– Co ty robisz? – pytam i próbuję mu się wyrwać, kiedy rozsmarowuje je wokół mojego odbytu.

– Chcę cię natłuścić. Jeszcze mi za to podziękujesz – odpowiada i wsuwa we mnie palec, żeby rozprowadzić masło głębiej.

Instynktownie napinam wszystkie mięśnie.

– Rozluźnij się, Isabelle.

– Tylko nie tam.

– Ależ tam. O ile dobrze pamiętam, ostatnim razem, gdy zerznąłem cię w dupę, miałas zajebisty orgazm. – Wypuszcza moje nadgarstki, ale drugą dłoń nadal trzyma na tyłku. – Oprzyj ręce na sofie.

– Nie.

– Nie? Pozwól, że ujmę to inaczej. Jeśli położysz grzecznie ręce na sofie, pozwolę ci dojść. Jeśli tego nie zrobisz, ze szczytowania nici. Tak czy siak, zerznę cię w tę ciasną dziurkę. Więc jak wolisz?

– Ja nie...

– Życie to sztuka wyboru, Isabelle, pamiętasz? Co wybierasz? Chcesz dojść czy nie? Mnie w sumie bez różnicy.

Wyciągam szyję, żeby na niego popatrzeć, po czym opieram dłonie na siedzisku sofy.

– Mądra dziewczynka. A teraz – przenosi uwagę z powrotem na mój tyłek – rozluźnij się.

Palcami odnajduje łechtaczkę. Jak tylko jej dotyka, natychmiast spełniam jego życzenie i się rozluźniam. Jericho niespiesznie masuje nabrzmiały guziczek, jednocześnie wsuwając palec drugiej dłoni w odbytu. Chcę go rozciągnąć i dobrze nasmarować wewnątrz. I choć ten rodzaj dotyku powinien budzić moją odrazę, to wiem, że i tak dojdę, kiedy we mnie wejdzie i zacznie się poruszać. Pamiętam, jak było ostatnim razem – z początku bolało, a potem rzeczywiście

przeżyłam nieziemski orgazm.

Wiem, że uznaje, iż jestem gotowa, gdy czuję, jak wyciąga palce i słyszę dźwięk rozpinanego rozporaka. Przygotowuję się na to, co za chwilę nadejdzie.

Jericho wsuwa fiuta w moją szparę raz, potem drugi, aż otwieram się na niego. Jestem tak podniecona, że rozciągam się bez większego problemu. Pozostaje mi mieć nadzieję, że druga dziurka rozciągnie się z równą łatwością. Wychodzi ze mnie i przysuwa główkę penisa do tylnego wejścia. Kiedy się spinam, masuje dół moich pleców.

– Rozluźnij się.

Kiwam głową. Łatwo mu mówić. To najtrudniejsza część, lecz zamykam oczy i staram się z nim nie walczyć. Z początku czuję ból i lekkie pieczenie, ale masło pomaga i po chwili już jest w środku. Nie wchodzi we mnie powoli, centymetr po centymetrze, tylko wsuwa się od razu na całą długość, w tym samym czasie pieszcząc łechtaczkę. Słyszę, jak z mojego gardła wydobywa się jęk.

– Jesteś taka ciasna.

Wyginam plecy w łuk, kiedy porusza się we mnie powoli. Zdejmuje palce z łechtaczki i chwyta moje biodra, po czym szeroko rozwiera mi pośladki.

– A więc nie należy mnie drażnić, bo jestem przewrażliwiony? – pyta.

Odwracam się, by na niego zerknąć. Spogląda mi prosto w oczy i pcha mocno. Wydaję z siebie głośny jęk, a moje ciało sztywnieje.

– Tak to szło? – zadaje kolejne pytanie, po czym wychodzi ze mnie i znów wbija się z całej siły.

– To boli!

– I co mu odpowiedziałas?

Zamykam oczy i staram się przygotować na kolejne wymierzone za karę pchnięcie, ale gdy nadchodzi, okazuje się, że i tak nie byłam gotowa.

– Proszę!

– Popatrz na mnie.

Potrząsam głową, a Jericho znów pcha. Krzyczę z bólu, oczy zaczynają mnie szczypać od łez. W końcu na niego spoglądam. Najwyraźniej słyszał rozmowę z Paulem, a ja zdaję sobie sprawę, że moja nadzieja była płonna.

– Co mu odpowiedziałas, kiedy oznajmił, że nie chce mnie drażnić? – pyta ponownie i wychodzi na tyle, że tylko czubek jego męskości pozostaje w moim wnętrzu.

Wiem, że czeka mnie przynajmniej jeszcze jedno pchnięcie. I może sobie na nie zasłużyłam. Przetykam ślinę niezdolna do odpowiedzi.

– Zachichotałaś – mówi za mnie i zadaje najmocniejsze jak dotąd pchnięcie.

– Przepraszam. Nie wiedziałam, jak zareagować.

– To ja ci teraz, kurwa, powiem, jak masz w takich wypadkach nie reagować. Masz nie chichotać, gdy jakiś dupek się do ciebie przystawia i przy okazji oczernia twojego męża.

Kiwam głową, bo ma rację.

– Przepraszam. Naprawdę mi przykro. Proszę, Jericho.

– Za karę zerznę ci tyłek tak, że przez tydzień na nim nie usiądziesz i nie pozwolę ci dojść. Rozsuń nogi, żebyś przypadkiem sama nie doprowadziła się do orgazmu.

Robię, co każe. Uważam, że to niezbyt wysoka cena do zapłacenia. Kiedy mąż czuje się usatysfakcjonowany moim zachowaniem, kontynuuje to, co zaczął, a ja tak bardzo chciałabym dojść. Prawie mi się to udaje, wystarczyłoby tylko lekko musnąć łechtaczkę palcami.

– Proszę – mówię, gdy jego ruchy stają się częstsze, mocniejsze i głębsze. Łapię się na tym, że poruszam biodrami, by wyjść im naprzeciw. – Proszę, pozwól mi dojść.



Wsuwam rękę między nogi, lecz Jericho chwytą ją, potem drugą i przyciska je do dołu moich pleców.

– Nie – odmawia i pochyła się, nie przestając mnie pieprzyć.

– Proszę. Przepraszam za wszystko.

Uśmiecha się złośliwie, a jego oczy ciemnieją.

– Czyżbyś mnie błagała, Isabelle?

Kiwam potakująco głową. Nie dbam już nawet o własne poczucie godności.

– W porządku. Ale potem.

Jak to „potem”?

Jericho prostuje się, wciąż przytrzymując moje skrzyżowane nadgarstki, i spogląda w dół, obserwuje. Gdy zaczyna dochodzić, opiera pierś na moich plecach. Czuję bicie jego serca i dotyk śliskiej od potu skóry, kiedy bierze ode mnie wszystko, czego pragnie, i używa dla swojej przyjemności. Chwilę później członek zaczyna pulsować i wypełniać mnie nasieniem.

– O kurwa – dyszy Jericho ochryple, po czym prostuje się i wyciąga fiuta. – Nie ruszaj się.

Patrzę, jak bierze ze stolika używaną, zmiętą serwetkę i wyciera nią kutasa, zanim upycha go z powrotem w spodniach. Po chwili zwraca na mnie z powrotem uwagę i przygląda się, jak stoję zgięta wpool, całkowicie odsłonięta, z wyciekającą z odbytu spermą. Odczuwam przemożną chęć, by się okryć albo przynajmniej wyprostować i uciec z biblioteki, ale Jericho niespodziewanie kiwa głową i rzuca:

– Twoja kolej.

– Słucham?

– Zrób to. Nie tego właśnie chciałaś? Nie o to mnie prosiłaś?

– O czym ty mówisz?

– Doprowadź się do orgazmu.

Mrugam z niedowierzaniem i czuję, jak moją twarz oblewa rumieniec.

– Słyszałaś, co mówiłem. – Siada z powrotem w fotelu, podnosi ze stolika szklaneczkę whisky, której wcześniej nie zauważyłam, i pociąga z niej łyk. – Popieść się, a ja sobie popatrzę. No, już. Aha, nie odwracaj wzroku, jak będziesz to robić. – Ostatnie zdanie wypowiada w chwili, gdy mam zamiar wcisnąć głowę w siedzisko sofy.

Zamiast tego wpatruję się mężowi w oczy i wsuwam dłoń między nogi. Jericho nie odrywa ode mnie spojrzenia, kiedy pocieram palcami łechtaczkę, a mój oddech staje się coraz krótszy i bardziej urywany. Jestem taka podniecona. Szczytuję, czując, jak nasienie męża ścieka mi po rowku i spływa po udzie. Orgazm nie jest tak intensywny jak wtedy, gdy Jericho mnie pieprzy, ale mimo wszystko dochodzę. Kiedy kończę, dopija drinka, odstawia szklanekę i klaszcze.

– To było przedstawienie warte obejrzenia – oznajmia, a potem podnosi się z fotela. Staje za mną i schyla się po moje majtki. Pomaga mi przełożyć przez nie stopy, po czym naciąga je na tyłek. – Pójdiesz spać z moim nasieniem w środku, żebyś lepiej zapamiętała tę karę.

Poprawia mi spódniczkę i pomaga się wyprostować, a na koniec chwytą moją twarz w dłonie i całuje mocno w usta. Nie pozostawia żadnych wątpliwości co do faktu, że jestem jego własnością.

### 13 ISABELLE

Nie widzę się z Jerichem aż do następnego wieczora. Cały ten tydzień wydaje się dziwny, ale o tej porze roku zawsze mi ciężko. Rocznicą śmierci Christiana zbliża się wielkimi krokami. Obawiam się, że w tym roku po raz pierwszy nie pojawię się w tym dniu na jego grobie. W sumie mogłabym poprosić męża, żeby mnie tam zabrał. Nie wiem, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam.

W sobotę odbędzie się koncert. Chociaż pytałam kilkakrotnie o pocztę, powiedziano mi, że nic do mnie nie przyszło. Zastanawiam się, czy Paul zmienił zdanie i postanowił jednak nie zapraszać nas ze względu na Jericha. Nie to, żebym sądziła, że mąż mnie puści albo będzie chciał tam iść ze mną.

Siedzę razem z Leontine i Angelique przy stole, kiedy wchodzi do jadalni, zdejmując marynarkę oraz krawat i podaje je Catherine, która właśnie wyszła zza rogu.

– Dobry wieczór – mówi i wpatruje się we mnie, a ja rumienię się na wspomnienie poprzedniej nocy.

– Tatusiu, zgadnij, co dzisiaj robiłyśmy! – wykrzykuje podekscytowana Angelique.

Jericho podwija rękawy koszuli. Uświadamiam sobie, że nie potrafię oderwać od niego oczu. Widok tej czynności sprawia, że ślina napływa mi do ust i wprost nie mogę się doczekać, gdy dotknie mnie tymi silnymi rękoma, zacznie pożerać wzrokiem, wejdzie we mnie.

Potrząsam głową. To chyba wpływ hormonów. Bo jeśli nie, to coś jest ze mną bardzo nie w porządku.

– Opowiedz mi wszystko – odpowiada, całuje córkę w czubek głowy i przytula się do niej. Potem to samo robi z matką, na koniec podchodzi do mnie. – Jestem wygłodniały – stwierdza dwuznacznie, odchyła moją głowę i całuje w usta. Pocałunek nie jest głęboki, ale łapczywy. Bardziej erotyczny niż zmysłowy. Brudny. – Dobrze spałaś?

– W porządku – odpieram ze wstydem i oblewam się krwistym rumieńcem.

– To dobrze – stwierdza i przysuwa wargi do mojego ucha. – Wiesz, ciągle mam ten widok przed oczami. Jak opierasz się o sofę, wypinasz w moją stronę i...

Odchrząkuję, odsuwam się od męża i udaję zajęta układaniem serwetki na kolanach.

Jericho uśmiecha się szeroko i siada na swoim zwyczajowym miejscu u szczytu stołu.

– Zeke nadal w Calgary? – zagaduje matkę, która potwierdza skinieniem głowy.

– Wróci za kilka dni.

– To dobrze.

Do jadalni wchodzi Catherine wraz z pomocnicą. Serwują kolację. Dla mnie makaron, dla pozostałych członków rodziny pieczeń. Ostatnio mdłości mniej dają mi się we znaki i dziś ani razu nie zwymiotowałam. To już coś. Lecz moja dieta nie jest ani zbyt zróżnicowana, ani bogata w składniki odżywcze.

– I to ci wystarczy? – pyta Jericho na widok talerza z makaronem polanym oliwą z oliwek, który solę i przyprawiam pieprzem do smaku, nim chwytam sztućce. – Potrzebujesz białka.

Bierze do ręki miseczkę z tartym parmezanem i unosi pytająco brwi.

– Ale tylko trochę.

Gdy kończy posypywać makaron serem, zaczynamy jeść. Angelique i ja popijamy wodę z ozdobnych szklanek, zaś Jericho i Leontine sączą czerwone wino. Dziewczynka zdaje tacie

dokładną relację z tego, jak spędziłyśmy dzień i czego nauczyła się na lekcjach. Opowiada mu o kwiatach, które zerwała w ogrodzie, żeby ułożyć bukiet na stół. Pyta także, kiedy będzie mogła następnym razem pójść na czytanie bajek.

Jericho posyła jej szeroki uśmiech.

– Może zorganizujemy czytanie bajek w domu – mówi. – Lecz miałem nadzieję, że dziś wieczorem, po kolacji, Isabelle zagra nam coś na skrzypcach. Co o tym sądzisz, Angelique?

– Och, tak! To wspaniały pomysł. Belle, mogłabyś zagrać to samo co po południu? – pyta mnie, a potem zwraca się ponownie do ojca: – To z historii Romea i Julii, tatusiu. Oni się kochają, ale nie mogą być razem, bo ich rodziny się nienawidzą. To takie smutne.

– Może powinnaś się trzymać weselszych tematów – zwraca mi uwagę Leontine.

– Cóż, Romeo i Julia to bardzo realistyczna opowieść, nie uważasz?

– Isabelle ma rację. A zatem historia nieszczęśliwych kochanków. – Jericho ucina temat i w gryza się w jedzenie. – A jak twoje lekcje z panią Strand? – pyta córkę.

Twarz Angelique mrocznieje, a dziewczynka wzrusza ramionami. Wcześniej tego dnia przechodziłam obok jej pokoju podczas zajęć i przez drzwi słyszałam podniesiony głos nauczycielki. Już miałam wejść do środka, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale Leontine powstrzymała mnie, mówiąc, że Angelique nie wykonała zadania, które pani Strand kazała jej zrobić. Nie sądziłam, żeby był to wystarczający powód, aby wrzeszczeć na pięciolatkę, jednak odeszłam. Lecz postanowiłam zajrzeć do nich podczas następnej lekcji.

– Jest niemiła – odpowiada dziewczynka.

– Nie wszyscy ludzie, których spotkasz w życiu, będą mili – stwierdza jej babcia. – A dlaczego się na ciebie pogniewała?

Angelique zaciska zęby. Wygląda tak samo jak ojciec, kiedy się zezłości, tyle że jest słodka i nie może powstrzymać chichotu.

– To chichotanie wpędzi cię kiedyś w kłopoty – odzywa się Jericho, ale widzę, że on także uśmiecha się na widok miny córki. Zastanawiam się, czy dostrzega rodzinne podobieństwo.

Po chwili mąż odwraca się, wyciąga kopertę z kieszeni i kładzie na stole. Chociaż ją przytrzymuje, ułożył palce w taki sposób, bym mogła odczytać, że została zaadresowana do mnie.

– Co to? – pytam.

Jericho popycha kopertę w moją stronę. Podnoszę ją i otwieram klapkę, która została już wcześniej odklejona.

– Dwa. Żeby mnie nie drażnić – oznajmia.

– Otworzyłeś mój list? Kiedy przyszedł?

– Tak, otworzyłem. Nie wiem kiedy. Leżał na moim biurku.

– Otwieranie cudzej korespondencji to przestępstwo.

– Masz zamiar zadzwonić na policję?

Piorunuję go wzrokiem, lecz on tylko szczyrzy zęby.

– Możemy pójść? – pytam z nadzieją.

– Właśnie dlatego daję ci bilety.

Otwieram szeroko usta ze zdziwienia, ale Jericho unosi palec wskazujący.

– Pod jednym warunkiem. Zagraz dziś wieczorem dla mnie i mojej rodziny.

– To szantaż.

– Nie, daję ci wybór. Wybieraj.

Nie jestem pewna, dlaczego mam opory, by przed nim zagrać. Może chodzi o to, że tę część siebie chciałabym utrzymać w tajemnicy przed nim? Zachować kontrolę chociaż nad jedną sferą życia? A może po prostu podczas gry czuję się zbyt otwarta, a co za tym idzie wystawiona

na atak, więc się boję, że on to w jakiś sposób wykorzysta?

– Belle? – pyta Angelique, kiedy milczę zbyt długo.

Podnoszę wzrok na męża, który pochyla się w moją stronę.

– Czego się boisz? – szepcze.

– Niczego.

– W takim razie zagraj dla nas, a zabiorę cię na koncert.

– W porządku.

Jericho kiwa głową i wracamy do jedzenia. Po kolacji ociera usta serwetką i wstaje.

– Idziemy?

Wyciąga dłoń wnętrzem do góry, a ja podaję mu swoją.



## 14 JERICHO

Biblioteka tonie w świetle świec. Musi być ich ponad setka. Kazałem Catherine je pozapalać i ustawić dla Isabelle krzesło pod jednym z łukowych okien, przez które prześwieca srebrne światło księżyca, rzucając na zaimprovizowaną scenę nieziemską poświatę.

– Ojej! – wykrzykuje Angelique.

Kładę jej rękę na głowie. Oczy wlepiam w żonę, która wyslizgnęła się z mojego uścisku, jak tylko weszliśmy, i popędziła do instrumentu. Ma na sobie prostą białą sukienkę. Powinienem kazać jej się ubrać w suknię wieczorową uszytą z miękkiego, lejącego się materiału, który opływałby te zgrabne kształty. Materiału pięknego i zwiewnego jak ona.

Isabelle odwraca się do mnie i przygryza wargę, a ja niemal niedostrzegalnie przekrzywiam głowę. Chcę, żeby ten wieczór się jej spodobał. To dla mnie ważne.

Dziewczyna uśmiecha się nieśmiało. Błękitne oczy błyszczą od łez, ale wydaje mi się, że to nie łzy smutku. Po chwili odwraca się i zauważam, że ociera twarz dłonią, nim otwiera futerał, który leży na stoliku kawowym.

Siadamy. Nie mogę oderwać wzroku od żony. Angelique trzyma oburącz moją dłoń i opiera mi główkę na ramieniu. Naprzeciwko nas siedzi matka, lecz nie patrzy na synową, tylko obserwuje mnie. Isabelle odchrząkuje. Omijając nas wzrokiem, siada na krześle, które kazałem dla niej ustawić.

– Pewnie trochę zardzewiałam – mówi i rzuca mi szybkie spojrzenie. – Tak naprawdę nie jestem zbyt dobra. Ja tylko...

– Jest bardzo dobra! – przekrzykuje ją Angelique.

– Nie mam co do tego wątpliwości – odpowiadam i kiwam głową żonie na zachętę.

Zaczyna grać.

Ja pierdolę. Znam utwór, o którym córka wspomniała przy kolacji. Słyszałem go wiele razy. *A Thousand Times Good Night z Romea i Julii*<sup>1</sup>. No, ja pierdolę!

Ściskam rękę córeczki. Wzrok mam utkwiony w żonie, oddech ciężki, jakby ktoś wypompował z pomieszczenia cały tlen, a w jego miejsce wtłoczył emocje. Nieodparty smutek. Nie, nie smutek.

Miłość. Miłość, która niechybnie zakończy się tragedią.

Romeo i Julia byli młodzi i naiwni. Wciąż wierzyli w ideały, wierzyli w miłość. Nie brakowało im nadziei. Ja nie jestem już ani tak młody, ani tak naiwny.

Czuję, jak coś ściska mnie w gardle, i przełykam z trudem ślinę. Ciężko mi patrzeć na Isabelle, lecz nie potrafię oderwać od niej wzroku. Czy udźwignie konsekwencje moich poczynań?

Dziewczyna nie patrzy wprost na żadne z nas. Wzrok ma utkwiony na wprost, jednak nie skupia go na niczym konkretnym, po prostu patrzy w przestrzeń. Zastanawiam się, czy w myślach śledzi muzykę, czy widzi przed sobą pięciolinię z nutami, podczas gdy przebiega smyczkiem po strunach.

Coś się zmienia, coś nienamacalnego, coś wewnątrz niej. Dostrzegam to na jej twarzy, ale czy widzą to też matka i Angelique? Zmiana jest subtelna, lecz pełna. I tragiczna. Tak bardzo tragiczna.

Isabelle gra z pamięci. Kiedy zamyka oczy, wzrok mi się nagle rozmywa. Kurwa, ta muzyka jest piękna. Słyszę, że mój oddech stał się urywany, jakbym wciągał do płuc rozrzedzone

powietrze. Ciało się spina, aż zaczynam zbyt mocno ścisnąć rączkę Angelique.

Niemal muszę odwrócić spojrzenie od żony, ubranej na biało, oświetlonej światłem świec i blaskiem księżyca. Niemal. Lecz widok jej twarzy, jej oczu, tej zmiany, która w niej zaszła, tej nowej miękkości jest tak nieziemski, że nie mogę oderwać od niej wzroku. Odnoszę wrażenie, że duch Isabelle błądzi gdzieś indziej. Że ona sama przeobraziła się w emocje, uczucia i dźwięki. Że stała się bezcielesna. I że ją czuję. O Boże, czuję ją wewnątrz, w piersi, w brzuchu. Jakby wślizgnęła się w moje ciało.

Mrugam, gdy utwór się kończy. Isabelle także. Po chwili ociera twarz grzbietem dłoni, w której wciąż ścisnęła smyczek. Wpatruję się w nią i nie potrafię oderwać oczu. A Thousand Times Good Night. Kurwa, mam przesrane. Coś sobie uświadomiłem. Coś, co do tej pory starałem się ignorować. Coś, co próbowałem w sobie stłumić. Jestem jej. Za każdym razem, kiedy mówiłem, że należy do mnie, pomijałem drugą część równania. Zaprzeczałem oczywistej prawdzie. Ale w końcu do mnie dotarła, jasna jak słońce. Tak jak Isabelle należy do mnie, tak ja należę do niej. Należymy do siebie nawzajem. Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

1 Utwór, do którego muzykę napisał polski kompozytor Abel Korzeniowski, wykorzystany w soundtracku do filmu *Romeo i Julia* w reżyserii Carla Carleiego z 2013 r. (przyp. tłum.).

## 15 ISABELLE

Dex wiezie nas na koncert, na który wyprzedano wszystkie bilety. Sala jest co prawda niewielka, ale to i tak niezłe osiągnięcie. Kobiety mają na sobie wieczorowe suknie, mężczyźni smokingi. Jericho także. Ubrał się na czarno. Cóż, w końcu jest diabłem.

Zajmujemy miejsca w pierwszym rzędzie.

– Poszedł na całość – komentuje mąż.

– Nie bądź wredny.

Jericho podnosi program koncertu i kartkuje go. Prycha, kiedy dociera do zdjęcia oraz biogramu Paula.

– Za dwa tygodnie zaczniesz prawdziwe lekcje – oznajmia, zamyka broszurę i odkłada ją na puste miejsce obok siebie.

– Słucham? – pytam, upychając swój program w torebce.

Mąż odwraca się w moją stronę, a mnie oddech więźnie w gardle. Boże, jaki on przystojny. W pewien surowy sposób podkreślony przez wieczorny cień zarostu na policzkach i te dziwne oczy, które cały czas emanują siłą i zaborczością.

Myślę o tym, co powiedział Paul. Że Jericho jest strasznie zaborczy. Żadna tajemnica. Ale wydaje mi się, że jakaś część mnie do tego lgnie. Czuje się bezpieczna w granicach wytyczanych przez tego faceta. To niedorzeczne, wiem.

– Ustaliłem z pewnym emerytowanym wykładowcą z Konserwatorium w Oberlin, że będzie cię uczył. Przeprowadził się do Nowego Orleanu jakiś rok temu, więc idealnie wstrzeliliśmy się w moment.

– Czekał, mógłbyś powtórzyć?

– Profesor Larder. Wykładał w Konserwatorium w Oberlin<sup>2</sup>. Słyszałem, że to dobra szkoła.

– Oberlin? Jedna z najlepszych.

– Będiesz odbywała zajęcia raz w tygodniu. Częściej, jeżeli zechcesz.

– Ale mam już nauczyciela. I grupę.

– Teraz dostaniesz lepszego.

– Pewnie jest strasznie drogi. Ile bierze za lekcję?

– O to się nie martw, Isabelle.

– Powiedz mi. Przecież uczył w Oberlin!

Jericho nachyla się w moją stronę.

– Jakbyś nie zauważyła, mam forsy jak lodu – mówi i puszcza do mnie oczko.

Światło mruga dwukrotnie, by dać zgromadzonym znak, że koncert wkrótce się rozpocznie. Ludzie, którzy dotychczas kręcili się po widowni, teraz w pośpiechu zajmują miejsca, więc nie możemy dłużej rozmawiać z dotychczasową swobodą.

– A co z moją grupą?

Mąż patrzy mi w oczy.

– Twoja grupa to nie moje zmartwienie. Masz ogromny talent. Byłoby marnotrawstwem, gdybyś go nie rozwijała.

Zbija mnie z tropu tym stwierdzeniem, lecz po chwili przypomina mi się, jak zachowywał się wobec Paula. Zaczynam się zastanawiać, czy prawi mi komplementy i organizuje lekcje tylko po to, żeby odciągnąć mnie od dotychczasowego nauczyciela i reszty

grupy. Żeby odizolować od innych ludzi jeszcze bardziej niż do tej pory.

– Jericho – odzywam się, jednak nim udaje mi się dokończyć myśl, podchodzi do nas kobieta. Wygląda na przejętą.

– Pani Isabelle St. James?

Wpatrujemy się w nią oboje. Jest młoda, ubrana w czarne eleganckie spodnie i bluzkę tego samego koloru. Na piersi ma identyfikator z napisem „Amanda”.

– Zgadza się – odpowiadam.

– Mamy pewien kłopot. Właściwie to ogromny problem. Jedna ze skrzypaczek, które miały dzisiaj występować, utknęła w korku. Co prawda wchodzi ze swoją partią za dwadzieścia minut, jednak nie zdąży na czas. Paul powiedział, że pani mogłaby zająć jej miejsce.

– Słucham? Przecież nie mogę tak po prostu...

– Proszę. Partia nie jest długa, ale dość ważna. Spędziłaby pani na scenie jedynie dziesięć minut, a potem mogłaby wrócić na widownię i obejrzeć resztę koncertu.

Spoglądam na Jericha. Oczy ma zwężone, jakby coś mu tu nie grało. Przenosi wzrok z Amandy na mnie, lecz dziewczyna znów zaczyna mówić:

– Błagam, jesteśmy zdesperowani.

Kiwam głową i wstaję.

– Niedługo wrócę... Chyba – oznajmiam i ruszam za Amandą w stronę kulis, nim mąż zdąży otworzyć usta. – Gdzie jest Paul? – pytam jej.

– Tędy – odpowiada, nie zwalniając tempa.

Odchodzimy coraz dalej od widowni. Mija nas dwóch dekoratorów. Słyszę pierwsze dźwięki rozpoczynające koncert, a chwilę później oklaski. Spoglądam przez ramię, by wypatrzeć Paula. Gdy udaje mi się dostrzec go siedzącego na scenie, nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Jestem z niego taka dumna. Kiedy widzę, że trzy pozostałe krzesła są zajęte, przez głowę przebiega mi myśl, że spóźnialska skrzypaczka najwyraźniej dotarła na czas. Odwracam się z powrotem, żeby nadażyć za szybko oddalającą się Amandą. Za to mój mózg nie nadaża z przetwarzaniem tego, co się dzieje. Nic nie rozumiem. Dziewczyna rozplynęła się w powietrzu, a na jej miejscu stoi mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałam.

Chwieję się lekko, ale udaje mi się zatrzymać, nim na niego wpadam. Patrzy na mnie z góry, a coś w jego spojrzeniu sprawia, że cofam się o krok i... wpadam plecami na innego mężczyznę. Popatruję to na jednego, to na drugiego. Obaj ubrani są w garnitury, które wydają się zbyt ciasne i jakieś nie na miejscu.

Nieznamy stojący przede mną podchodzi do zamkniętych drzwi i je otwiera.

– Do środka – rozkazuje.

Odwracam się do tego za moimi plecami, a on popycha mnie do przodu. Krzyknęłabym, jednak wiem, że muzyka ze sceny i tak zagłuszy wszelkie dźwięki, więc kiedy mężczyzna kładzie mi rękę na plecach, ruszam niechętnie. Zatrzymuję się, gdy docieram do drzwi i widzę, kto znajduje się wewnątrz pomieszczenia. W głowie mam mętlik.

– Julia?

W garderobie jest dość ciemno i wszędzie walają się kostiumy. Na toaletce, przy której siedzi kuzynka, pełno kosmetyków do makijażu, a na skraju blatu pali się świeca zapachowa. Cynamon. Kiedyś uwielbiałam jego aromat, ale teraz sprawia, że żołądek wywraca mi się do góry nogami. Na kolanach Julii siedzi zaspany Matty.

Kuzynka wstaje i tuli do siebie syna. Mały ma na sobie piżamkę, ssie kciuk, a drugą rączką ściska kocyk-przytulankę z głową króliczka w jednym rogu. Główkę trzyma na ramieniu matki. Jest tak zmęczony, że ledwie daje radę uśmiechnąć się na mój widok.

– Dziękuję – mówi Julia do mężczyzny stojącego za mną. – Zaczekaj na zewnątrz.



– Oczywiście, proszę pani.

Przyglądam się, jak facet wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Kiedy odwracam się z powrotem w stronę kuzynki, ta się do mnie uśmiecha. Ona też wygląda na zmęczoną.

– Co się dzieje? – pytam i ściskam mocno ich oboje.

– Belle – szepcze Matty, nie wyjmując kciuka z buzi.

Całuję go w policzek i biorę od matki.

– Co ty tutaj robisz, kolego? Nie powinieneś już spać?

– Chciał się z tobą zobaczyć, a to był jedyny sposób. Tęskni za tobą. Pomyślałam, że skoro zbliża się rocznica... – Nie kończy.

Rocznica tragicznej śmierci Christiana.

Siadamy. Ona na krześle, z którego przed chwilą wstała, ja na kanapie zarzuconej kostiumami, na której znalazłam dość miejsca, by przycupnąć. Kładę dłoń na głowce Matty'ego i czuję, jak robi się cięższy, gdy odpływa w sen.

– Nie mogę uwierzyć, że to już trzy lata – mówię.

– Minęły nie wiadomo kiedy – przyznaje. – W każdym razie nie mamy zbyt wiele czasu. Z pewnością twój mąż esesman za kilka minut wyśle na poszukiwania całą armię.

Dziwi mnie nagły zwrot w rozmowie, lecz nie jestem pewna, czy dałabym radę ciągnąć z Julią temat włamania i zabójstwa brata. Albo z kimkolwiek innym.

– A ci faceci... Kim oni są? Jeden z nich mnie popchnął.

– Cholera, przepraszam. Powiedziałam im, że jesteś w ciąży. Mieli nie tknąć cię palcem.

– Ale kto to?

– Ochroniarze. Carlton wynajął ich dla mnie i Matty'ego po tym, jak twój mąż nam groził.

– Co zrobił?!

– Któregoś dnia przyszedł, żeby zobaczyć się z Carltonem. Nie mówił ci?

Nie wspominam, że wyczułam zapach jej perfum, który przylgnął do jego garnituru.

– Mówił. Podobno zastał tylko ciebie.

– Cóż, Jericho najwyraźniej nie lubi zadawać się z silnymi kobietami.

Nie wiem, jak zareagować na to stwierdzenie, lecz Julia kontynuuje, więc odsuwam wątpliwości na bok.

– Tak czy siak, spodziewał się, że zastanie Carltona, ale znasz swojego brata. Spędzał czas w Domu Kocic, jak zwykle zresztą.

– Carlton? W Domu Kocic? – Czuję, że brwi same podjeżdżają mi do góry ze zdumienia.

– W porządku, być może nie znasz go od tej strony. Nieważne. To nie z jego powodu tu przyszłam. Jakby się dowiedział, że zbliżyłam się do Jericha St. Jamesa na tak niewielką odległość, pewnie by mu odbiło.

– To może powiesz mi, co się właściwie wtedy stało?

Julia rzuca okiem na Matty'ego.

– Jericho przyszedł, żeby się chełpić twoją ciążą. Tym, że wykorzysta dziecko, by nam wszystko odebrać. Dom. Ziemię. Inne nieruchomości. I pieniądze, które jeszcze zostały.

– Słucham?

Kiwa głową.

– Nie wiem, jak zachowuje się wobec ciebie. Pewnie, zważywszy na okoliczności, obchodzi się z tobą jak z jajkiem. – Wskazuje dłonią mój brzuch, a ja mogłabym przysiąc, że przez moment widzę, jak w jej wzroku czai się coś mrocznego. – Wykorzysta to dziecko, by ukraść nasz majątek. Ostrzegałam cię, Isabelle, a ty i tak dałaś mu to, czego chciał.

– Niezupełnie.

– Nie? Czyżby cię zmusił? Nie żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Jestem przekonana, że policja i sądy siedzą mu w kieszeni. Nie mówiąc o Trybunale. Nie wiem, gdzie ty jesteś w tym wszystkim. Nie sądzę, żebyś myślała o założeniu rodziny.

– Nie myśla...

– Choć to nie będzie prawdziwa rodzina – kontynuuje.

Wydaje mi się, że mnie nie słucha, zajęta własnymi myślami. To do niej zupełnie niepodobne.

– Kiedy dziecko pojawi się na świecie, staniesz się zbędna. Skończysz jak Nellie Bishop i wszystkie inne kobiety z naszej rodziny, które miały to nieszczęście, że ich ścieżki przecięły się ze ścieżkami St. Jamesów. Powinnaś o nich poczytać. Twoja przyszłość jest zapisana w ich historiach.

– Co to ma niby znaczyć?

– On ci namiesza w głowie. Sprawia, że uwierzysz we wszystko, w co będzie chciał, byś wierzyła. Łatwo ulegasz wpływom, więc to dla niego żadne wyzwanie.

– Słucham?

– Nieważne. Nie mamy dużo czasu, daj mi skończyć. On groził Matty’emu, Isabelle, Matty’emu. – Jej oczy wypełniają się wilgocią.

– Co masz na myśli? – pytam, zerkając na główkę pokrytą blond loczkami, opartą o moje ramię. Ze swoją anielską twarzyczką chłopiec wygląda jak cherubinek.

– Kazał mi trzymać się od ciebie z daleka, bo inaczej rozprawi się z moją rodziną. – Julia wyciera zbłąkaną łzę, która toczy się po jej policzku.

– Co zrobił?! – Czuję, jak zaczynam drżeć. Mocniej przytulam do siebie Matty’ego.

– Posłuchaj, jestem pewna, że boi się, że poronisz i będzie musiał zaczynać wszystko od początku.

Sposób, w jaki to mówi, sprawia, że przypominam sobie, jak Jericho zachowuje się wobec Angelique. Zaczynam się zastanawiać nad losem własnego dziecka. Czy wobec niego będzie zachowywał się tak samo? Czy pokocha je równie mocno jak córkę? Julia wypowiada się o nienarodzonym maleństwie, jakby to w ogóle nie była ludzka istota, a zagrożenie albo broń, w zależności od tego, po której stronie się stoi.

– To tylko dziecko – protestuję.

– Wiem, słonko.

Dziwi mnie, że użyła takiego wyrażenia. Ona nie używa czułych słówek. Z drugiej strony to chyba nie miało być czułe słówko. Wymawia je w sposób, jakby zwracała się do osoby, którą uważa za gorszą od siebie. Poznałam Julię z tej strony, kiedy usłyszałam, jak odnosi się do kelnerów czy innego obsługującego ją personelu. I wcale mi się to nie spodobało.

– Dla mnie i dla ciebie to dziecko, lecz dla St. Jamesa to broń. A kiedy mu je urodzisz, nigdy więcej go nie zobaczysz. O ile w ogóle wyjdiesz z tego żywa.

Moim ciałem wstrząsa dreszcz, przez co Matty się porusza. Głaszczę go po główce i szepczę uspokajająco do ucha.

Julia sprawdza, która godzina, i zrywa się z miejsca.

– Powinnaś już wracać. Musiałam ci powiedzieć, co się stało, bo nie sądzę, żeby twój mąż zdobył się na szczerość w tej kwestii. Raczej nie przyznałby się, że groził czterolatki.

– Julio, on sam ma dziecko, nigdy by nie...

– Nie bądź naiwna! – przerywa mi ostro. Wygląda na wkurzoną. Sięga do torebki i coś z niej wyciąga.

Przyglądam się przedmiotowi, który leży na jej dłoni.

– Może nie będziesz potrzebować ich wszystkich, ale przezorny zawsze ubezpieczony.

– Co to takiego? – pytam i wstaję. Chłód przeszywa mnie do szpiku kości.

– Mifepriston i mizoprostol.

Gestykuje, bym wzięła od niej opakowania. Jest ich sześć, każde zawiera cztery małe tabletki po jednej stronie i pojedynczą większą po drugiej.

– Pigułki poronne? – „O cholera!”

– Pomogą ci pozbyć się problemu.

„Pozbyć się problemu?”

Nie mogę strząsnąć z siebie uczucia wszechogarniającego zimna, gdy przesuwam wzrokiem od twarzy kuzynki do trzymanyh przez nią pudełek.

– To tylko dziecko, Julio – powtarzam.

Kręci głową.

– Nie myśl tak o tym. To jedyny sposób, Isabelle. Musisz to zrobić dla własnego dobra. Dla nas. Dla Matty’ego. – Wcisną mi pigułki w dłoń i odbiera ode mnie syna. Mały coś mamrocze, ale bez trudu zasypia z powrotem. – Teraz wracaj. Nie wiem, co Jericho robi, jak zobaczy tutaj mnie i Matty’ego.

– Nie skrzywdziłby ani ciebie, ani jego. On taki nie jest.

– Myślisz, że go znasz? Nic o nim nie wiesz, Isabelle. Nie wiesz, do czego jest zdolny. A ja nie zaryzykuję życia własnego dziecka. Wracaj do męża, zanim zaczną cię szukać. Bo nie mam wątpliwości, że w końcu zaczną. Dopóki nosisz w sobie to coś, będzie cię szukał.

Wstrząśnięta jadem, którym ociekają jej słowa, stoję w kompletnym milczeniu.

Julia dostrzega wyraz mojej twarzy i wypuszcza ze zniecierpliwieniem powietrze.

– Po prostu to zrób, Isabelle. Pozbądź się go.

– Musi istnieć jakiś inny sposób.

Potrząsa głową i wychodzi, zostawiając otwarte drzwi. Patrę, jak pospiesznie przemyka do wyjścia, osłaniana przez dwóch osiłeków. Główna synka podskakuje na jej ramieniu. Widzę, jak przytulanka wysuwa się z jego rączki, zbyt zmęczonej, by ją utrzymać, i instynktownie chcę pobiec, by podnieść kocyk, lecz wtedy dobiega mnie głos Jericha. Słyszę, jak ostrzega kogoś, żeby zszedł mu z drogi.

Julia prześlizguje się przez wyjście na zewnątrz, a ja zastanawiam się gorączkowo, czy to możliwe, by miała rację. Czyżbym była aż tak naiwna? Czy mój mąż potrafiłby skrzywdzić kobietę lub, co gorsza, dziecko, byle tylko zdobyć to, na czym mu zależy? A potem zadaję sobie pytanie, czy ja byłabym zdolna zrobić to, o co prosiła kuzynka. Bo wiem, że pigułki trzymane przeze mnie w dłoni, nie tylko wyrządziłyby krzywdę dziecku, które noszę pod sercem.

One by je zabiły.

2. Konserwatorium Muzyczne w Oberlin w stanie Ohio, założone w 1865 roku, jest drugą najstarszą tego typu instytucją w USA i najstarszą działającą bez przerwy (przyp. tłum.).

## 16 JERICHO

Coś jest nie tak.

Wstaję, a siedzący za mną idioci nie potrafią ukryć rozdrażnienia. Sram na to. Szybkim krokiem idę w stronę miejsca, w którym Isabelle zniknęła mi z oczu. Jakiś facet zatrzymuje mnie przed drzwiami.

– W czym mogę panu pomóc? – pyta przyciszonym głosem.

– Moja żona tam jest. Amanda po nią przyszła. Muszę się z nią zobaczyć.

– Przykro mi, nie wpuszczamy gości za kulisy. Jeśli byłby pan tak miły i zajął z powrotem swoje miejsce, z pewnością...

– Spierdalaj mi z drogi!

– Proszę pana...

– Amanda, jedna z twoich koleżanek. – Ludzie zaczynają mnie uciszać. – Zabrała moją żonę.

Zabrała moją żonę. Ożeż kurwa!

– Proszę pana, nie pracuje u nas nikt o takim imieniu. Przykro mi, być może zaszła pomyłka. Gdyby mógł pan...

Odpycham go i wysupłuję telefon z kieszeni, przeciskając się jednocześnie przez wejście prowadzące za kulisy. Piszę SMS-a do Dexa. Każę mu rozejrzeć się dokoła budynku w poszukiwaniu Isabelle, a sam prę jak burza przez nieznanne pomieszczenia.

– Proszę pana! – Ktoś mnie zatrzymuje. Facet trzyma krótkofalówkę. – Chyba nie powinien pan tu przebywać.

Rozglądam się za jego plecami, ale na korytarzu nikogo więcej nie ma.

– Moja żona miała zastąpić jedną ze skrzypaczek.

Na twarzy mężczyzny maluje się zdziwienie. Pewnie bierze mnie za wariata.

– Zastąpić? Chyba zaszła jakaś pomyłka. Wszyscy muzycy weszli już na scenę – mówi i wskazuje ich palcem.

– Kurwa! – Wsuwam palce we włosy. – A Amanda?

– Bardzo mi przykro, lecz będę musiał prosić, żeby wrócił pan na swoje miejsce – oznajmia i rzuca coś do krótkofalówki. Chyba właśnie wezwał ochronę.

Odchodząc, rozglądam się po obszernej przestrzeni pełnej zasłon, korytarzy i ciemnych zakamarków. Na drugim końcu, w pobliżu drzwi, nad którymi wisi tabliczka z napisem „Wyjście”, udaje mi się coś wypatrzeć. Idę w tamtą stronę, a za mną podążają dwaj mężczyźni. Podnoszę przedmiot. To wytarty kocyk z głową króliczka w jednym rogu. Angelique miała kiedyś podobną przytulankę.

Chowam ją do kieszeni.

– Proszę pana! – wykrzykuje jeden z mężczyzn, gdy się ze mną zrównują.

W tej samej chwili dostrzegam żonę. Wychodzi z garderoby. Jest zarumieniona, a na jej twarzy maluje się poczucie winy.

– Isabelle. – W moim głosie pobrzmiwa ulga.

Usta dziewczyny rozciągają się w uśmiechu, który po chwili jednak blednie.

Mężczyzna z krótkofalówką odsuwa się ode mnie, a ja podchodzę do Isabelle.

– Udało się jej – mówi.

Wpatruję się w nią nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Słucham?

– Skrzypaczce. Koniec końców nie byłam potrzebna.

Przyglądam się jej badawczo. Coś jest nie tak.

Żona łapie mnie za rękę i odwraca się w kierunku, z którego przyszedłem.

– Wracajmy – dodaje.

Telefon wibruje mi w kieszeni. Wyciągam go i odczytuję wiadomość od Dexa. „Julia Bishop właśnie wsiadła do samochodu z dwoma zbirami i dzieciakiem. Co mam robić?”

Stoję przez chwilę nieruchomo, potem czytam wiadomość ponownie. Czuję, jak mózg kołacze mi się w czaszce. Odwracam się w stronę mojej kłamliwej żony. Usilnie stara się utrzymać ze mną kontakt wzrokowy. Nie umie łąć.

– Jesteś zarumieniona. Dobrze się czujesz?

– Mhm – odpowiada szybko.

– Możemy stąd iść.

– Nie, wszystko w porządku. Chcę zostać. Proszę.

Zmuszam się do uśmiechu. Kiedy telefon wydaje z siebie kolejną wibrację, spoglądam na wyświetlacz.

„Szefie?”

– Oczywiście – odpowiadam dziewczynie, po czym piszę do Dexa: „Jedź za nimi, ale tak, żeby cię nie zauważyli”.

Wracamy na miejsca. Obserwuję żonę, która udaje, że patrzy uważnie na scenę. Widzę, że pogrążyła się w myślach. Jest nieobecna duchem. Zatruję ją jad, który Julia Bishop wsączyła przed chwilą do jej ucha. A zważywszy na moją niedawną wizytę w rezydencji Bishopów, domyślam się, o co chodzi.

## 17 ISABELLE

Tej nocy Jericho nie zadaje mi więcej pytań. To dziwne i zupełnie do niego niepodobne. Spodziewałam się ostrego przesłuchania. Co ciekawe, po koncercie wracamy do domu taksówką. Mąż oznajmia, że Dex źle się poczuł, więc dał mu wolne. Ta historyjka zupełnie się nie klei, ale nie mam czasu nad nią rozmyślać, bo jak tylko przyjeżdżamy, Jericho odbiera telefon, każe mi się położyć i znika w swoim gabinecie.

Idę na górę, zadowolona, że będę mieć trochę czasu tylko dla siebie. Po przekroczeniu progu sypialni idę do łazienki. Zamek nie działa. Jericho wyłamał go tego dnia, gdy zorientowałam się, że jestem w ciąży. To nie przeoczenie z jego strony, że do tej pory nie kazał go naprawić. Wyciągam tabletki z torebki. Przyglądam się im, zawieszam wzrok na dziwnym, sześciobocznym kształcie czterech mniejszych. Pigułki poronne.

Julia dała mi narzędzie, dzięki któremu mogłabym przerwać ciążę. Nazwała dziecko „tym czymś”. Stwierdziła, że to broń. Nie odpowiada mi takie podejście do sprawy. To dziecko jest istotą ludzką. Nowym życiem. Czyżby kuzynka już go nienawidziła? Nie, niemożliwe. Po prostu się boi. Rozumiem ją. Mój mąż potrafi budzić grozę. To diabeł. Tak właśnie pomyślałam, gdy ujrzałam go po raz pierwszy. Rogaty diabeł. Skoro groził Matty’emu, to, no cóż, rozumiem desperację Julii. A dziś wieczorem wyglądała na naprawdę zdesperowaną.

Lecz Jericho St. James ma także inną stronę. Widziałam ją tamtej nocy, kiedy dla niego grałam. Dostrzegłam ją w jego lśniących wilgocią oczach, gdy siedział zasłuchany. Dostrzegam ją za każdym razem, kiedy spogląda na córkę. On także jest człowiekiem. Także ma ludzkie uczucia. I drzemie w nim jakaś bezbronność. Ją zobaczyłam w tamtym pokoju w piwnicy.

Słyszę, jak otwierają się drzwi sypialni.

– Isabelle?

To Jericho. Pospiesznie wrzucam tabletki na dno szuflady – później ukryję je lepiej – i zaczynam myć zęby. Mąż puka do łazienki i wchodzi, nie czekając na zaproszenie. Przez głowę przebiega mi myśl, czy nie mam poczucia winy wypisanego na twarzy, więc schylam głowę, by wypłukać usta. Biorę ręcznik, który Jericho mi podaje, i wycieram twarz.

– Masz zamiar naprawić zamek?

– Nie.

– Nie ufasz mi.

– A powinienem? – Pytanie retoryczne. – A ty mi ufasz, Isabelle?

Nie silę się na odpowiedź.

– Tak myślałem – stwierdza po chwili.

Sięga do kieszeni i wyciąga z niej przytulankę Matty’ego. Patrę na nią z bijącym sercem. Przecież nie wie, do kogo należy zabawka. Skąd miałby wiedzieć?

Podnoszę na niego wzrok. Mruży oczy, ale się nie odzywa.

– Chodź – mówi w końcu i wpycha przytulankę z powrotem do kieszeni.

Pozwalam wyprowadzić się z łazienki i potulnie idę za nim do jego sypialni. Tam mnie rozbiera, badawczo mi się przyglądając. Widzę pionową zmarszczkę między brwiami męża, dostrzegam intensywność spojrzenia.

– Mogę to robić – mówię, kiedy stoję tylko w samej bieliźnie.

Jericho przenosi wzrok na moje piersi. Stały się pełniejsze i bardziej tkliwe. Kładzie mi na brzuchu ogromną dłoń, zakrywając go niemal w całości, a ja zastanawiam się, co uczynił tymi

rękoma. Kogo nimi skrzywdził. Przypominam sobie, jak się odgrażał, że poucina łapy każdemu mężczyźnie, który ośmieliłby się mnie tknąć. Czy skrzywdziłby Julię, gdyby wiedział, co mi dzisiaj dała? Czy skrzywdziłby ją, gdyby się wydało, że jeden z ludzi wynajętych przez Carltona do jej ochrony mnie popchnął? Czy im także poucinałby ręce?

Kiedy wracam do niego wzrokiem, widzę, że przygląda mi się w skupieniu. Ależ z nas para. Wrogowie. Kochankowie. Każde utrzymujące coś w tajemnicy przed drugim.

Jericho podnosi z łóżka koszulkę Christiana i zakłada mi ją. Odwraca mnie, przyciąga plecami do siebie i ponownie kładzie dłoń na moim brzuchu zaborczym gestem. Zakłada mi włosy za ucho, całuje w policzek, potem w kark, po czym zbliża wargi do mojego ucha.

– Okłamałaś mnie dzisiaj – szepcze.

Kiedy próbuję się od niego odsunąć, by móc się odwrócić i spojrzeć mu w twarz, nie pozwala mi.

– Ty i ja mamy wielu wrogów, Isabelle. To bezwzględni ludzie, a ty dajesz im nad nami przewagę, gdy mnie okłamujesz.

Udaje mi się odwrócić głowę na tyle, by popatrzeć mu w oczy.

– Zamierzasz mnie skrzywdzić, kiedy dziecko się urodzi?

Potrząsa przecząco głową.

– Zamierzasz mi je odebrać? – dopytuję.

– Nie daj się wodzić Julii za nos.

– Powiedziała, że groziłeś Matty’emu. – Nie potrafię nic wyczytać z jego twarzy. – To prawda?

– Nigdy nie skrzywdziłbym dziecka. Naprawdę musisz o to pytać? – Puszczą mnie, więc siadam, bo nogi mi się trzęsą. – Co ona ci nagadała?

– Nic. Nie powiedziała nic więcej – znów kłamię. Po raz drugi dzisiejszej nocy. Tym razem przychodzi mi to z większą łatwością.

– Jasne. Może sam ją o to zapytam?

– Napędziłeś jej strachu.

– Doprawdy? Skoro tak się mnie boi, to jakim cudem odważyła się wyciąć dzisiejszy numer?

Otwieram usta, żeby po kilku sekundach je zamknąć. Jericho ma rację. Po co przyjechała na koncert? Po co zabierała ze sobą Matty’ego? Skąd w ogóle wiedziała, że tam będę? Może coś wspominałam dawno temu, a może Paul jej powiedział. Nie wiem.

– Ona z tobą pogrywa, Isabelle. Pogrywa z nami.

– Z nami?

– W dodatku to działa. – Wyciąga z kieszeni przytulankę Matty’ego. – Może powinienem to zwrócić? Przy okazji mógłbym przypomnieć twojej kuzynce, żeby trzymała się z daleka od mojej rodziny.

Robi krok w stronę drzwi, a ja aż podskakuję. Mój mózg ledwie rejestruje, że użył słowa „rodzina”. Chwytam go za ramię obiema rękami.

– Nie możesz ich skrzywdzić. To moi bliscy. Błagam!

Jericho przenosi wzrok w dół, na miejsce, w którym go trzymam. Zacisnęłam palce wokół twardego bicepsa niczym szpony. Potem spogląda mi w oczy, odrywa od siebie moje dłonie i krępuje je za plecami. Moje piersi się unoszą, sutki ocierają się o jego klatkę piersiową.

– Nie robię krzywdy dzieciom.

– A kobietom?

Jericho zastyga.

– A ciebie skrzywdziłem? – pyta po chwili.

Jego słowa sprawiają, że tracę rezon.

– Przecież mogłem. Może nawet powinienem. – Rusza, zmuszając mnie, bym szła w stronę łóżka. – Ale czy to zrobiłem?

Kręcę przecząco głową, a on kiwa w taki sposób, jakby moje zaprzeczenie wiele dla niego znaczyło. Przyciąga mnie do siebie, wolną ręką odrzuca pościel.

– Wskakuj do łóżka, Isabelle.

Telefon Jericha zaczyna wibrować, więc mnie puszcza, żeby odczytać SMS-a. Siadam i przyciągam kolana do brody. Kiedy podnosi wzrok znad ekranu, ma zupełnie inny wyraz twarzy. Między brwiami dostrzegam pionową zmarszczkę, która oznacza, że się martwi.

– Coś się stało?

– To była długa noc – odpowiada i okrywa mnie kocem.

– Co zamierzasz zrobić?! – wołam za nim, gdy jest już pod drzwiami.

Odwraca się i przygląda mi się przez moment.

– Nie składać wizyty twojej kuzynce, jeśli to pozwoli ci spokojnie zasnąć.

Oddycham z ulgą. Mąż to dostrzega i najwyraźniej ten fakt go irytuje. Wraca do mnie, dotyka mojego policzka grzbietem dłoni, którą po chwili kładzie na głowie. Wplątuje palce we włosy i gładzi mnie po skórze. Mógłby sprawić mi tym ból, ale tego nie robi. Obchodzi się ze mną delikatnie. Jak z jajkiem, zgodnie ze słowami Julii.

– Powinnaś przejmować się tylko jedną kwestią, Isabelle. Tylko jedną.

Przełykam ślinę, a Jericho przysuwa wargi do mojego policzka, składa na nim pocałunek i szepcze:

– Cokolwiek robisz, pamiętaj, żeby mnie nie zdradzić.

\* \* \*

Nie mogę zasnąć. Nie wiem, czy z powodu rozmów, które przeprowadziłam najpierw z Julią, a później z mężem, czy może przez zbliżającą się rocznicę. Obawiam się, że znów nadejdzie ten sen. Nie wiem go często, raptem kilka razy w roku. Ostatnim razem zdarzyło się to, kiedy spałam z Jerichem. Nie chciałabym, żeby się powtórzyło. Ale poznałam już wzór. Mój mózg zwiększa częstotliwość koszmarów w tygodniach poprzedzających rocznicę tragicznej nocy.

Jericho wyszedł ponad godzinę temu i pojechał gdzieś tym swoim małym sportowym samochodem. Żałuję, że nie mam możliwości skontaktować się z Julią, choć wierzę mężowi, że nie zamierza odwiedzić mojej kuzynki. Po prostu chciałabym ją ostrzec, że Jericho wie o jej obecności na koncercie.

Idę do łazienki i otwieram szufladę, do której wrzuciłam tabletki. Boję się pomyśleć, co mąż zrobiłby Julii, gdyby się dowiedział, że mi je dała. Z pewnością by ją skrzywdził. Nie mam co do tego wątpliwości.

Powinnam się ich pozbyć, spuścić w toalecie. Zapewnić kuzynce bezpieczeństwo. Nie planuję ich łykać. Lecz z jakiegoś powodu postanawiam je zostawić. Wkładam pastylki do małej, zamykanej na zamek kieszonki wewnątrz futerału na skrzypce i wracam do sypialni. Zakładam dżinsy, ciepły wełniany sweter oraz tenisówki. Idę na dół do kuchni i otwieram szafkę, w której kiedyś zauważyłam latarkę. Wyjmuję ją, sprawdzam, czy baterie działają, po czym wychodzę z domu tylnym wyjściem.

Czy gdybym nie była w ciąży, Jericho zachowywałby się wobec mnie z równą zaborczością? Czy traktowałby z taką delikatnością? Przypominam sobie, że nie udzielił żadnej odpowiedzi, gdy zapytałam, czy odebrałby mi dziecko. Być może powinnam uznać jego milczenie za odpowiedź.

Przechodzę przez patio, a kiedy znajduję się na skraju lasu, włączam latarkę. Dzisiejszej



nocy wieje chłodny wiatr, ale dla odmiany niebo jest czyste. Obciążam rękawy swetra aż do połowy dłoni i ruszam szybkim krokiem w stronę kaplicy. Cieszę się, że włożyłam tenisówki. Wiem, czego mogę się spodziewać między drzewami.

To nie zachowanie Jericha sprawiło, że postanowiłam wyjść na potajemny spacer w środku nocy, tylko słowa kuzynki: „Powinnaś o nich poczytać. Twoja przyszłość jest zapisana w ich historiach”. Zamierzam zrobić to dzisiaj. Nie wiem, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam. Chyba po prostu zapomniałam o księdze spoczywającej na ołtarzu w niewielkiej świątyni. Docieram do cmentarza i rozglądam się dokoła. Jakaś część mnie pragnie wrócić do domu i wślizgnąć się do łóżka. Poczucie się bezpiecznie, nawet jeśli owo poczucie bezpieczeństwa jest w najlepszym wypadku chwilowe, a w najgorszym – złudne.

Otwieram skrzypiącą furtkę i wchodzę. Mój wzrok wędruje w kierunku grobu Nellie Bishop. Dostrzegam pustą butelkę po whisky, częściowo zagrzebaną w błotnistej ziemi, rozmokłej przez deszcze padające przez kilka ostatnich tygodni. To chyba ta sama, którą Jericho upuścił tamtej nocy, gdy oskarżyłam go, że jest okropnym ojcem dla Angelique. Tamtej nocy, gdy postradał zmysły, kiedy zobaczył, że uprzątnęłam i udekorowałam grób Nellie.

Podchodzę do pomnika. Zdążył już zarosnąć chwastami. Powinnam o niego zadbać. Jutro się nim zajmę. Dzisiejszej nocy mam do wykonania inną pracę.

Robię kilka kroków w stronę kaplicy, gdy dostrzegam na ziemi niedopałki papierosów. Widzę trzy. Przykucam, żeby przyjrzeć się im dokładniej. Ktoś musiał wyrzucić je niedawno, bo w przeciwnym razie rozmokłyby na deszczu. Zastanawiam się, czy któryś z naszych pracowników pali. Może ogrodnik?

Otrzeputuję dłonie, wstaję i idę do kaplicy. Wchodzę po schodach, z trudem otwieram ciężkie drzwi i przypominam sobie ostatni raz, kiedy tu byłam. No, właściwie nie w samej kaplicy, tylko w pomieszczeniu na tyłach. Tam, gdzie stoi pręgierz. Na to wspomnienie motyle zaczynają poruszać skrzydełkami w moim brzuchu, ale potrząsam głową. Trawiące mnie pożądanie jest zupełnie nie na miejscu. Powinnam czuć coś zupełnie innego. Zastanawiam się, czy to hormony wypaczają moje postrzeganie rzeczywistości, czy to one sprawiają, że wydaje mi się, że czuję do męża coś, co tak naprawdę nie istnieje. I nie powinno istnieć. Jericho St. James to człowiek pełen sprzeczności. Jego zachowanie mąci mi w głowie. Jego zaborczość. Jego opiekuńczość. Jest jak drapieżnik, który czai się pod maską obrońcy.

Ponownie wracam myślami do słów Julii. Do tego, że mąż mi nie odpowiedział. Może po prostu zadałam niewłaściwe pytanie.

Wchodzę do kaplicy, w której pali się tylko wieczna lampka. Podobnie jak poprzednio, nozdrza wyławiają nikły zapach kadzidła, który jednocześnie stanowi pocieszenie i powód do zmartwienia. Zastanawiam się, kto je tutaj pali i kiedy przyjdzie ponownie, by to zrobić.

Przechodzę wzdłuż głównej nawy, po drodze przyglądając się płytom nagrobnym w podłodze. Odczytuję imię Draki oraz daty jego narodzin i śmierci. Nie zatrzymuję wzroku na płycie Mary. Dziewiętnaście lat to stanowczo za młody wiek na odejście z tego świata. Na odebranie sobie życia. Myślami kieruję się ku Nellie Bishop. Czy aby na pewno popełniła samobójstwo? Sama rzuciła się w głąb studni? A może to Draca ją zamordował?

„Powinnaś o nich poczytać. Twoja przyszłość jest zapisana w ich historiach”.

Drzę na wspomnienie słów kuzynki, choć nie potrafię świadomie wytłumaczyć dlaczego. Co wie Julia? Nie wątpię, że posiada informacje na temat paskudnej historii naszych rodzin. Ale czego mogła się dowiedzieć? I ile wieIVI? Kuzynka musiała zdobyć informacje od nich. A może Carlton jej powiedział. Albo znalazła jakieś zapomniane źródło w rodzinnej bibliotece Bishopów. Chociaż nie potrafię sobie wyobrazić, by znajdowało się w niej wiele książek na temat St. Jamesów. No chyba że Bishopowie ukradli im coś w ciągu kilku ostatnich stuleci. Jak się nad

tym zastanowić, to wcale nie taka oburzająca myśl. W końcu rodowa waśń trwa od setek lat.

Kiedy podchodzę do ołtarza, odkładam latakę i zapalam wszystkie świece. Stoi ich tutaj pół tuzina. Księga Draki leży przez nikogo nieporuszona od mojej poprzedniej wizyty. Położona na ołtarzu niczym Pismo Święte, jakby czczono tu słowa protoplasty rodziny St. Jamesów.

„Draca” oznacza smoka. Zgaduję, że to stąd wziął się rodowy herb. Czuję mrowienie na plecach, gdzie zostałam wytatuowana, a moim ciałem wstrząsa nagły dreszcz. Czerpię swego rodzaju otuchę na myśl, że Jericho naznaczył mnie swoim znakiem, dał mi ochronę przed tym okropnym człowiekiem, który zije nienawiścią nawet zza grobu. A jedynym powodem jest krew krążąca w moich żyłach.

Podnoszę ciężkie tomiszcze z podstawki i kładę przed sobą. Kiedy otwieram księgę, nie mogę się powstrzymać i zerkam przez ramię na drzwi wejściowe, jakbym była złodziejką. Czuję się winna.

Z początku uderza mnie jej piękno. Ludzie powinni ją oglądać jako eksponat w muzealnej gablocie. Pewnie nie należało jej dotykać bez rękawiczek, ale tak sobie tu leży, najwyraźniej używana przez członków rodziny, a ja potrzebuję informacji. Muszę się dowiedzieć, czy Julia ma rację. Nie, muszę udowodnić, że się myli. Że myli się na temat mojej przyszłości. Na temat Jericha. Bo jedno wiem na pewno. I będę się przy tym upierać. Nie chcę, żeby mąż był moim diabłem. Pragnę, by był moim aniołem.

Zabieram się więc za czytanie historii Draki. Poznają powiązania St. Jamesów z IVI i skromne początki rodziny. Dowiaduję się, jaką pracę wykonywał Draca dla Socjety i jak własnymi rękami zgromadził majątek dla siebie i swego rodu. Widzę, jak ciężkie miał życie.

Miejscami trudno mi odczytać manuskrypt. Charakter pisma jest staroświecki, a atrament gdzieś zblakł. Ale kiedy w końcu dostrzegam pierwszą wzmiankę o Bishopach, cofam się o kilka stron, żeby się upewnić, że nic mi nie umknęło.

Draca St. James i Reginald Bishop pałali do siebie nienawiścią od samego początku. Od czasu, gdy Draca pracował dla rodziny Bishopów. Kiedy się wzbogacił i stał cenniejszy dla stowarzyszenia, Reginald nie mógł tego ścierpieć. A przynajmniej tak widział to przodek mojego męża.

Czytam, jak kupił od wrogiego rodu ziemię. Tę część historii Jericho pominął w swojej opowieści. Draca uciekł się do podstępów. Właściwie nie doszło do oszustwa, transakcja została sfinalizowana legalnie. St. James po prostu postarał się, by Bishop został zapędzony w kozi róg, gdy przedstawiał swoją ofertę. Bo Reginald podpadł członkom Socjety. Według Draki był hazardzistą i pijakiem.

Przeskakuję kilka stron, na których Draca rozpisuje się o nienawiści do rywala. Jest tak ekspresywny, że aż drzę i co rusz spoglądam przez ramię na kamienną płytę przykrywającą jego grób, jakbym się spodziewała, że za chwilę ją odrzuci i wylezie ze środka, ożywiony przez własną wrogość.

Podnoszę księgę i idę z nią do jednej z ławek. Siadam, kładę tomiszcze na kolanach i przerzucam kilka kolejnych kartek, aż w oczy rzuca mi się imię Mary. Jej historia została opisana dokładnie tak, jak opowiedział mi ją Jericho. Draca zakochał się w dziewczynie od pierwszego wejrzenia i poślubił zaledwie kilka tygodni później. Wtedy jeszcze nie istniał mur oddzielający obydwie posiadłości. Zastanawiam się, czy to, co się jej przytrafiło, stało się powodem jego wzniesienia.

Historia Mary tchnie smutkiem. Czytam ją dokładnie, słowo po słowie. Nawet fragment, w którym Draca znajduje ukochaną żonę zwisającą z drewnianej belki sufitowej w piwnicy domu, jaki dla nich budował. Według przekazu feralne pomieszczenie było ich sypialnią. Łapię się na tym, że zaczynam współczuć Drace St. Jamesowi. Czuję jego ból. Jego stratę. Złamane

serce. I w pewien sposób rozumiem nienawiść, która nim zawładnęła, choć wciąż nie potrafię się pogodzić z faktem, że przeniósł ją na wszystkich Bishopów.

Kolejny raz spoglądam na grób mężczyzny i ciarki przebiegają mi po plecach. Przewracam kartkę. Następna strona jest tak zniszczona, że wielu wyrazów nie udaje mi się odczytać, więc idę dalej, dopóki nie natrafiam na imię Nellie nagryzłone wściekłymi, wielkimi literami na samej górze. Ten fragment znacząco różni się od opowieści, którą autor snuł wcześniej. Tym razem Draca nie silił się na pisanie romantycznej baśni. Dla niego Nellie nie była osobą. Była rzeczą. Nikim. Pionkiem w grze. Zupełnie jak ja.

Wiem, że ta myśl... Że te słowa są prawdziwe. Jestem pionkiem Jericha. Pionkiem diabła. Pytanie tylko, czy przetrwam tę grę. Czy przeżyję czarcią zemstę. I czy to możliwe, bym stała się jego odkupieniem.

Na stronie poświęconej Nellie Bishop Draca wypunktował to, co miał do powiedzenia na jej temat. Robi mi się niedobrze, gdy to czytam.

Pierwszy punkt dotyczy nocy, gdy wziął ją do siebie, oraz inicjacji Rytuału. Ówczesny Rajca, mężczyzna nazwiskiem David Bonaventure, podpisał dokumenty, na mocy których oddał Nellie St. Jamesowi.

Drugi punkt stanowi opis kobiety. Draca rozebrał ją do naga i dokładnie obejrzał. Potem kazał wykonywać te same prace, jakie wykonywali najpośledniejsi służący. W dodatku nieważne, czy szorowała podłogę, czy opróżniała nocnik, wszystko musiała robić nago. Często budził ją w środku nocy i kazał przynosić kubek wody. Wykorzystywał ją, aż dziewczyna całkiem opadła z sił i wyglądała jak szkielet obleczony skórą.

Przed oczami staję mi noc, kiedy trafiłam pod dach Jericha. Przypominam sobie, jak mnie rozebrał. Widzę pewne podobieństwa do tego, co zrobił Draca, ale podczas gdy tamten zachowywał się bezlitośnie, Jericho oddał mi koszulę zdjętą z własnych pleców, wciąż przesiąkniętą ciepłem jego ciała.

Draca wspomina, jak wykorzystywał Nellie seksualnie, lecz zawsze dbał, by nie zostawić nasienia w miejscu, w którym mogłoby zapaść korzenie. Na następnej stronie opisuje pierwszą grę, w którą z nią zagrał. Nazwał ją zabawą w kotka i myszkę. Zasłaniał kobiecie oczy i w środku nocy zabierał w jakieś miejsce w obrębie posiadłości, a potem zmuszał, by odnalazła drogę do studni w czasie tak krótkim, że – jak sam pisał – nikomu nie mogło się to udać. Kiedy przychodziła na miejsce zbyt późno, wymierzał jej karę. Och, jakież okrutny był w ich wymyślaniu. Ja i Jericho także graliśmy w tę grę, a przynajmniej w podobną. Czy gdybym się nie przewróciła, nie uderzyła w głowę i nie zemdląła, Jericho ukarałby mnie tak jak Draca karał Nellie? Nadal pamiętam, co powiedział tamtej nocy. Zamierzał upuścić mi krwi.

Zastanawiam się, czy nie zamknąć książki. Mam ochotę wracać do domu, do łóżka, do ciepła i otuchy, które mi ofiarowuje. Chciałabym zapomnieć to, co przed chwilą przeczytałam, lecz słowa Julii nie dają mi spokoju. „Powinnaś o nich poczytać. Twoja przyszłość jest zapisana w ich historiach”.

Moje dni są policzone. Dotykam brzucha. Zostało mi dziewięć miesięcy. Właściwie mniej.

Zmuszam się, by przeczytać kolejny akapit. To dokładny opis, jak któregoś dnia Draca przyprowadził Nellie do tej właśnie kaplicy. Przykuł nieszczęsną do ołtarza i chłostał dopóty, dopóki nie zaczęła krwawić, a jej krew wsiąkała w kamienną podłogę. Podnoszę wzrok i patrzę na ołtarz. Czy łańcuchy wciąż gdzieś tam są, schowane w mroku?

Przewracam stronę. Jericho powiedział, że mnie nie skrzywdzi, ale kiedy wodzę oczami po kolejnych liniijkach tekstu, znów zaczynam się zastanawiać, czy aby na pewno zadałam właściwe pytanie. Być może powinnam spytać, czy zamierza mnie zabić, kiedy urodzę mu

dziecko.

Draca St. James kazał Nellie wykopać własny grób w noc przed jej straceniem. Miała umrzeć w wyniku egzekucji, lecz rankiem znaleziono ciało kobiety w studni. Robi mi się niedobrze, kiedy czytam żale tego okrutnika. Poczuję się niewyobrażalnie rozczarowany, że nie mógł własnoręcznie zamordować niewinnej dziewczyny. Że stracił możliwość powieszenia żony na drzewie, na którym ojciec widziałby, jak rozkładają się zwłoki córki, aż trzeba by je było pochować ze względu na nieznośny smród i wszechobecne roje much.

Słowa Draki sprawiają, że czuję się fizycznie chora. Zamykam księgę. Chcę znaleźć się jak najdalej od niej i wyszorować dokładnie każdą część ciała, którą ją dotknęłam. Chcę uciec z tego przekłętego miejsca. Wstaję, zapomniawszy o trzymanej na kolanach latarce. Ta z głośnym stukotem spada na kamienną posadzkę. Głuchy odgłos odbija się od ścian. Muszę się schylić i wyciągnąć rękę, żeby wydobyć ją spod ławki.

W tym momencie słyszę, jak otwierają się drzwi kaplicy. Mogłabym przysiąc, że na dźwięk kroków serce przestaje mi bić i podchodzi do gardła. Chociaż przykucnęłam pomiędzy ławkami, moją obecność zdradza światło latarki.

Kiedy podnoszę wzrok, przypomina mi się, o co kiedyś zapytał mnie Jericho. Zastanawiał się, czy potrafiłabym odróżnić go od brata, gdyby obaj mieli na twarzach maski. Są podobnie zbudowani, mają podobny chód, w podobny sposób stoją. Ale zanim udaje mi się spojrzeć w twarz Ezekiela, wiem, że to on. Rozpoznaję go po wodzie kolońskiej. Zapach różni się nieznacznie, lecz dla mnie wyraźnie, od tego, jaki zazwyczaj otacza mojego męża.

Już mam spojrzeć w oczy mężczyźnie, który przede mną stoi, gdy przechodzi mi przez głowę, że powinnam czuć ulgę, że to nie Jericho. Powinnam. Jednak wcale nie czuję.

## 18 JERICHO

Spotykam się z Dexem w Siódmej Dzielnicy<sup>3</sup>, przy tej samej ulicy, przy której stoi zrujnowany budynek. Nasze samochody wyróżniają się na tle zniszczonych pojazdów.

Zadzwoił do mnie zaraz po tym, jak przywiozłem Isabelle do domu. Gdy wyjaśnił powód, wiedziałem, że muszę przyjechać i zobaczyć to na własne oczy.

Parkuję, a Dex wysiada z rolls-royce'a. Widzę, jak za pasek od spodni wsuwa pistolet.

– Który to dom? – pytam.

– Na końcu ulicy. Drzwi od garażu się nie domykają.

– Jesteś pewien?

– Na sto procent. Zaparkowali na podjeździe. Musiała zostawić dzieciaka w aucie, bo nie robili postoju nigdzie po drodze. Razem z dwoma facetami weszła do środka. A to ci się spodoba... Czekając na ciebie, zrobiłem małe rozeznanie. Zgadnij, do kogo należy nieruchomość.

Odwracam się do niego z zaciekawieniem.

– Nie mów mi, że do Bishopów.

– Nie, jeszcze lepiej. Na akcie własności figuruje nazwisko Marjorie Gibson.

– Gibson?

Coś mi to mówi, ale nazwisko jest dość powszechne.

– Matka Danny'ego i Geralda Gibsonów. Ten pierwszy odsiaduje karę dożywotniego pozbawienia wolności za zabicie Christiana Yorka.

Staję w miejscu i próbuję przetrawić wiadomości, które właśnie usłyszałem, gdy Dex dodaje:

– Marjorie nie żyje, gdybyś był ciekaw. Jakies sześć lat temu zmarła na zawał. Wiecznie splukani synalkowie pomieszkiwali w jej domu, czasem razem, czasem osobno. Tak przy okazji, większość informacji jest dostępna w rejestrach publicznych.

– Jaja sobie ze mnie, kurwa, robisz? Julia Bishop wynajęła brata Danny'ego Gibsona, żeby przejechał Isabelle?

Wzrusza ramionami. Chwilę później docieramy na miejsce. W środku gra telewizor, przez zasłonki widać migające kolory, przez zamknięte okno dobiegają nas dźwięki reklamy.

– Nie ruszał się stąd od czasu, jak odjechali – oznajmia Dex.

Zaglądam do garażu przez niedomykające się drzwi. Najwyraźniej skrzydło gdzieś się zaklinowało. Pochyliam się i widzę białą furgonetkę z brudną tablicą rejestracyjną. Ruszam podjazdem, kiedy spostrzegam trzech hałaśliwych mężczyzn przechodzących przez ulicę. Zatrzymują się, by otaksować nas wzrokiem, lecz kiedy Dex robi dwa kroki w ich stronę, czmychają. To nastolatki, a mój podwładny potrafi wyglądać groźnie. Między innymi dlatego go zatrudniłem.

Podchodzę z powrotem do garażu, telewizor nadal bębni. Dex stoi na czatach. Najpierw wsuwam do środka głowę, a potem wchodzę. Wyciągam telefon i włączam latarkę, żeby się upewnić, że to ta sama furgonetka. Rozpoznaję kilka pierwszych cyfr numeru rejestracyjnego.

Okno od strony kierowcy jest otwarte. Zapuszczam żurawia do wnętrza, lecz atakuje mnie taki smród, że muszę wstrzymać oddech. Wszędzie widzę porzucane puste opakowania po żarciu z tanich fast foodów. Dostrzegam także opróżnioną do połowy paczkę papierosów, kilka zapalniczek, walające się wszędzie śmieci. Pod lusterkiem wstecznym dynda pluszowy miś

powieszony za szyję. Właściciel auta to chory pojeb.

Wyłączam latarkę i wychodzę na zewnątrz. Razem z Dexem stoimy na słabo oświetlonym podjeździe.

– Wchodzimy? – pyta Dex.

Chciałbym. Zajebicie. Kręcę jednak przecząco głową.

– Sprowadź paru chłopaków. Niech go pilnują.

Dex kiwa głową.

– Mam zawiadomić IVI?

– Nie. Weź swoich ludzi. Nie chcę, by ktokolwiek zbyt wcześnie się zorientował, że coś wiemy.

– Jasne – rzuca. W międzyczasie zdążył już wyciągnąć telefon z kieszeni i zaczął pisać SMS-a.

Otwierając drzwi auta, rzucam przez ramię spojrzenie na dom. Jeśli wcześniej miałem wątpliwości, czy Julia jest zamieszana w intrygę Carltona, to właśnie się ich pozbyłem. Niestety to odkrycie komplikuje sytuację, bo Isabelle jej ufa. Ich relacja znacząco różni się od tej, jaką moja żona ma z bratem. Muszę także wziąć pod uwagę dziecko Julii.

Wsiadam do samochodu i odpalam silnik. Jeżeli ze względu na Isabelle przez chwilę żywiłem nadzieję, że sprawy z Julią mają się inaczej, to ta chwila właśnie minęła. Wygląda na to, że wszystko kompletnie się spieprzyło.

3. Jedna z siedemnastu dzielnic Nowego Orleanu i trzecia co do wielkości. Bardzo ucierpiała podczas huraganu Katrina w 2005 r. (przyp. tłum.).

## 19 ISABELLE

- Co tu robisz, Isabelle? – pyta Ezekiel i wyciąga rękę, żeby pomóc mi wstać.  
Chwytam latarkę i przyjmuję podaną dłoń. Podnoszę się z drobną pomocą szwagra. Otrzeputuję dzinsy, żeby kupić sobie trochę czasu.
- Ja tylko... Nie mogłam zasnąć.  
Zeke puszcza mnie i schyla się po księgę.
- Nie lepiej było wypić kubek ciepłego mleka? – pyta jak gdyby nigdy nic. W skupieniu prostuje zagiętą kartkę i czyta jej treść. To jedna z tych o Nellie. – A jak chciałaś coś poczytać, to w domu jest biblioteka. – Zamyka tomisko i odkłada na ołtarz.
- Nie wiedziałam, że wróciłeś.  
– Skąd miałybyś wiedzieć? Właśnie przyjechałem. – Przygląda mi się uważnie, zatrzymując wzrok na warstwie kurzu wciąż zdobiącej moje kolana. – Co tutaj robiłaś? Tylko nie mów, że przyszłaś się pomodlić.
- Pokłóciłam się z twoim bratem. Nie, właściwie nie można tego nazwać kłótnią. Po prostu... sprawy się skomplikowały. – Biorę głęboki wdech. Ezekiel nie jest głupi, więc nie próbuję wymyślać żadnej historyjki, by usprawiedliwić swoją obecność w kaplicy. To byłoby bez sensu. – Chciałam się dowiedzieć, co Draca zrobił Nellie.
- Wskazuję grób jego przodka.
- Żeby przygotować się na to, co Jericho może zrobić tobie?  
Nie odpowiadam.
- Hmm. – Zeke marszczy czoło, a w jego oczach widać głębokie skupienie. Przygląda mi się tak samo jak brat, jakby przewiercał mnie wzrokiem na wylot. – Czy ta wiedza ci w jakiś sposób pomogła?  
Pocieram dłońmi ramiona, bo nagle zrobiło się zimno. Zaprzeczam ruchem głowy.
- Niezły był z niego numer, co? – pyta Ezekiel, wodząc palcami po rzeźbionej drewnianej okładce książki.
- Nienawidził Nellie, chociaż biedaczka nie miała nic wspólnego z tym, co stało się z Mary. To jej ojciec ponosił całą odpowiedzialność.
- Grzechy ojca... Wiesz, jak to idzie dalej.  
– W moim przypadku grzechy przyrodniego brata.  
Siadam z powrotem na ławce, szwagier do mnie dołącza.
- Nie boisz się tutaj przychodzić w środku nocy?  
Wzruszam ramionami.
- Trochę. Jednak czasem bardziej boję się zostać w domu.  
Zeke unosi kącik ust i wypuszcza głośno powietrze.
- Mój brat bywa strasznym kutafonem i rzeczywiście można się go przestraszyć, lecz nigdy by cię nie skrzywdził, Isabelle.
- Uśmiecham się.
- W pełni zgadzam się z pierwszą częścią twojej wypowiedzi.  
Zeke szczerzy zęby w uśmiechu.
- Czemu uważasz, że Jericho mnie nie skrzywdzi? Ze względu na dziecko?  
Kiedy słowa padają z moich ust, zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, czy Ezekiel wie o ciąży. Ale patrząc na jego minę, dochodzę do wniosku, że to dla niego żadna nowina.

– Nie, to nie ma nic wspólnego z dzieckiem. – Podnosi wzrok i spogląda na ołtarz. – Może i miał wobec ciebie inne plany, lecz nie zrobi ci nic złego. Nie potrafiłby.

– Czyżby?

Zeke odwraca się do mnie. Pod jego oczami dostrzegam głębokie cienie, a na skroniach kilka siwiejących włosów.

– Chodź, odprowadzę cię do domu – mówi i wstaje.

– A właściwie co ty tutaj robisz w środku nocy? Chciałeś pospacerować po lesie?

– Przyszedłem odwiedzić umarłych. Chodźmy. – Podaje mi dłoń i pomaga wstać.

– Jeszcze momencik – proszę, bo właśnie sobie przypominałam o świecach, które pozapalałam na ołtarzu.

– Nie wiem, czy masz tyle czasu. Jericho wrócił do domu jakiś kwadrans temu.

Czuję, jak kolejny raz tej nocy serce podchodzi mi do gardła.

– Słucham?

– Rozmawiał z kimś przez telefon w swoim gabinecie. Jeśli będziesz miała szczęście, uda ci się wejść na górę, zanim się zorientuje, że cię nie ma.

– Zawsze brakuje mi szczęścia – mówię dokładnie w momencie, gdy otwierają się drzwi do kaplicy, jakby na potwierdzenie moich słów.

Biorę głęboki, świszczący wdech. Powiew wiatru zdmuchuje płomień dwóch świec, kiedy mąż staje w progu. Odrobina światła wewnątrz pograża go w cieniu tak głębokim, tak groźnie wyglądającym, że kulę się w sobie pod wpływem gniewnego spojrzenia.

Jednak to nie we mnie wpatruje się Jericho, lecz w brata. Nagle z całą mocą uświadamiam sobie dotyk dłoni Ezekiela na ramieniu i przypominam, czym starszy St. James groził każdemu mężczyźnie, który mnie tknie.

– Bracie – rzuca Jericho.

Stoi wciąż w tym samym miejscu, zupełnie nieruchomo, nawet powieka mu nie drgnie. Wodzi tylko wzrokiem od ręki Zeke'a do mojej twarzy. W końcu wchodzi do środka, a ciężkie drzwi zatraskują się za nim z hukiem. Mogłabym przysiąc, że zadrżały od tego kamienne ściany wiekowej budowli.

– Bracie – odpowiada Ezekiel.

Przełykam ślinę. Serce wali mi jak szalone, kiedy Jericho w ułamku sekundy pokonuje dzielącą nas przestrzeń, poruszając się szybko jak cień. Chwyta brata za nadgarstek, a ja zastanawiam się, czy Zeke po prostu zapomniał, że mnie trzyma, czy nie zabrał ręki, żeby dokuczyć Jerichowi.

– Rozmawialiśmy o tym – mówi mój mąż, przysunawszy twarz na odległość kilku centymetrów do twarzy Ezekiela. Obaj wyglądają jak olbrzymy szykujące się na bitwę. – Nie wolno ci dotykać tego, co należy do mnie.

Zerkam to na jednego, to na drugiego. W końcu widzę, jak kącik ust Ezekiela wędruje do góry.

– Widzisz, co miałem na myśli, Isabelle? – pyta.

Zakładam, że chodzi mu o ten komentarz o kutafonie. Chociaż Zeke brzmi beztrosko, nie spuszcza oka z brata.

– Nie tknął mnie – mówię szybko.

Zeke puszcza moje ramię i uśmiecha się szeroko.

– Nie boję się własnego brata, kochanie – wypala.

– Kochanie?! – Jericho odpycha mnie bezceremonialnie. Niemal styka się twarzą z Ezekelem. – Może powinieneś – cedzi przez zęby.

– Uspokój się – nakazuje mu Zeke. Wyraz jego twarzy i mowa ciała dobitnie świadczą,



że daleko mu do strachu. Jest gotów walczyć.

Przez głowę przemyka mi pytanie, czy nie chodzi aby o Kimberly. Może batalia między braćmi toczy się od lat i konfrontacja była nieunikniona, jak nie dzisiaj, to jutro. A może rzeczywiście chodzi o mnie, może Jericho naprawdę jest aż tak zaborczy. Ale czemu miałby zachowywać się w ten sposób? Ja stanowią jedynie środek do celu, to Kimberly darzył miłością. Czuję, jak czoło samo mi się marszczy, kiedy mój wzrok pada na kamienną podłogę, w miejscu gdzie wyryto imię Draki. Przesuwam spojrzenie na płytę nagrobną Mary i zastanawiam się, jak bardzo ją kochał i do czego się posunął, by pomścić wyrządzone jej krzywdy.

Potrząsam głową, żeby odpędzić niechciane myśli. Jericho St. James mnie nie kocha. W tym wszystkim nawet nie chodzi o miłość. Ani w jego, ani w moim przypadku. Tylko dlaczego nagle poczułam, jakby jakiś ciężar przygniatał mi pierś?

– To tylko taki zwrot – mówi w końcu Ezekiel, a ja wracam myślami do chwili obecnej. Zeke ściąga dłoń brata ze swojego nadgarstka. – Musimy porozmawiać.

– Musimy. Ale najpierw rozprawię się z żoną.

Pod groźnym spojrzeniem Jericha cofam się o kilka kroków.

Ezekiel zerka na mnie, ledwie na ułamek sekundy, po czym zwraca się z powrotem do brata:

– Nie karz jej. Nie przyszliśmy razem, zaskoczyłem ją.

– To, czy wymierzam karę własnej żonie, czy nie, nie powinno cię obchodzić.

Kładę dłoń na brzuchu, żeby powstrzymać drżenie wywołane myślą o tym, co się za chwilę stanie.

– Wyładuj złość na mnie, nie na niej – odparowuje Zeke.

– Wynocha!

Ezekiel otwiera usta, lecz kładę mu dłoń na ramieniu, by go powstrzymać.

– Idź, wszystko gra.

Z piersi Jericha wydobywa się dźwięk przypominający ten, jaki wydaje grzechotnik ostrzegający ofiarę przed atakiem. Wiele kosztuje mnie zebranie w sobie siły, jednak stoję z podniesioną głową, chociaż sięgam braciom zaledwie do połowy klaty.

– Ja też się go nie boję – informuję Ezekiel, wpatrując się w oczy męża.

– Nie powinnaś była tego mówić – odpowiada Jericho i łapie mnie za rękę. – Wynoś się, Zeke – syczy, nie spuszczać wzroku z mojej twarzy.

Ezekiel ani drgnie. Nie raczy odpowiedzieć bratu. Ale wtedy jego wzrok pada na księgę Draki spoczywającą na ołtarzu. Wygląda, jakby nagle coś do niego dotarło, bo zmienia się jego postawa. Potrząsa głową, chwytając Jericha za kołnierz marynarki i siłą odciąga ode mnie.

– Przestań się, kurwa, zachowywać jak debil! – krzyczy.

– Wypierdalaj!

– Jeśli zamierzasz zrobić to, co mi się wydaje, nic z tego. Nie pozwolę na to.

– Doprawdy?

– Tak.

– Ona nie należy do ciebie.

– Nie, nie należy. Ale jeśli planujesz zagrać w tę samą idiotyczną grę co nasz przo...

– Nie dojdzie do tego – przerywa mu Jericho.

Przez dłuższą chwilę w kaplicy panuje kompletna cisza. Napięcie pomiędzy braćmi jest tak wyczuwalne, że ledwie mogę zaczerpnąć tchu.

– Jeśli jednak dojdzie, to cię zajebię – obiecuje Zeke.

– No proszę, poróżniła nas członkini rodziny Bishopów – prycha Jericho.

Jego słowa ranią mnie, choć w sumie nie powinny.

- Nie bądź głupi. Nie spierdol tego.
- Powiedziałem, że nie posunę się aż tak daleko.

Brat przygląda mu się uważnie, potem rzuca mi przelotne spojrzenie. W jego oczach dostrzegam wahanie. Chciałabym go błagać, żeby nie odchodził, by nie zostawiał mnie samej z mężem. Z moim własnym mężem. Lecz on wychodzi, tak jak prosiłam. Jericho ma rację. Nie wiem, przed czym Ezekiel go ostrzegał, ale to nie jego sprawa, tylko nasza. I w tamtej chwili już jestem pewna, że cokolwiek wydarzy się za moment, to, co zrobi lub czego nie zrobi Jericho, zmieni wszystko pomiędzy na nami. Nieodwracalnie.

## 20 ISABELLE

– Rozbieraj się.

Jericho puszcza mnie i obchodzi ołtarz. Po tamtej stronie kaplicy jest bardzo ciemno, więc nie widzę, co robi. Ale po chwili słyszę szcęk łańcuchów, który przypomina mi scenę z pamiętnika Draki.

– Nic się nie stało. Zeke nic nie zrobił. Ja też nie – mówię pospiesznie, gdy mąż wchodzi z powrotem w krąg światła rzucanego przez świece i staje przede mną.

– Rozbieraj się – powtarza, po czym rusza w drugą stronę.

Domyślam się, co zamierza, kiedy dźwięk łańcuchów się powtarza. A więc szykuje się kolejna gra. Nie, nie gra. Kara. Ma zamiar ukarać mnie tak, jak Draca St. James ukarał Nellie Bishop. Oblewam się potem, nie mogę się ruszyć, nie mogę oddychać. W końcu Jericho wychodzi zza ołtarza, a ja wciągam powietrze ze świstem, gdy widzę w jego dłoni oplecioną skórą rączkę bicia i długie, cienkie rzemienie, których razy znosiła moja przodkini. Kładzie bicz na ołtarzu, jakby to okrutne narzędzie miało być ofiarą złożoną ku czci Draki.

Muszę stąd uciekać. I to natychmiast. A jednak stoję niczym wmurowana i przyglądam się, jak Jericho ściąga marynarkę, przewiesza ją przez oparcie ławki, po czym podwija rękawy koszuli.

– Zaczynam się zastanawiać, czy nie trzeba cię wysłać na badania słuchu.

Z trudem przetykam ślinę i mrugam, popatrując to na niego, to na drzwi.

– Szkoda zachodu. Jestem od ciebie szybszy. I silniejszy.

– Nic się nie wydarzyło.

– Wierzę ci.

– W takim razie za co chcesz mnie ukarać?

Podchodzi bliżej, zmuszając, bym się cofnęła. W końcu dotykam plecami ołtarza.

– Chcę cię raz na zawsze nauczyć, że należysz do mnie.

Chwyta za dekolt swetra i rozdziera przód na pół.

– Nie!

Usiłuję się wymknąć, lecz łapie mnie przedramieniem w pasie i przyciąga do siebie, aż opieram się plecami o jego pierś. Drugą dłonią odpina guzik i suwak moich dżinsów.

– Pójdzie łatwiej, jeśli się podporządkujesz.

– Nie chcę tego! – Próbuję odepchnąć jego rękę, ale mam wrażenie, jakbym siłowała się z kamiennym murem.

– Przypuszczam, że Nellie też nie chciała. Możesz się podporządkować albo nie. Wybór należy do ciebie.

Zakrywam oczy dłońmi.

– Błagam!

– Możesz się podporządkować albo nie. Wybieraj.

Kiwam głową i staram się uspokoić oddech. Przecież mnie nie skrzywdzi. Zeke tak powiedział. Jericho już kiedyś udowodnił, że prędzej zrobi krzywdę sobie niż mnie. Muszę w to wierzyć. Ale może po tym, co zobaczył dzisiejszej nocy, po moim przypadkowym spotkaniu z jego bratem i pozornym złamaniu ustanowionego przez męża prawa, po tym, jak okłamałam go na temat rozmowy z Julią, zmienił zdanie. Może to było dla niego za dużo. Może przeżył już zbyt wiele zdrad.

– A więc się nie podporządkujesz – stwierdza i zaczyna zdejmować mi dzinsy.

– Zrobię to!

Popycham go i chwytam pasek spodni. Ściągam je pospiesznie, przy okazji wywracając na lewą stronę. W międzyczasie zzuwam buty i staję boso na zimnym kamieniu.

Jericho odpina mi stanik, ramiączka zsuwają się z barków. Nim się prostuję, zmusza mnie do zrobienia kilku kroków tyłem w stronę ołtarza. Oddaliliśmy się od niego podczas kłótni.

Opieram się. Jakże mogłabym tego nie robić? Lecz drań jest ode mnie o wiele silniejszy. Chwyta mój nadgarstek i ciągnie w bok ołtarza, gdzie zakuwa go w lodowato zimne żelazne kajdany. Z ust wydobywa mi się wrzask. Próbuję się uwolnić, ale Jericho łapie mnie za drugą rękę, która po chwili także zostaje unieruchomiona. Mąż przechodzi na drugą stronę ołtarza i ciągnie za łańcuchy. Skrócone więzy powodują, że leżę brzuchem na stole ofiarnym.

Gdy Jericho odchodzi parę kroków, podnoszę wzrok i patrzę na Jezusa wiszącego na krzyżu.

– Tylko mi nie mów, że się modlisz – szydzi i bierze w dłoń bicz. Z namaszczeniem wyciąga rzemienie spod mojego brzucha. – Boga nie ma, Isabelle. A jeśli nawet jest, to zapomniał o nas wieki temu. Pomyśl o tym – mówi i wsuwa mi twardą rączkę między nogi. – Jeśliby istniał, jeśli choć trochę obchodziłby go nasz los, czy byłabyś tu teraz? Czy pozwoliłby, żebyś stała przykuta łańcuchami w tym samym miejscu co twoja przodkini kilka stuleci temu? Tam, gdzie Draca upuścił jej krwi, by zapłaciła za grzechy ojca?

– Proszę, Jericho. Nie myślisz racjonalnie. Boże. Błagam.

– Ile razy mam ci powtarzać, że Boga nie ma?!

– Ja...

– Czy gdyby istniał, pozwoliłby, żeby ten potwór zgwałcił Mary? Czy pozwoliłby, by się powiesiła? Czy pozwoliłby, aby zrobiła to Zoë? Czy pozbawiłby moją córkę matki?!

Przerywa, a ja odwracam głowę. Przez to, że mam zbyt szeroko rozstawione ręce, bołą mnie barki.

– Jericho?

Czuję, jak staje tuż za moimi plecami i wsuwa palce pod gumkę majtek. Bezceremonialnie ściąga mi je z tyłka.

– Czy pozwoliłby, żeby twój brat zginął? – pyta znacznie ciszej.

Opieram czoło o ołtarz. Ma rację. Od lat wątpię w istnienie Boga, ale nigdy nie przyznałam tego świadomie, nawet przed samą sobą. Nigdy nie odważyłam się posunąć tak daleko.

– Jednak nie o to chodzi, prawda, Isabelle? Nie dlatego znaleźliśmy się tutaj oboje.

Brutalnie chwyta mnie za pośladki, wbija palce w mięśnie i zmusza, bym stanęła na palcach. Patrzę prosto przed siebie, ciało mam napięte jak struna. Mąż pochyla się nade mną, na uchu czuję jego oddech. Rzemienie bicza wiją się po mojej skórze. Odwracam lekko głowę, żeby móc zobaczyć Jericha i żeby on zobaczył mnie.

– Do kogo należysz? – pyta, ale nim zdążę odpowiedzieć, daje mi klapsa w tyłek, aż podskakuję. – Do kogo?!

– Do ciebie!

Wymierza kolejnego klapsa.

– Odpowiadaj całym zdaniem.

– Do ciebie! – Jeszcze jedno uderzenie. – Należę do ciebie!

– Co ci powiedziałem, zanim wyszedłem wieczorem?

Zastanawiam się za długo i przyjmuję następny cios. W drugiej ręce Jericho wciąż trzyma bicz, lecz go nie używa. Nie robi mi nic złego. Nie wyrządza prawdziwej krzywdy.

– Isabelle – ponagła.  
– Żeby cię nie zdradzała.  
– Co w takim razie robiłaś w kaplicy z moim bratem?  
– Nic, przysięgam. Przyszłam tutaj, żeby przeczytać księgę Draki. Musiałam się dowiedzieć, co on jej zrobił.  
– Ponieważ się boisz, że mam zamiar potraktować cię tak samo. Pomimo moich obietnic, że cię nie skrzywdzę.  
– Właśnie to robisz.  
– Czyżby? Kilka klapsów porównujesz do tego, co ona musiała wycierpieć?  
– Nie. Draca wybatożył ją tak, że zaczęła krwawić.  
– No właśnie. Z pewnością porozcinał jej skórę na plecach, może nawet naruszył mięśnie.  
– A ty dzierzysz ten sam bicz!  
– Użyłem go? – Pociera pośladek w miejscu, w które przed momentem uderzył. Jego dotyk wydaje się niemal czuły.  
Potrząsam głową i opuszczam ją na ołtarz. Nie wytrzymam więcej. Nie dam rady.  
– Przy tobie mam kompletny mętlik w głowie – mówię szeptem. – Nie rozumiem, co się dzieje. Nie wiem, w co powinnam wierzyć ani komu ufać.  
– Powiem ci, Isabelle. Wybierz mnie. Zaufaj mi.  
– Jestem zakuta w łańcuchy, Jericho. Dosłownie, nie tylko w przenośni. Jak miałabym ci zaufać?  
Chwyta mnie za włosy, podnosi mi głowę i przekręca ją tak, bym na niego spojrzała.  
– Dzięki moim łańcuchom będziesz bezpieczna. Dzięki nim nasze dziecko będzie bezpieczne.  
Nasze dziecko. Mój Boże!  
Wypuszczam powietrze z płuc, z oczu strumieniami płyną mi łzy, na wargach czuję ich słony posmak. Jericho całuje mnie w usta, więc z pewnością także go czuje. Właśnie o to mu chodziło, kiedy sprowadził mnie do swojego domu. Chciał widzieć łzy i krew członkini rodu Bishopów.  
Słyszę, jak bicz upada na posadzkę. Mąż przywiera do moich pleców, odgarnia mi włosy z szyi, całuje w ramię, wzdłuż linii szczęki, a potem kolanem rozsuwa szerzej nogi i chwilę później czuję go w sobie.  
– Zaufaj mi, Isabelle. Musisz zaufać. Musisz mnie wybrać.  
Wybrać go.  
Zaczyna pchać. Jedną ręką otacza mój pas i podkłada mi dłoń pod brzuch, jakby chciał ochronić dziecko. Drugą wsuwa pomiędzy nogi. Palce odnajdują łechtaczkę i ze znanstwem zaczynają ją pieścić.  
– Chciałabym.  
To prawda, bardzo bym tego chciała.  
– W takim razie się nie wahaj. Nie skrzywdzę cię. Mówiłem ci to już nie raz. Ja wybrałem ciebie.  
Zostaję uwolniona z kajdan. Mąż odwraca mnie, po czym przytula. Przywieram do niego i owijam w pasie nogami. Nasze usta łączą się w pocałunku, oczy pozostają otwarte.  
– Nie skrzywdzę cię – powtarza.  
– Przysięgasz?  
– Przysięgam, lecz musisz mnie wybrać. Musisz być moja i tylko moja.  
Pragnę mu uwierzyć. Muszę mu uwierzyć. Bo w przeciwnym razie nie udźwignę tego

ciężaru. Dlatego kiwam głową, zamykam oczy i trzymam go mocno, aż nadchodzi pierwsza fala orgazmu. Głowa opada mi w miejsce, w którym szyja Jericha łączy się z ramieniem. Na języku czuję słonawy smak jego skóry. Jęczę, szczytując, i czuję, jak on także dochodzi, jak drży. Rozmyślam, co właśnie się stało między nami w tym świętym miejscu. Rozmyślam, co niegdyś Draca uczynił Nellie w tej samej kaplicy. I wydaje mi się, że nasz akt miłości zmazuje akt jego nienawiści.

Miłość zawsze ma większą moc niż nienawiść.

„Wybierz mnie... Ja wybrałem ciebie”.

Czuję, jak z moich oczu płyną łzy. Ciepłe, mokre i przepelnione smutkiem. Wydaje mi się, że kocham Jericha. Nie, ja to wiem. I wiem również, że gdy mówi, że nie zostanę przez niego skrzywdzona, nie są to tylko słowa rzucone na wiatr. Przykuł mnie do siebie. Zostałam jego więźniarką. Należę do tego mężczyzny. Jednak zbyt dużo złych rzeczy się między nami wydarzyło, byśmy mogli pozwolić sobie na miłość. Dzieli nas także kilka wieków historii. I nawet jeśli Jericho St. James chce mnie wybrać, nie sądzę, by potrafił porzucić plan zemsty i pokochać Isabelle Bishop.

## 21 JERICHO

Nie silę się na pukanie do gabinetu Zeke'a, po prostu tam wchodzę po odprowadzeniu Isabelle do łóżka. Na razie nie mogę myśleć o tym, co wydarzyło się między nami. Nie potrafię ogarnąć tego rozumem. Mówiłem poważnie. Nie skrzywdzę jej i nie pozwolę, by skrzywdził ją ktokolwiek inny. Wybrałem tę kobietę. Lecz mój wybór jest obarczony wielkim ciężarem. Stoi za nim wielowiekowa historia naznaczona tragedią.

Tamtego dnia, gdy sprowadziłem Isabelle do swojego domu, miałem zamiar ją wykorzystać, by dokonać zemsty. Ale wszystko się zmieniło. Zmieniło się całe moje życie. Nie postrzegam już Isabelle tak, jak powinienem. Jak planowałem. Zależy mi na niej i nie ma to nic wspólnego z faktem, że nosi pod sercem moje dziecko. Chodzi o nią samą.

Zeke odsuwa się od biurka i patrzy na mnie, jakby spodziewał się tej wizyty.

– Co robiłeś w kaplicy z moją żoną?

– A co niby miałem według ciebie robić?

– Nie wiem, Zeke. Ty mi powiedz. Najwyraźniej wiele przede mną ukrywasz.

Prycha i wstaje z fotela.

– Wygląda na to, że to typowe dla członków naszej rodziny.

Obchodzi biurko, żeby stanąć na wprost mnie. Nigdy nie czuł przede mną lęku. Czasem się zastanawiam, czy nie chciałby mi przyłożyć, dać ujścia dawnym żalom, choćby częściowo. Zawsze dorównywał mi wzrostem i siłą, a przynajmniej od czasu, gdy dorośliśmy. W dzieciństwie był sporo szczuplejszy, jakby on i Zoë wymieniali się wagą do czternastego roku życia. Dopiero potem zaczął nabierać ciała. Zoë pozostała filigranowa, wolno dojrzewała. W chwili śmierci wciąż była dziewczynką.

Cholera, Zoë. Tęsknię za tym małym głuptasem. Chociaż pod koniec życia przestała się wygłupiać. Jakies pół roku przed popełnieniem samobójstwa zrobiła się cicha i skryta. Mroczna. Kilka razy próbowałem do niej dotrzeć, lecz mi się nie powiodło. Zastanawiam się, czy gdybym się wtedy nie poddał, wciąż byłaby wśród nas.

Potrząsam głową. Kiedy o tym myślę, mam wrażenie, jakbym się topił. Nie mogę tego rozpamiętywać. Nie mogę wciąż na nowo przeżywać bezsensownej straty, którą przyniosła jej śmierć. Nie udało mi się ocalić siostry, tak jak później nie ocaliłem Kimberley. Teraz Isabelle potrzebuje pomocy. Czy ją także zawiodę? Historia moich „sukcesów” na tym polu sugerowałaby, że tak. Przeczesałem palcami włosy i odsuwam się od brata.

– Kiedy wracam do domu, zawsze idę najpierw tam – mówi.

– Do kaplicy?

Kręci przecząco głową.

– Na cmentarz.

Zeke jest lepszym człowiekiem niż ja. Dla mnie odwiedziny na grobie Zoë czy Kimberley nigdy nie były priorytetem. Zdaję sobie sprawę, że jestem dupkiem.

– Zanosisz kwiaty na ich groby?

Potakuje.

– Na grób ojca też? – pytam, żeby jakoś odwrócić uwagę od własnych niedostatków.

Ezekiel przykłada mi rękę do piersi i mnie popycha.

– Pierdol się, braciszku.

Chwytam go za nadgarstek.

– Co robiłeś z moją żoną?

Wyrwa mi się bez trudu.

– Kiedy przyszedłem, Isabelle już była w kaplicy. Zobaczyłem z cmentarza, że świece się palą, więc postanowiłem sprawdzić, co się dzieje. Zostałem tam twoją żoną.

Wiem, że mówi prawdę. Nigdy mnie nie okłamał, zresztą ja jego także nie. Lecz mamy przed sobą tajemnice, które potrafią niszczyć równie skutecznie jak kłamstwa.

– Poszła do kaplicy z własnej woli?

Zeke potakuje.

– Chyba chciała nadrobić zaległości w czytaniu – odpowiada, a ja mam wrażenie, że płuca mi się kurczą. – Wszystko z nią w porządku?

Przyglądam mu się przez chwilę. Doskonale rozumiem, o co pyta. Od początku wiedział, co zamierzałem zrobić. On też czytał pamiętnik Draki. Jak my wszyscy.

– Powiedziałem, że nie posunę się tak daleko. Nie kłamałem.

– Ale chciałeś napędzić jej strachu.

Nie odpowiadam. Na jakiego diabła bym wyszedł, gdybym się do tego przyznał? Wiem, że jestem potworem. Nie muszę jeszcze informować o tym własnego brata.

– Wiesz, że Draca St. James to kiepski materiał na idola, prawda? – pyta retorycznie Ezekiel. – Lecz ty masz pewną wprawę w czczeniu niewłaściwych bóstw.

Ma na myśli ojca. Przypomina mi się nasza ostatnia rozmowa, którą przeprowadziliśmy w moim gabinecie. Jak płynnie przeszliśmy z tematu ojca na Zoë. Na omawianie jej śmierci i tego, że to Zeke ją znalazł. Wraca dręczące uczucie. To ja powinienem ją znaleźć. Jako najstarszy z rodzeństwa powinienem oszczędzić bratu okropnych przeżyć.

– Co on jej zrobił?! – Nie wytrzymuję.

Mógłbym przysiąc, że Ezekiel doskonale zdaje sobie sprawę, o co pytam. Dostrzegam to w zmarszczkach, które znaczą mu twarz, w wewnętrznym mroku kładącym się cieniem na całej jego postaci. W momentach takich jak ten widzę podobieństwo pomiędzy nim a Zoë. Ale tylko wtedy.

Przez chwilę, przez ułamek sekundy jestem świadkiem załamania brata. Dostrzegam szczelinę tkwiącą w nim od lat. Głęboką i stale się pogłębiającą. Szczelinę po mistrzowsku ukrywaną pod swobodnym, opanowanym stylem bycia.

– Odpuść – mówi głosem, który ledwie rozpoznaję, po czym odchrząkuje i się prostuje. – Mamy pilniejsze sprawy na głowie.

Sięga po coś do kieszeni. Kiedy rozwiera palce, na jego dłoni widzę niedopałek papierosa. Spoglądam mu ze zdziwieniem w oczy, gdy mówi:

– Isabelle chyba nie pali, prawda? Ja jakoś nigdy nie nabrałem tego zwyczaju i znam twoje zdanie na ten temat.

Nienawidzę zapachu papierosów. Właściwie od zawsze. Ojciec palił i była to jedna z rzeczy, których w nim nie znosiłem. Wiecznie śmierdział dymem. A kiedy miał zły humor, odpalał jednego papierosa od drugiego. Zazwyczaj zwiastowało to nadejście czegoś złego.

Nasi pracownicy podpisują zobowiązanie, że nie będą palić ani w rezydencji, ani na terenie posiadłości. Przyłapanym na paleniu grozi natychmiastowe rozwiązanie umowy.

– Gdzie to znalazłeś?

– Na cmentarzu. Pełno ich tam.

– Zatrudniliśmy ostatnio nowego ogrodnika?

Potrząsa głową.

– Chyba że ty przyjąłeś kogoś do pracy. A tak przy okazji, gdzie byłeś w nocy?

– Napijmy się.



Zeke potakuje na zgodę. Siadam na kanapie, a on nalewa nam po szklaneczce whisky.

– Przynies całą butelkę – sugeruję.

Spełnia prośbę, po czym zajmuje miejsce obok mnie.

– Nie jestem twoim wrogiem, Jericho. Wiesz o tym.

Przypatruję mu się przez moment, a później potakuję.

– Ale i tak uważam, że powinieneś opowiedzieć mi o ojcu. To już historia. Odległa przeszłość.

– Nie chcesz wiedzieć. Pozwól, że ten ciężar poniosę sam.

– Byłoby ci lżej, gdybyś się nim ze mną podzielił.

– Nie. – Pociąga łyk ze szklaneczki. – Co robiłeś w nocy?

Biorę głęboki wdech, potem powoli wypuszczam powietrze.

– Wiedziałeś, że Danny Gibson ma brata?

Nazwisko nie jest mu obce.

– A co mnie to obchodzi?

– Zabrałem Isabelle na koncert, na który zaprosił nas jej nauczyciel. Na chwilę zniknęła mi z oczu. Kiedy ją znalazłem, skłamała na temat tego, z kim spędziła czas.

– A z kim go spędziła?

– Z Julią Bishop.

Zeke marszczy brwi.

– Dex widział, jak Julia wsiada do auta z synem i dwoma mężczyznami. Pojechał za nimi do domu w Siódmej Dzielnicy, w którym, jak się okazało, mieszka Gerald Gibson. W garażu stała zaparkowana ta sama biała furgonetka, która nieomal rozjechała Isabelle parę dni temu.

– Czekaj, czekaj. Powiedziałaś Julia Bishop? Nie Carlton?

Dopijam drinka i nalewam sobie kolejnego.

– Zgadza się, Julia. Nie jestem tylko pewien, czy współpracuje z kuzynem, czy działa na własną rękę. Nie chciałem na razie wypytywać Gibsona. Pomyślałem, że przez jakiś czas go poobserwuję. Tak czy inaczej, jedno z nich wynajęło Geralda, żeby dokończył robotę za brata.

Przez dłuższy czas Zeke siedzi w milczeniu.

– A jaka jest w tym wszystkim rola Carltona?

– Dobre pytanie. Zanim do ciebie przyszedłem, rozmawiałem przez telefon z Santiagiem. Spróbuj się czego dowiedzieć o fundacji, która zapłaciła Danny'emu. Od lat kieruje nią Julia.

– Czy Isabelle wie cokolwiek na ten temat?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Nawet jak jej powiem, to i tak mi nie uwierzy. Potrzebuję dowodów. Zresztą jest w ciąży, źle znosi pierwsze tygodnie, nie chcę jej denerwować. To za duże ryzyko.

– Godzinę temu się tym nie przejmowałeś.

– Cios poniżej pasa, bracie.

– Zasłużyłeś. – Zeke także robi sobie dolewkę. – Jak mogę ci pomóc?

– Powiniennem trzymać Isabelle pod kluczem, ale łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Nie podobają mi się te niedopałki, które znalazłeś. Jeśli komuś udało się podkraść...

– Jutro obejdę całą posiadłość. Sprawdzę, czy mur nie jest gdzieś uszkodzony.

– Dzięki. Dzisiejszej nocy Dex obserwuje dom Bishopów, lecz chcę, by zajął się pilnowaniem Angeli i Isabelle. Potrzebujemy więcej ludzi. Takich, którzy nie są powiązani z IVI.

– Żaden problem.

Zeke wyciąga komórkę, przewija listę kontaktów, w końcu przykłada telefon do ucha.

– Musimy się spotkać – mówi do rozmówcy, a po krótkiej przerwie dodaje: – Będę za dwadzieścia minut. – Wsuwa telefon z powrotem do kieszeni, wstaje i dopija whisky. – Spotkam się teraz z moim człowiekiem. Do rana zgromadzę ekipę.

– Pojadę z tobą – oznajmiam i także się podnoszę.

– Bardziej przydasz się żonie i córce.

Podchodzę do niego i klepię go po ramieniu.

– Dziękuję, że się nią dzisiaj zająłeś.

Ezekiel posyła mi oszczędny uśmiech.

Wychodzimy z gabinetu. Każdy idzie w swoją stronę. Zatrzymuję się u stóp schodów, gdy brat dociera do frontowych drzwi.

– Zeke?

Odwraca się i patrzy na mnie.

– Powiesz mi prawdę o ojcu. Musisz.

Kręci gwałtownie głową.

– Tak czy inaczej, wszystkiego się dowiem – rzucam.

Brat wychodzi na dwór, a ja wdrapuję się po schodach i kieruję do pokoju córki. Angelique uśmiecha się przez sen, gdy całuję ją w czoło. Ruszam do swojej sypialni. Zastaję żonę dokładnie w tym samym miejscu, w którym ją zostawiłem. Śpi wtulona w poduszkę. Odgarniam jej włosy z twarzy. Ona także uśmiecha się do mnie przez sen, lecz po chwili znów ma poważną minę.

Zastanawiam się gorączkowo, kiedy jej się to udało.

Kiedy sprawiła, że zaczęło mi na niej zależeć.

## 22 ISABELLE

Kolejne dwa tygodnie mijają spokojnie, chociaż zauważam, że wokół domu kręci się znacznie więcej ludzi. Pytam o nich Jericha, lecz beztrząsco stwierdza, że to nic takiego, po prostu zwiększone środki ostrożności dla rodziny. Kiedy mówi o rodzinie, wyraźnie daje mi do zrozumienia, że teraz ja również stanowią jej część. Od tamtej nocy w kaplicy zachowuje się wobec mnie zupełnie inaczej. Z dużo większą czułością. Seks także znacząco się zmienił. Jest przepelniony zmysłowością i daje mi głęboką satysfakcję, która zdaje się wykraczać poza doznania cielesne. Jericho St. James umie pieścić kobiece ciało i naginać je do własnej woli, ale to wiedziałam już pierwszego dnia. Jednak tego, co obecnie dzieje się między nami, nie da się opisać słowami. Co dziwne, czuję się szczęśliwa.

Doszło nawet do tego, że Jericho otworzył dla mnie konto w banku – no dobrze, wspólne konto – na które wpłaca zdecydowanie za duże kwoty za cotygodniowe lekcje muzyki, jakich udzielam Angelique. Nie mam wątpliwości, że konto jest wspólne po to, by mąż mógł kontrolować moje wydatki. Dał mi co prawda zarówno kartę do bankomatu, jak i kartę kredytową, co samo w sobie uważam za wspaniały gest, tyle że w ogóle nie wychodzę z domu, więc obie leżą bezużyteczne. Ale przynajmniej mogłam wysłać Paulowi czek, żeby uregulować opłaty za lekcje, na których się nie pojawiłam. Dzięki temu trochę mi lżej na duszy.

Ostatnio Jericho i Zeke spędzają wspólnie mnóstwo czasu, naradzają się to w jednym gabinecie, to w drugim. Kiedy widzę ich razem, dostrzegam, że coś się między nimi zmieniło. Wychwytyuję spojrzenia, które rzucają sobie ukradkiem.

Przez większość dnia przebywam z Angelique. Zaczęłam też lekcje z profesorem Larderem. Wydaje się miłym człowiekiem, lecz jako nauczyciel jest bardzo surowy. I chociaż wiem, że wiele się od niego nauczę, tęsknię za swoją małą grupką. Tęsknię za Paulem, Megs i pozostałymi, jednak Jericho nie daje się przekonać, że Paul nie miał nic wspólnego z zajściem podczas koncertu. Stanowczo oznajmił, że zanim wpuści mojego byłego nauczyciela z powrotem do domu, najpierw dokładnie go przesłucha. Postawił warunek, ale powiedział, że ostateczna decyzja należy do mnie. Zawsze daje mi wybory, których nie potrafię dokonać. Na razie odsuwam ten problem na później. Przynajmniej pozwolił Megs na odwiedziny, chociaż nie możemy nigdzie razem wychodzić. Właśnie odpływam w sen, kiedy echo otwierania i zamykania stalowych drzwi gwałtownie wyrzywa mnie z objęć Morfeusza. Czyżby ktoś schodził do piwnicy?

– Dograliśmy szczegóły spotkania – informuje Zeke Jericha, gdy wkraczają razem do salonu.

Siedzę zwinięta w kulkę w wygodnym skórzanym fotelu z wysokim oparciem. Na moich kolanach leży drukiem do dołu książka, którą czytałam, nim zaczęłam zasypiać. Mężczyźni chyba mnie nie widzą.

– Posmarowaliśmy, komu trzeba – dodaje.

– Skorumpowane skurwysyny – odpiera Jericho.

Wstrzymuję oddech.

– Na pewno nie chcesz, żebym ja pojechał?

– Nie, chcę go zobaczyć na własne oczy i na własne uszy usłyszeć, co ma do powiedzenia.

– Lot jest na tyle krótki, że wrócisz tego samego dnia, nikt nawet nie zauważy, że cię nie ma.

Jericho podchodzi do kominka i podnosi z półki jedną z zabawek pozostawionych przez Angelique. Poruszam się w fotelu i książka zsuwa mi się z kolan na podłogę. Hałas przyciąga jego uwagę. Odwraca się i spotykamy się wzrokiem. Zalewa mnie fala gorąca. Zostałam przyłapaną. Mąż stoi nieruchomo i bacznie mi się przygląda. Chwilę później w moim polu widzenia pojawia się Zeke. Czuję się wytracona z równowagi, gdy tak stoją obok siebie i wpatrują się we mnie. W końcu ziewam, stawiam stopy na podłodze i schylam się, by podnieść książkę.

– Czytałaś? – pyta Jericho i chwyta tomik, nim ja to robię. Podnoszę na niego wzrok, gdy wyciąga go w moją stronę.

– Tak. – Odbieram od niego książkę. – Ale najwyraźniej zasnęłam.

– Jak jesteś zmęczona, to idź na górę i się połóż. Musisz porządnie się wysypiać.

– Nie jestem zmęczona – protestuję. – Po prostu Catherine solidnie mnie nakarmiła. – Od jakiegoś czasu jem więcej. Mdłości ustąpiły i mam wilczy apetyt. – A fabuła powieści okazała się niezbyt zajmująca.

Unoszę książkę, żeby zobaczył, co czytałam. Mówię zbyt szybko i jestem pewna, że Jericho to słyszy. Bez dwóch zdań wie, że podsłuchiwałam rozmowę, chociaż nie zrobiłam tego umyślnie. Wstaję, a mąż się uśmiecha.

– Cieszę się, że masz apetyt.

– Do zobaczenia później – mówi Zeke. – Muszę zaszyć się na parę godzin w gabinecie.

Jericho odwraca się do niego i kiwa głową.

– Do widzenia, Isabelle – rzuca Ezekiel na pożegnanie.

– Cześć. – Czekam, aż wyjdzie, zanim zwracam się z pytaniem do męża: – Wybierasz się gdzieś?

– A zdawało mi się, że drzemałaś.

Wzruszam ramionami.

– Tak myślałam. – Uśmiecha się do mnie. – Chodź, doktor Barnes przepisał ci kolejną porcję witamin, dostarczono je dzisiaj rano.

– Wyjeżdżasz? – drążę w drodze do jego gabinetu.

– Tylko na jeden dzień.

Otwiera drzwi i przepuszcza mnie pierwszą. Wchodzę, przyglądam się, jak zamyka za nami i staje za biurkiem. Z kieszeni wyciąga klucz do piwnicy. Wrzuca go do szuflady, a następnie z innej wyjmuje dwie fiołki, po czym wyciąga je w moją stronę.

– Trzymaj. Takie same jak te na górze. Masz łykać dwie dziennie.

Odbieram od niego tabletki.

– Dzięki. A gdzie jedziesz?

Jericho sprawdza coś w telefonie, szybko odpisuje na SMS-a i chowa aparat do kieszeni. W końcu spogląda na mnie.

– Do Atlanty. W interesach. – Zakłada mi włosy za ucho i kładzie dłoń na policzku. – Cieszę się, że lepiej się czujesz. – Cmoka mnie w usta. – Wyglądasz pięknie, Isabelle. Ośmieliłbym się stwierdzić, że wyglądasz też na szczęśliwą.

Uśmiecham się i wzruszam ramionami. Staram się zachowywać nonszalancko, lecz już po chwili spuszczam wzrok, bo z emocji na ramionach wyskakuje mi gęsia skórka. Przypomina mi się tamta noc w kaplicy i to, co wówczas usłyszałam od męża. To, o co mnie poprosił. I co wybrałam.

Rozlega się pukanie do drzwi, więc Jericho odchrząkuje i się odzywa:

– Proszę.

Nie rusza się z miejsca ani nie zdejmuje ręki z mojej twarzy.

– Przepraszam, że przeszkadzam – mówi Catherine, wsunawszy głowę przez szparę w drzwiach. – Ma pani gościa – zwraca się do mnie.

– Ja? – Nie ukrywam zdziwienia.

– Jakiego gościa? – pyta Jericho.

Catherine odwraca głowę w jego stronę.

– Pani De La Rosa przyszła z dziećmi. Czekają w bibliotece.

– Ivy? – Uśmiecham się.

– Pomyślałam, że nie będzie pan miał nic przeciwko. Dobrze zrobiłam? – pyta Catherine, straciwszy nagle pewność siebie.

– Oczywiście. Też pójde się przywitać.

Kobieta wypuszcza z ulgą powietrze, otwiera szeroko drzwi i przytrzymuje je, żebyśmy mogli przejść. Mąż kładzie mi rękę u dołu pleców i wyprowadza z gabinetu. Nie mogę powstrzymać radosnego uśmiechu, gdy dobiega do mnie głos dziewczynki.

Jericho otwiera drzwi i naszym oczom ukazuje się Ivy stojąca z dziećmi przed regałem pełnym książek. Jej córeczka wspina się na palce, usiłując dosięgnąć jakąś książkę, podczas gdy Ivy jednocześnie próbuje podać małej tomik i nie wypuścić z objęć wiercącego się niemowlęcia.

– Pozwólcie, że pomogę – mówi Jericho i podchodzi do nich żwawym krokiem.

Goście odwracają się w naszą stronę. Ivy jest uśmiechnięta i lekko zarumieniona. Jej córka ma wyraz twarzy pasujący komuś znacznie starszemu i bardziej cynicznemu. A najśladzszy dzidzius, jakiego w życiu widziałam, wpatruje się w nas wielkimi zielonymi oczami z szeroko otwartą buzią, w której widać samotny ząbek.

– O rany! – wykrzykuję i rzucam się w ich stronę. Przytulam jednocześnie Ivy i jej młodszą pociechę, a ona obdarza mnie szerokim uśmiechem, jak tylko się odsuwam. – Przyszłaś w odwiedziny!

– Pomyślałam, że łatwiej będzie mi się wyrwać, niż sprowadzić cię do siebie. Poza tym musiałam w końcu wyciągnąć ją z domu – oznajmia, wskazując dziewczynkę.

– Masz cudowne dzieci – mówię, wciąż im się przyglądając.

– Dziękuję. Elena, przywitaj się. – Kładzie córeczce rękę na czubku głowy.

Elena podnosi na mnie wzrok i uśmiecha się, pokazując dwa rzędy małych, idealnie prostych bielutkich zębów. Chwilę później odwraca się z powrotem do Jericha, który przykucnął obok niej i stara się utrzymać pięć książek jednocześnie, żeby Elena mogła wybrać jedną z nich. Zabawny widok. Przy dzieciach Jericho zachowuje się zupełnie inaczej niż przy dorosłych. Jakby schodziło z niego całe napięcie, bo dzieci się go nie boją. Chociaż właściwie powinny, biorąc pod uwagę jego rozmiary i szorstkość w obejściu.

– To była kiedyś ulubiona lektura mojej córki – oznajmia, gdy dziewczynka dokonuje wyboru.

– Podobają mi się te konie – stwierdza Elena i wyciąga książkę w jego stronę, a Jericho wstaje z kucek, żeby odłożyć pozostałe na miejsce. – Poczytaj mi.

– Elena – karci ją Ivy i kładzie rękę na jej ramieniu. – Pan St. James z pewnością jest bardzo zajęty.

– Nie, w porządku – odpowiada mój mąż wyraźnie zdumiony. – Mam kilka minut.

Elena spogląda tryumfalnie na matkę, po czym odwraca się z powrotem do Jericha, chwyta go małą dłonią za rękę i prowadzi w stronę siedziska pod dużym wykuszowym oknem.

– No cóż, zawsze była bardzo pewna siebie – stwierdza Ivy z nieskrywaną dumą.

– Uważam, że to wspaniałe – odpowiadam i przyglądam się, jak mąż usadawia się na siedzisku, a dziewczynka wciska mu się pod pachę i otwiera książkę. – Rzadko mam okazję

podziwiać tę stronę męża – mówię na tyle cicho, by tylko Ivy mnie słyszała.

– Santiago jest taki sam. To niesamowite, że nasi mężczyźni zachowują się wobec dzieci jak wielkie pluszowe misie.

Parskam śmiechem i odwracam się z powrotem do mojej rozmówczyni.

– A któż to? – pytam, wskazując malucha w jej ramionach.

Dzidzius grucha i przyciska buzię do szyi mamy.

– Mój synek Santi. To zdrobnienie od Santiago.

– Miło cię poznać, Santi – mówię, gdy Ivy podaje mi dziecko. Przejmuję od niej zawiniątko, wącham pachnącą niemowlakiem główkę i przytulam chłopca do siebie. – Jaki on słodki!

– Uważaj, Santi to mały flirtiarz – oznajmia jego matka, kiedy maluch chwytając paluszkami garść moich włosów i uśmiecha się tak, że nie potrafię mu się oprzeć.

– Właśnie widzę.

W tej samej chwili otwierają się drzwi i do biblioteki wchodzi Catherine z tacą pełną przekąsek.

– Ciasteczka! – Elena zrywa się z miejsca i biegnie ku kobiecie, która uśmiecha się na ten widok.

– Upiekłam je dzisiaj rano – informuje małą. – Angelique je uwielbia.

– Kim jest Angelique? – pyta dziewczynka z buzią wypełnioną odgryzionym kawałkiem ciastka.

– Eleno, powinnaś poczekać, aż zostaniesz poczęstowana – gani ją matka.

Podchodzi do nas Jericho i wręcza Ivy książkę, którą czytał z Eleną.

– Mała może ją zatrzymać, jeśli chce. Angelique jest już na nią za duża.

– Dziękuję, to bardzo miłe z twojej strony. I przepraszam za zachowanie Eleny. Bardzo się cieszę, że jej poczytałaś, niestety łakocie znajdują się na samym szczycie listy jej priorytetów.

– Rozumiem. Cała przyjemność po mojej stronie. Masz słodką córkę.

– Pójdę po Angelique – wtrącam, spojrzawszy na zegarek. – Pani Strand z pewnością nie będzie miała nic przeciwko, by skończyć lekcję kilka minut wcześniej.

– Na pewno nie – przytakuje Jericho. – Ivy, było mi bardzo miło cię spotkać. Pozdrów ode mnie męża.

– Dziękuję. Cała przyjemność po mojej stronie... – urywa.

– Jericho.

– Tak, Jericho, dziękuję za gościnę.

Gdy mój mąż wychodzi, Elena częstuje się drugim ciastkiem, a Catherine nalewa jej szklanek mleka.

– Pójdiesz ze mną po Angelique? – pytam Ivy. – Chciałabym zrobić jej niespodziankę i pokazać dzidziusia, ale obawiam się, że mały zacznie płakać, jak tylko straci cię z oczu.

– Chętnie się przejdę.

– Catherine, wrócimy za kilka minut. Mogłabyś się w tym czasie zająć Eleną?

– Oczywiście, z przyjemnością – odpowiada kobieta i siada na sofie.

Razem z Ivy wychodzimy na korytarz, po czym wchodzimy po schodach. Wciąż trzymam Santiago na rękach.

– Wydajesz się spokojniejsza – stwierdza Ivy.

– Bo jestem. Sytuacja się poprawiła.

– Miło mi to słyszeć.

Zatrzymuję się na szczycie schodów i odwracam do niej.

– Jestem w siódmym tygodniu ciąży – wyrzucam z siebie z bijącym sercem.

Ciąża to radosna nowina, ale jeszcze nikomu jej nie przekazałam, nawet Megs. A po tym, jak zareagowała Julia, kiedy się dowiedziała, chyba bałam się komukolwiek powiedzieć. Czułam się przytłoczona, lecz w tej chwili, takiej najnormalniejszej w świecie, napięcie ze mnie opadło. Podzieliłam się z przyjaciółką wspaniałą wiadomością i w końcu odzyskałam radość, którą powinnam czuć od początku, a która dotąd była stłamszona.

– Och, Isabelle! – Łzy płyną jej z oczu. – To cudownie!

Kiedy mnie przytula, zdaję sobie sprawę, że także płaczę. Muszę wytrzeć oczy.

– Nikomu jeszcze nie mówiliśmy, bo... No cóż, to się stało tak niespodziewanie.

– Pewnego dnia opowiem ci historię moją i Santiaga – odpowiada i ociera mi policzki. – Kiedy się pobraliśmy, wcale nie było miło. Nie chciałam mieszkać w jego domu. On i ja... Cóż, powiedzmy, że nie ożenił się ze mną z miłości. Wówczas jeszcze jej między nami nie było. Ale z biegiem czasu wszystko zmieniło się do tego stopnia, że teraz nie wyobrażam sobie życia bez niego. Ty i Jericho bardzo mi nas przypominacie i cieszę się, że przyzwyczajasz się do nowego życia i że czujesz się szczęśliwa. Bo jesteś szczęśliwa, prawda?

Nabieram głęboko tchu i z trudem powstrzymuję łzy.

– Nie wiem. Sytuacja nadal jest dość dziwna, lecz między mną a Jerichem się poprawia. Po prostu nie spodziewałam się, że w wieku dziewiętnastu lat zostanę żoną i matką.

– Rozumiem. – Ivy otwiera usta, żeby coś dodać, ale w tym momencie z pokoju Angelique dobiega nas płacz.

Oddaję dziecko przyjaciółce i biegnę korytarzem. Ivy truchta za mną. W pobliżu drzwi zwalniam. Zza nich słyszę pochłipywanie, które sprawia, że serce mi krwawi. Jednak to, co dobiega do moich uszu chwilę później, sprawia, że wzbiera we mnie wściekłość.

– Przestań! Nikt na ciebie nie zwróci uwagi, jak będziesz się mazgać, ty rozkapryszona dziewczucho!

– Nie jestem rozkapryszona.

Kładę na kłamec dłoń, która aż drży od ledwie hamowanego gniewu.

– Masz szczęście, że ojciec nie chce cię puścić do normalnej szkoły, gdzie chodzą normalne dzieci. Z tym dziwnymi oczami pewnie byś...

Nie daję jej szansy, żeby dokończyła. Otwieram gwałtownie drzwi, aż odbijają się z hukiem od ściany. Przyłapałam staruchę na gorącym uczynku. Kiedy się prostuje, widzę, że ciągnie Angelique za ucho tak mocno, że mała aż przekrzywia główkę i stoi na palcach, aby złagodzić ból. Za plecami słyszę, jak wstrząśnięta Ivy wzdycha głośno.

– Zabieraj łapy precz od dziecka! – krzyczę, a głos drży mi z wściekłości.

Nigdy wcześniej nie odczuwałam takiego gniewu ani tak silnej potrzeby, by chronić drugą osobę. Mam wrażenie, jakby ktoś przejął kontrolę nad moim zachowaniem, nogi same przemierzają pędem pokój. Pewnie zaatakowałabym panią Strand, gdyby nie wyczuła moich zamiarów i nie uciekła przede mną. Odciągam Angelique jeszcze dalej od tej wiedzy, a w żyłach krew aż wrze mi ze złości. Padam na kolana i z całej siły przytulam pasierbicę.

– To nie tak, jak pani myśli – zaczyna się bronić nauczycielka. Krew odpłynęła jej z twarzy.

– Wynocha! Wynoś się z tego pokoju i z tego domu. I nigdy więcej nie wracaj! – wrzeszczę.

Sama nie poznaję własnego głosu, w piersi czuję ucisk. Angelique wtula twarz w moją szyję i przywiera do mnie. Jej ciałem wstrząsa szloch.

– Tak mi przykro, kochanie – próbuję ją uspokoić. Przytulam ją mocno i głaszczę po pleckach. – Tak strasznie mi przykro. – Spoglądam ponad jej głowę na panią Strand, która nie raczyła ruszyć się z miejsca. – Wynocha!

Ivy podchodzi do biurka. Leży na nim aktówka nauczycielki. Santi wierci się w ramionach mamy, więc ta go kołysze, a jednocześnie zamyka teczkę i wręcza ją tej okropnej babie.

– Odprowadzę panią – oznajmia i wskazuje dłonią drzwi.

Przenoszę uwagę z powrotem na Angelique, która przywarła do mnie tak mocno, że kiedy wstaję, podnoszę ją ze sobą. Siadam na łóżku, nie wypuszczając jej z ramion. Ivy tymczasem wychodzi z pokoju za panią Strand.

– Nie mów tatusiowi, co ona powiedziała – szepcze mi mała do ucha zdławionym głosem. Jej ciało nadal drży w następstwie gwałtownego płaczu.

– Kochanie, przecież to wszystko nieprawda. Wcale nie jesteś rozkapryszona. Jesteś najśłodszą dziewczynką, jaką znam.

Angelique, wciąż roztrzęsiona, wciąga powietrze urywanymi haustami i potrząsa główką.

– Nie, chodziło mi o to, co powiedziała o moich... O moich oczach. Tatuś mógłby sobie pomyśleć, że jego też wyglądają dziwnie – wyjaśnia i znów wybucha płaczem.

– Och, słonko. – Zaczynam szlochać razem z nią. Kładę jej rękę z tyłu głowy. – Twoje oczy nie są wcale dziwne. Są piękne. Ty jesteś piękna, i na zewnątrz, i w środku, a ta kobieta jest po prostu wrednym babskiem.

– To więdma. Dlatego zawsze ubiera się na czarno. – Angelique udaje się uspokoić na tyle, by wyszeptać mi to do ucha. Szyję i policzek mam mokre od jej łez.

Do pokoju wraca Ivy. Idzie do łazienki, z której wyłania się chwilę później z pudełkiem chusteczek higienicznych.

– Poszła sobie? – pytam, odbierając od niej paczkę.

– Jericho usłyszał zamieszanie i teraz... Zajmuje się nią.

– Aha.

Angelique w końcu odrywa się ode mnie, a ja wycieram jej oczy i nos. Spogląda na Ivy i dzidziusia, po czym szybko spuszcza wzrok. Uświadamiam sobie, że przynajmniej częściowo nieśmiałość dziewczynki wynika z faktu, że jej tęczówki różnią się kolorem. Pewnie cały czas starała się to ukrywać.

– Cześć, kochanie – mówi Ivy i kuca obok łóżka. Dotyka głowy Angelique. – Jestem Ivy, a to mój synek Santi. Chciałabyś go poznać?

Jak na zawołanie maluch zaczyna gruchać. Flirciarz pełną gębą. Angelique spogląda na niego spod zasłony długich rzęs. Rozpromienia się, bo Santi uśmiecha się do niej i wyciąga rączki. Kiedy udaje mu się schwycić kilka loków i zacisnąć na nich piąstki, mała chichocze, ale chwilę później wzdycha ciężko.

– Mogę się założyć, że ten okropny babsztyl moje oczy też uznałby za dziwaczne – zagaduje ją Ivy.

Angelique przygląda się jej z większą uwagą. Ja także. Kiedy rozwiera szeroko powieki, dostrzegam, że czerń jednej źrenicy rozlewa się na tęczówkę, co nadaje oku Ivy kociego wyglądu.

– Nie są dziwaczne, tylko śliczne. Ty jesteś śliczna.

– Tak samo jak ty i twoje oczy, kochanie. To, że są inne niż u wszystkich, nie znaczy, że są brzydsze.

Angelique uśmiecha się szeroko, dokładnie w momencie gdy w progu staje jej ojciec. Wygląda, jakby przybiegł sprintem na górę. Na twarzy malują mu się wściekłość, zmartwienie i bezsilność. Kiedy jego wzrok pada na córeczkę, widzę, że coś w nim pęka. Jak słowo daje. Angelique wyslizguje się z moich objęć i biegnie do ojca. Jericho kuca, by złapać ją w ramiona, i



przytula tak mocno, że kraje mi się serce, choć jednocześnie wzbiera we mnie szczęście.

Być może patrząc na Jericha St. Jamesa, widzę diabła, lecz ten diabeł był niegdyś aniołem. Dobrze go poznałam. Niewątpliwie przepelnia go mrok. Bywa gwałtowny i prześladowa go demony przeszłości. Został złamany w takim stopniu, że być może nigdy już nie uda mu się w pełni podnieść. Ale to mój diabeł. Mój, Angelique i naszego dziecka.

Diabeł, który nad nami czuwa.



## 23 JERICHO

W dniu, w którym wbrew wszystkiemu urodziła się Angelique, zmieniłem się. Poczulem to w momencie, gdy przytrzymywali mnie dwaj ratownicy medyczni, a trzeci rozcinał brzuch Kimberly. W chwili, kiedy usłyszałem pierwszy krzyk córki. Stoję przy jej łóżku, przyglądam się, jak śpi, i wspominam tamten moment. Narodziny Angelique były gwałtowne. Wyrwano ją na świat tuż po tym, jak zmarła Kimberly. Kopała. Tak mi później powiedział jeden z ratowników. Zobaczyli, że kopie, jakby wzywała pomocy. Jakby wiedziała, że jej matka umiera albo już nie żyje. Gdyby się nie pospieszyli, ona także by odeszła.

Kiedy tamtego dnia usłyszałem zduszony płacz córki, moja niewinność, wszystkie ślepe młodzieńcze ideały, aspiracje i nadzieje zniknęły, a ich miejsce zajął mrok. Nieprzebrana, pusta ciemność. Przetrawałem tylko dlatego, że ona ocalała. Moje dziecko przeżyło atak, w którym zginęła jego matka.

Początkowo Angelique stała się dla mnie substytutem Kimberly. Uchwyciłem się tej myśli, bo uchwyciłbym się wszystkiego, co uznałbym za przedłużenie więzi z narzeczoną, choćby nie wiem, jak ulotne było. Ale potem córka stała się dla mnie odrębną osobą z kształtującą się osobowością, o charakterze równie słodkim co jej matka. I przepęniała mnie za to wdzięczność.

Nie sądziłem, że po tym, jak Kimberly umarła mi na rękach, będę w stanie jeszcze kogokolwiek pokochać, lecz pokochałem nasze dziecko. Pokochałem Angelique gwałtownie i rozpaczliwie.

Dokładnie w taki sposób, w jaki przyszła na świat. Więc kiedy usłyszałem, co stało się dzisiaj pod moim własnym dachem, co ta kobieta powiedziała córce... Cóż, pewnie bym ją zabił, gdyby tuż za nią nie szła Ivy. I gdyby Dex nie zainterweniował. Odciągnął moje dłonie od jej szyi i wyprowadził babsko z domu. Dzięki temu nie popełniłem morderstwa w miejscu, w którym przebywała Angelique.

Zdarzało mi się zabijać. Przez ostatnich pięć lat rozprawiłem się z wieloma złymi ludźmi i nie żałuję żadnego z nich. Ich śmierć nie spędza mi snu z powiek. Na pierwszy ogień poszli dwaj mężczyźni, którzy tamtego dnia pociągnęli za spust. Umierali powoli i w cierpieniu, patrząc jeden na drugiego, jak konają. Potem zacząłem się wspinać po mafijnej drabinie, aż dotarłem do Felixa Péreza. Posiadane przez niego nagranie potwierdziło, kto wydał rozkaz. Pragnąłem zakończyć także jego życie, lecz niestety nie do mnie należał ten przywilej. Ale żadna zemsta kobieta zabiła go sztyletem o rękojeści wysadzanej masą perłową, który osobiście jej dostarczyłem. A to już coś.

W samym sercu tego cholernego syfu tkwił Carlton Bishop. To on wszystko zaczął. Wyzначzył cenę za moją głowę. Chociaż teraz się zastanawiam, czy to nie Julia od samego początku trzymała stery. Nasze rodziny są zwaśnione od pokoleń. Toczą ze sobą wieczną wojnę. Bishopowie walczą o odzyskanie tego, co uważają za swoją własność, a St. Jamesowie twardo trzymają to w garści. Bogacą się i rosną w siłę, podczas gdy Bishopowie podupadają. Carlton poszedł o krok za daleko. Okazał się równie złym człowiekiem co protoplasta rodu. Równie zepsutym.

Ale odbiegam od tematu.

Biorę łyk whisky i patrzę, jak córeczka śpi. Nie czuję się winny za krew, którą przelałem, lecz za to, że zatrudniłem, opłacałem i zaprosiłem pod własny dach osobę, która

wlewała kłamstwa do ucha mojej córki, karmiła ją nienawiścią i odzierała z poczucia własnej wartości.

Isabelle powtórzyła mi, co powiedziała Angelique. Mała nie chciała, żebym się dowiedział, w jaki sposób nauczycielka skomentowała kolor jej tęczy, bo bała się, że skoro mam takie same, to mógłbym się poczuć urażony. Jej troska o moje uczucia sprawiła, że pękło mi serce.

Przełykam resztę alkoholu i czuję, jak w moim wnętrzu bucha na nowo płomień gniewu. Wychodzę z pokoju córki na pograżony w mroku korytarz. Mam ochotę coś rozpieprzyć. Ale w tej samej chwili na drugim końcu hallu otwierają się drzwi do mojej sypialni. Ze środka wybiega Isabelle i pędzi w kierunku schodów, jakby przed kimś uciekała. Ruszam w jej stronę.

– Isabelle – mówię na dźwięk jej ciężkiego oddechu, jednak nie jestem pewien, czy mnie słyszy. – Isabelle – powtarzam, kiedy do niej dopadam i chwytam ją za ramiona. – O co chodzi? Co się stało?

Dziewczyna mruga. Podnosi na mnie wzrok, potem rozgląda się dokoła. W długiej białej koszuli nocnej wygląda na pełnym cieni korytarzu jak duch. Spod rąbka wystają palce stóp z pomalowanymi na różowo paznokciami. Zakładam, że skoro nie ma na sobie koszulki brata, to pewnie jest w praniu.

W końcu Isabelle bierze głęboki wdech i uspokaja się nieco.

– Wszystko dobrze? – pytam.

Kiwa głową.

Kiedy ją puszczam, ociera dłonią czoło, a ja zauważam pot perlący się poniżej linii włosów.

– Znów miałas koszmary?

– Tak.

Ponownie nabiera głęboko powietrza przez nos, by po chwili wypuścić je przez usta. Ciekawe, czy nauczyła się tej techniki, żeby się uspokajać, żeby umieć kontrolować uczucia. Podnosi na mnie wzrok.

– Chcesz mi o nich opowiedzieć? – zagaduję ostrożnie, lecz dziewczyna kręci przecząco głową.

– Co tu robisz o tej porze? – pyta, żeby skierować rozmowę na inne tory.

Spoglądam w stronę pokoju Angelique.

– Zmieniłem zdanie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – dziwi się i podąża wzrokiem za moim spojrzeniem.

– Zabiję tę kobietę.

– Nie, Jericho, nic takiego nie zrobisz. Jesteś zmęczony i ja też. Chodźmy do łóżka.

– Nie wiem, jak wielką krzywdę wyrządziła Angelique. I to tuż pod moim nosem.

– Przestań.

Wpatruję się w nią, w jej delikatną twarz i długie włosy spływające swobodnie po plecach. Wygląda jak anioł. Anioł przeznaczony diabłu.

– Cieszę się, że Angelique ma ciebie – oznajmiam i przerzucam jej włosy przez ramię. – Jesteś dla niej dobra.

– Ty też.

– Przecież pozwoliłem, żeby spotkało ją zło.

– Nie zapominaj, że ja też tutaj byłam. Jestem współwinna. Ale już po wszystkim. Teraz musimy jej pokazać, jaka z niej wspaniała dziewczynka. Miła i dobra. I jak bardzo wszyscy ją kochamy. Tylko tyle możemy zrobić.

Potakuję, chociaż nie przestaję się zastanawiać, w jaki sposób pozabawię to stare babsko

życia.

– Chodź, zaprowadzę cię do łóżka – mówię, biorę żonę za rękę i ciągnę z powrotem do sypialni.

Isabelle siada na skraju materaca i wygładza poduszkę, a ja odsuwam kołdrę.

– Zostań ze mną – prosi, splatając swoje palce z moimi.

– Nie zasnę dzisiaj.

– Proszę.

Ma dziwny wyraz twarzy. Patrzy najpierw na nasze złączone dłonie leżące na jej kolanach, potem na mnie i dodaje:

– Koszmary stały się ostatnio jeszcze gorsze.

Przyglądam się jej.

– Zbliża się rocznica – stwierdzam po chwili. Rocznicą włamania, podczas którego zabito brata Isabelle.

Kiedy patrzę na twarz żony, widzę dziewczynkę potrzebującą kogoś, kto by się nią zajął. Dziewczynkę szukającą anioła stróża. Żaden ze mnie anioł, ale będę musiał wystarczyć.

– Dostrzegam wzór, który pozostaje niezmienny.

– Połóż się.

Wstaję, żeby się rozebrać, a ona robi, jak jej każę. Kilka sekund później wślizguję się na łóżko i przytulam do niej.

Isabelle opiera mi głowę na piersi.

– Dziękuję.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie, właściwie to nie. Człowiek, który się tego dopuścił, siedzi za kratkami. Złapano go i wymierzono sprawiedliwość. Lecz to nie przywróciło Christianowi życia.

Tulę ją mocniej, gdy słyszę, jak pociąga nosem.

– Wiem, kochanie. Żałuję, że nie mogę sprowadzić go do ciebie z powrotem. W dzień jego śmierci pójdziemy na cmentarz, jeśli chcesz.

Podnosi się, żeby popatrzeć mi w oczy.

– O tak, bardzo bym chciała. Zazwyczaj chodzę sama i spędzam z nim trochę czasu. Nie sądziłam, że mi na to pozwolisz.

– Nie jestem trollem, Isabelle.

– Wiem. – Kładzie się z powrotem. – Dziękuję.

– Nie musisz mi za to dziękować.

– Ale i tak dziękuję.

Przez dłuższą chwilę leżymy w ciszy, nim Isabelle w końcu się odzywa:

– A ty miewasz jakieś sny, kiedy zbliża się rocznica śmierci Kimberly?

– Dzień, w którym zginęła, był także dniem, w którym urodziła się Angelique. Od zawsze staram się nie łączyć tych dwóch rzeczy. Chcę, żeby ten dzień należał do mojej córki, żeby w swoje urodziny była szczęśliwa.

– Jesteś dobrym ojcem, Jerichu St. Jamesie.

– Można by polemizować z tym stwierdzeniem.

– Wiesz, jak nazwała cię Ivy, kiedy pozwoliłaś Elenie zaprowadzić się na siedzisko pod oknem i namówić na czytanie?

Spoglądam na nią. Odchyła głowę, żeby mnie widzieć.

– Jak?

– Wielkim pluszowym misiem.

Słowa żony wywołują u mnie uśmiech.

– Ładny mi niedźwiadek.

Isabelle także się uśmiecha. Potem klęka na łóżku i siada na mnie okrakiem. Obserwuję, jak ściąga koszulę nocną, jak włosy spływają kaskadą po jej nagich ramionach. Pod spodem nie ma nic. Wyciągam dłoń, żeby dotknąć miękkich pasm, podczas gdy wzrokiem wędruję po piersiach. Chwytam jedną i kciukiem pieszczę sutek. Drugą rękę kładę z tyłu głowy dziewczyny, by przyciągnąć ją do siebie i pocałować.

– Próbujesz odwrócić moją czy swoją uwagę od trudnych tematów? – pytam, gdy zsuwa się niżej, ściąga mi slipki i rzuca spojrzenie spod ciemnych rzęs, nim zaczyna lizać kutasa.

– I jedno, i drugie.

Podnosi się na łokciach i bierze go w usta. To najseksowniejszy widok, jaki kiedykolwiek widziałem. Naga Isabelle z włosami rozrzuconymi dokoła, ciężkimi powiekami i wargami zaciśniętymi na fiucie.

– O kurwa... Ja pierdolę.

## 24 JERICHO

Wczesnie rano wsiadam na pokład odrzutowca, który zabiera mnie do więzienia o zaostrzonym rygorze w stanie Kolorado, gdzie obecnie odsiaduje wyrok Danny Gibson. Słońce właśnie wylania się zza horyzontu, kiedy koła samolotu odrywają się od pasa startowego.

Isabelle jeszcze spała, gdy wyslizgnąłem się z sypialni. Przez całą noc tuliła się do mnie kurczowo. Jej obecność w moim łóżku stała się tak naturalna, że tęskniłbym za żoną, gdyby jej tam zabrakło, w co wciąż ciężko mi uwierzyć. Nie tak to miało wyglądać. A fakt, że moja obecność odpędzała koszmary Isabelle, coś we mnie zmienił. Byłem potrzebny tej kobiecie. Zostałem przez nią wybrany. I przez to sprawiła, że stałem się jeszcze bardziej opiekuńczy w stosunku do niej.

Pocieram kark. Ta sytuacja jest taka popieprzona.

– Czy mogę zaproponować panu coś do picia? Kawę? Herbatę? – pyta stewardessa.

Odwracam się od okna, żeby na nią spojrzeć. Kurwa, ależ jestem zmęczony. Nie zmrużyłem oka.

– Poproszę kawę. Czarną.

Kobieta uśmiecha się i odchodzi. Po kilku minutach wraca z kubkiem kawy i croissantami. Wypijam parujący, aromatyczny napar, ale jedzenie zostawiam nietknięte. Sięgam po teczkę leżącą na siedzeniu obok i przeglądam dokumenty, które Santiago zgromadził na temat Danny’ego Gibsona.

Doskonale wiem, co zrobił. Zawartość teczki znam na pamięć. Jednak chciałbym usłyszeć wszystko od niego. Poza tym zorganizowałem spotkanie, żeby się dowiedzieć, czy Julia Bishop była w to wszystko zamieszana od początku, jeszcze zanim poznałem Isabelle. Od czasu, gdy moja żona nazywała się York i nie miała zielonego pojęcia o więzach krwi łączących ją z Bishopami.

Lot spędzam na przeglądaniu papierów. Chcę się upewnić, że nie przeoczyłem żadnej informacji, i skupić na czekającym mnie zadaniu. Kiedy dwie i pół godziny później lądujemy w Pueblo w stanie Kolorado, niebo jest ciemne i zachmurzone, a powietrze chłodniejsze niż w Nowym Orleanie. Wsiadam do SUV-a stojącego na płycie lotniska. Kierowca wita się ze mną i rozpoczyna niemal godzinną podróż do Florence.

Gdy docieramy na miejsce, na zewnątrz czeka już Holzman, dyrektor placówki. Potrząsa moją dłoń i wprowadza do środka. Staram się sobie przypomnieć, ile mu zapłaciliśmy.

– Jak minął panu lot, panie St. James?

– Dobrze. Bez problemów.

– Znosi się na burzę. Mam nadzieję, że nie przeszkodzi panu w drodze powrotnej.

– Zanim się rozpęta, już mnie tu nie będzie. Dziękuję, że zorganizował pan to spotkanie w tak krótkim terminie.

Mężczyzna prowadzi mnie przez kilka bezpiecznych sektorów więzienia. Nikt nie zadaje żadnych pytań. Mógłbym wejść tutaj z karabinem, a strażnicy pewnie przymknęliby na to oko.

Niesamowite, co można kupić, jeśli się ma wystarczająco dużo pieniędzy.

– Umieściłem Gibsona w najlepiej strzeżonym i najbardziej oddalonym od innych pomieszczeniu. Nikt panu nie przeszkodzi. Zaraz za drzwiami stoi strażnik, w razie gdyby potrzebował pan pomocy... – przerywa. – Albo gdyby Gibson potrzebował zachęty, by mówić.

Jego ton nie pozostawia wątpliwości co do prawdziwego znaczenia tych słów.

– Jestem pewien, że sam sobie poradzę. Czy odwiedzał go ktoś poza mną od czasu przeniesienia do tutejszej placówki? – Gibson przebywa tu od roku.

– Kilka miesięcy temu odwiedzili go jacyś mężczyźni.

– Nazwiska.

– Proszę wybaczyć, ale nie potrafię sobie przypomnieć.

Ta, jasne.

– Tędy, panie St. James.

Idę za nim. Słysząc brzęczyk i przechodzimy wąskim korytarzem, a następnie przez prawdziwy labirynt przejść, zanim w końcu docieramy do drzwi, przed którymi stoi strażnik.

Holzman zatrzymuje się przed nimi.

– Ma pan przy sobie broń? Jakies ostre przedmioty? – Upewnia się, a ja potrząsam przecząco głową.

– Nie przyleciałem tutaj, żeby pomóc mu w ucieczce.

– Oczywiście. Pytam ze względu na pańskie bezpieczeństwo, panie St. James.

– Potrafię o siebie zadbać, panie Holzman.

– Cóż, podjęliśmy pewne środki ostrożności. Gibson został przykuty do stołu, a stół jest przytwierdzony do podłogi.

– Właściwie wolałbym, żeby miał wolne ręce.

Przez chwilę Holzman milczy, po czym kiwa głową.

Wskazuję na drzwi, ale dyrektor prosi strażnika, żeby zostawił nas samych na kilka minut. Kiedy mężczyzna się oddala, Holzman opiera się o ścianę, a jego usta rozciągają się w uśmiechu tak służalczym, że nachodzi mnie ochota, by powybijając mu zęby. Obmierzły wazeliniarz.

– Przed pańskim przyjazdem musiałem dokonać daleko idących przygotowań – oznajmia. – Jeśli mam być szczery, kosztowało mnie to mnóstwo pracy.

– O ile się nie mylę, został pan sownie wynagrodzony za włożony wysiłek.

– Ależ tak, pański brat był bardzo hojny. Chciałem się tylko upewnić, że wie pan...

Robię kilka kroków w jego stronę i się prostuję. Jestem od niego dobre piętnaście centymetrów wyższy.

– Do rzeczy. Chce pan więcej pieniędzy, Holzman? Czy też chodzi o coś innego?

Dyrektor odchrząkuje i niemal staje na baczność.

– Nie, nie. Jak już mówiłem, pański brat okazał niezwykłą hojność. Po prostu gdyby zamierzał pan... skłonić więźnia do mówienia... Rozumie pan, zdrowie i bezpieczeństwo osadzonych są naszym priorytetem.

– Hmm. Oczywiście.

Za odpowiednią kwotę facet pozwoli, żebym spuścił Danny'emu Gibsonowi wpierdół. Jeszcze nie zdecydowałem, czy to zrobię, czy nie, lecz spodziewałem się takiego obrotu spraw. Wyciągam portfel i ostentacyjnie odliczam dziesięć banknotów studolarowych, które wciskam mu do kieszeni marynarki.

– A teraz przepraszam, mam napięty grafik.

– Oczywiście. Strażnik!

Mundurowy wraca i otwiera drzwi ciężkim kluczem.

– Proszę rozkuć więźnia – nakazuje mu szef.

Mężczyzna waha się, ale w końcu spełnia polecenie.

Holzman się odsuwa, a ja wchodzę do pomieszczenia, w którym przy stole siedzi Danny Gibson i taksuje mnie wzrokiem z paskudnym uśmiechem na ustach. Wygląda nieco inaczej niż na zdjęciach, które oglądałem. Nabrał mięśni, jego gęba wydaje się jeszcze wredniejsza. Głowę

ogolił na zero, na skórze odznacza się tatuaż z datą „1999”. Pewnie ten rok miał dla niego jakieś szczególne znaczenie. To zwalisty facet z twarzą poznaczoną śladami po ospie. Na myśl, że dotykał Isabelle, krew wrze mi w żyłach, a dłonie same zaciskają się w pięści.

Kiedy drzwi się za mną zamykają, wysuwam sobie krzesło. Gibson nie przestaje się na mnie gapić. Nie wie, kim jestem.

– To ta suka cię przysłała? Przecież jej mówiłem, że będę trzymał gębę na kłódkę. Zapomniała czy jak?

– Kogo konkretnie masz na myśli?

Gibson nagle milknie. Pewnie się przestraszył, że już powiedział kilka słów za dużo.

– Nikt mnie nie przysłał, Danny. Przyszedłem, żeby wysłuchać twojej wersji historii – mówię i siadam.

Przynajmniej facet nie śmierdzi. Z jakiegoś powodu spodziewałem się, że nie będzie pachniał różami.

– A co? Może jesteś z rządu stanowego? E, niemożliwe. Oni nie chodzą w takich gajerach.

– Jestem zwykłym szarym obywatelem.

– Co będę z tego miał?

– Opowiedz, co się wydarzyło tamtej nocy, gdy zabiłeś Christiana Yorka.

– Pytałem, co będę z tego miał.

– To zależy, czy uznam, że jesteś ze mną szczerzy, czy nie.

Prycha, ale odchyła się na krzesło i znów bacznie mi się przygląda. Próbuje mnie rozgryźć.

– Namierzałem ten kwadrat od dłuższego czasu. Planowałem zajmować trochę fantów i spieprzyć, zanim ktoś mnie przyuważy. I tyle.

– Skoro obserwowałeś mieszkanie, to musiałeś wiedzieć, że dziewczyna jest w domu. – Patrzę na jego gardło, kiedy przełyka ślinę, i rozmyślam nad kruchością życia. Nad tym, jak łatwo je odebrać. Jedno wprawne cięcie i po sprawie. – No dobrze, a co konkretnie chciałeś ukraść? Przecież ci ludzie nie posiadali nic szczególnie wartościowego.

– Każdy coś tam ma.

– Niby tak, ale ty nie poszedłeś tam, żeby cokolwiek ukraść, prawda? – Nachylam się nad nim. – Ta rana ma coś wspólnego z twoją opowieścią?

Odwraca wzrok. Ewidentnie zadałem niewygodne pytanie.

– Bo z tego, co czytałem, zaklinałeś się na wszystkie świętości, że wynajęto cię do jakiejś grubszej roboty niż kradzież kilku nic niewartych błyskotek.

Bierze głęboki wdech i powoli wypuszcza powietrze.

– Kim jesteś? – pyta.

– Mężem kobiety, którą tamtej nocy usiłowałeś zgwałcić. Miała wtedy szesnaście lat, wiedziałeś?

Krew odpływa mu z twarzy, na czoło występują krople potu.

– Pewnie niewiele cię to obchodziło – dodaję z pełną świadomością, że to prawda. – Ile ci zapłacono?

Zgrzyta zębami i zaciska splecione palce tak mocno, że żyły napinają się na grzbietach dłoni.

– Ile w ogóle wart jest gwałt w dzisiejszych czasach?

– Co to, kurwa, ma być?! – wybucha. – Strażnik! – krzyczy w kierunku zamkniętych drzwi.

– Chyba że nie dostałeś ekstrakasy za gwałt. Jestem naprawdę ciekaw.



- Skończyłem z tobą gadać. Strażnik!
- Nie ma potrzeby krzyczeć. I tak nikt nie przyjdzie.
- Strażnik!

Cisza.

- Kto ci zapłacił?

Kręci głową.

Unoszę się na krześle, przechylam przez wąski stół i chwytam go za gardło.

- Gadaj, kurwa, kto ci zapłacił i co dokładnie kazał zrobić.

Zaciskam palce, aż oczy Gibsona wychodzą na wierzch. Muszę wyrzucić z głowy obraz szarpiącej się z nim Isabelle, zanim zabiję skurwysyna. Rozluźniam chwyt i siadam z powrotem.

- Jebać to – mówi i potrząsa łbem. – Faceta miało nie być.

Milczę w oczekiwaniu na ciąg dalszy.

- A jak przyszedł, to od razu wiedziałem, że mam przesrane. Cały plan wziął w łeb.

Jeśli czeka, że okażę mu litość, to może sobie czekać do usranej śmierci. Prędeż piekło zamarznie.

Przełyka z trudem ślinę.

- Celem była dziewczyna. To chciałeś usłyszeć?

- Chcę poznać prawdę.

– No to już ją poznałeś. – Oczy mu się zwężają, a ja się zastanawiam, czy facet nie jest sprytniejszy, niż początkowo sądziłem. – Tamten gościu powiedział, że wali go, co zrobię i co zwinę, o ile dziewczyna skończy w kostnicy. Miałem upozorować nieudany włam.

- To był mężczyzna?

Potakuje.

- Jak się nazywał?

- Skąd mam, kurwa, wiedzieć? Nie wymieniliśmy się jebanymi wizytówkami.

- Jak cię znalazł?

- Jestem znany ze swoich talentów – oznajmia z czymś w rodzaju dumy.

Co za skurwiel.

- Nie wątpię. I co było dalej?

– Dał mi trochę szmalu na zachętę. Powiedział, że to zadatek na poczet zlecenia. Pokazał, że nie żartuje. Było tego tyle, że musiało mu naprawdę zależeć. – Przerzywa na chwilę. – Obiecał, że się z tego wywinę i że dostanę taką samą kwotę jeszcze dwa razy. Raz, jak się zgodzę na robotę, a drugi, gdy już ją wykonam. Cholera, sądziłem, że się uda. Jednak mogłem się domyślić, że coś jest nie halo, kiedy ta druga wpłata weszła na jakieś cholerne konto, z którego nie mogłem ruszyć nawet centa.

Potrząsa głową wkurzony.

Pieniądze zostały przelane z konta fundacji i najprawdopodobniej zamrożone. Bishopowie cierpią na brak gotówki, to żadna nowina, lecz dziwi mnie, że aż tak zaryzykowali. Nie bali się, że ktoś pójdzie tropem pieniędzy i odkryje prawdę?

– Skurwiele – dodaje Gibson i nachyla się w moją stronę. – Powiem ci jeszcze, że ten kolo miał jedną konkretną prośbę dotyczącą twojej żonki.

Mojej żonki. Facet chyba widzi, że działa mi na nerwy sposób, w jaki wypowiada te słowa, bo jeden kącik jego ust unosi się do góry.

- Co takiego miałeś zrobić? – pytam lodowatym tonem.

- Nic konkretnego, byle było krwawo.

Przyglądam się mu. Na przemian zaciskam i rozluźniam pięści, które trzymam po bokach ciała. Prawie skończyłem.

– Ostatnie pytanie.

– Dawaj, brachu – mówi swobodnie, balansując na tylnych nogach krzesła.

Powinien wiedzieć, że to niebezpieczne.

– Wsadziłeś jej kutasa?

Szeroki uśmiech maluje się na jego twarzy.

– Samą końcówkę.

W tym momencie stwierdzam, że skoro wydałem tysiąc dolarów, byłoby szkoda, żeby tyle pieniędzy poszło na marne.

## 25 ISABELLE

Dom jest właściwie pusty. Gdy się obudziłam, Jericha już nie było. Pewnie poleciał do Atlanty w interesach. Zaraz po lunchu Zeke zabrał Leontine i Angeliqne do kina. Mnie także zapraszał, ale odmówiłam. Chcę coś zrobić, dopóki mam okazję. Nowi strażnicy pilnujący domu nie są aż tak spostrzegawczy jak Dex, który poinformował mnie, że musi się zająć jakąś sprawą i wróci za godzinę. Cokolwiek miał do załatwienia, najwyraźniej wymagało pośpiechu.

Kiedy wszyscy znikają, mówię Catherine, że zdrzemnę się chwilę, nim profesor Larder przyjdzie na lekcję, i wychodzę z kuchni. Kieruję się jednak nie w stronę schodów, lecz do gabinetu Jericha, jak gdyby nigdy nic. Im mniej podejrzenie będę się zachowywać, tym lepiej.

Dochodzę do drzwi i zdaję sobie sprawę, że mogą być zamknięte na klucz. Na szczęście nie są. Zachodzę w głowę, czy mąż zapomniał je zamknąć, czy nie uznał tego za konieczne.

Naruszam jego prywatną przestrzeń. Zamykam za sobą drzwi i opieram się o nie plecami. W powietrzu unosi się zapach Jericha. Odczuwam nagłe poczucie winy, gdy wciągam głęboko w nozdrza woń wody kolońskiej męża, lecz przewyciężam je i podchodzę do biurka. Na blacie nie ma zbyt wielu rzeczy. W jednym rogu leży zamknięty laptop, obok niego kilka pustych kartek, poza tym stoi tu tylko parę zdjęć Angeliqne. Z ulgą przyjmuję fakt, że nigdzie nie widać fotografii Kimberly. Wiem, że nie powinnam czuć się o nią zazdrosna, w końcu jest matką Angeliqne, ale i tak się cieszę, że mąż nie trzyma na biurku żadnych pamiątek po niej.

Siadam w fotelu i otwieram górną szufladę po prawej stronie. Kiedyś zauważyłam, że wrzucał tutaj klucz od piwnicy. Tak, wciąż tu leży. Rozpoznaję go. Serce wali mi jak szalone, gdy sięgam po niego. Pospieszę się i odłożę go z powrotem, nim Jericho wróci do domu. Po prostu chcę sprawdzić, czego on tam szukał. Zajrzę do skrytki za przekrzywionym zdjęciem.

Zasuwam szufladę i wstaję. Szybkim krokiem wymykam się z gabinetu i ruszam od razu do piwnicy, by nie stchórzyć. Dobrze, że w pobliżu nikogo nie ma, ponieważ w pośpiechu, a może ze strachu, upuszczam klucz, zanim w końcu udaje mi się trafić nim do dziurki i otworzyć drzwi. Gdy stają przede mną otworem, biorę głęboki wdech, stawiam stopy na pierwszym schodku, włączam światło i zamykam za sobą ciężkie wrota.

Natychmiast czuję, że temperatura jest o kilka stopni niższa niż na górze, a unoszący się w powietrzu zapach, tak typowy dla zamkniętych podziemnych pomieszczeń, wydaje mi się upiorny. Trzymając się poręczy, szybko schodzę na dół. Nie daję sobie zbyt wiele czasu na myślenie. U podnóża schodów rzucam spojrzenie na prawo, lecz skręcam w lewo i kieruję się do pokoju, w którym tamtej feralnej nocy znalazłam Jericha. Zaczynam poruszać się wolniej, bo światło ze schodów ledwo tu dociera i muszę stąpać ostrożnie. Kiedy w końcu naciskam włącznik, nic się nie dzieje. Przypominam sobie, jak pierwszej nocy żarówka na przemian to zapalała się, to gaśła. Liczę, że zaraz rozbłyśnie.

Nie rozglądam się, nie chcę, by moją uwagę przyciągnęły zamknięte drzwi ciągnące się po obu stronach korytarza. Od razu kieruję kroki ku tym ostatnim, do pokoju, w którym tamtej nocy znalazłam męża. Wciąż są otwarte. Wewnątrz pomieszczenia panuje taki mrok, że właściwie nic nie widać, więc wsuwam do środka rękę i macam ścianę w poszukiwaniu włącznika. Na szczęście znalezienie go nie trwa zbyt długo. Po kilku mrugnięciach żarówka jarzy się ciepłym światłem. Stoję na progu pokoju, który mógłby należeć do jakiejś dziewczynki, bo jest tu nawet domek dla lalek, tyle że prawda wygląda zupełnie inaczej. Żaden rodzic nie pozwoliłby, aby jego dziecko zamieszkało w miejscu emanującym tak upiorną atmosferą.

Wstrząsa mną dreszcz, kiedy czuję, jak coś zimnego ociera mi się o kark. Szybko przestępuję próg i w panice oglądam się za siebie. Niemal się spodziewam, że zobaczę, jak ktoś za mną stoi. Serce wali mi w piersi, lecz na korytarzu jest pusto. Otulam się ramionami. Tu na dole powietrze zdaje się niespokojne, przesycone jakąś nerwowością. Mam tylko jedną rzecz do zrobienia, a potem będę mogła stąd wyjść. Duch, który tutaj mieszka, nie chce mnie skrzywdzić. Nie jestem jego, a właściwie jej, wrogiem. Mary albo Zoë.

Krzesło, na którym stanęła siostra Jericha i Zeke'a, żeby się powiesić, nadal tkwi w rogu. Zadzieram głowę i patrzę na wiekową drewnianą belkę. Historia. Mąż boi się, że mogłaby się powtórzyć. W przypadku jego córki lub moim.

Wciągam głęboko zatęchłe powietrze i szybkim krokiem podchodzę do ściany, na której ciągle wisi przekrzywione zdjęcie. Pudełko leży rozbite u moich stóp, listy rozsypały się po podłodze. Dostrzegam wystające paciorki i ostrożnie zdejmuję ramkę z gwoździa. Jest niewielka, na oko wydaje się, że ma osiem na dziesięć centymetrów, lecz pokrywa ją gruba warstwa kurzu. Szybka się stłukła i teraz jeden z kawałków upada na beton, gdzie z brzękiem pęka na pół. Odkładam zdjęcie na bok i zaglądam do malutkiej skrytki, którą ktoś wydrążył w kamieniu. To, co z daleka wzięłam za korale, okazało się różańcem. Ktoś owinął nim kilka luźnych kartek. Czy właśnie po nie Jericho tutaj zszedł? Czyżby udało mi się znaleźć to, czego szukał?

Drżącymi dłońmi sięgam po znalezione, jednocześnie odnotowując, że powietrze dokoła mnie jakby się uspokoiło. Wyciągam kartki, które, sądząc po nierównych, postrzępionych brzegach, wydarto z kołonoatnika. Rozplątnę różaniec i rozkładam je. Na górze widnieje data sprzed dwudziestu lat. Z początku wydaje mi się, że to list miłosny, ale szybko pojmuję swoją pomyłkę. Żałuję, że nie jest to korespondencja kochanków, bo treść mrozi krew w żyłach. List nie został zaadresowany do nikogo konkretnego i zaczyna się bez żadnego wprowadzenia.

*To nie jest w porządku. To nie jest normalne.*

*Przychodzi, kiedy wszyscy śpią. Śmierdzi whisky, którą ciągle pije. Przepelnia go wściekłość, zachowuje się brutalnie. Za bardzo się boję, by się poruszyć czy choćby pisać.*

*Powtarza, że tak to działa. Dziewczęta stają się kobietami, a kobiety są grzeszne i muszą się modlić o przebaczenie, żeby zbawić swoje dusze. Ale ja mu nie wierzę. Nie wierzę, że dziewczęta czy nawet kobiety są grzeszne. Przynajmniej wcześniej w to nie wierzyłam. Lecz i tak ciągle się modlę. Teraz modlę się, bym miała dość sił, żeby zrobić to, co zaplanowałam. Bo chociaż czuję ulgę, że w końcu podjęłam decyzję, to i tak strasznie się boję. Prawie zmieniłam zdanie, kiedy wyjechał na kilka tygodni, a po powrocie nie przyszedł do mojego pokoju. Pomyślałam, że koszmar się skończył i że nie będę musiała więcej tego robić. Byłam w błędzie. To się nigdy nie skończy. Muszę się trzymać swojego postanowienia.*

*Gdy próbowałam opowiedzieć o wszystkim Zeke'owi, kazał mi przestać się wygłupiać. Nie rozumiał mnie. Rzeczywiście brzmi to nedorzecznie, kiedy mówię o tym na głos. Kiedy opowiadam, co się dzieje nocami. Czuję się brudna, myśląc o tym. Sama sobie wydaję się obmierzła.*

*Nie mogę zwierzyć się mamie. Jeśli to zrobię, ją także skrzywdzi. Powiedział, że tak zrobi, a lubi ją krzywdzić, bo ona również jest grzeszną kobietą. Nienawidzi nas za pleć.*

*Ale teraz będzie już dobrze. To się skończy. Podjęłam decyzję.*

*Kilka dni temu zniosłam do piwnicy linę. Przyniosłam też ulubionego pluszaka. Wiem, że jestem za duża, żeby się bawić pluszowym misiem, lecz nie obchodzi mnie to.*

*Zaczęło się prawie rok temu. Późno dojrzałam. Zeke urósł znacznie wcześniej. Stał się silniejszy i bardziej męski. Wyglądałam przy nim jak młodsza siostra, nie bliźniaczka, ale nie przeszkadzało mi, że nigdy nie będę tak wysoka jak bracia. Mama powiedziała, że jej pokwitanie*

*także zaczęło się późno. Pamiętam, jak bardzo pragnęłam przyspieszyć ten proces. Zazdrościłam koleżankom z klasy, którym zaokrągliły się piersi, które goliły nogi. Przed wuefem przebierałam się w łazience, ponieważ wstydziałam się, że moja klatka piersiowa jest płaska, a ciała brak kobiecych krzywizn i że nie mam włosów tam na dole.*

*Teraz chciałabym cofnąć czas i pozostać taka jak dawniej, bo kiedy zaczęłam dojrzewać, on to zauważył. Zauważył mnie chyba po raz pierwszy od dnia narodzin. Nigdy nie był jakoś szczególnie wylewny w okazywaniu uczuć naszej trójce, ale bracia przynajmniej żyją w jakimś celu. Zwłaszcza Jericho. Najstarszy syn, następca. On najbardziej przypomina ojca i czasem ta strona jego osobowości mnie przeraża. Muszę jednak pamiętać, że nie jest ojcem. To miły i słodki chłopak. Nawet kiedy próbuje naśladować głowę rodu, szybko staje się sobą, gdy tylko zauważy mój strach.*

*Jest wyższy niż Zeke, lecz Zeke go dogania. Obydwaj powiedzieli, że zawsze będą mnie chronić, bo skoro jestem taka mała, to potrzebuję ich ochrony. To prawda. Żaden z nich nie zdaje sobie sprawy jak bardzo. Nie wiedzą, ile mają racji. Ale problem w tym, że żaden nie może obronić mnie przed nim. Jest zbyt nikczemny. Zbyt sprytny. Zbyt przepelniony nienawiścią do mnie. Właśnie dlatego to robi.*

Biorę wdech i przewracam stronę. Siadam na łóżku, żeby ją przeczytać. Stelaż trzeszczy pod moim ciężarem, lecz jestem za bardzo pochłonięta lekturą, by się tym przejmować.

*Zaczął się tej nocy, gdy po raz pierwszy dostałam okresu. Jakimś cudem się dowiedział i kiedy wszyscy zasnęli, przyszedł do mojego pokoju. Ja też już spałam, ale poczułam, jak zdiera ze mnie koc. Oznajmił, że od tej pory jestem grzeszna jak matka i że muszę błagać o przebaczenie za grzechy. Nigdy nie wyjaśnił, na czym te grzechy polegają. Dał mi specjalny różaniec, a potem zmusił, żebym uklękała i zmówiła modlitwę. To samo powtarzało się przez tydzień. Musiałam klękać i modlić się pod jego czujnym okiem dopóty, dopóki nie poczuł się usatysfakcjonowany.*

*Byłam tak przemęczona, że nie uszło to uwagi rodziny, lecz nikomu nic nie powiedziałam, a różaniec ukryłam pod materacem.*

*Kiedy krwawienie ustało, przestał przychodzić. Sądziłam, że już po wszystkim. Jednak potem dostałam kolejną miesiączkę i kara się zmieniła. Zanim uklękałam, zmusił mnie, żebym się rozebrała. Pamiętam, że było zimno, a on otworzył okno, by wpuścić jeszcze więcej chłodnego powietrza. Znowu kazał mi się modlić. Przez cały tydzień, dopóki nie skończyłam krwawić, zmuszał mnie, żebym się rozbierała, klękała, modliła i błagała o przebaczenie.*

*Gdy okres pojawił się po raz kolejny, stwierdził, że to nie działa. Powiedział, że jestem zbyt grzeszna, by się modlić, i że będzie musiał mnie karać tak długo, aż krwawienia nie ustaną. Oznajmił, że takie są zasady. I karał. Każdej nocy. Kara, którą wymierzał, była okropna i bolało mnie od niej w środku. Wyrządził mi taką krzywdę, że rano ledwo wstawałam z łóżka.*

Odrywam wzrok od tekstu.

O Boże! Jezu Chryste! O nie!

Biorę ostatnią kartkę. Zdaję sobie sprawę, że płaczę, dopiero kiedy łza spada na pokrywające papier pismo i rozmazuje tusz. Ocieram oczy i zmuszam się, by czytać dalej.

*Żyłam w ten sposób przez rok. Przez jeden tydzień w miesiącu kazał mi się rozbierać i klękać, a potem mnie karał. Czasem wymierzał inną karę, ale wszystkie były równie koszmarnie. Wywoływały ból i sprawiały, że czułam się okropnie, zwłaszcza że czasami coś się działo, kiedy był wewnątrz mnie. Coś powodowało, że na kilka chwil robiło mi się przyjemnie.*

*Na samą myśl o tym czuję jeszcze większe mdłości. Większe niż wtedy, gdy mnie dotykał. W takie noce po wszystkim sama się modliłam. Klękałam i przebiegając palcami po paciorkach różańca, modliłam się, by to się skończyło. Modliłam się o przebaczenie. Ponieważ on miał rację. Jestem grzesznicą. Od początku o tym wiedział.*

*Lina jest gotowa. Ja też jestem. Muszę to zakończyć, zanim kolejny raz dostanę okresu. Gdy ojciec znów przyjdzie do mojego pokoju, będzie po wszystkim. Najbardziej będę tęsknić za Ezekielem. Szkoda, że nie mogę mu powiedzieć. Szkoda, że nie może mnie obronić, tak jak obiecywał. Za Jerichem też będę tęsknić. No i za mamą.*

*Zostawię list w miejscu, w którym Zeke bez trudu go odnajdzie. W naszej skrytce. Mam nadzieję, że zrozumie. Mam nadzieję, że oni wszyscy zrozumieją, że nie miałam innego wyjścia. I że jest mi przykro, bo nie okazałam się równie silna jak oni.*

Nim doczytuję do końca, moja twarz jest mokra od łez. Obracam kartkę, lecz na drugiej stronie nic już nie ma. Spoglądam na różaniec, który trzymam w dłoni. Jest rozerwany. Ciekawe, czy Zoë to zrobiła. Pod listem nie widnieje podpis, ale wiem, że ona go napisała. To jej list pożegnalny. Tego szukał Jericho. Chciał zrozumieć, co kierowało siostrą. Czy Zeke zna prawdę? A Leontine? I, co najważniejsze, co mam zrobić teraz, gdy poznałam ją ja?

Podnoszę się z łóżka i po raz kolejny czuję w powietrzu dziwny spokój. Jakby duch, który nawiedzał to miejsce, należał do Zoë. Być może czekała, aż ktoś odnajdzie list i rodzina zrozumie jej motyw.

Z powrotem owijam kartki różańcem i wsuwam je do kieszeni, po czym wychodzę na korytarz i ruszam w stronę schodów. Nie spieszę się, bo nie mam się już czego bać. Kiedy docieram na górę, zamykam stalowe drzwi na klucz. Odkładam go z powrotem do szuflady w gabinecie Jericha. Czuję, jak list wypala dziurę w materiale. Już mam wyjść, kiedy coś leżącego na biurku przykuwa moją uwagę. Na ten widok robi mi się zimno. Rozpoznaję na kartce charakter pisma męża. Notatkę z pewnością sporządziła ta sama ręka, która napisała liścik czekający na mnie rankiem tamtego dnia po ceremonii naznaczenia. Wydaje mi się, jakby to się wydarzyło wieki temu.

Przed oczami mam nie przypadkową bazgraninę, lecz nazwę więzienia. A dokładniej nazwę zakładu karnego, do którego jakiś czas temu przeniesiono Danny'ego Gibsona, żeby odsiedział resztę wyroku. Oglądam kartkę z obydwu stron, ale nic więcej na niej nie ma.

Więzienie znajduje się niedaleko miasta Pueblo w stanie Kolorado. Lecz do Pueblo niełatwo się stąd dostać. Trzeba lecieć z przesiadkami, co trwa kilka dobrych godzin. Nie mówiąc już o czasie, który zajmują procedury bezpieczeństwa i ewentualne opóźnienia. Muszę się mylić, Jericho nie mógł tam polecieć. Niemożliwe.

Nagle mój wzrok pada na jedno ze zdjęć męża, na którym pozuje z Angeliqne na tle prywatnego odrzutowca. No tak, przecież Jericho St. James nie poleciałby nigdzie samolotem komercyjnych linii lotniczych, tylko prywatnym odrzutowcem. Dzięki niemu znalazłby się w Pueblo w ciągu dwóch i pół, góra trzech godzin. Bez kontroli bezpieczeństwa i przesiadek.

Przypominam sobie jego uwagę na temat pieniędzy, którą poczynił, kiedy informował, że zatrudnił wykładowcę z prestiżowego konserwatorium, by uczył mnie gry na skrzypcach. Oczywiście jeśli nawet nie posiada odrzutowca na własność, z pewnością stać go na wyczarowanie jakiegoś.

Ale po co miałyby chcieć się spotkać z Dannym Gibsonem? Czy temu człowiekowi przysługuje w ogóle prawo do odwiedzin? I czego Jericho chciałby się od niego dowiedzieć? Z nerwów ręce zaczynają mi się pocić i drżeć. W końcu odchodzę od biurka. Co mąż chce odkryć? I co Danny Gibson powie mu o włamaniu do mieszkania?

Przypominam sobie sen z poprzedniej nocy. Koszmar, który o tej porze roku powtarza się w kółko jak zapętłone nagranie. Jericho pytał, czy chcę o tym pogadać. Domyślam się, że chodziło mu śmierć mojego brata. Czy gdyby wiedział, co tak naprawdę mi się śni, miałby o mnie gorsze zdanie? No przecież niezależnie od tego, co wydarzyło się tamtego feralnego dnia, co zrobił mi Gibson, ja przeżyłam, a Christian zginął. To jego powinnam widzieć w snach i to obraz śmierci brata powinien mnie budzić w środku nocy, a nie to, co niemal się stało.

## 26 JERICHO

Kiedy wracam, grubo po pierwszej w nocy, dom jest pogrążony w ciszy. Jak się okazało, nie miałem racji co do tego, że zdążę wylecieć przed burzą. Zanim skończyłem z Gibsonem i pojechałem na lotnisko, rozpętało się prawdziwe piekło, więc samolot został uziemiony aż do późnego wieczora.

Dex idzie prosto do łóżka, a ja kieruję się do gabinetu. Po drodze ściągam marynarkę. Nieprzespana noc daje mi się we znaki, ale muszę się napić, zanim się położę. Zginam prawą rękę. Palce zesztyniały, a kłykcie są obite i posiniaczone. Gęba Gibsona okazała się twardsza, niż przypuszczałem.

Samą końcówkę. Jebaniec.

Otwieram drzwi i ze zdziwieniem odnotowuję, że świeci się lampa stojąca obok kanapy, a pokój bynajmniej nie jest pusty. Isabelle wygląda, jakby czekała na mnie tutaj całą noc. Na podstawie wyrazu twarzy żony nie potrafię stwierdzić, co chodzi jej po głowie.

– Dlaczego jeszcze się nie położyłaś? – pytam, zamykam drzwi i idę do barku z alkoholami, gdzie nalewam sobie szklaneczkę whisky.

– Czekałam na ciebie. Jak poszła wizyta w Atlancie?

Odwracam się, opieram o szafkę, pociągam łyk i przyglądam się żonie. Wie, że nie polecałem do Atlanty.

– Życzysz sobie czegoś?

Potrząsa głową.

– Dlaczego wróciłaś tak późno? Zeke powiedział, że powinieneś zdążyć na kolację.

– Lot miał opóźnienie ze względu na burzę.

– Doprawdy? W Atlancie była piękna, słoneczna pogoda.

Uśmiecham się, upijam kolejny łyk, odpycham tyłkiem od szafki i siadam za biurkiem.

– O co chodzi, Isabelle?

Nagle zdaję sobie sprawę, że już wiem. Dość skrupulatnie dbam o porządek, więc doskonale pamiętam, co i gdzie leżało. Nie jestem tylko pewien, czy Isabelle próbowała ukryć fakt, że grzebała w moich rzeczach.

– Węszyłaś tu pod moją nieobecność? – cedzę przez zęby, zgniatając w kulkę kartkę, na której zanotowałem nazwę zakładu karnego. – Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiała. Nie wolno ci tutaj wchodzić, chyba że na moje wyraźne zaproszenie.

Isabelle wstaje, podchodzi do biurka i chwyta za krawędź blatu. Na jej twarzy maluje się zaciętość.

– Dlaczego?

Odchylam się na oparcie i uważnie w nią wpatruję. Wygląda na wściekłą i przestraszoną jednocześnie.

– Dlaczego do niego pojechałaś?

Widzę pionową zmarszczkę, która uformowała się pomiędzy jej brwiami, widzę, że delikatna skóra wokół oczu jest zaczerwieniona. I wtedy wzrok Isabelle pada na dłoń, w której trzymam szklaneczkę z whisky. Tę, którą tak stłukłem Danny'ego Gibsona, że prawie wyzionął ducha.

– Coś ty zrobił? – pyta i opada na jedno z krzeseł, które stoją po tamtej stronie biurka.

Zastanawiam się, co jej powiedzieć. Nie wiem, czy jest gotowa, by poznać prawdę na



temat przyrodniego brata i kuzynki. Lecz prześladowają mnie słowa Gibsona. Wiem, że Christian przybył na czas, by ocalić ją od zgwałcenia. Mam pewność, bo to ja pozbawiłem Isabelle dziewictwa w noc poślubną. Ale jak blisko było do gwałtu? No i te koszmary. Śni jej się zamordowany brat czy zwyrodnialec, który ją napastował?

– Opowiedz mi o tamtej nocy – proszę i czuję, jak zalewa mnie nagła fala czułości wobec żony. Pragnę wziąć dziewczynę w ramiona i zapewnić, że jest bezpieczna.

– Zgaduję, że nie powiem ci nic, czego już byś nie wiedział.

– Nieważne, chcę to usłyszeć od ciebie.

– Po co? Co on ci naopowiadał?

– To bez znaczenia. Chcę poznać twoją wersję.

Oczy Isabelle zachodzą mgłą. Przez chwilę milczy i wpatruje się w ścianę gdzieś ponad moim ramieniem. Kiedy znów przenosi na mnie wzrok, ma chłodny, opanowany wyraz twarzy.

– Obcy człowiek włamał się do naszego mieszkania, żeby je okraść. Natknął się na mnie i postanowił się zabawić. Ale zanim dokończył to, co zaczął, nakrył go mój brat i stracił życie, ratując moje. Tyle wystarczy?

Patrzę, jak otula się ramionami. Cała się trzęsie.

– A twoje koszmary? Opowiedz o nich.

– Nie ma koszmarów. Jest tylko jeden. Zawsze ten sam. – Podnosi buntowniczo podbródek. – Chcesz posłuchać, co mi się śni? Chcesz się dowiedzieć, jaka ze mnie egoistka?

Nie odpowiadam. Po prostu jej się przyglądam.

– Śni mi się coś innego, niż się spodziewasz. Coś innego, niż przyśniłoby się normalnym ludziom. Wcale nie śnię o bracie. – Isabelle zrywa się z miejsca, staje za krzesłem i podnosi na mnie wzrok. – Widzisz, tamtej nocy Christiana pozbawiono życia. Straciłam go, jednak sama wciąż żyję. Gdyby nie ja, on także byłby wśród nas. Gdyby tylko nie ściągnął ze mnie Gibsona. – Przełyka ślinę, ociera łzy grzbietem dłoni. – I po tym, co dla mnie zrobił, co poświęcił, nawet nie widzę go w snach. Widzę tego zwyrola. Widzę jego twarz. Czuję ciężar, zapach, gorący oddech na szyi.

Isabelle wygląda, jakby miała za chwilę zwymiotować, ale bierze głęboki, drżący wdech i znów skupia na mnie wzrok.

– Nie potrafię wyrzucić z pamięci widoku jego gęby, a zapominam, jak wyglądał Christian. Jesteś w stanie to zrozumieć?

– To normalne. Nie musisz czuć się winna z tego powodu.

– Ależ muszę! W tych koszmarach chodzi wyłącznie o mnie i o to, co mi się przytrafiło. Brat się nie liczy. – Potrząsa głową. – Zawsze dochodzę do momentu, w którym Gibson ściąga mi dżinsy. Czuję, jakby znów dotykał mnie paluchami...

– Połamałem mu je. Połamałem mu rękę.

Żona przygląda mi się, a ja wyobrażam sobie, jak przetwarza w głowie usłyszaną przed chwilą informację.

– I wtedy się budzę. Budzę się, kiedy Christian wchodzi do pokoju – kontynuuję.

– Isabelle...

– W śnie czuję Gibsona między nogami. – Patrzy wprost na mnie dzikimi oczami. – Czuję, jak mnie gwałci. A przecież wyszłam z tego bez szwanku.

– Niezupełnie wyszłaś z tego bez szwanku.

Wstaję i obchodzę biurko, żeby do niej podejść, ale potrząsa głową i cofa się o kilka kroków.

– To bez znaczenia, Jericho. Jestem tutaj, nieprawdaż? Żyję. A Christian leży w grobie, choć w ogóle nie powinno go wtedy być w domu. Od tego trzeba zacząć. Jakbym do niego nie

zadzwoiła, nic by mu się nie stało. Wiesz, że to dlatego wrócił? – Ociera coraz obficie płynące łzy. – Zadzwoiłam do niego i poprosiłam, żeby kupił moją ulubioną zupę w delikatesach niedaleko mieszkania. Poszedł do pracy, a ja się rozchorowałam. Kazałam mu iść po zupę, jakby nie miał wystarczająco dużo na głowie. Gdybym nie była taką egoistką...

– Nie jesteś egoistką.

– Przyniósł mi zupę w trakcie przerwy w pracy i zginął.

Uciekając przede mną, Isabelle wcisnęła się w kąt pokoju. Podchodzę do niej, chwytam za ramiona i ściskam. Nie puszczam, kiedy usiłuje się wyslizgnąć.

– Gdyby się nie pojawił, spotkałoby cię coś o wiele gorszego – mówię, decydując, że już czas. Dziewczyna od lat dźwiga na barkach ciężar śmierci brata, chociaż nie ma w tym jej winy. Zawinili ci, którzy mieli czelność udawać, że się o nią troszczą. Isabelle próbuje mi się wyrwać, więc przyciągam ją do piersi i kładę dłoń na jej głowie.

– Przeżyłabym – szlocha z twarzą wciśniętą w moją klatkę piersiową. – Nawet gdyby Gibsonowi się udało i zrobiłby to, co chciał, tobym żyła.

Oplata mnie w pasie ramionami. Jej ciało drży.

– Nie przeżyłabyś tego, kochanie. – Przytulam ją mocno.

– Christian nie musiał umierać – dodaje, jakby nie usłyszała moich słów.

– Gdyby nie wrócił na czas, leżałabyś teraz w grobie.

Kręci głową.

– Tego nie wiesz – odpowiada i odsuwa się nieco, żeby na mnie spojrzeć.

Waham się. Nie mam pewności, czy jest gotowa, by usłyszeć prawdę, nawet mimo faktu, że udało mi się zgromadzić twarde dowody. Wciąż jest krucha. Cięża też nie pomaga. Lecz nie mogę dłużej tego przed nią ukrywać. To nie byłoby w porządku.

– Wręcz przeciwnie, Isabelle. Wiem to.

Marszczy brwi, próbując zrozumieć moje słowa.

– Danny Gibson został wynajęty po to, żeby cię zabić tamtej nocy. Jego mocodawca kazał mu upozorować włamanie.

Isabelle potrząsa z niedowierzaniem głową.

– Co? Nie! Przecież to się kupy nie trzyma. Dlaczego tak twierdzisz? Nie, Jericho. Mylisz się.

– Carlton Bishop dowiedział się o twoim istnieniu kilka lat wcześniej, nim publicznie ogłosił, że jesteś jego przyrodnią siostrą. Zresztą zrobił to tylko ze względu na specyficzne zapisy spadkowe w rodzinie.

– Spadek? Co śmierć Christiana ma wspólnego z jakimś głupim spadkiem? – Odpycha mnie i odchodzi. – W dupie mam ten spadek!

– Wiem, że pieniądze cię nie interesują, Isabelle – odpowiadam i zmniejszam dzielący nas dystans. Pocieram dłońmi jej ramiona. Chcę ją trzymać, kiedy będę wyznawał prawdę.

– Puszczaj.

– Nie. Musisz dowiedzieć się wszystkiego.

– Okłamał cię. Ten morderca nagadał ci głupot – stwierdza, nie przyjmując faktów do wiadomości.

– Mam na to dowody. Właściwie od początku miałem.

Isabelle kręci gwałtownie głową, więc dodaję:

– Carlton chciał się ciebie pozbyć. Miałś zginąć, żeby linia rodu zakończyła się na nim. Dzięki temu zachowałby prawo do spadku pomimo braku potomków.

– Przecież nie wiedział, kim jestem.

– Wiedział to doskonale. I wynajął Danny'ego Gibsona, żeby upozorował włamanie,

które wymknęło się spod kontroli.

Isabelle kładzie dłoń na brzuchu, jakby chciała ochronić kiełkujące w niej życie. Drugą ściska mi ramię.

– Gibsonowi zapłacono z konta należącego do jednej z fundacji Bishopów. Oczywiście nie bezpośrednio. A potem przelew cofnięto. Plan wymagał drobiazgowych przygotowań, lecz był jak najbardziej możliwy do zrealizowania dla kogoś, kto zna się na rzeczy – tłumaczę.

– Ale przecież... Przecież nie znaleziono żadnych śladów finansowych. Trop się urwał, Jericho.

– Gibson zasługuje na to, by zgnić w więzieniu, ale Carlton Bishop również.

Isabelle siada, a ja obok niej.

– Mylisz się. To nie może być prawda.

– Wierz mi, chciałbym się mylić.

Przyciska dłonie do twarzy i pociera policzki.

– Przecież przyszedł do szpitala. Przyjął mnie do swojego domu. Zaopiekował się mną.

– Bo musiał. Stowarzyszenie dowiedziało się o twoim istnieniu, podobnie jak wykonawcy testamentu. Bishop nie mógł cię dłużej ukrywać przed światem, więc cię przygarnął, by mieć nad tobą kontrolę. Możliwe też, że wyczekiwał kolejnej okazji.

Na te słowa żona odpycha moją rękę i zrywa się z miejsca.

– Nie! Nigdy w to nie uwierzę.

Wstaję, kiedy podchodzi do drzwi.

– Dał Danny'emu Gibsonowi tylko jedno polecenie. Chcesz wiedzieć jakie?

Potrząsa głową i otwiera drzwi, żeby wyjść.

– Gibson miał załatwić sprawę tak, żeby było krwawo.

Nogi wrastają jej w ziemię, zastyga w bezruchu.

– To było jego jedyne życzenie. – Podchodzę do niej od tyłu i otaczam ramionami. – Przykro mi, Isabelle. Nie chciałem sprawiać ci przykrości, jednak taka jest prawda. Mogę pokazać ci dowody.

Obraca się, by spojrzeć mi w oczy. Przygląda się im przez dłuższy czas, jakby usiłowała wysondować, czy nie kłamię.

– Czyli, podsumowując, Carlton próbował zabić mnie, ale zlecił zabójstwo również ciebie?

Zwężam oczy, lecz nic nie mówię.

– Przecież to nie ma sensu. Po co chciałby twojej czy mojej śmierci? Jaki cel miałyby mu przyświecać? I dlaczego zadałby sobie aż tyle trudu?

– Nasze rodziny nienawidzą się od wieków. Jeśli prześledzisz ich historię, to...

– Już to zrobiłam. I masz rację – mówi, zrzucając z siebie moje ręce. – Nienawidzimy się wzajemnie.

Patrzę i czekam.

Isabelle się prostuje i cofa o krok, żeby zwiększyć odległość między nami.

– Jesteśmy wrogami. Ja zawsze będę członkinią rodziny Bishopów, a ty członkiem klanu St. Jamesów. W żyłach dziecka, które urodzę, płynie krew obydwu rodów. Ona pozwoli ci zdobyć wszystko, czego pragniesz, i wyrzucić zemstę. Carlton, Julia i Matty wylądują na ulicy. A ja razem z nimi.

– Nie, Isabelle.

Ruszam ku niej, lecz zatrzymuję się, gdy znów zaczyna się cofać. Nie wiem, co sobie myślałam, kiedy postanowiłem wyznać prawdę. Wiedziałem, że ta rozmowa jest nieunikniona, ale najwyraźniej nie przygotowałem się do niej odpowiednio.

– Ty nie. Powiedziałem ci przecież...

– Pamiętam, co mówiłeś, i rozumiem pobudki, którymi się kierujesz. Ale wydaje mi się, że twoja troska o mnie ma datę ważności. Ta data wygaśnie za jakichś dziewięć miesięcy.

– Kurwa mać, Isabelle. – Przerywam. Wydawało mi się, że tę część mamy już za sobą. – Nadal tak uważasz? Po wszystkim, co się wydarzyło?

Łapie się za włosy.

– Jeśli miałabym ci uwierzyć, to musiałabym też uwierzyć w to, że Carlton kazał mnie zabić. A jeśli miałabym uznać, że kłamiesz, to musiałabym również uznać, że zamierzasz mnie skrzywdzić.

– Ale nie zamierzam.

Podnosi wzrok na moją twarz.

– Tak czy inaczej, przegrywam.

– Tamtej nocy wybrałaś mnie, nie pamiętasz?

Kolejny już raz w trakcie tej rozmowy potrząsa głową. Idzie w stronę schodów, zatrzymuje się u ich podnóża, po czym obraca, żeby stanąć ze mną twarzą w twarz.

– To zbyt wiele. Nie dam rady.

– Kochanie.

Chcę do niej podejść, ale wyciąga dłoń, by mnie zatrzymać.

– Muszę spotkać się z Julią, porozmawiać z nią.

– To nie będzie możliwe.

– Ostrzegła mnie, że to powiesz. Że spróbujesz namieszać mi w głowie. Pogmatwać myśli.

Czuję, jak gniew przejmuje nade mną kontrolę.

– Pamiętasz furgonetkę, która prawie cię rozjechała?

– Ani słowa więcej!

Pędzi po schodach, żeby jak najszybciej się ode mnie uwolnić. Z pośpiechu potyka się kilka razy o stopnie.

Doganiam ją na podeście piętra, łapię za ramię i prowadzę do swojej sypialni. Zamykam za nami drzwi.

– Chcesz wiedzieć, gdzie Julia pojechała tamtej nocy po tym, jak złożyła ci niezapowiedzianą wizytę w trakcie koncertu?

– Puszczaj!

– Pojechała spotkać się z właścicielem tej furgonetki.

Isabelle przestaje się szarpać.

– Nie wierzę ci! Nie zrobiłaby tego!

Chwytam ją za ramiona i lekko nią potrząsam. Musi mnie wysłuchać. Musi przyjąć prawdę do wiadomości i uwierzyć, że nie kłamię.

– Ten facet to Gerald Gibson. Twoja kuzyneczka pojechała na spotkanie z bratem zabójcy Christiana.

– Nie! Nie!

Dziewczyna wyślizguje się z moich rąk i przechodzi na drugą stronę pokoju.

– Dlaczego to robisz? Już i tak wszystko mi odebrałeś! Jestem twoją więźniarką. Dostałeś, co chciałeś. Julia miała rację. Od początku wiedziała. Mówiłam jej, że się myli, że to niemożliwe. Ale skoro byłeś zdolny do tego, by podmienić mi tabletki antykoncepcyjne, to jak mam ci wierzyć w tej kwestii? Jak mogłabym uwierzyć w cokolwiek, co powiesz? Odizolowałeś mnie od wszystkich i trzymasz pod kluczem. Czemu to robisz? Dlaczego wywierasz presję, żebym pomyślała... Żebym uwierzyła, że jedyna osoba, która darzy mnie przyjaźnią...

– Julia nie jest i nigdy nie była twoją przyjaciółką!

Podchodzę do komody i otwieram dolną szufladę, żeby wyjąć jedną ze strzykawek zostawionych mi przez doktora Barnes'a. Isabelle dostrzega, co wziąłem, zanim udaje mi się schować strzykawkę do kieszeni.

– Po co ci to? – pyta, kiedy szybko pokonuję dzielącą nas przestrzeń.

Chwytam żonę za ramiona. Wygląda na to, że dzisiaj nie uda mi się przemówić jej do rozumu.

– Puszczaj mnie, do cholery!

– Dokończymy tę rozmowę jutro. Pokażę ci dowody. A teraz uspokój się, zanim jakaś krzywda stanie się tobie albo dziecku.

– W przeciwieństwie do dziecka ja cię nie obchodzę! Mógłbyś się przynajmniej do tego przyznać! Chcesz mnie tylko bardziej pogłębić tą historyjką o człowieku... O bracie człowieka, który zamordował Christiana. Chcesz, abym uwierzyła, że czyhał na moje życie i że Julia...

– Isabelle, ostatnie ostrzeżenie.

– Że Julia byłaby w stanie posunąć się do czegoś takiego. Miałabym uwierzyć, że kuzynka jest zdolna do czynów, do których zdolne są tylko potwory i diabły, Jerichu St. Jamesie? To ty jesteś prawdziwym diabłem. Tak właśnie pomyślałam tamtego dnia, gdy cię poznałam. Wiedziałeś o tym? A kiedy już ze mną skończysz...

– Nie zamierzam z tobą kończyć. – Odwracam ją tyłem do siebie, zębami zdejmuję osłonkę igły, po czym wypluwam ją na podłogę. – Jeszcze tego nie rozumiesz?

– Puszczaj!

Szarpie się ze mną, ale nie ma wystarczająco dużo siły.

Zsuwam jej legginsy i wbijam igłę w pośladek.

– Nie! – krzyczy, lecz już jest za późno. Środek uspokajający zaczyna działać.

Kiedy dociskam tłoczek do końca, kolana się pod nią uginają, więc biorę ją na ręce i niosę do łóżka.

– Przepraszam. Nie chciałem tego robić. I nie chciałem, żebyś dowiedziała się w taki sposób.

– Pochowasz mnie obok Nellie, jak już ze mną skończysz? Pozwolisz, żeby grób zarósł chwastami, a ludzie zapomnieli o moim istnieniu? – pyta bełkotliwie.

– Znowu to samo? – Sadzam ją na materacu. – Nie, nigdy. Nigdy, Isabelle!

Siadam obok niej i tulę mocno.

– Dlaczego tak bardzo mnie nienawidzisz? – pyta ledwie słyszalnym głosem.

– Nie nienawidzę cię, wręcz przeciwnie. Bóg jeden wie, że nie tak miało być, ale się stało.

Czuję, jak jej głowa opada na moje ramię. Zamykam oczy. Powiedziałem prawdę. To, co do niej czuję, nie ma nic wspólnego z nienawiścią. To miłość. A świadomość, że dzisiejszej nocy sprawiłem żonie ogromną przykrość, boli tak, jakby ktoś schwycił moje serce i mocno zacisnął na nim palce.

– Tak mi przykro – szepczę i kładę ją w pościeli. Patrzę, jaka jest drobna i bezbronna, jaka niewinna w świecie pełnym diabłów. – Tak bardzo cię przepraszam, kochanie.

Odgarniam Isabelle włosy z twarzy i wstaję, żeby zdjąć jej buty i legginsy. Kiedy ją rozbieram, coś wypada z kieszeni i ląduje na podłodze. Otulam żonę kołdrą, a potem schylam się, żeby podnieść zgubę. Moje serce zamiera. Widziałem wcześniej ten różaniec, rozpoznaję pismo pokrywające kartki, wokół których go owinięto. I mógłbym przysiąc, że czuję piwniczny smród, jakby nim przesiąkły.

Przysiadam na krawędzi łóżka. Patrzę na to, co trzymam w dłoni, potem na śpiącą

Isabelle. W końcu zdejmuję różaniec, by otworzyć list.

## 27 JERICHO

Czytam zawartość kartek z tuzin razy, ale wciąż nie mogę zrozumieć ich treści. Nic nie ma sensu. Okazało się, że to list pożegnalny Zoë. A jednak go napisała i zostawiła Zeke'owi. On pewnie przeczytał ostatnie wyznanie siostry, po czym je ukrył. I dopiero teraz wpadło w ręce Isabelle. Ja pierdołę. Łykam potężny haust whisky i spoglądam na kamienną płytę. Na imię siostry. Na daty jej narodzin i śmierci. Przynajmniej nie piję tej samej marki whisky co ojciec. Nie znoszę tego, czym się raczył. Nigdy nie znosiłem.

Ponownie przebiegam wzrokiem tekst. Zaciskam zęby na grzbiecie dłoni, na którą owinąłem różaniec. Zoë targnęła się na życie, ponieważ ojciec ją krzywdził. Molestował ją. Do mojego gardła podchodzi fala mdłości. Przez chwilę myślę, że zwymiotuję, jednak udaje mi się powstrzymać nudności. Jakim cudem się nie dowiedzieliśmy? Jakim, kurwa, sposobem udało mu się to ukrywać przez rok?

Dochodzę do części, w której Zoë pisze o nas. O mnie. „On najbardziej przypomina ojca i czasem ta strona jego osobowości mnie przeraża”. W mózg wwiercają mi się drwiny Carltona Bishopa. Pieprzył coś o tym, że historia lubi się powtarzać. Chodziło mu o samobójstwa czy o coś zgoła innego? Przed oczyma widzę Angelique. O Jezuu, znów mi niedobrze. Jak ojciec może zrobić coś takiego własnemu dziecku? Jakim trzeba być popaprańcem, by tak skrzywdzić członka najbliższej rodziny?

Z rykiem ciskam butelką w płytę nagrobną upamiętniającą ojca. Stoję trochę za blisko, więc niemal w tym samym momencie czuję, jak kawałek rozbitego szkła, który zrykoszetował od marmuru, rozcina mi skórę na czole. Mam to w dupie. Nie, właściwie przyjmuję ból z radością. Jednak tyle nie wystarczy. Cofam pięść i z całej siły uderzam w kamień chroniący miejsce, w którym spoczywa ojciec, a właściwie szczątki wydobyte ze spalonego wraku po wypadku zorganizowanym przez Zeke'a. Stary nawet po śmierci znajduje się zbyt blisko mojej siostry. Thukę pięścią raz po raz i wyobrażam sobie, jak wyciągam stąd truchło, palę je na popiół i rozsypuję byle gdzie. Tak robię. Zabiorę dziada z daleka od Zoë. Nawet jeśli jest już za późno, żeby cokolwiek naprawić.

– Bracie.

Odwracam się i widzę, że Zeke stoi zaledwie kilka metrów ode mnie. Ręka, którą opuściłem wzdłuż boku, pulsuje bólem. Spoglądam na płytę ociekającą krwią oraz whisky i znów zaczynam młócić ją pięścią. W uszach rozbrzmiewa mi własny krzyk, wystarczająco głośny, by pobudzić umarłych.

– Jericho!

Dłoń Ezekiela zaciska się wokół mojej pięści, gdy cofam ją do kolejnego ciosu. Przez dłuższą chwilę stoimy i wpatrujemy się w siebie nawzajem.

– Wiedziałeś?

Przygląda się mi. Mruży oczy, kiedy dostrzega pomięty list pożegnalny Zoë, który ściskam w drugiej dłoni.

– Pytam, kurwa, czy wiedziałeś! – Wrzaskiem przyciągam z powrotem jego uwagę.

W końcu kiwa raz głową.

– Znalazłem list, dokładnie tak jak chciała.

Opuszcza rękę.

Wykorzystuję okazję i wymierzam mu cios.

– Ty pierdolony sukinsynu! Od samego początku wiedziałeś. Wiedziałeś, co on jej robił. Wiedziałeś, dlaczego się powiesiła. Wiedziałeś, dlaczego umarła.

Zeke dotyka żuchwy.

Będzie miał siniaka, ale nawet się nie zachwiał.

– Znałeś prawdę, zanim się zabiła?

– Kurwa, oczywiście, że nie.

– Próbowała ci powiedzieć! – Macham mu listem przed nosem. – Gdzieś ty, kurwa, wtedy był, co?!

– A ty?! – odszczekuje się Zeke i robi krok w moją stronę. Pała gniewem. – No?! Gdzie wtedy byłeś, braciszku? Och, pamiętam. Nie z nami. Spieprzałeś z domu i przez większość czasu zostawiałeś własną rodzinę z tym jebanym potworem.

Niespodziewane oskarżenie sprawia, że zataczam się w tył. Jednak Zeke ma całkowitą rację. Nie było mnie. Kiedy w domu robił się dym, wyjeżdżałem.

– No co? Nic na to nie odpowiesz, starszy bracie?

Spoglądam w dół na krwawiącą dłoń. Pozdzierałem ją do żywego mięsa i teraz pulsuje tępy bólem. Ale to nie wystarczy. Zasłużyłem na coś gorszego. Odwracam się z powrotem do kamiennej ściany i walę w płytę tak długo, aż ból staje się nie do zniesienia.

Zeke'owi udaje się w końcu odciągnąć mnie i powalić na ziemię. Łąduję w błocie, a pożegnalny list mojej siostry, jej ostatnie, straszliwe słowa, ulegają zniszczeniu.

– Dlaczego o niczym nie wiedziałem? – pytam łamiącym się głosem. – Dlaczego się, kurwa, nie zorientowałem? Dlaczego tego nie zauważyłem?

Opieram się o najbliższy nagrobek.

– Byliśmy bliźniętami, Jericho. Jeśli ktokolwiek powinien się zorientować, to ja. Cholera jasna, próbowała mi powiedzieć. Pamiętam dokładnie. Przypominasz sobie, jak strasznie schudła? Została z niej sama skóra i kości. Nie mogła spać. Nic nie jadła. Zachowywała się niczym automat.

Wsuwam palce we włosy i spoglądam na imię siostry wyryte na nagrobku, zauważam wędnące kwiaty. Czas położyć nowe.

Spoglądam na brata.

– A mama?

Pojedyncze skinienie głową.

– Od jak dawna?

– Powiedziałem jej przed wyjazdem do Austrii. Wytłumaczyłem, po co się tam wybieram i co zamierzam zrobić.

Wolę nie wiedzieć, jak to przyjęła.

– Dlaczego mnie nic nie powiedziałeś?

– To nie ma znaczenia, Jericho. Już nie.

Niespodziewanie w jego głosie zaczyna pobrzmiwać zmęczenie. Widać, że jest wyczerpany. Ten mrok, cień, który kilkakrotnie u niego zauważyłem, osiada na jego rysach. Postarza go na moich oczach.

– Przepraszam. Bardzo mi przykro, że nie było mnie przy niej. Ani przy tobie. Przepraszam, że nie zabiłem tego kutasa własnoręcznie. Że ty musiałeś to zrobić.

– Gdybym mógł, raz po raz nurzałbym ręce w jego krwi. Nie masz za co przepraszać.

Przez dłuższy czas siedzimy w milczeniu. Przyglądam się swojej dłoni.

– Kiedy znalazłeś list? – pyta Zeke.

Odwracam się do niego.

– To nie ja. Isabelle go znalazła.



– Isabelle?

Kiwam głową i myślę o kobiecie śpiącej w mojej sypialni. O Boże. Czy ta noc może się bardziej spieprzyć? Co jeszcze się wydarzy?

– Wracajmy do domu, Jericho. Musimy chociaż trochę się przespać.

– Idź. Zaraz do ciebie dołączę.

– Nic nie możesz tutaj zrobić. Połamanie sobie ręki niczego nie zmienia.

– Potrzebuję trochę czasu w samotności.

Podnoszę list, wycieram go z grubsza z błota i znów czytam. Po chwili Ezekiel zostawia mnie samego.

Nie skończyłem samobiczowania.

Jeszcze nie.

## 28 ISABELLE

Budzę się późnym rankiem, kiedy ktoś odsuwa zasłony. Spodziewam się ujrzeć Leontine albo Catherine, jednak to mężczyzna. Przez chwilę wydaje mi się, że Jericho, chociaż ma na sobie ciemny sweter i czarne dżinsy, a to do niego niepodobne. Kiedy się odwraca, dostrzegam, że w sypialni przebywa Ezekiel.

Siadam. W ustach mi zaschło. Wciąż jestem ubrana w ten sam sweter co wczoraj, ale legginsy leżą na podłodze. Pewnie Jericho je tam rzucił, kiedy mnie rozebrał.

– Dzień dobry, Isabelle – odzywa się Zeke. – Przepraszam, że cię budzę.

Patrzę na niego i przypominam sobie, co stało się w nocy. Co powiedział mąż i co mi zrobił. Odrzucam kołdrę i przechodzę przez pokój do komody. Nie obchodzi mnie, że mam na sobie tylko majtki i sweter. Jest obszerny i dość długi, więc pewnie zakrywa, co trzeba, ale i tak mi to zwisa. Wysuwam szufladę, z której Jericho wyciągnął tę pieprzoną strzykawkę, i w trakcie jej przeszukiwania znajduję kolejne dwie. Wyciągam je, maszeruję do łazienki, wylewam ich zawartość do sedesu, a same strzykawki wyrzucam do kosza. Kiedy się odwracam, dostrzegam swoje odbicie w lustrze. Wyglądam mizernie. Opłukuję twarz, szoruję zęby i staję w progu, by zapytać Ezekiela, po co przyszedł. Pewnie Jericho go przysłał, żeby dostarczył mi jakąś wiadomość. Krzyżuję ręce na piersi.

– Chciałeś coś?

– Nie powinnaś była mu go pokazywać – odpowiada, również trzymając ręce na piersi.

Nie wiem, o co mu chodzi.

– O czym ty mówisz?

– O liście. Nie powinien się o nim dowiedzieć w taki sposób.

Odszukuję wzrokiem porzucone na podłodze legginsy. No tak, list Zoë. Pewnie wypadł z kieszeni, gdy Jericho mnie rozbierał. Jakby moje dobre samopoczucie w ogóle go obchodziło.

Ściągam brwi, kiedy sobie uświadamiam, co zawierał. Podnoszę wzrok na Zeke'a.

– To był pożegnalny list waszej siostry.

Potakuje, chociaż nie zadałam pytania.

– Jak go znalazłaś?

– Kilka dni temu zastałam Jericha w tamtym pokoju w piwnicy. Szukał czegoś, a kiedy nie udało mu się tego znaleźć, cisnął szkatułką w ścianę i ramka, w którą trafił, się przekrzywiła. Zauważyłam, że za zdjęciem jest skrytka. Wystawały z niej paciorki. Wróciłam tam później, by sprawdzić, co to takiego.

– Ta piwnica to nie miejsce dla ciebie, a list nie miał trafić w twoje ręce.

Przygryzam wargę.

– Nie wiedziałam, co znajdę. Masz rację, list nie był przeznaczony dla mnie. Ale był przeznaczony dla twojego brata. – Zaskakują mnie własne słowa. Dlaczego staję w obronie męża? Ezekiel zaciska usta w wąską kreskę.

– Chroniłem Jericha.

Kiwam głową i wchodzę do sypialni.

– Wiem. Przykro mi z powodu tego, co spotkało Zoë.

Czuję, jak moje oczy wypełniają się łzami.

– Dziękuję. Jednak nie dlatego tu przyszedłem.

– A po co właściwie?

– Jericho jest w kiepskim stanie. Naprawdę kiepskim.

Czoło samo mi się marszczy, lecz nim zadaję jakiegokolwiek pytanie, Zeke wyjaśnia:

– W nocy znalazłem go na cmentarzu. Usłyszałem coś, co wziąłem za odgłosy wydawane przez zwierzę, ale na miejscu zastałem brata. Próbował rozbić ręką płytę nagrobną.

– O cholera. I poszedł tam po tym, jak przeczytał list?

Ezekiel kiwa głową.

– Czuje się winny.

– Tak mi przykro. – Zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam, że wyjęłam list ze schowka. Może trzeba było go tam zostawić?

– Teraz jest na dole. Zamknął się w gabinecie. Najpewniej osusza kolejną butelkę whisky. Mogłabyś do niego pójść?

– Ja?

– Ja już próbowałam, matka też. Sądzę, że jesteś jedyną osobą, która może do niego dotrzeć.

– Ja? – powtarzam bezbrzeżnie zdumiona.

– Tak, ty. Matka zabrała Angelique z domu. Jest z nimi Dex. Nie chcę, by po powrocie mała zobaczyła ojca w takim stanie.

– W porządku. Daj mi chwilę, ubiorę się chociaż.

– Nie ma czasu. – Sięga do kieszeni i wygrzebuje z niej klucz, po czym wyciąga go w moją stronę. – Dzięki niemu dostaniesz się do gabinetu.

Zauważam siniak rozlewający się po szczęce Ezekiela. Ciekawe, czy to robota mojego męża.

– W porządku.

Wychodzimy z sypialni. Nim docieram na ostatni stopień schodów, słyszę muzykę dobiegającą z gabinetu. Jericho musiał ją włączyć na cały regulator. Rozpoznaję melodię. Requiem Mozarta. Nieopodal stoi Catherine. Wygląda na zaniepokojoną. Kiedy nasz wzrok się spotyka, uśmiecham się do niej uspokajająco i podchodzę do drzwi. Nie bawię się w pukanie, tylko od razu wsuwam klucz w zamek i wchodzę do środka. Muzyka gra tak głośno, że nie mogę pozbierać myśli. Zasłony są zaciągnięte, jedyne źródło światła stanowi lampka. Jericho siedzi na kanapie. Wygląda jak wrak człowieka. Na stoliku obok stoi opróżniona niemal do dna butelka whisky. Mąż jest pochylony, przedramiona oparł na kolanach, głowę zwiesił luźno. Włosy ma potargane, ubranie brudne, stopy boso. Powietrze w gabinecie przesyca woń alkoholu.

Jericho chyba nie słyszy, jak wchodzę, bo nie podnosi głowy. Cicho zamykam za sobą drzwi i przyglądam mu się dokładniej. Patrę na męża siedzącego w ciemnym pokoju, cuchnącego alkoholem i poczuciem winy. Wygląda na człowieka, który został pokonany i stracił wszelką nadzieję. Nic a nic nie przypomina diabła, jakiego znam.

W końcu podnosi głowę. Kiedy spotykamy się wzrokiem, moje serce ściska się z bólu. Oczy zachodzą mi mgłą i w jednej chwili zapominam, co stało się w nocy. Wybaczam mu.

Gdy do niego podchodzę, opiera plecy o kanapę. Im bliżej jestem, tym wyraźniej widzę jego twarz, dostrzegam na niej krew i brud, nieogolony zarost. Niegdyś biała koszula nadaje się tylko na śmietnik. Nie dość, że jest upaprana, to jeszcze miejscami podarta. Przez chwilę zastanawiam się, czyja krew na niej widnieje, ale potem spoglądam na dłonie Jericha. Prawa wygląda gorzej niż lewa. Jest opuchnięta i mocno poraniona, być może nawet połamana.

Padam na kolana między nogami męża. Syczy z bólu, gdy dotykam jego dłoni. W nocy nie wyglądały aż tak źle. To nie przez lanie, które spuścił Gibsonowi. O nie. To konsekwencja tego, co zrobił po tym, jak znalazł list Zoë u mnie w kieszeni.

Patrę Jerichowi w oczy, dotykam jego twarzy, rozcięcia na czole. Przygląda mi się z

bezdenną rozpaczą. Jest gdzieś daleko. Zbyt daleko. Muszę sprowadzić go z powrotem.

– Coś ty ze sobą zrobił?

Nic nie mówi, ale pociera mój policzek kłykciami mniej pokaleczonej dłoni. Sięga obok i chwyta butelkę whisky.

– Nie – mówię, zaciskając palce na szyjce.

Mąż mruga kilkukrotnie i próbuje skupić na mnie wzrok. Ponownie usiłuje złapać butelkę.

– Nie, Jericho. Wystarczy ci.

Nie wiem, czego się spodziewać. Cieszę się, gdy nie reaguje agresją. Odstawiam butelkę na stolik i wstaję. Znam jeden sposób, by wydobyć Jericha z tego odrętwienia. Sięgam pod sweter i ściągam majtki. Mąż przygląda się, jak siadam na nim okrakiem, nie kłopotząc się zdejmowaniem reszty ubrań.

– Ty głupcze – karcę go, rozpinając mu pasek i rozporek spodni. Kiedy wsuwam rękę w slipki, jego kutas jest miękki. – Chcesz się zabić?

Całuję go, nie czekając na odpowiedź. Z początku nie oddaje pocałunku, nie reaguje na pieszczoty, ale po jakimś czasie zaczyna twardnieć pod dotykiem mojej dłoni. Widzę, jak wzrok męża nabiera ostrości, a po chwili czuję na piersi jego rękę.

Unoszę się nieco, żeby dotrzeć go wygodnie i nasuwam się na fiuta. Kochamy się z otwartymi oczami, dotykając się ustami, pieszcząc wilgotnymi językami. Ujeżdżam go powoli i głęboko.

– Isabelle – jęczy.

– Ciii...

Całuję męża ponownie, po czym łapię za dół swetra. Ściągam go, a potem jednym szarpnięciem rozrywam koszulę na piersi Jericha. Materiał puszcza bez trudu. Dotykamy się skóra do skóry. Muszę być blisko niego, tak blisko, jak się da.

Trzyma mnie jedną ręką, a drugą sięga po butelkę i podnosi ją do ust.

– Nie!

Tym razem się opiera, ale potrząsam głową. Pozwala odebrać sobie whisky, którą upuszczam na dywan.

– Potrzebuję cię, Jericho.

Poruszam biodrami i zaciskam mięśnie w sposób, który – jak wiem – uwielbia. Czuję, jak coraz bardziej twardnieje i kładzie mi ręce na biodrach.

– Musisz być tutaj ze mną, rozumiesz?

Nie odzywa się, lecz zaczyna kierować moimi biodrami, by móc wbić się głębiej.

– Nasze dziecko cię potrzebuje. Twoja córka cię potrzebuje. Słyszysz, Jericho?

– Jest dużo gorzej, niż sądziłem – mówi bardziej do siebie niż do mnie. – Wszystko się zjebało.

Zaciska palce mocniej na moim ciele.

– Zostań tu ze mną – nakazuję i kładę mu dłonie na policzkach. Nakierowuję jego głowę, żeby spojrział mi w oczy. – Potrzebuję cię. Słyszysz? Potrzebuję cię.

Wpatruje się we mnie zmęczonymi, przepełnionymi bólem oczami.

– Proszę, Jericho.

– Jestem taki sam jak on. Zoë o tym wiedziała. A ja idealizowałem go, traktowałem jak wzór.

– Nie, nie jesteś do niego podobny. Wiem to.

– Sama powiedziałaś, że jestem diabłem.

– Miałaś możliwość mnie zranić, wyrządzić mi prawdziwą krzywdę. Nie raz i nie dwa. A

jednak nigdy tego nie zrobiłeś.

Potrząsa głową.

– Isabelle...

– Jesteś moim diabłem, tylko moim. I potrzebuję cię teraz. Rozumiesz?

– Wiedziałem, że nie zgodziłabyś się dobrowolnie zająć ze mną w ciąży, dlatego podmieniłem pigułki. To gorsze niż kłamstwo, oboje o tym wiemy.

– Zamknij się.

– Koniec końców i tak cię skrzywdzę, nie potrafisz tego dostrzec, Isabelle?

– Och, zamknij się. Po prostu się zamknij i doprowadź mnie do orgazmu. Potrzebuję tego.

Oczy Jericha ciemnieją. Przyciąga mocno moje biodra i wbija się głęboko. Po chwili zdejmuję mnie z siebie, sadza na kanapie, rozsuwa mi nogi, po czym klęka na podłodze pomiędzy nimi. Przyciąga pośladki na sam brzeg siedziska, a potem nurkuje twarzą między udami. Mogę jedynie chwycić go za włosy i zacisnąć zęby na własnej dłoni, aby nie krzyknąć. Jego zarost drażni mi skórę, lecz wargi są miękkie, delikatne. Wsuwa we mnie giętki język i zamyka usta wokół tektaczki.

Szczytuję, a moim ciałem wstrząsają spazmy. Gdy jest po wszystkim, Jericho klęka na skraju sofy twarzą do mnie i wślizguje się do środka. Coś się między nami zmieniło. Oboje mamy otwarte oczy i nie spuszczaemy wzroku z siebie nawzajem. Dochodzimy jednocześnie, przywierając mocno ciało do ciała. Oplatam ramionami jego szyję, on wsuwa mi palce we włosy i odchyła moją głowę, by wtulić się w szyję.

Wiem, że należymy do siebie. Ja należę do niego, on należy do mnie. Tak nam było pisane. Bishopówna i St. James.

Dziecko rosnące w moim brzuchu także ma już swoje przeznaczenie, wyznaczony cel. Uleczy niezabliźnione rany, zakończy starą opowieść i zacznie snuć nową.

Nawet jeśli nie powiedziałam tego na głos, to kocham Jericha St. Jamesa. Potrzebuję go. I wiem, że on czuje to samo. Nieważne, jak zaczęła się nasza historia i jak miała się potoczyć. Z biegiem czasu przerodziła się w coś zupełnie innego. W coś pięknego i dobrego. I dość silnego, byśmy mogli stawić czoła wszystkim przeciwnościom świata.



## 29 JERICHO

Isabelle przemywa mi ręce i twarz. Środek odkażający szczypie, ale staram się siedzieć nieruchomo. Przyglądam się jej. Jest taka piękna. Nawet kiedy mówi, że muszę być skończonym durniem, skoro walczyłem z kamieniem. Ma rację. Nawija o tym, co sobie pomyśli Angelique, gdy zobaczy mnie w takim stanie, i że powinniśmy opatrzyć rany i pozbyć się smrodu gorzelnicy, zanim mała wróci do domu. Przynajmniej jej słowa rozpraszają negatywne myśli.

Dex już drugi raz pojechał gdzieś z matką i Angelique. Muszę porozmawiać z nim na ten temat. Czuję się, jakby w domu po cichu dokonywała się za moimi plecami rewolucja.

Isabelle zakłada pasmo wilgotnych włosów za ucho i spogląda na mnie. Po wspólnym prysznicu założyła cienką swetrową sukienkę. Ma gołe nogi i stopy, a dzianina ciasno opina jej pośladki. Kiedy się odwraca i schyla, żeby wyrzucić zakrwawioną gazę, której używała do oczyszczania ran, nachodzi mnie nieprzeczona ochota, żeby oprzeć ją o łóżko, zadrzeć sukienkę aż do pasa i wziąć żonę od tyłu.

– Co? – pyta, kiedy odwraca się do mnie przodem.

Zdaję sobie sprawę, że szczerzę się jak głupi. Prawdę mówiąc, mam wrażenie, jakbym znajdował się w półśnie. Pewnie po części z powodu znacznej ilości spożytej whisky, a po części ze względu na fakt, że nie spałem od czterdziestu ośmiu godzin.

– Twój tyłek fajnie wygląda w tej kiecce.

Przewraca oczami, lecz uśmiecha się i poprawia pościel.

– Musisz się położyć, ale najpierw to zjedz. – Wskazuje talerz z kanapką na nocnym stoliku. – Pomoże ci zmetabolizować alkohol.

– Siadaj.

– Jedz – ripostuje i zakłada ręce na piersi.

– Zjem, jak usiądziesz.

Nie rusza się z miejsca.

– Musimy porozmawiać, Isabelle.

Gdy tylko słowa wydostają się spomiędzy moich ust, odnoszę wrażenie, że haj gdzieś ulatuje.

Żona siada obok mnie i podwija pod siebie nogi.

– Najpierw zjedz.

Kiwam głową i pochłaniam kanapkę na trzy gryzy. Naprawdę umieram z głodu.

– Wiesz, jedzenie trzeba pogryźć, zanim się je połknie – kpi.

Uśmiecham się, ocieram usta dłonią i odwracam się przodem do niej.

– Pamiętasz, co opowiedziałem ci w nocy?

Twą twarz zasnuwa jej cień, lecz potwierdza skinieniem głowy.

– Wyrzuciłam pozostałe strzykawki. Jeśli jeszcze raz zrobisz mi coś takiego, to...

– Nie zrobię.

– Jeśli zrobisz, to cię zabiję, Jerichu St. Jamesie. Przysięgam!

Uśmiecham się na jej ultimatum.

– W porządku, trzymam za słowo.

Odgarnia mi włosy z czoła, a rysy jej twarzy łagodnieją.

– Wróćmy do mojego pytania, Isabelle. – Nie daję się zbyć. – Pamiętasz, co opowiedziałem ci o nocy, podczas której zginął twój brat?

Spuszcza wzrok na sukienkę i strzepuje z niej pyłek.

– Muszę to sobie przemyśleć, poukładać w głowie.

– Chciałbym się mylić, ale mam dowody.

– Naprawdę muszę się nad tym wszystkim zastanowić. Jednak najpierw muszę jakoś przetrwać kilka najbliższych tygodni. W porządku?

No tak, rocznica śmierci Christiana.

– W porządku. – Otaczam Isabelle ramieniem, a ona posyła mi nikły uśmiech. – Nie skrzywdzę cię, Isabelle, przysięgam. Ani teraz, ani po narodzinach dziecka, ani nigdy. Nieważne, czy jesteś w ciąży, czy należysz do rodziny Bishopów, czy stanowisz część mojego planu zemsty. To ciebie pragnę. Nic się w tej kwestii nie zmieniło i nic się nie zmieni.

Dotykam jej policzka i przyciągam ją do siebie. Łzy Isabelle moczą mi koszulę.

Pociąga nosem, a jej ciałem wstrząsa nagły szloch, więc przytulam ją jeszcze mocniej. Chciałbym, żeby częściej się uśmiechała. Chciałbym usłyszeć jej śmiech. Czy kiedykolwiek go słyszałem? Czasem zdarza się, że chichocze razem z Angelique, kiedy wydaje jej się, że nie ma mnie w pobliżu. Ale chyba nigdy nie słyszałem, jak się śmieje.

– I przysięgam ci, że nigdy cię nie zdradzę. Musisz tylko mi zaufać i przy mnie trwać.

### 30 ISABELLE

Jericho śpi twardo. Po południu wychodzę do kaplicy znajdującej się na terenie posiadłości. Dzień jest chłodny i pochmurny. Gdy idę ścieżką do świątyni, stwierdzam, że zawsze na kilka tygodni przed rocznicą śmierci Christiana psuje się pogoda. Tak było co roku przez ostatnie trzy lata.

Po drodze zrywam polne kwiaty, niebieskie i żółte, których mnóstwo tu rośnie. Zanim docieram do cmentarza, udaje mi się zrobić cztery niewielkie bukiety. Jeden z nich kładę na grobie Kimberly, drugi na grobie Nellie, trzeci u Zoë. Kiedy wstawiam bukiet do wazonu umiejscowionego tuż obok imienia, poświęcam kilka minut na rozmyślenia o jej krótkim i jakże smutnym życiu. O jej braciach i tym, że nie udało im się ocalić siostry. Przed oczami staje mi wyprana z wszelkiej nadziei twarz Jericha i wypełnione bólem oczy.

– Przykro mi z powodu tego, co cię spotkało – mówię.

Przypominam sobie uczucie czyjejs obecności, które uderzyło mnie, gdy znalazłam list. Przejmujące chłodem wrażenie, że towarzyszy mi ktoś, kto już nie należy do tego świata. Kiedy o tym myślę, moje ciało pokrywa się gęsią skórą. Zaczynam drzeć, więc otulam się ramionami. Nie boję się jednak. Wiem, że to ona. Zoë. Może teraz, gdy tajemnica wyszła na jaw, nie przebywa już dłużej w piwnicy. Może udało jej się w końcu odnaleźć spokój.

Czuję, jak w gardle rośnie mi gęsia skóra, a w oczach zbierają się łzy. Dłonią ścieram brud z pierwszej litery imienia nieżyjącej szwagierki, po czym przenoszę wzrok na kamienną płytę tuż obok jej nagrobka. Płytę, na której wciąż widnieją ślady krwi Jericha. Na nagrobek jego ojca. Jak Zoë mogłaby zaznać spokoju, spoczywając tak blisko niego? Ale mój mąż się tym zajmie. Jutro z samego rana imię spoczywającego tutaj potwora zostanie skute z płyty, a szczątki usunięte z krypty, żeby Zoë mogła nareszcie zaznać ukojenia.

Biorę głęboki wdech i ruszam w stronę kaplicy. Teraz muszę powspominać swoich własnych zmarłych. W ciągu ostatnich trzech lat stworzyłam swego rodzaju uroczystość żałobną, by ich upamiętnić. Carltonowi nigdy szczególnie nie zależało na tym, by czcić ich pamięć, chociaż czasem nakłoniony przez Julię udawał, że jest inaczej. Nie mogę go winić, w końcu nie znał Christiana. Wydaje mi się natomiast, że Julię to obchodziło. Kilka razy nawet dołączyła do mnie na cmentarzu. Twierdziła także, że rozumie mój rytuał upamiętniający brata.

Podobnie jak poprzednio zauważam przed kaplicą parę niedopałków. Nie wiem, dlaczego wydają mi się takie nie na miejscu. Przecież nie ma nic dziwnego w tym, że jakiś pracownik pali na terenie posiadłości. Postanawiam zignorować pety.

Wchodzę do kaplicy i ruszam do ołtarza. Wieczna lampka jak zwykle się pali, ale świece już nie, więc odkładam ostatni bukiet, biorę pudełko zapalek i zaczynam zapalać je po kolei. Otwieram torbę na ramię, którą ze sobą zabrałam, i wyciągam z niej oprawione zdjęcie. Jestem na nim razem z bratem. Przyglądam się twarzy Christiana, zauważam uśmiech rozświetlający blaskiem jego oczy. Fotografia została zrobiona przed wypadkiem rodziców, miałam wtedy dwanaście lat.

Tamtego lata pojechaliliśmy samochodem do Miami. Była to jedna z nielicznych okazji, kiedy wybraliśmy się na wspólne wakacje. Wiem, jak długo rodzice musieli oszczędzać, żebyśmy mogli sobie na nie pozwolić. Nocowaliśmy w przydrożnych motelach. Pamiętam, że z każdej buteleczki szamponu zużywałam jak najmniej, żeby resztę móc zabrać do domu. Tak dobrze się razem bawiliśmy. Śmialiśmy się, byliśmy szczęśliwi... Tacy szczęśliwi.



Na to wspomnienie oczy natychmiast wypełniają mi się łzami. Mojej rodziny już nie ma. Wszyscy umarli. Los potrafi być okrutny.

Stawiam zdjęcie na ołtarzu i układam przed nim kwiaty. Z torebki wyciągam świeczkę do podgrzewacza, zapalam ją i umieszczam tuż przed ramką. Siadam w pierwszej ławce. Starannie omijam wzrokiem księgę Draki, staram się też nie patrzeć na jego imię wyryte na ogromnym kamieniu w podłodze nawy głównej. Zamiast tego skupiam się na Christianie. Odmawiam za niego wszystkie znane mi modlitwy. Proszę Boga, by obdarzył go spokojem, by ich wszystkich nim obdarzył.

Ani razu po śmierci bliskich nie poczułam ich obecności. Ani rodziców, ani brata. Sądziłam, że będzie inaczej. Sądziłam, że człowiek wciąż czuje ukochanych, kiedy odejdą z tego świata. Tym, którzy pozostają, byłoby wówczas o wiele łatwiej.

Odsuwam od siebie tę myśl i wyciągam coś, co mogłabym nazwać pamiętnikiem. Po śmierci Christiana zaczęłam zapisywać różne rzeczy. Gdy odeszli rodzice, z czasem ulatywało mi coraz więcej wspomnień. Uświadomiłam to sobie w trakcie przeglądania starych rodzinnych albumów. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy lub gdzie zostało zrobione dane zdjęcie. Dlatego gdy Danny Gibson zabił mojego brata, spisałam wszystko, co pamiętałam na jego temat. Jak czochrał mi włosy i nazywał mnie tchórzem podczas oglądania horrorów. Jak godzinami przesiadywał w łazience, kiedy z rzadka wychodził na randkę. Jak nabijałam się z niego, że marnuje tyle czasu na ułożenie fryzury. Uśmiecham się. Z wodą kolońską też przesadzał. Przed świętami zawsze chodziłam po domach towarowych i prosiłam o próbki, które później przelewałam do większego flakonu i dawałam mu w prezencie. Tak samo zbierałam perfumy dla mamy. Tata co roku dostawał oprawione w ramkę zdjęcie całej rodziny. W domu się nie przelewało, ale nie zwracałam na to uwagi i nigdy nie czułam, że czegoś mi brakuje. Kochaliśmy się. Niczego więcej nie potrzebowałam. Chociaż pewnie rodzice widzieli to inaczej. Zawsze pracowali na kilku etatach, żeby zapewnić nam jedzenie, ubrania i dach nad głową.

Poświęcam chwilę, by podziękować Bogu za tamte szczęśliwe dni. Choć wcześniej straciłam bliskich, przynajmniej dorastałam w szczęśliwym, pełnym miłości domu, w którym nie było miejsca na przemoc. Gdy myślę o tym, co wycierpiała rodzina Jericha, wydaje mi się, że pod pewnymi względami byliśmy od nich znacznie bogatsi.

Patrzę na zegarek. Zbliża się czas mojej popołudniowej lekcji z Angelique. Odkąd pani Strand wyleciała z hukiem, dzielimy się z Leontine opieką nad małą. Czytamy z nią i wykonujemy proste ćwiczenia. Leontine coraz częściej namawia Jericha, żeby zapisał córkę do szkoły. Po rocznicy śmierci Christiana ja też z nim porozmawiam na ten temat. Tylko najpierw muszę jakoś przetrwać najbliższe tygodnie.

No i jest jeszcze jedna sprawa do rozważenia. Będę musiała postarać się zrozumieć, dlaczego Julia miałaby zrobić to, o co oskarża ją mój mąż. Pogodzić się z czymś, co nie ma dla mnie najmniejszego sensu. Według Jericha Carlton wynajął Danny'ego Gibsona, by mnie zabił, bo dowiedział się, że jestem jego przyrodnią siostrą, a zarazem przeszkodą na drodze do spadku. Czy wierzę mężowi? Wierzę, że on uważa to za prawdę i że ma jakieś dowody na poparcie swojej teorii. Muszę sama się przekonać. Jeżeli racja jest po stronie Jericha, znaczyłoby to też, że od początku wiedział, że Carlton stał za śmiercią Christiana. Czy to właśnie dzięki temu trzyma Carltona w garści? Czy to dlatego przyrodni brat zgodził się, by St. James mnie poślubił, chociaż zdawał sobie sprawę, że mogę zająć w ciążę? W świetle tych informacji poczynania męża nagle nabierają sensu. Ale czy Carlton byłby zdolny do morderstwa? Bo nawet jeśli nie popełnił go osobiście, to skoro je zlecił, ma krew Christiana na rękach.

A gdzie w tym wszystkim jest Julia? Czy to prawda, że po spotkaniu się ze mną podczas koncertu, opowiedzeniu, jak Jericho groził jej oraz Matty'emu i daniu mi pigułek poronnych,

pojechała do domu Gibsonów? Że złożyła wizytę człowiekowi, który niemal przejechał mnie furgonetką? Zdawało mi się, że to był wypadek, splot nieszczęśliwych okoliczności. Może jestem po prostu naiwna.

Carlton to jedno, chociaż nie bardzo wierzę, że byłby zdolny do tego, o co oskarża go Jericho, ale Julia? Traktowała mnie dobrze. Jest matką Matty'ego i widzę, jak się wobec niego zachowuje. Kocha go i zrobiłaby dla małego wszystko. Tamtej nocy w sali koncertowej ostrzegła, że Jericho spróbuje namieszać mi w głowie. Że spróbuje wmówić to, w co chce, żebym uwierzyła. Że będzie się ze mną obchodził jak z jajkiem, bo noszę w brzuchu dziecko, narzędzie jego zemsty. Powiedziała, że łatwo mną manipulować. To nieprawda. Jericho zarzekał się, że chce ze mną być i że się o mnie zatroszczy, nie tylko ze względu na dziecko. A ja mu wierzę. Więcej, darzę go uczuciem. Ale może właśnie o to chodziło Julii. Co, jeśli mąż kieruje mną niczym lalkarz marionetką?

Wstaję z ławki. Nie mam ochoty myśleć dłużej o tym wszystkim. Poza tym pora wracać do domu. Zostawiam na ołtarzu zapaloną świeczkę do podgrzewacza, ale zdmuchuję pozostałe, zabieram torebkę i wychodzę z kaplicy. Niebo pociemniało, chmury zbiły się w gęstą szarą masę. W nocy pewnie rozpęta się burza, lecz na razie jeszcze nie pada. Pospiesznie schodzę po schodkach i przebiegam przez cmentarz. Nagle coś obok grobu Nellie przykuwa mój wzrok. Zatrzymuję się z jedną ręką na cmentarnej furcie i wciągam ze świstem powietrze. Obok nagrobka stoi łopata, chociaż mogłabym przysiąc, że jeszcze pół godziny temu, kiedy kładłam tam kwiaty, jej nie było. Czuję, jak po plecach przebiega mi zimny dreszcz. Rozglądam się z niepokojem dokoła. Czuję zapach dymu papierosowego czy to tylko wyobraźnia płata mi figla?

– Jest tam kto?! – wołam. Może ogrodnik przyszedł wykonać jakieś prace. To jedyne logiczne wytłumaczenie.

Nikt nie odpowiada, ale zdaje mi się, że w oddali, między rosnącymi gęsto drzewami, widzę błysk czerwonego ognika.

– Halo? – próbuję jeszcze raz. Czyżby ktoś tam stał i palił? Bo czym innym mogłoby być to czerwone światełko?

Po chwili las na powrót pogrąża się w mroku, a odpowiedź wciąż nie nadchodzi. Rzucam ponownie okiem na łopatę zostawioną przy grobie i mocnym pchnięciem otwieram furtkę, by jak najszybciej dostać się do domu. Przez całą drogę powrotną czuję na sobie czyjeś spojrzenie. Czy ktoś mnie obserwuje?

Nagle oblatuje mnie strach.

## 31 JERICHO

Starcie nazwiska ojca z płyty nagrobnej okazuje się prostsze niż ekshumacja spoczywających za nią szczątków. Co prawda po wypadku udało się odzyskać i pochować ledwie kilka kości, ale chcę wymazać wszelki ślad po nim. Pragnę, by moja siostra mogła spoczywać w pokoju.

Przypominam sobie pierwszą noc, którą Isabelle spędziła w rezydencji. Wspominała wtedy o czyjejś obecności w piwnicy. Ciekawe, czy to była Zoë. Schodziłem kilkakrotnie na dół po odnalezieniu listu pożegnalnego przez żonę, lecz siostry już tam nie ma. Powietrze wydaje się tak samo puste jak w pozostałych pomieszczeniach w domu. Możliwe, że Zoë czekała, aż znajdziemy skrytkę. Ciekawe, co chciała, by Zeke zrobił z zawartymi w liście informacjami. Czy miała nadzieję, że podzieli się czymś tak koszmarnym, wręcz niewyobrażalnym, z resztą rodziny?

Kiedy powiedziałem matce, co zamierzam zrobić ze szczątkami ojca, kiwnęła tylko zdawkowo głową. Nie rozmawialiśmy o powodach mojej decyzji, nie wspominaliśmy o wiadomości z za grobu od Zoë ani o tym, że była wykorzystywana przez tego skurwiela. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy matka zniosłaby kolejną rozmowę na ten temat. Jestem pewien, że i bez tego zdręcza się śmiercią córki i pobudkami, przez które targnęła się na życie.

Z oddalenia przyglądam się, jak dwóch mężczyzn odsuwa kamienną płytę. Nie czuję absolutnie nic poza wstrętem do człowieka, którego kości za nią leżą. Śmierć zadana przez Zeke'a była dla niego stanowczo zbyt łagodna.

– Jericho.

Odwracam się i widzę, że brat właśnie nadchodzi. Nie usłyszałem go wcześniej, bo robotnicy dość mocno hałasują.

Ezekiel rzuca okiem na mauzoleum, potem przenosi wzrok z powrotem na mnie. Pomiędzy jego brwiami pojawia się wiele mówiąca zmarszczka.

– Co się stało? – pytam zaniepokojony.

– Nie wiem. Dostaliśmy wezwanie do siedziby IVI.

– Wezwanie?

– Przed chwilą skończyłem rozmawiać z sekretarzem Hildebranda. Zwołują wszystkich Sprawiedliwych Synów. Spotkanie zaczyna się za pół godziny.

– To coś nowego. Podejrzewasz, o co może chodzić?

Kręci głową. – Wydali zakaz opuszczania kompleksu. Więcej nie wiem.

– Zakaz opuszczania kompleksu? – dziwię się.

Ostatni raz wprowadzono tę procedurę ponad dwa lata temu na czas egzekucji.

– Powinniśmy się zbierać.

– Poproszę Dexa, by przypilnował prac.

Informuję robotników, że muszę iść, i wyciągam telefon, aby napisać SMS-a do Dexa. Mam zamiar powiedzieć Isabelle, gdzie się wybieram, ale kiedy docieram do domu, zza drzwi biblioteki dochodzą dźwięki skrzypiec. Nie chcę przerywać lekcji, więc przez chwilę przysłuchuję się muzyce i wychodzę. Opowiem żonie wszystko po powrocie.

Do siedziby stowarzyszenia udajemy się autem Zeke'a. Razem z nami podjeżdża sznur innych pojazdów. Przekazujemy samochód jednemu z oczekujących na gości parkingowych. Przybyli mężczyźni wymieniają pozdrowienia, ale najwyraźniej nikt nie ma pojęcia, po co nas

zawezwano. Gdy odzwierny wpuszcza nas do głównego budynku kompleksu, podchodzą do nas Sędzia i Santiago.

– Wiecie, o co chodzi? – pytam, wymieniając uściski dłoni.

– Nie bardzo – odpowiada Sędzia. – Słyszałem tylko, że wczorajszej nocy coś się wydarzyło w Domu Kocic.

Dom Kocic to w gruncie rzeczy burdel z górnej półki. IWI zatrudnia najpiękniejsze kurtyzany na wyłączny użytek Sprawiedliwych Synów. Zdaję sobie sprawę, jak fatalnie to brzmi, ale ponoć kobiety otrzymują sowite wynagrodzenie i pracują z własnej, nieprzymuszonej woli. Cóż, to chyba jedna z tych rzeczy, na które idą nasze składki. Ot, takie dodatkowe uposażenie.

– Nie wydaje mi się, żeby chodziło o zwykłą reprimendę, bo wtedy nie kazaliby się stawiać wszystkim – stwierdza Santiago.

W przeszłości rzeczywiście zdarzyło się raz czy dwa, że sprawy w Domu Kocic wymknęły się spod kontroli i trzeba było udzielić komuś nagany.

– Raczej nie – zgadza się z nim Sędzia, a na jego obliczu maluje się powaga.

Zastanawiam się, czy przypadkiem nie wie więcej, niż nam mówi, ale nasza pogawędka zostaje przerwana, kiedy wchodzimy do jednego z najbardziej mrocznych i posępnych pomieszczeń w całym kompleksie, gdzie zazwyczaj zwołuje się większe zgromadzenia. Jako jedno z nielicznych, nie licząc sal balowych, może pomieścić nas wszystkich.

Zeke i ja zajmujemy sąsiadujące miejsca przy wiekowym dębowym stole, Santiago i Sędzia siadają po przeciwnej stronie. W sali wrze od głosów zgromadzonych mężczyzn, którzy spekulują na temat tego, co się dzieje i skąd taki pośpiech. Milkną dopiero, gdy do pomieszczenia wchodzi ostatni zaproszony. Drzwi zostają zamknięte i rozbrzmiewa gong.

Rozglądam się dokoła stołu. Wszystkie miejsca siedzące są zajęte, kilku uczestników spotkania musiało stanąć pod ścianą. Nie podano przekąsek ani żadnych napojów poza wodą, co jest dość dziwne jak na standardy Socjety. Musi chodzić o coś poważnego. Gdy spoglądam na brata, wiem, że właśnie uświadomiliśmy sobie to samo – wśród nas brakuje Carltona Bishopa.

W tym momencie otwierają się drzwi i zapada absolutna cisza. Na salę wchodzi Rajca Hildebrand ubrany w uroczystą togę. Jeden ze strażników podprowadza go na jego miejsce u szczytu stołu i kładzie przed nim teczkę. Wszyscy zamieramy w oczekiwaniu i przyglądamy się, jak nobliwy mężczyzna siada, rzuca spojrzenie drugiemu strażnikowi, po czym kiwa głową.

Drzwi, przez które właśnie wszedł, otwierają się ponownie i ku mojemu zdumieniu pojawia się w nich Julia Bishop, trzymając za rękę synka. Chłopczyk wygląda na jakieś cztery lata, ma na sobie ciemny garnitur, na głowie szopę jasnych, kręconych włosów, a w buzi kciuk. Rozgląda się po zebranych wielkimi z przerażenia błękitnymi oczami. Julia idzie szybko, zaś kroki jej syna są powolne, jakby chciał dokładnie przyjrzeć się ogromnemu pomieszczeniu i zgromadzonym w nim nieznanym ludziom. Widzę, jak matka ciągnie go, by się pospieszył. To nie miejsce dla dziecka. Mały najwyraźniej się boi. Po co ona go przyprowadziła? I co tu się, kurwa, odpierdala?

Rzuca mi się w oczy, że Julia ma na sobie zdecydowanie bardziej stonowany strój niż zazwyczaj. Niemalże skromny. Niemalże. Założyła czarną sukienkę ze stójką i długim rękawem, która zakrywa kolana, a do tego czarne lakierki na szpilce. Włosy upięła w prosty, lecz elegancki kok na karku i ozdobiła koronkową spinką. Oczy podkreśliła eyelinerem, usta jak zwykle pomalowała krwistoczerwoną pomadką.

Staje po prawej stronie Hildebranda i najwyraźniej zauważa, że syn ssie kciuk, bo odsuwa jego dłoń od buzi. Mały spogląda na nią i opuszcza rękę wzdłuż tułowia, ale widzę, ile go kosztuje utrzymanie jej na miejscu. Kiedy Julia podnosi smutne oczy i patrzy po siedzących przy stole mężczyznach, aż zatrzymuje wzrok na mnie, czuję ucisk w dołku. Chyba wiem, co się

szykuje.

– Panowie. – Rajca przerywa ciszę.

– Chodzi o Bishopa – szepcze do mnie Zeke.

Kiwam głową, ale nic nie odpowiadam, tylko słucham, co Hildebrand ma do powiedzenia.

– Jak wszyscy wiecie, kompleks został zamknięty. Zarówno ja, jak i pozostali Rajcy traktujemy tę kwestię bardzo poważnie. Zważywszy na okoliczności i delikatną naturę zaistniałej sytuacji, uznaliśmy takie rozwiązanie za stosowne.

– Co się dzieje, Hildebrand?! – krzyczy z sali jakiś mężczyzna. – Oświeć nas w końcu.

Rajca wydaje się poirytowany faktem, że ktoś śmiał mu przerwać, ale szybko się opanowuje.

– Zaprosiłem was tutaj, żeby przekazać i smutną, i wesołą nowinę. Zaczniemy od tej smutnej. Chciałem was powiadomić o zajściu, które miało miejsce w Domu Kocic dzisiaj bardzo wczesnym rankiem. Około godziny czwartej kilku gości oddawało się... – przerywa, a ja jestem pewien, że to wystudiowana pauza. – Grupowym rozrywkom – kończy, rzucając chłopcu spojrzenie, które mówi, że nie ma pojęcia, jak się zachować w obecności dziecka. – Podczas tej zabawy naszego drogiego Carltona Bishopa spotkała tragedia. Doznał rozległego zawału mięśnia sercowego i zmarł na miejscu.

W sali momentalnie wybucha wrzawa. Nikt nawet nie próbuje ukryć zaskoczenia i niedowierzania. Ludzie zaczynają zadawać pytania, ale Hildebrand podnosi rękę, żeby ich uciszyć. Kilka dobrych chwil siedzę w milczeniu i przetrawiam usłyszane rewelacje. Przenoszę wzrok z Rajcy na Julię. Co ona tutaj, do kurwy nędzy, robi? Kobiety zaprasza się na tego typu spotkania wyłącznie w drodze wyjątku, więc co jest grane? Co z tego, że Carlton był jej kuzynem?

– Oczywiście wszczęliśmy dochodzenie, które ma na celu wyjaśnić okoliczności zdarzenia, a w międzyczasie zostałem poinformowany o pewnym radosnym i niezwykle ważnym fakcie – kontynuuje Rajca.

Zerka na chłopca i zmusza wargi, by wygięły się w coś na kształt uśmiechu, po czym wyciąga do małego dłoń, ale dzieciak się wzdraga. Doskonale go rozumiem. Julia chwyta syna za rękę, tę, której nie trzymał w buzi, i składa ją w starczej dłoni Hildebranda, a ten ciągnie chłopaka do przodu. Malec ponownie zaczyna energicznie ssać kciuk.

Jakimś cudem udaje mi się opanować szalone bicie serca i przybrać kamienny wyraz twarzy. Ze spokojem przyglądam się tej scenie. Czuję, jak zwracają się na mnie oczy wszystkich zgromadzonych, kiedy dociera do nich, co za chwilę usłyszymy. Istnieje tylko jeden powód, dla którego kobieta, w dodatku z czteroletnim dzieckiem, mogła znaleźć się wśród nas. – Otóż okazało się, że naszemu drogiemu koledze, którego żony nie powiły ani jednego dziecka, udało się jednak spłodzić potomka.

Spojrzenie Rajcy łąduje na mojej twarzy. Patrzę mu prosto w oczy, po czym zaczynam wpatrywać się w Julię stojącą teraz za nim. Przez moment mierzymy się wzrokiem. Kobieta nie potrafi się powstrzymać i unosi do góry jeden kącik ust.

– Matthew Bishop jest owocem romansu Carltona z jego kuzynką Julią Bishop.

Ktoś wydaje z siebie odgłos, jakby wymiotował. Przecież Julia i Carlton byli stryjecznym rodzeństwem. Czy taki związek jest w ogóle legalny? Cóż, przynajmniej ta reakcja ściera z twarzy kobiety pełen samozadowolenia uśmiech. Wypatruje w tłumie mężczyzny, który ośmielił się z niej zakpić. Widzę, jak gorączkowo pracuje jej umysł. Zapewne zapamiętuje nazwisko nieszczęśnika.

– Chociaż żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, stowarzyszenie nie

zaakceptowałyby takiego związku, wobec czego utrzymywali swoją miłość w tajemnicy.

O jakiej miłości ten dziad pieprzy? Carlton pożegnał się z życiem w burdelu, najpewniej między nogami którejś z tamtejszych kurew.

– Jednak – kontynuuje – po śmierci pana Bishopa priorytetem jest przyjęcie do naszego grona jego potomka i powitanie go ze wszystkimi należnymi honorami.

Rajca wstaje i odwraca się do dziecka, które patrzy na górującego nad nim starca i niemal natychmiast uderza w płacz. Hildebrand ma to gdzieś.

– Witaj, chłopcze. Witaj w szeregach Sprawiedliwych Synów.

Gdy zgromadzeni mężczyźni wstają i zaczynają niemrawo klaskać, słyszę, jak niektórzy mówią pod nosem: „Przynajmniej umarł z uśmiechem na ustach”, „Ja pierdołę, bzykał własną kuzynkę?!”, „Kuzynka czy nie, sam bym ją zerznął. Tylko na nią spójrzcie”.

Ostatnim wysiłkiem woli zmuszam ciało, żeby się podniosło. Rozmyślam gorączkowo nad tym, co właśnie usłyszałem. Czuję, że brat kładzie mi rękę na ramieniu. Jak tej kobiecie udało się wyciąć taki numer? Julia przez cały czas gapi się wprost na mnie, a jej wargi rozciąga tryumfalny uśmiech. Jeśli to, co powiedział Hildebrand, jest prawdą, to rzeczywiście ma się z czego cieszyć. Ale niech mnie diabli, jeśli uwierzę w jej zwycięstwo, nie sprawdzwszy wcześniej skrupulatnie wszystkich faktów. Sam zbadam ojcostwo Matty’ego, a także okoliczności śmierci Bishopa. Ciekawe, że wszystko tak doskonale się złożyło. Cóż za idealne wyczucie czasu.

Nie kupuję tego.

Nie kupuję ani słowa.

## 32 JERICHO

– Gdzie są wyniki badania DNA? – pytam.

Niecałe dwadzieścia minut po tym, jak Hildebrand rzucił bombę, Zeke, Rajca, Julia i ja udaliśmy się do jego gabinetu.

– Wszystkie dokumenty są w porządku, panie St. James – odpowiada Rajca.

Mogę się założyć, że w duchu cholernie cieszy się z rozwoju sytuacji. St. Jamesowie nie są Sprawiedliwymi Synami z tytułu urodzenia, a najświeższe informacje gwarantują, że Bishopowie zatrzymają rodzinny spadek, oraz przekreślają wszelkie prawa, jakie dziecko moje i Isabelle mogłoby sobie do niego rościć. Oczywiście o ile to wszystko prawda.

– Z całym szacunkiem, Rajco, jednak chciałbym zlecić własne testy.

Zerkam w stronę stojącej parę metrów dalej Julii. Ona także mi się przygląda. Skrzyżowała ręce na piersi i wygląda jak kot, któremu udało się złapać wyjątkowo tłustą mysz.

Hildebrand mości się wygodniej na siedzeniu.

– Rozumiem pańskie obawy, ale mogę zapewnić, że...

Moja pięść łąduje z hukiem na jego biurku.

– W dupie mam pańskie zapewnienia. Nie kupuję tego. Bishopowi nie udało się spłodzić potomka z czterema żonami. Czterema! A teraz próbujecie nam wmówić, że przeleciał własną stryjeczną siostrę i zapłodnił ją przy pomocy magii?

– Bracie. – Zeke kładzie mi rękę na ramieniu.

Hildebrand odchyła się na oparcie fotela, lecz bynajmniej nie ze strachu przede mną.

– Proszę się uspokoić, panie St. James, albo zawołam ochroniarzy, by zabrali pana do celi. Tam z pewnością pan ochłonie.

– Jericho, opanuj się – mówi mi brat do ucha.

Wciążam ze świstem powietrze i rzucam okiem na Julię, która przygląda się nam w ten swój wyrachowany sposób. Jest całkowicie opanowana, a wyraz jej twarzy nie zdradza absolutnie nic. – Chciałbym zobaczyć wyniki badań – żądam od Hildebranda. – A także zlecić wykonanie powtórnych testów, żeby potwierdzić radosną nowinę – mówię tonem, któremu daleko do szczęścia. – Uważa pan, że tego nie zrobiliśmy? – pyta Rajca. – Że nie potwierdziliśmy roszczeń panny Bishop?

– Druga opinia nie zaszkodzi, prawda? Nawet jeśli chcielibyśmy tylko potwierdzić, że próbka nie uległa zanieczyszczeniu. – Ostatnie zdanie wypowiadam, wpatrując się w Julię.

Hildebrand przygląda mi się, rzuca spojrzenie kobiecie, po czym zwraca się z powrotem do mnie:

– Panna Bishop przyszła do mnie w zaufaniu i opowiedziała historię, która z początku wydawała mi się naciągana – zaczyna wyjaśniać, a ja zastanawiam się, czy Julia ssała mu pomarszczoną pałę, żeby w ogóle raczył jej wysłuchać. – Miało to miejsce kilka tygodni temu i bez wiedzy Carltona Bishopa. Na ich romans, jak może pan sobie wyobrazić, ludzie z pewnością... patrzyliby krzywo. Mniejsza o bliskie pokrewieństwo, ale przecież Bishop był żonaty.

– W trakcie procedury rozwodowej – dodaje Julia.

– Niemniej wciąż żonaty, jednak to wyroczenie omówimy sobie później, panno Bishop. Na razie radziłbym zachować milczenie – napomina ją i zwraca się ponownie do mnie: – Żeby rozwiązać wszelkie wątpliwości, każe przesłać wyniki poprzednich badań oraz nowe próbki do

wskazanego przez pana laboratorium, panie St. James, lecz nie spodziewam się, aby udało się panu odkryć coś nowego. I liczę na to, że jeśli ojcostwo Carltona zostanie potwierdzone, przeprosi pan pannę Bishop za swoje niestosowne zachowanie w tak trudnym dla niej okresie.

Julia prychnęła.

– Przy okazji – kontynuuje Rajca – słyszałem, że pańska żona jest w ciąży. Gratuluję.

Nadludzkim wysiłkiem woli i dzięki dłoni, którą brat trzyma mi na ramieniu, opanowuję się na tyle, by nie kazać mu spierdalać w podskokach, gdy dodaje:

– Oczywiście mam nadzieję, że wykaże się pan przyzwoitością i zaakceptuje fakt, że syn Carltona ma pierwszeństwo przed pańskim nienarodzonym dzieckiem do rodzinnego majątku Bishopów. – O ile to wszystko prawda – dodaję, myśląc gorączkowo, jak zdobyć świeże próbki dla analityków.

– Muszę wracać do syna – odzywa się Julia i robi krok do przodu. – Z pewnością jest bardzo zestresowany.

– To zrozumiałe. Skontaktuję się z panią, kiedy ustalimy szczegóły ceremonii pogrzebowej – informuje ją Hildebrand.

– Dziękuję za pomoc, Rajco, a także za dyskrecję. Kilka ostatnich lat było bardzo burzliwych, ale cieszę się, zwłaszcza w obliczu śmierci Carltona, że przyszedłem wtedy do pana.

– Cóż za dogodny zbieg okoliczności – mrużę pod nosem.

– St. James – syczy Hildebrand ostrzegawczo.

– Nic się nie stało – mówi Julia i zwraca się do mnie: – Rozumiem, jak rozczarowująca musiała się wydać dzisiejsza nowina komuś, kto kupił sobie miejsce na wyższych szczeblach Socjety. St. James z pewnością liczył na to, że uda mu się wdrapać jeszcze wyżej, deptając po głowach mojej rodziny. – Wygina wargi w szyderczym uśmiechu.

– Być może nauczy się pan czegoś od panny Bishop i okaże choć odrobinę przyzwoitości – stwierdza Rajca i wstaje. – Julio, mój kierowca odwiezie panią i pani syna do domu.

– Dziękuję – odpowiada, a ja nie mam już żadnych wątpliwości, że mu obciągnęła.

Kobieta przenosi wzrok na mnie.

– Panie St. James, mam szczerą nadzieję, że pozwoli pan mojej krewnej wziąć udział w pogrzebie przyrodniego brata.

– Ani się waż... – zaczynam, ale mi przerywa.

– Z pewnością nie odmówi pan Isabelle w tak trudnym dla niej okresie.

Robię krok w kierunku tej suki.

– To jeszcze nie koniec.

– Doprawdy?



### 33 ISABELLE

Widzę się z mężem dopiero późno w nocy. Razem z Zekiem wracają do domu grubo po dziesiątej i wyglądają, jakby przeszli drogę przez mękę.

– Gdzie wyście byli? – pytam.

Zeke nalewa im whisky i obaj stają przy kominku.

– Co się stało?

Ezekiel rzuca mi przelotne spojrzenie, po czym zwraca się do brata:

– Widzimy się rano.

Jericho kiwa mu głową, wypija połowę drinka i przenosi wzrok na mnie. Kładzie łokieć na półce nad paleniskiem.

– Powiesz mi, co się dzieje? – Podchodzę do niego. Prawie zapominam o tym, co wydaje mi się, że widziałam w lesie.

Mąż bierze głęboki wdech, wypuszcza powietrze i osusza szklankę. Odstawia ją na półkę i przybliżyła się do mnie.

– Carlton nie żyje.

Przez dłuższą chwilę przetrawiam to, co usłyszałam. Słowa rozbrzmiewają echem w mojej głowie. Potrząsam nią, wpatruję się w ogień, a potem podnoszę z powrotem wzrok na Jericha.

– Co powiedziałeś?

– Carlton nie żyje. Zmarł na zawał, pieprząc jedną z dziwek w Domu Kocic. Rzekomo.

– Przepraszam, mógłbyś zacząć od początku?

– Kurwa. – Przeczesuje nerwowo włosy palcami i przez jakiś czas unika patrzenia mi w oczy, zanim znów przenosi na mnie uwagę. – Dzisiaj po południu wydano zakaz opuszczania siedziby IVI przez wszystkich obecnych w tamtym momencie, który obowiązuje do jutrzejszego poranka. Przypuszczam, że Dom Kocic na razie pozostanie zamknięty.

– Dom Kocic, czyli...

– Burdel.

– To tam zmarł Carlton?

– Ponoć tak.

– Co masz na myśli?

– Przeprowadzę własne śledztwo w tej sprawie.

Opadam na jeden z foteli i staram się ogarnąć wiadomości, które przekazał mi mąż.

– Carlton naprawdę nie żyje?

– Hildebrand zwołał spotkanie, żeby nas o tym poinformować. Miałaś wtedy zajęcia i nie chciałem ci przeszkadzać. Zjawili się wszyscy Sprawiedliwi Synowie. Jak również Julia Bishop z synem.

Podnoszę na niego wzrok.

– Julia? Po co tam poszła?

– Twoja obrotna kuzyneczka od jakiegoś czasu spotykała się potajemnie z Hildebrandem.

– O czym ty mówisz?

– Twierdzi, że Matthew jest synem Carltona.

Szczęka mi opada.

Jericho milczy przez chwilę, po czym kontynuuje:

– Rzekomo od lat ze sobą romansowali, lecz ze względu na bardzo bliskie pokrewieństwo nie mogli się pobrać, więc utrzymywali ten związek w sekrecie. Oczywiście to ona tak twierdzi, a nie ma już nikogo, kto mógłby potwierdzić jej wersję.

– Matty jest synem Carltona?

– Moim zdaniem to niepotwierdzone wieści.

– Ale chyba muszą mieć jakieś dowody? Przecież bez dowodów Rajca nie kiwnąłby w tej sprawie palcem.

Mąż milknie.

– Jericho?

– Ponoć mają wyniki badań DNA. Chcę je powtórzyć. Ta dziwka jest kłamczuchą, a może nawet morderczynią.

– Nie, Jericho, ona...

– Jakaś ty naiwna, Isabelle!

Jego ton zbija mnie z tropu, lecz widzę, że Jericho żałuje swojego wybuchu.

– Carlton nie żyje – mówię. – A skoro byli razem przez te wszystkie lata, to biedaczka z pewnością nie posiada się z rozpaczy. Zwłaszcza biorąc pod uwagę okoliczności jego śmierci.

Dobrze zrozumiałam, że był wtedy z inną kobietą?

– Z wieloma. I z jeszcze jednym mężczyzną. Zakładam, że urządzili sobie orgietkę. Wszyscy uczestnicy podobno na własne oczy widzieli, jak pada martwy. Dosłownie.

– Dobry Boże! A co z Mattym?

– Przywlekła go jak jakąś pieprzoną marionetkę. Dzieciak wyglądał na przerażonego.

– Gdzie go przyprowadziła?

– Na spotkanie, podczas którego Hildebrand ogłosił śmierć Carltona i powitał chłopca w szeregach Sprawiedliwych Synów. Ja pierdołę. Potrzebuję jeszcze jednego drinka. – Nalewa sobie kolejną porcję whisky.

– Carlton nie żyje. – Pocieram twarz. Nie odczuwam smutku. Jeszcze nie. Po prostu jestem dogłębnie wstrząśnięta. Podnoszę się. – Julia mnie potrzebuje, Jericho. Muszę do niej jechać.

Ona nie ma nikogo oprócz Matty'ego.

Brwi Jericha wędrują wysoko. Mąż patrzy na mnie jak na wariatkę.

– Nie sądzę, kochanie. Idź na górę, muszę pomyśleć.

– Co? – Podchodzę do niego. – Nie ma mowy. Nie odeślesz mnie do pokoju, jakbym była niegrzecznym dzieckiem. Właśnie się dowiedziałam, że zmarł mój przyrodni brat.

Jericho podchodzi do mnie i prostuje się na całą wysokość. Muszę odchylić głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Alternatywą byłoby cofnięcie się, a tego nie zrobię.

– Twój przyrodni brat, który odpowiadał za śmierć Christiana i za napaść na ciebie. Nie wspominając o innych jego występkach. A ta suka tkwi w tym po czubek głowy, zapewniam cię.

– To niedorzeczne. On nie żyje. A skoro Matty jest jego synem, ja już nie mam znaczenia. Spadek należy się małemu.

– Nie chodzi wyłącznie o spadek, Isabelle.

Odsuwam się.

– Zdaję sobie z tego sprawę, chodzi o zemstę. Ale Carlton umarł. Nie mógłbyś już odpuścić?

– Odpuścić, kurwa? To przez niego Angelique wychowuje się bez matki.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Poza tym jestem na siebie zła za ukłucie zazdrości, które poczułam na myśl o Kimberly. Kręcę głową. Nie możemy kontynuować tej rozmowy,

przynajmniej nie dzisiejszej nocy. Może nigdy nie nadejdzie dobry moment.

– Kiedy pogrzeb? – zmieniam temat.

– To bez znaczenia, bo i tak nie weźmiesz w nim udziału.

– A właśnie że wezmę!

– Nie, Isabelle, nie weźmiesz.

– Jericho, proszę! Mój przyrodni brat nie żyje, a kuzynka została sama. Nie wspominając już o jej czteroletnim synku, który mnie kocha i którego ja też kocham. Jestem jego cicią. Muszę teraz przy nich być.

– Ona próbowała cię zabić.

– Nie wierzę w to. Po prostu nie mogę w to uwierzyć, nie rozumiesz?

– Do kurwy nędzy, Isabelle, kiedy ty w końcu przejrzysz na oczy?! – wścieka się mąż.

– Pójdę na pogrzeb i odwiedzę Julię. To się może skończyć, Jericho. Nie chcesz, żeby się skończyło? Nie sądzisz, że najwyższy czas zostawić to wszystko za sobą? Będziemy mieli dziecko. Ty i ja sprowadzimy nowe życie na ten świat. Jeśli możemy zdecydować, czy chcemy wychować je w miłości czy w nienawiści, dlaczego mielibyśmy wybierać nienawiść?

Nie odpowiada od razu, po prostu sączy whisky i mi się przygląda. Myślę o tym, co powiedziała Julia. O tym, że mąż obchodzi się ze mną jak z jajkiem. O tym, że miesza w mojej głowie i skłania do uwierzenia we wszystko, w co chce, żebym uwierzyła. Wydaje mi się, że już wkrótce rozwój wydarzeń doprowadzi do tego, że ulgowe traktowanie się skończy.

– Jeżeli Matty jest dziedzicem Bishopów, wszystko się zmieni – dodaję po dłuższej chwili.

– No właśnie: jeśli. Szczerze w to wątpię.

– To wszystko zmieni, Jericho. – Wszystko pomiędzy nami. Obnaży prawdę. Nie wiem, czy jestem na nią gotowa.

– To nic nie zmieni. – Mąż wyłuskuje z kieszeni telefon, który nagle się rozdzwonił, i spogląda na wyświetlacz. – Idź do łóżka, Isabelle. Muszę odebrać.

Kładę dłoń na brzuchu. Wiem, że ciąża jest na wczesnym etapie i pewnie tylko to sobie wyobrażam, ale mogłabym przysiąc, że czuję, jak zaokrąglił mi się brzuch. Patrzę na Jericha, który odbiera telefon i nie spuszcza ze mnie wzroku, słuchając, co jego rozmówca ma do powiedzenia. Ręką wskazuje mi, bym poszła na górę, a sam rusza w stronę swojego gabinetu, poza zasięg słuchu, i zostawia mnie samą.

### 34 ISABELLE

Jericho spędza noc poza łóżkiem, a kiedy schodzę rano na dół, zostaję poinformowana, że zamknął się w gabinecie i nie wolno mu przeszkadzać.

Siadam razem z Leontine, podczas gdy Angelique bawi się lalkami w kącie biblioteki.

– Słyszałaś, co się stało? – pytam teściową.

Potakuje.

– Zeke opowiedział mi z samego rana.

– Jericho twierdzi, że nie pozwoli, bym pojechała na pogrzeb.

– A po co chcesz tam jechać? To był zły człowiek i doskonale o tym wiesz. Mojemu synowi leży na sercu twoje dobro – stwierdza, nie spuszczać oka z wnuczki. – Zrobi wszystko, by ochronić rodzinę. Niestety dowiedział się w dotkliwy sposób, jak taka ochrona powinna wyglądać. – Spogląda mi w oczy. – A ty należysz do rodziny, nosisz pod sercem jego dziecko. – Czy on nadal chce tego dziecka, skoro dowiedział się, że Matty wszystko odziedziczy?

– Co to za pytanie? Dziecko to dziecko – mówi, a mnie ogarnia poczucie winy. – Urodzisz Angelique braciszka albo siostrzyczkę, Isabelle, i nie ma mowy, żeby mogło być inaczej. Dziecko przyjdzie na świat.

– Nie to miałam na myśli – spieszę z wyjaśnieniem.

– Czyżby? W takim razie co? – pyta dość ostrym tonem.

– Ja tylko... Nie chodziło o to, że nie chcę dziecka.

W tym samym momencie do pokoju wchodzi Jericho, a mi skacze tętno, jak tylko pada na mnie jego wzrok. Wciąż ma na sobie ten sam garnitur co wczoraj i wygląda, jakby nie zmrużył w nocy oka.

– Mamo, zabierz Angelique do jej pokoju, proszę – mówi, patrząc mi w oczy.

Leontine zerka to na mnie, to na niego, w końcu wstaje i podchodzi do wnuczki.

– Chodź, kochanie, pobawimy się u ciebie. – Wyprowadza małą za rękę, a ja podnoszę się z fotela, kiedy Jericho zamyka za nimi drzwi na klucz.

– Nie przyszedłeś w nocy do...

– Co mówiłaś mojej matce? – przerywa mi.

– Czyżbyś podsłuchiwał?

– Co jej powiedziałaś o dziecku?

– Nic takiego. Źle mnie zrozumiała.

Mąż podchodzi bliżej. Zwęża oczy.

– Co źle zrozumiała?

– Nic. Dlaczego się tak zachowujesz? – Siadam z powrotem i podciągam kolana pod brodę. – Zastanawiam się, czy kiedykolwiek zostanę zaakceptowana w tym domu. A może już zawsze będę podejrzana?

– Isabelle. – Wymawia moje imię, jakby wzdychał. Siada obok i kładzie mi dłonie na policzkach. Pewnie wyglądam jak śmierć na chorągwi. – Czy ty w ogóle spałaś w nocy?

– Czekałam na ciebie, chciałam porozmawiać. – Muszę pozałatwiać mnóstwo spraw. Nie powinnaś na mnie czekać. Teraz musisz dbać nie tylko o siebie, ale i o dziecko.

Przyglądam mu się uważnie, wpatruję w oczy. Pełno w nich tajemnic. Dotykam dłonią jego twarzy.

– Chciałaś, żebym ci zaufała. Żebym cię wybrała. I tak właśnie jest. Ale to powinno

działać w obie strony. Mam wrażenie, że ty nie wybierasz mnie, Jericho.

Wyraz jego oczu łagodnieje.

– Wybieram. Pragnę cię. Nic się w tej kwestii nie zmieniło. Ale zrozum, ostatnie wydarzenia wydają się aż nazbyt dogodne, zwłaszcza biorąc pod uwagę czas. To nie tobie nie ufam, lecz jej.

– Co Julia według ciebie zrobiła? Wywołała u niego zawał?

Nie odpowiada.

– Dobry Boże, ty naprawdę to wierzysz. Poważnie?

– Są na to sposoby. Wiem, że jesteś zbyt niewinna, żeby to zrozumieć, Isabelle.

– Masz na myśli, że jestem za głupia, tak?

– Mam na myśli dokładnie to, co powiedziałem. Jesteś niewinna i dobra. W przeciwieństwie do kuzynki. – Milknie i kręci głową. – Zawsze mówię nie to, co trzeba, prawda?

Kiedy nie odpowiadam, mąż wstaje.

– Boję się, że stanie ci się krzywda. Do tego się to sprowadza.

– Nic mi nie będzie. Po prostu nie chcę, żebyś zamknął mnie w złotej klatce i wyrzucił klucz.

– Postaram się. – Wciąga głęboko powietrze do płuc, potem wydycha. – Parę minut temu dzwonił sekretarz Hildebranda.

– Rajcy?

Potakuje.

– Wygląda na to, że Julia natknęła się podczas sprzątanego biurka Carltona na jakieś informacje. Prawdziwe źródło wiedzy z tej twojej krewniczki ostatnimi czasy.

– Na jakie informacje? – Ignoruję przytyk.

– Musimy jechać do siedziby IVI, żeby się tego dowiedzieć.

– My?

– Ja i ty. Hildebrand chce, żebyśmy stawili się oboje.

– W przeciwnym wypadku nic byś mi nie powiedział.

– Twoje bezpieczeństwo to mój priorytet.

– A niby jakie zagrożenia na mnie czyhają?

– Jak już mówiłem, nie ufam tej kobiecie. Ona czegoś chce.

– Ale czego?

– W tym wypadku mogę tylko zgadywać.

– Mógłbyś mnie oświecić?

– Poprosiłem o powtórzenie sekcji zwłok.

Czuję się dezorientowana i chyba to widać, bo mąż dodaje:

– Julia z pewnością zrobi wszystko, żeby do tego nie doszło. I właśnie dlatego wyskakuje z tymi rewelacjami teraz. Znakomite wycucie czasu.

– A dlaczego chcesz, żeby zrobiono drugą sekcję? Jaka przyczynę zgonu ustalono przy pierwszej?

– Zawał serca.

Wyrzucam ramiona w powietrze.

– I co według ciebie miałyby wykazać ta druga? Carlton miał zawał. Przy świadkach. Koroner to potwierdził.

Jericho spogląda na zegarek.

– Mamy tam być za godzinę.

– Rozumiem, że to oznacza koniec rozmowy, tak? Bo zawsze to ty decydujesz, kiedy on następuje. Gówno, nie partnerstwo. Raczej dyktatura.

Przekrzywia głowę.

– A kto ci powiedział, że to miało być partnerstwo?

– No nie do wiary. – Wstaję, odwracam się i chcę odejść, ale chwytą mnie za rękę.

– Staram się, Isabelle.

– Postaraj się bardziej!

Jego palce zaciskają się wokół mojego ramienia. Widzę, ile wysiłku go kosztuje, żeby je rozluźnić, ale w końcu mu się udaje. Wzdycha ciężko.

– Julia poprosi Rajcę, żeby nie zgadzał się na drugą autopsję.

– Bo wtedy wyjdzie na twoje, tak?

– Nie. Ja przegrałem już dawno temu. Zresztą w tej grze nie da się wygrać. Można tylko pamiętać o umarłych i można ich pomścić.

– A co z żywymi? – Moje oczy wypełniają się łzami.

Mąż puszcza mnie, odwraca się i kładzie sobie rękę na karku. Jest pod ogromną presją i najwyraźniej traci kontrolę nad sytuacją.

– Jericho – mówię i dotykam dłonią jego ramienia, ale zanim udaje mi się powiedzieć coś więcej, odwraca się do mnie.

– Jadłaś śniadanie?

Ach, no tak, rozmowa skończona.

– Jeszcze nie.

– Zjedz coś. Ja w tym czasie wezmę prysznic i się przebiorę. – Podchodzi do drzwi, otwiera je i czeka, by mnie przepuścić.

– Co według ciebie przytrafiło się Carltonowi? – dopytuję. – Po co tak naprawdę chcesz, aby powtórzono sekcję zwłok? Powiedz. Zaufaj mi na tyle, żeby to wyjawić.

– Istnieją sposoby, by wywołać zawał. Jeśli lekarz nie wie, że powinien szukać pewnych konkretnych oznak, to może je łatwo przeoczyć. Socjeta ma długą i mroczną historię związaną z posługiwaniem się truciznami, a jak się okazało, po twojej kuzynce można się wszystkiego spodziewać.

## 35 JERICHO

Kiedy jedziemy do siedziby IVI, Isabelle jest milcząca i niespokojna. Wolałbym nie brać jej ze sobą. Szczerze mówiąc, najchętniej zrobiłbym dokładnie to, o czym mówiła: zamknął ją w złotej klatce, aż minie zagrożenie. Bo Julia Bishop stanowi zagrożenie, być może nawet większe, niż początkowo zakładałem. Ale Isabelle nie chce mi co do niej uwierzyć, a po śmierci Carltona zaczęła jeszcze bardziej współczuć kuzynce.

Dojeżdżamy do siedziby IVI i zostajemy odeskortowani do gabinetu Hildebranda, gdzie siedzi już Julia, od stóp do głów ubrana na czarno, tym razem w spodniach, najwyraźniej szytym na zamówienie. Na widok mojej żony zrywa się z miejsca. Tak się ściskają, że zaczynam się zastanawiać, czy Isabelle słyszała, co do niej mówiłem.

Rajca wstaje zza biurka, a jeden z jego ludzi zamyka drzwi.

– Jak sobie radzisz? – pyta Isabelle kuzynkę, która znakomicie odgrywa rolę pogrążonej w rozpacz kochanki. Mniej makijażu, podpuchnięte oczy. – Jak się czuje Matty?

– To był dla nas ogromny wstrząs. Żałuję, że tak to się potoczyło, ale... – zawiesza głos i wzrusza ramionami.

– Naprawdę ze sobą byliście?

– Carlton nie chciał nikomu mówić, nawet tobie. Przepraszam, że to zataiłam, ale wiesz, jak zareagowałoby ludzie.

– Wiem, ale ja nie.

– Bo ty jesteś dobra – kadzi jej Julia i odsuwa się od niej. Patrzy na mnie ponad ramieniem żony. – A jak ty się masz? – Przekrzywia głowę i dotyka dłonią brzucha Isabelle.

– Wszystko w porządku – odpowiada zawstydzona Isabelle i zerka w moją stronę. Patrząc przymrużonymi oczami na rękę Julii. – Z dzieckiem wszystko w porządku.

Ten komentarz wydaje mi się dziwnie nie na miejscu. Nie rozumiem, dlaczego to powiedziała.

Kuzynka przygląda jej się ciut za długo.

– Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? – pyta i to pytanie wydaje mi się jeszcze dziwniejsze. Mętne. Wieloznaczne.

– Jestem pewna. – Isabelle chwyta jej dłoń i ściska ją mocno.

Hildebrand odchrząkuje. Kobiety odsuwają się od siebie. Isabelle staje obok mnie, a ja kładę rękę na jej karku.

– Kawy? Herbaty? – pyta Rajca, gdy do gabinetu wchodzi sekretarz, niosąc dużą srebrną tacę.

– Przejdźmy do rzeczy. – Gestem wskazuję Isabelle, by usiadła na jednym z pustych krzeseł, sam zajmuję miejsce tuż obok. Zakładam nogę na nogę i odchylam się na oparcie. – Umieram z niecierpliwości, by usłyszeć kolejną wstrząsającą nowinę.

Julia podchodzi z boku biurka i patrzy na Hildebranda niepewnym wzrokiem. Oczyma wyobraźni widzę, jak klęka u jego stóp i bierze w usta pomarszczonego fiuta. Żółć podchodzi mi do gardła ze wstrętu.

Kobieta odwraca się ku nam, obrzuca spojrzeniem najpierw mnie, a następnie moją żonę. Perfekcyjnie wytrenowane rysy twarzy wyrażają troskę i niepewność, a nawet bezbronność.

– Przeglądałam dokumenty, które Carlton trzymał w biurku, i trafiłam na coś dziwnego.

– Przerywa na chwilę, skupiając się na Isabelle. – Nie chciałabym cię zranić, słoneczko.

– O co chodzi? Przerażasz mnie.

– Wzdragam się przed powiedzeniem tego na głos.

– Nie wątpię. – Patrzę na Rajcę. – Marnujecie mój czas.

Hildebrand unosi dłoń, żeby nakazać mi cierpliwość.

Julia chrząka i wzdycha głęboko.

– Na jednej z teczek, które znalazłam w szufladzie, widniało nazwisko Danny’ego Gibsona.

– Danny’ego Gibsona? – powtarza Isabelle, a ja zdaję sobie sprawę, co to babsko zamierza zrobić. Wiem doskonale. Muszę przyznać, że jest cwana. O wiele bardziej, niż zakładałam.

Kiwa głową.

– Byłam zdumiona. Z początku myślałam, że może udało mu się pójść tropem pieniędzy albo coś w tym stylu, ale... – zawiesza głos i ociera nieistniejącą łzę. – Okazało się, że to harmonogram płatności.

Nie muszę patrzeć na żonę, by wiedzieć, jak zareagowała na słowa kuzynki. Czuję jej emocje. Kilka dni temu próbowałam powiedzieć Isabelle to samo, a teraz Julia potwierdziła moje słowa. Lecz za chwilę wykorzysta sytuację na swoją korzyść.

– Carlton chciał... To, że Danny Gibson znalazł się w twoim mieszkaniu, Isabelle, nie było dziełem przypadku. Carlton chciał się ciebie pozbyć i wynajął Gibsona, żeby się tym zajął. W tym momencie odwracam się do żony, która siedzi jak wykuta z marmuru i równie biała.

– Przykro mi, tak strasznie mi przykro.

Julia zaczyna płakać. Przyznaję, świetna z niej aktorka. Isabelle zrywa się na nogi i mocno ją przytula. Chce pocieszyć kuzynkę. Przyglądam im się ze swojego miejsca, lewą dłonią osłaniając poobijane kłykcie prawej. Muszę przestać rzucać się na ludzi. Szkoda, że ciągle mam na to ochotę.

– Użył mojego konta w fundacji – ciągnie Julia – żeby przelać drugą transzę. Wykorzystał moje dane, Isabelle. Nie wiedziałam. O niczym nie miałam pojęcia. Przepraszam, bardzo cię przepraszam.

– Daj spokój, to nie twoja wina. Skąd miałas wiedzieć? – Isabelle także tryska łzami i gładzi kuzynkę po plecach.

Kiedy przenoszę wzrok na Rajcę, widzę, że mi się przygląda.

– Cóż, wychodzi na to, że pan Bishop nie grzeszył rozumem, skoro zostawił ślad na papierze. A biorąc pod uwagę inne jego występki, nie jestem pewien, czy uroczystości pogrzebowe powinny odbyć się w katedrze. Gdyby panna Bishop przyszła do mnie z tymi informacjami za jego życia, Trybunał musiałby podjąć stosowne kroki.

Gówno prawda. Mógł je podjąć już z tymi dowodami, które zgromadziłem przeciw Carltonowi. Lecz Hildebrand także odgrywa rolę. Kryje własne dupsko.

– Ale on nie żyje – oburza się Julia. – Rozgrzebywanie jego grzeszków przyniosłoby wstyd wyłącznie mnie i jego synowi. Błagam o wyrozumiałość, Rajco. Proszę, by to, co tutaj powiedziałam, zostało między nami. Upublicznienie tych informacji nie przyniosłoby żadnych korzyści ani stowarzyszeniu, ani nikomu spoza niego. Christian nie żyje, podobnie jak Carlton. Zostałyśmy już tylko ty i ja, Isabelle. No i Matty. – Imię syna dodaje na końcu, jakby po namyśle.

Mógłbym wspomnieć o jej odwiedzinach u brata Danny’ego Gibsona, ale postanawiam trzymać asa w rękawie. Niech szmata myśli, że nie mam o tym pojęcia. Zastanawiam się, czy żona zdradzi się z tą wiedzą. Wolałaby, żeby okazało się to kłamstwem. Przyglądam się jej



uważnie.

– Masz rację. Nie chcemy, by ktoś jeszcze ucierpiał przez jego czyny – mówi Isabelle.

– Dziękuję. – Julia ściska jej rękę. – Kochałam go. Mimo wszystko przez cały czas go kochałam.

Isabelle uśmiecha się ciepło. Moja słodka, naiwna żona. To wstrętne babsko nie dorasta jej do pięt. Wstaję i przyciągam Isabelle do siebie, chcę mieć ją blisko.

– Powiedziała pani, że będzie miała prośbę w zamian za ujawnienie tych informacji. Z pewnością nie chodzi tylko o to, byśmy zachowali je dla siebie.

Wzrok Julii ochładza się o kilka stopni, kiedy pada na mnie. Ciekawe, czy żona to widzi. Jej kuzynka rzuca przelotne spojrzenie Hildebrandowi, potem znów wpatruje się w moją twarz. Oblizuje usta, nim się odzywa:

– Chciałabym, by cofnął pan swoją prośbę o powtórzenie sekcji zwłok, panie St. James.

Mam ochotę spojrzeć na Isabelle, by zobaczyć jej minę, lecz się powstrzymuję. Chciałabym też rozciągnąć wargi w tryumfalnym uśmiechu, ale tego też nie robię. Bo to, co powiedziałem wcześniej żonie, to szczerza prawda. Tutaj nie chodzi o wygrywanie. W tej grze nikt nie wygra.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

Isabelle milczy ostentacyjnie. Ciekawe, czy Julia liczyła, że kuzynka ją wesprze.

– Cóż... – zaczyna Julia niepewnie, popatrując na zmianę na naszą trójkę. Odnoszę wrażenie, że ciągle czeka na pomoc krewnej. – Nie ma sensu narażać nas na nieprzyjemności, prawda? Wiązałoby się to z przełożeniem terminu pogrzebu. Ludzie zastanawialiby się dlaczego, zadawali krępujące pytania.

Wzruszam ramionami.

– Gównu mnie to obchodzi.

– A co z moim synem? On też gównu pana obchodzi?

– A panią?

Julia przybiera oburzony wyraz twarzy.

– Panie St. James. – Hildebrand wstaje. – Może powinniśmy pozwolić, by rodzina Carltona zachowała resztki godności.

– Godności? – cedzę przez zęby. – Bishop umarł, dymając dziwkę, podczas gdy rzekoma miłość jego życia, matka jego dziecka, została w domu i grzała mu łóżko. A przynajmniej to próbuje mi się wmówić. – Ostatnie zdanie kieruję do Julii.

Rajca odchrząkuje.

– Nie musi pan być okrutny.

– Mogłam zachować tę wiedzę dla siebie – Julia zwraca się głównie do Isabelle. – Ale chciałam okazać dobrą wolę. Dla dobra naszych rodzin. Dla Matty’ego. – Przenosi wzrok na mnie. – Dla Angelique.

Na wzmiankę o córce zaciskam szczęki. Coś przychodzi mi do głowy. Może powinienem wysłać gdzieś Angelique na jakiś czas. Dopóki się to nie skończy. Dopóki Julia Bishop nie przestanie nam zagrażać.

– Czego się pani obawia? – pytam. – Najwyraźniej nie chce pani, żeby jakiś sekret ujrział światło dzienne.

– Niczego się nie boję, rzecz jasna. Chodzi o to, że druga sekcja jest stratą czasu. Chciałabym mieć to już za sobą i zacząć z synem nowe życie. Bóg jeden wie, że Matty na nie zasługuje. Nieprawdaż, Isabelle?

– Oczywiście – odpowiada moja żona i łapie kuzynkę za rękę. – Ale zgódź się na powtórzenie autopsji, żeby między naszymi rodzinami mógł zapanować pokój. A musi

zapanować, bo jesteśmy połączeni na dobre i na złe. My wszyscy. Jeśli sekcja nic nie wykaże, będziemy mogli zostawić to za sobą. Tylko tak wymażemy wszelkie podejrzenia.

Julia rzuca Isabelle nienawistne spojrzenie. Choć trwa ledwie ułamek sekundy, widzę je wyraźnie. Czy moja żona także je dostrzega? Po chwili obłudnica uśmiecha się i kiwa głową.

– Masz rację, kuzynko. Masz rację.

Kiedy przenosi wzrok na mnie, zastanawiam się, czy zauważa, jak unoszę leciutko kąciki ust. Uśmiech jest przeznaczony wyłącznie dla jej oczu.

Termin sekcji został wyznaczony na jutro.

Żona jest po mojej stronie.

To prawdziwe zwycięstwa, szczególnie to drugie.

Ściskam mocno dłoń Isabelle.

## 36 ISABELLE

W drodze powrotnej do domu pogrążam się w myślach. Kiedy dojeżdżamy na miejsce, Jericho idzie prosto do swojego gabinetu, a ja wkładam notes i ołówek do plecaka, zakładam obszerny sweter i ruszam do kaplicy. Potrzebuję побыć w samotności i pomyśleć. Coś tu się nie klei.

Po dotarciu na cmentarz odruchowo zerkam w stronę grobu Nellie. Łopata zniknęła, a ziemia wokół pomnika wygląda na nienaruszoną. Spoglądam tam, gdzie poprzednim razem wydawało mi się, że widzę żarzącego się papierosa, ale słońce świeci zbyt jasno, bym mogła cokolwiek dostrzec, lecz wokół nie ma chyba żywej duszy.

Wchodzę do kaplicy i wymieniam wypaloną świeczkę, którą postawiłam przed zdjęciem Christiana, po czym siadam w pierwszej ławce, podciągam nogi i kładę notes na kolanach. Ciśniej otulam się swetrem, ponieważ we wnętrzu kaplicy panuje wieczny chłód. Kamienne mury nigdy się nie nagzewają. Otwieram notatnik i biorę ołówek, ale tylko wpatruję się pustym wzrokiem w czystą kartkę i rozmyślam. Przypominam sobie, co zaszło w gabinecie Hildebranda. To, co powiedziała Julia, miało sens. Może naprawdę za wszystkim stał Carlton. To by pasowało. Plan miał duże szanse powodzenia. Brat zatrudnił Danny'ego Gibsona, żeby zrobił mi krzywdę. Nie, nie tylko zrobił krzywdę, ale zabił. Po to, by zagwarantować, że spadek nie przypadnie w udziale ani mnie, ani moim ewentualnym dzieciom. Christian zapłacił najwyższą cenę za jego chciwość.

Nie smucę się z powodu śmierci Carltona, nie odczuwam jej jako straty. Nie wiem, jak to o mnie świadczy, jednak taka jest prawda.

No i sposób, w jaki brat opłacił Gibsona. Użył do tego celu konta Julii. Jej nazwiska. Udało mu się to bez trudu. Nie kwestionuję tej części historii, a jednak wciąż staram się jakoś wszystko sobie poukładać. Dwie rzeczy nie dają mi spokoju. Jericho twierdzi, że Julia pojechała do Geralda Gibsona, brata Danny'ego, tamtej nocy, kiedy odbywał się koncert. Utrzymuje także, że furgonetka, która omal mnie nie rozjechała, stoi zaparkowana w jego garażu. Ale nie wyskoczył dzisiaj z tymi rewelacjami. Mógł skonfrontować się z moją kuzynką, lecz tego nie zrobił. Czy mam przez to rozumieć, że nakłamał mi na temat Geralda Gibsona? Czy ten człowiek w ogóle istnieje? Jednak jeśli istnieje i Julia rzeczywiście złożyła mu wizytę po naszym spotkaniu w garderobie, to mąż mówi prawdę. Kuzynka zarzekła się, że powiązała Carltona z Dannym Gibsonem wczoraj albo przedwczoraj. Jeżeli skłamała w tym temacie, to może być zamieszana w śmierć Christiana i nieudany zamach na moje życie. Teraz już wiem, że to nie był zwykły napad. Wydaje mi się, że w głębi serca podejrzewałam to od samego początku. Potrząsam głową i gryzmołę w rogu kartki. Julia i Jericho mają ze sobą coś wspólnego, oboje uważają, że jestem dobrym człowiekiem. Chociaż kiedy to mówią, odnoszę wrażenie, że tak naprawdę mają na myśli, że nie jestem zbyt bystra. Wiem, jaki z Jericha wprawny gracz, a skoro Julia zdecydowała się rozegrać partię na tej samej szachownicy, to oznacza, że oboje traktują mnie jak pionka. Świadomość tego faktu boli.

Nagle otwierają się drzwi, a ja aż podskakuję. Kiedy się odwracam, dostrzegam, jak mąż oddycha z ulgą na mój widok. Uśmiecha się do mnie. Spuszczam nogi na podłogę i zamykam notatnik.

– Tu jesteś.

– Myślałeś, że uciekłam?

Odrobinę unosi podbródek, słysząc mój komentarz, i wchodzi do wnętrza kaplicy, starannie zamykając za sobą drzwi.

– Jericho, po terenie posiadłości kręci się tyłu ochroniarzy, że wątpię, by udało mi się dobiec do bramy wjazdowej.

Mąż podchodzi do ławki i siada obok mnie. Podnosi moje nogi i kładzie je sobie na kolanach. Wpatruje się w stojące na ołtarzu zdjęcie Christiana i zapaloną przed nim świeczkę.

– A masz ochotę stąd prysnąć?

Zaskakuje mnie tym pytaniem.

Przyglądam się jego profilowi, silnej, znamionującej bezkompromisowe podejście do życia linii szczęki, prostemu nosowi, kilku posiwiałym włosom na skroni. Kiedy odwraca się do mnie przodem, serce mi zamiera. Jest taki przystojny, szczególnie kiedy pozwala na siebie popatrzeć w ciszy. Kiedy pozwala zajrzeć w głąb swojej duszy.

Oczy zachodzą mi mgłą. Kręcę głową. Chciałabym, żeby uczucie, które być może zrodziło się między nami, okazało się prawdziwe. Żeby mówił serio na temat swojego stosunku do mnie. Żeby rzeczywiście pragnął mnie niezależnie od okoliczności. Żeby mnie wybrał, bo ja wybrałam jego. Jest częścią mojego serca. I może je złamać. Ciekawe, czy wie, jakie to byłoby dla niego łatwe.

– Dlaczego podczas spotkania z Hildebrandem nie wspomniałeś o wizycie Julii u Geralda Gibsona?

– A dlaczego ty tego nie zrobiłaś? To chyba znacznie ciekawsze pytanie, nie sądzisz?

Wzdycham i obracam się, żeby postawić stopy na posadzce i popatrzeć na malutki pelgający płomyk.

– Nie wiem.

– Ależ wiesz. Nie doceniłam cię.

Przenoszę spojrzenie na Jericha. Na jego twarzy gości zmęczony uśmiech.

– Wymyśliła niezłą historyjkę – stwierdza po chwili. – Prawdopodobną. Cwana jest.

– Jak ty. Nie sądzę, bym była w połowie tak sprytna jak którekolwiek z was.

– Och, jesteś. A do tego masz dobre serce. Nam tego brakuje.

– Ale nie jestem sprytna.

– Jesteś, jesteś.

Wzruszam ramionami. Nie powiedziałam tego, by wzbudzić jego współczucie, tylko dlatego, że to prawda.

– Wierzysz w to, co ci mówiłem o Julii? – docieka Jericho.

Spoglądam w dół, na leżący na moich kolanach zamknięty notes. Mam go od zawsze. Przechowuję wszystkie notatniki, w których gryzmołę, zapisuję ważne rzeczy, wiersze i wszystko to, co sprawia, że czuję.

Patrzę mężowi w oczy.

– Co będzie, jak druga sekcja wykaże to samo co pierwsza?

– Nie wykaże.

– A jeśli wykaże? Co wtedy?

Jericho zgrzyta zębami i odwraca wzrok.

– A co, jeśli badanie DNA potwierdzi, że Julia mówi prawdę i Matty jest synem Carltona i prawowitym następcą tronu?

– Tron, też coś – prychna.

– Ale co zrobisz w takiej sytuacji, Jericho?

Wzdycha głośno i odwraca twarz w moją stronę.

– Odsyłam Angelique i matkę z Dexem. Powinnaś pójść do domu i się z nimi pożegnać.

Jericho wstaje.

– Dlaczego?

Także się podnoszę, zaskoczona takim obrotem spraw.

– Bo nauczyłem się ufać instynktowi.

– Na jak długo wyjadą?

– Nie wiem. Dopóki trwa rozgrywka. Dopóki Julia Bishop nie zrobi ruchu.

– A jeśli nie ma takiego zamiaru?

– Ma, Isabelle, ma. Możesz mi wierzyć.

Raptem drzwi otwierają się gwałtownie, a my oboje odwracamy się jak na komendę. W wejściu stoi Leontine. Na jej twarzy maluje się taki wyraz, jakiego jeszcze u niej nie widziałam. Jest zarumieniona i łapczywie łapie oddech.

– Co się stało? – pyta mocno zaniepokojony Jericho i rzuca się w stronę matki.

Teściowa posyła mi ponad ramieniem syna spojrzenie, którego nie potrafię rozszyfrować. Przynajmniej nie od razu. Chociaż nigdy nie mogłam w pełni jej zrozumieć, to wiem, że chce jak najlepiej dla Jericha i Angelique. Sądzę, że nie powinna mieć wątpliwości co do uczuć, jakimi darzę jej wnuczkę. Przecież wie, że pragniemy dla niej tego samego. Co się zaś tyczy mojego związku z jej synem, to, cóż, sprawa jest skomplikowana.

– Mamo? – pyta Jericho i delikatnie potrząsa kobietą.

Leontine przestaje się we mnie wpatrywać i milczy. Orientuję się, że coś pokazuje Jerichowi, bo ten patrzy w dół. Zapada ciężka cisza. W końcu teściowa coś mówi i odsuwa się od syna. Mąż odwraca się do mnie, nie odrywając wzroku od tego, co kobieta mu przekazała. Cokolwiek to jest.

– Angelique je znalazła. Chciała zrobić Isabelle niespodziankę i podarować własnoręcznie zrobiony rysunek. Poszła go schować do jej sypialni. Nie zorientowałam się w porę, co zamierza, bo oczywiście nie pozwoliłabym jej tam wejść. I znalazła to w futerale na skrzypce, ukryte w wewnętrznej kieszonce. Czuję, jak ziemia się trzęsie. A może to tylko moje kolana drżą. Jednocześnie robi mi się zimno i zaczynam się pocić. Doskonale wiem, co Angelique znalazła. I mogę sobie wyobrazić, co pomyśleli Jericho i jego matka.

Kiedy mąż w końcu przestaje gapić się na opakowania z tabletkami poronnymi i podnosi na mnie wzrok, bezwiednie cofam się o kilka kroków. Otwieram usta. Chcę mu wszystko wyjaśnić. Chcę powiedzieć, że nigdy nie miałam zamiaru ich łykać, że zupełnie o nich zapomniałam. Ale spomiędzy warg nie wydostaje się żaden dźwięk. Otwieram je tylko i zamykam jak ryba wyciągnięta z wody.

– Idź – nakazuje matce cichym, lecz groźnym głosem. Właśnie tak brzmi, gdy jest najbardziej wkurzony.

– Ja... – zaczynam mówić, ale nie potrafię wydusić z siebie nic więcej.

– Powiedziałem „idź”.

Chociaż kieruje te słowa do Leontine, nie spuszcza ze mnie spojrzenia.

– Mamy zaczekać? Mała będzie chciała się pożegnać...

– Wymyśl jakąś wymówkę. Nie pozwolę jej zbliżyć się do mojej córki.

Dłonie mam tak spocone, że notes i ołówek wyslizgują się i spadają na podłogę. Wciągam powietrze ze świstem, jak przystało na kogoś, kto się boi.

– Jericho – wtrąca się Leontine. – Być może...

– Wynoś się!

Teściowa rzuca mi przelotne spojrzenie i szybko wychodzi z kaplicy. Zostawia mnie samą z mężem. Z moim diabłem.

– Ja nie... Zapomniałam. – Kręcę głową. Drżącą ręką przeczesuję włosy. Przełykam

głośno ślinę, żeby odzyskać kontrolę nad strunami głosowymi. – Jericho...

Dopada do mnie z prędkością światła. Chwyta za gardło i pcha do tyłu, aż trafiam plecami na ołtarz i wyginam je boleśnie. Krzyknęłabym, ale nie mogę złapać tchu. Łapię męża za przedramię, lecz jest zbyt silny i zbyt rozwścieczony.

– Ty jebana oszustko!

Przysuwa mi do twarzy dłoń, w której trzyma tabletki i ściska opakowania. Blistry wyginają się tak mocno, że pigułki wystrzelują na wszystkie strony.

– Ty kłamliwa dziwko!

Młóczę na oślep rękami, walę go po twarzy, drapię paznokciami. Rozluźnia chwyt na tyle, żebym zdołała zaczerpnąć powietrza. Łapie mnie za nadgarstki, by powstrzymać atak, i nachyla się tak nisko, że czuję na policzku jego oddech, a w oczach widzę wściekłość.

– Chciałaś zabić moje dziecko?!

– Nie – skrzeczę, walcząc o oddech. – Nie!

Gdyby tylko pozwolił mi się wytłumaczyć. Gdyby dał powiedzieć, co naprawdę zaszło. Na śmierć o nich zapomniałam. To prawda. Zapomniałam, że w ogóle je tam schowałam.

– Brałaś je?

– Nie mogę...

– Wzięłaś już jakieś?! – ryczy.

Usiłuję pokręcić głową, ale ani drgnie. Nie mogę mówić, nie mogę odpowiedzieć na pytania. Wydaje mi się, że to już, że teraz mnie zabije. Czy on zdaje sobie z sprawę z własnej siły i z tego, jak mocno zaciska palce na mojej szyi?

Kiedy wzrok zaczyna odmawiać mi posłuszeństwa, Jericho mnie puszcza. Coś odwraca jego uwagę. Padam na kolana i desperacko próbuję złapać oddech. Trzymam dłonie na gardle. Chciałabym zaczerpnąć tchu i zacząć mówić. Powiedzieć, jak było naprawdę.

– Zabijesz ją!

Podnoszę wzrok, by zobaczyć, kto mnie uwolnił, kto uratował mi życie. Ezekiel. Bracia toczą ze sobą zaciętą walkę, okładają się nawzajem pięściami. Mogę się tylko przyglądać, bezsilna i bezradna.

– Ona próbowała zabić moje dziecko! – wydziera się Jericho.

– Wcale że nie! – krzyczę albo raczej usiłuję krzyknąć, ponieważ gardło mam tak obolałe, że wydobywa się z niego ledwie szept. To także moje dziecko. Nasze. Nie zrobiłabym tego. Po prostu zapomniałam o tabletkach. Zapomniałam, że Julia mi je wcisnęła.

W jednej chwili Jericho znów staje nade mną, a ja pełnę do tyłu, szorując tyłkiem po posadzce. Kuca obok, chwyta garść moich włosów i odchyła głowę w tył.

– Skąd je wzięłaś?

– Jericho!

Zeke próbuje go ode mnie oderwać, ale mąż trzyma mocno.

– No skąd?!

– Zrobisz jej krzywdę, ty pieprzony debilu! – wrzeszczy Ezekiel, jednak Jericho jest ślepy i głuchy na wszystko poza mną. W tej chwili istnieje tylko jego gniew. – Dziecko, bracie.

Pomyśl o dziecku.

Na te słowa mąż odpuszcza. Rozluźnia nieco chwyt na moich włosach. Jestem tak przerażona, że wstrząsa mną szloch.

– Nigdy bym nie... – mówię, ale brak mi tchu, by dokończyć myśl. – Ja... – Od płaczu zaczynam czkać.

– Puść ją, Jericho. Puść ją i się opanuj.

– Ja nie... Nie skrzywdziłabym...

Mąż w końcu mnie puszcza, wstaje i się prostuje. Bracia wpatrują się we mnie, Zeke z troską, Jericho z nienawiścią.

– Musisz mi uwierzyć – podejmuję kolejną próbę. – Nie wzięłam żadnej.

– Wstawaj! – rozkazuje Jericho.

– Przysięgam.

– Wstawaj, kurwa! – ryczy i szarpnięciem za włosy stawia mnie na nogi.

Tym razem krzyczę z bólu. Udaje mi się zaczerpnąć tchu na tyle, by wrzeszczeć z całych sił, gdy mąż ciągnie mnie przez kaplicę i las, aż do domu. Obraz rozmazuje mi się przed oczami, kiedy staram się nadażyć i ubłagać Jericha, żeby się zatrzymał. Próbuję przemówić mu do rozsądku. Chcę, by mnie wysłuchał, ale zachowuje się, jakby ogłuchł.

Gdy otwiera stalowe drzwi, przez chwilę mam wrażenie, że zamierza zepchnąć mnie ze schodów, lecz zamiast tego łapie moje ramię i podtrzymuje, kiedy się potykam. Idziemy korytarzem, z dala od pokoju wisielców. Jericho kieruje się do pomieszczenia, w którym spędziłam pierwszą noc pod jego dachem. Zostaję popchnięta na łóżko, aż sprężyny skrzypią w proteście. Mąż odsuwa się o kilka kroków. Ledwie kontroluje wściekłość, z nerwów na przemian zaciska i rozluźnia pięści. Wiem, że gdybym nie była w ciąży, toby mnie zatłukł na śmierć. Nie mam co do tego wątpliwości. Wciskam się w kąt jak najdalej od niego i łapię metalowe pręty zagłówka. Nie przestaję łkać.

– Zostaniesz tu do końca swojego nędznego życia. Ty jebana oszustko, ty zakłamana dziwko! A kiedy urodzisz moje dziecko, podzielisz los Nellie Bishop. Pogrzebię cię obok niej, jak tylko wycisnę z twoich płuc ostatnie tchnienie, podstępna suko!

Wargi mi drżą, po policzkach płyną łzy. Od jego słów boli mnie głowa i pęka serce. Jericho nachyla się nade mną, a ja krzyczę ze strachu.

– Przestań. Skończ te ryki, kłamczucho. Należysz do rodziny Bishopów. Znam prawdę, poznałem się na tobie. Nie dam się więcej nabrać. I niby nie jesteś tak sprytna jak ja, co? – prycha. – Ty i ta twoja słodka, niewinna buźka. Znakomity popis aktorstwa. Jesteś najgorsza z nich wszystkich!

Już ma mnie znów chwycić, kiedy Ezekiel łapie go od tyłu, po czym odciąga. Gdy wychodzą na korytarz, słyszę tylko „pomyśl” i „dziecko”. Zeke spogląda na mnie i zamyka drzwi. Wydaje mi się także, że to on przekręca klucz w zamku. Lecz w tej chwili to nieistotne. Wszystko skończone. Siedzę zamknięta w tym koszmarnym pokoju. Jest strasznie ciemno, ale nie mogę nawet zdobyć się na to, żeby się ruszyć i zapalić światło. Nie przestaję się trząść. W piwnicy zapada cisza, nic nie maści zastałego powietrza. Żałuję, że nie ma już tutaj ducha Zoë, który mógłby dotrzymać mi towarzystwa. Z nim nie czułabym się taka samotna i przerażona.

## 37 JERICHO

- Nie możesz zostawić jej tam na dole.  
Rozłączam się i podnoszę wzrok na brata.
- Nikt nie nauczył cię pukać?  
Na skroni wykwitł mu siniak. Mam podobny, a do tego rozcięcie na grzbiecie nosa, które konkuruje z tym na jego policzku.
- Mówię poważnie, Jericho. – Siada, nie czekając na pozwolenie. – Ona jest w ciąży. Przecież nie chcesz narażać dziecka.
- Nic jej nie będzie. Ma dach nad głową. Zaniosę tam jakieś koce. Będzie dostawać jedzenie. Czego więcej potrzebuje?
- Słońca? Świeżego powietrza? Poczucia bezpieczeństwa?  
Opieram łokcie na biurku i nachylam się w jego stronę.
- Mogła zabić moje dziecko. Skąd mam wiedzieć, że nie próbowała tego zrobić? Może nawet jej się to udało. Barnes pobierze od niej krew do badań, żebym miał pewność.
- Widziałeś jej twarz, kiedy na nią napadłeś?  
Rozsiadam się wygodniej w fotelu, unoszę podbródek i trzymam gębę na kłódkę. Bo owszem, widziałem. Prawdę mówiąc, nie mogę wyrzucić tego obrazu z głowy. Ani widoku twarzy żony, ani widoku mojej ręki chwytającej ją za gardło, ani paniki w oczach Isabelle, kiedy zacisnąłem palce. Byłem o krok od tego, by pozbawić ją życia.
- W piwnicy będzie najbezpieczniejsza – oznajmiam bratu i obracam się razem z fotelem, żeby wstać i nalać sobie szklaneczkę whisky.
- Bo z dala od ciebie?  
Wypijam do dnia i przeciągam dłonią po włosach, rozważając, czy nie nalać sobie drugiej porcji.
- Chyba wypileś już dosyć – stwierdza Zeke.  
Prycham i napełniam ponownie szklankę. Osuszam ją, wpatrując się w niego.  
Kręci głową.
- Mnie też nalej.
- Tak jest, kapitanie. – Siłę się na dowcip i przygotowuję bratu drinka, po czym siadam ponownie przy biurku.
- Przynajmniej z nią porozmawiaj. Wysłuchaj, co ma do powiedzenia, a potem zdecyduj, w co wierzyć.
- Zdradziła mnie.
- Tego nie wiesz.
- Wprost przeciwnie. Jestem przekonany, że dostała tabletki od kuzyneczki, a fakt, że zabrała je do domu, jest zdradą samą w sobie. Przypuszczam, że Julia podsunęła je Isabelle w trakcie koncertu. Ale co ja tam wiem. Może od początku to planowały.
- Przecież znasz Isabelle, prawda? Przynajmniej trochę.  
Posyłam mu wymuszony uśmiech i pociągam łyk alkoholu.
- Zrobiła mi wodę z mózgu. Okazuje się, że każdy członek rodziny Bishopów jest świetnym kłamcą.
- Sam w to nie wierzysz, stary. Masz wątpliwości wypisane na twarzy.
- Potrzebujesz wizyty u okulisty.



Zeke wzdycha.

– Posłuchaj, albo pójdziesz z nią pogadać, albo ja się pofatyguję i ją stamtąd wyciągnę.

– Nie zbliżaj się do mojej żony.

– Więc porozmawiaj z Isabelle. Napędziłeś jej wystarczającego stracha.

– A odczepisz się wtedy?

Zastanawia się przez chwilę, w końcu kiwa głową.

– W porządku.

Isabelle mnie zdradziła. Po wszystkim, co sobie powiedzieliśmy, o co prosiła, dopuściła się zdrady. Potraktowała własnego męża jak głupka, którego można wyprowadzić w pole. Na samą myśl o tym czuję, jak coś ściska mnie w dołku tak mocno, że aż ciężko mi oddychać.

– Rozmawiałem z paroma osobami z Domu Kocic. – Zeke zmienia temat.

– No i?

– Carltonowi nie dolegało nic poważnego. Parę dni wcześniej rzeczywiście czuł się nie najlepiej, ale podobno już mu przechodziło. Tamtej nocy dużo wypili. A kiedy zaczęła się zabawa, ni z tego, ni z owego padł trupem.

– Wczoraj jadł lunch z Josephem Sawyerem. Sawyer twierdził, że Bishop był szary na twarzy. Pomyślał, że złapał jakieś paskudne przeziębienie.

– Poinformowałeś lekarza, który będzie przeprowadzał sekcję zwłok, czego ma szukać? Bo jeśli tego nie wie, to nic nie znajdzie.

– Powiedziałem mu wszystko, czego się dowiedziałem na temat śmierci Carltona i o zamiłowaniu członków Socjety do stosowania trucizn. To świetny specjalista. Polecił go lekarz, który uratował życie Santiaga De La Rosy po tym, jak próbowano go otruć. Jutro powinienem dostać wstępne wyniki.

– Angelique bardzo się zasmuciła, że nie mogła się pożegnać z Isabelle – wypala brat.

Kurwa mać! Nerwowo przeczesał palcami włosy. Co za bałagan. Jebana katastrofa.

– Będzie musiała to przeboleć.

– Ona ją kocha, wiesz? Twoja córka pokochała Isabelle. To najbliższy odpowiednik matki, jaki kiedykolwiek miała.

Zamykam oczy. Myśl o córce boli, bo jakaś część mnie sądziła, że Isabelle stanie się dla niej ważna. Nigdy nie miałem zamiaru zastępować nikim Kimberly, ale żona szybko zdobyła moje zaufanie, jeśli chodzi o opiekę nad Angelique. Pokochała ją równie mocno jak ja. Równie mocno, jak kochałaby ją matka. Czy to także popis aktorstwa? Czy przed Angelique również odgrywała rolę?

Zeke dopija drinka i wstaje.

– Zejdź do piwnicy, bracie. Porozmawiaj z Isabelle. Mówię ci, źle ją oceniasz. I uwierz mi, nie chcesz się o tym przekonać, kiedy będzie za późno.

Kiwam głową, kładę łokcie na biurku i opieram głowę na dłoniach. Totalny rozpiardol.

Kilka minut po tym, jak Zeke wychodzi z gabinetu, ktoś puka do drzwi.

– Tak?

– To ja, Catherine, proszę pana – mówi gospodyni i uchyla drzwi. – Pokój gotowy.

Zrywam się na nogi.

Kobieta waha się przez chwilę.

– Coś jeszcze? – pytam.

– Jest pan pewien swojej decyzji? To pańska żona, a wkrótce zostanie również matką pańskiego dziecka.

Zamykam oczy.

– Przepraszam. Po prostu... Źle bym się czuła sama ze sobą, gdybym nie powiedziała

tego otwarcie. Nie chciałabym, żeby stało się coś strasznego. Isabelle to dobra dziewczyna.

– Czy ja ci płacę za doradztwo?

– Nie, proszę pana. – Na policzkach kobiety wykwitają szkarłatne plamy. Zwiesza głowę i wychodzi z gabinetu.

Ja pierdolę!

Podchodzę do drzwi.

– Catherine, zaczekaj.

Wyciera twarz fartuchem, zanim się odwraca, ale widzę, że ma zaczerwienione oczy. Boże, jaki ze mnie dupek.

– Przepraszam. Nie chciałem cię urazić.

Kiwa głową i próbuje przywołać uśmiech na twarz. Mój własny personel musi mieć o mnie niezłe zdanie. Wyobrażam sobie, co mówią za moimi plecami. Isabelle powtarzała mi to nie raz.

Jestem wcielonym diabłem.

– Czy mogłabyś zanieść do pokoju Isabelle coś do jedzenia?

– Oczywiście. Podgrzeję dla niej trochę zupy. Lubi moje kluseczki, ciągle o nie pyta.

Dlaczego nic o tym nie wiem?

– Bardzo ci dziękuję.

Catherine znika w kuchni, a ja idę w stronę piwnicy. Wsuwam klucz w zamek, otwieram ciężkie drzwi i zaczynam schodzić po stopniach, wciąż niepewny, co powinienem zrobić.

## 38 JERICHO

Isabelle siedziała zamknięta na dole kilka godzin. Otwieram drzwi do starej sypialni i zastaję ją śpiącą na łóżku. Przyglądam się jej przez jakiś czas. Zwinięta w kulkę w przydużym swetrze wydaje się taka drobna. Wilgotne włosy poprzyklejały się do twarzy. Najwyraźniej dziewczyna zasnęła zmęczona płaczem.

Używam całej siły woli, żeby przeprowadzić tę rozmowę. Żona wygląda tak niewinnie. Zupełnie jakby nie była zdolna do zrobienia tego, czego się dopuściła. Kiedy na nią patrzę, wydaje jakiś dźwięk i marszczy czoło. Odgarniam jej włosy z twarzy. Mocno się spociła. Wymawiam cicho jej imię, lecz się nie budzi, tylko znów wydaje z siebie ten odgłos. Jakby z czymś, a może raczej z kimś walczyła. Przychodzi mi do głowy Danny Gibson. Oczyma wyobraźni widzę, jak leży na Isabelle. Przypomina mi się, co opowiadała. W koszmarach nie śni jej się scena, jak Gibson zabija Christiana, ale że niemal ją gwałci. Przypominam sobie, jak opowiadała, co czuje, przeżywając to wciąż na nowo.

– Isabelle – powtarzam głośniej, a dziewczyna przetacza się na plecy. Jęczy przez sen, po chwili zawodzi przeciągle. – Obudź się, Isabelle.

Kładę dłonie na ramionach żony i je ściskam.

– Obudź się.

Jej gałki oczne poruszają się szybko, nagle chwyta mnie za ręce i próbuje odepchnąć. Czy wydaje jej się, że jestem Gibsonem? Czy zamiast mojej widzi jego twarz?

– Isabelle, obudź się – powtarzam jak mantrę. – To tylko zły sen. Obudź się.

Potrząsam nią mocno i puszczam, kiedy zrywa się gwałtownie i siada, wciągając ze świstem powietrze i wyrzucając przed siebie ręce, jakby chciała coś lub kogoś odpędzić.

Ponownie chwytam ją za ramiona. Dłuższą chwilę zajmuje jej zebranie się w sobie, ogarnięcie, gdzie jest i co się wydarzyło. Gdy wzrok żony pada na mnie, drobną twarz zasnuwa ten sam mrok, który widziałem wcześniej. Przypomina mi się wyraz twarzy dziewczyny, gdy zaciskałem dłonie na jej szyi, gdy ją niemal udusiłem. Odsuwam jednak od siebie poczucie winy. Przecież miała u siebie te tabletki. Może nawet zdążyła kilka wziąć. Z tego, co wiem, mogła już nawet poronić.

Lecz wtedy rysy Isabelle łagodnieją, a czoło się marszczy. Przytula się do mnie. Jestem tym tak zaskoczony, że nie potrafię pozbierać myśli.

– Przyszedłeś po mnie – mówi z ustami przy mojej szyi.

Na skórze czuję świeże łzy.

Nie wiem, co robić, kiedy jej ciało dopasowuje się do mojego. Isabelle obejmuje mnie coraz mocniej, przysuwa się coraz bliżej i jak mantrę powtarza to jedno zdanie. Moje ramiona, jakby bez udziału woli, same się podnoszą i otaczają jej drobną postać. Czyżby zadziałał instynkt? Nie, to coś więcej. Pragnienie. Potrzeba. Tulę żonę i usiłuję zrozumieć, co się, do diabła, dzieje. Nie wiem, w co wierzyć. Nie wiem, co jest prawdą, a co chciałbym, żeby było.

– Nie połknęłam ani jednej tabletki i nigdy nie zamierzałam tego robić. Powinnam była spuścić je w toalecie tej samej nocy, w której je dostałam od Julii, lecz po prostu o nich zapomniałam. Tyle się wtedy wydarzyło, że wyleciało mi to z głowy.

Odsuwa się nieco i patrzy na mnie tymi swoimi wielkimi, smutnymi błękitnymi oczami. Oczami, które przypominają potłuczone szkło mogące zranić. Czuje, że zeszytniałem. Widzę to w wyrazie jej twarzy, w sposobie, w jaki marszczy czoło, w tym, jak kurczy się w sobie.

– Ale nie dlatego tu przyszedłeś, prawda?

Otacza się ramionami w obronnym geście.

– Nie.

– Więc czego chcesz? – Jej ciałem wstrząsa dreszcz. Otula się szczelniej swetrem, który zsunął się z ramion.

Wstaję i przeczesuję włosy palcami.

– Nie połknęłam ich – powtarza, jakby sądziła, że nie usłyszałam za pierwszym razem. – Nie miałam takiego zamiaru. Musisz mi uwierzyć. Nie skrzywdziłabym naszego dziecka. Nigdy bym tego nie zrobiła.

Muszę użyć całej siły woli, żeby przełknąć gulę, która urosła mi w gardle. Żeby utwardzić serce. Bo kiedy patrzę w oczy Isabelle, mam mętlik w głowie. Nabieram ochoty, żeby wziąć ją w ramiona i dać wiarę jej słowom.

„Należy do rodziny Bishopów. Pamiętaj o tym”.

– Zamknij się i wstawaj.

– Proszę, Jericho, musisz mi uwierzyć. Błagam.

– Kazałem ci się zamknąć i wstać. Przysięgam, że cię zaknebluję, jeśli nie przestaniesz pieprzyć.

– Dlaczego się tak zachowujesz?

– Nie nabiorę się na twoje łzy. Wstawaj. Ostatnia szansa.

Isabelle zsuwa nogi z łóżka i obciąga sweter.

– Na górę.

Idzie przede mną całą drogę do swojej sypialni. Gdy przekracza próg, staje jak wryta. Zamykam za nami drzwi i patrzę na nią, kiedy rozgląda się dokoła i usiłuje zrozumieć, co tu zaszło. W końcu się odwraca.

– Gdzie są moje rzeczy?

– Nie będziesz ich już potrzebować. Po prostu pomyślałem, że tu będzie ci wygodniej niż w piwnicy, zważywszy na ciążę.

Kazałem ogołocić pokój ze wszystkiego. Zostało tylko łóżko z jedną poduszką i gołe meble. Żadnych książek, wyłącznie niezbędne ubrania. I skrzypce. To jedyna rzecz, którą zostawiłem żonie na pocieszenie.

Isabelle łapie za klamkę drzwi między naszymi pokojami. Są zamknięte na klucz. Nie życzę jej sobie więcej w moim łóżku.

Na biurku leży futerał. Otwiera go i oddycha z ulgą. Dotyka skrzypiec, po czym odwraca się do mnie. W jej oczach dostrzegam maleńki błysk nadziei.

– Ty kazałeś to zrobić? – pyta, wskazując ręką nagie ściany.

Kiwam głową.

– To też? – Wskazuje na skrzypce.

– Tak.

Podchodzi do mnie. Stoję nieruchomo jak posąg, niepewny, co zrobić. Kiedy wyciąga dłoń, by dotknąć mojego policzka, oboje wzdrygamy się przed iskrą wyładowania elektrostatycznego, która pomiędzy nami przeskakuje.

– W takim razie nie cała nadzieja stracona – mówi, a ja czuję się bardziej skonfundowany niż kiedykolwiek w życiu.

Isabelle staje na palcach i dotyka swoimi wargami moich. Nie odwzajemniam pocałunku, ale też jej nie odtrącam. Zdaje się, że to dodaje żonie śmiałości, bo całuje mnie ponownie, tym razem dłużej, trzymając dłonie na moich policzkach.

Wsuwam dolną wargę dziewczyny pomiędzy zęby i kładę rękę na jej plecach, żeby

przytrzymać ją nieruchomo, kiedy gryzę na tyle mocno, by krzyknęła z bólu. Na języku czuję miedziany posmak krwi. Isabelle próbuje się wyswobodzić, ale trzymam ją w żelaznym uścisku i patrzę na nią z góry.

– Chcesz, żebym cię zerznął? O to chodzi?

Otwiera usta, jednak nie daję jej czasu na powiedzenie czegokolwiek, tylko zamykam je swoimi i doprowadzam Isabelle do łóżka. Odwracam ją i przyciskam plecami do swojej piersi. Jedną rękę zsuwam niżej, po czym rozpinam jej dżinsy. Opieram dziewczynę o łóżko i zdejmuję z niej spodnie oraz majtki.

– Jericho...

– Nie ruszaj się.

Kładę kolano na dolnym odcinku pleców żony, aby przyszpilić ją do materaca. Rozpinam pasek i spodnie. Isabelle odwraca głowę, żeby na mnie spojrzeć, ale nie walczy. Chwytam jej biodra, by nieco unieść tyłek i rozchylić pośladki dla lepszego widoku. Chcę widzieć ją w pełnej krasie.

Nie kocham się z nią łagodnie. Biorę, co mi się należy. Isabelle wzdycha głośno i zaciska pięści na prześcieradle, a całe jej ciało się spina.

– Chcesz, żebym cię zerznął? – powtarzam i wbijam się w nią głęboko. – Myślisz, że uda ci się namącić mi w głowie? To nie takie proste. Wyświadczam tę przysługę tylko dlatego, że przy okazji biorę sobie to, czego sam od ciebie chcę.

Kolanem rozsuwam szerzej jej nogi i pieprzę ją mocno, z każdym pchnięciem zmuszając dziewczynę do jęku. Kładę się na jej plecach, pot zbiera mi się na czole. Isabelle próbuje obrócić głowę, lecz chwytam ją za włosy. Nie chcę, by na mnie patrzyła. Nie dam rady dłużej tego robić, jeśli spojrzy mi w oczy.

– Nie tak, Jericho. Proszę.

Gryzę ją w szyję, zbliżając się do finiszu. Dziewczyna wychodzi naprzeciw moim pchnięciom.

– Proszę, Jericho. Pocałuj mnie.

– Kurwa.

Odchylam głowę żony, żeby pocałować ją w kącik ust. Kiedy tylko puszczam jej włosy, odwraca się bardziej i całuje mnie tak, jak chciała. Szczytuję. Pocałunek sprawia, że wydaję z siebie jęk i opadam na nią całym ciężarem ciała. Osuwamy się na kolana. Po chwili Isabelle odwraca się, by się we mnie wtulić.

– Kocham cię – szepcze z ustami przy mojej piersi. – Wiesz, że cię kocham? Diabeł czy nie, St. James czy nie, dziecko czy nie, kocham cię.

Spoglądam w dół na jej szczerą twarz, wielkie oczy i drobne dłonie, które trzymają mnie kurczowo, jakby żona bała się, że ją odepchnę.

– Nigdy nie skrzywdziłabym naszego dziecka. Jak mogłabym skrzywdzić kawałeczek ciebie?

Uśmiecha się smutno i niepewnie. Staram się przetrwać jej słowa. Jakaś część mnie chce wychwycić kłamstwo. Zdemaskować oszustkę. Lecz nie dostrzegam ani jednego, ani drugiego. Widzę tylko Isabelle. Dziewczynę, dla której w moim sercu gromadzi się coraz więcej czułości. Pragnę jej uwierzyć tak bardzo, że to aż boli.

– Ale ty o tym wiesz – stwierdza. – Wiem, że tak. I nie zamkniesz mnie tutaj.

Zamykam oczy. Wyrzucam twarz żony z myśli. Przypominam sobie o pigułkach. Przypominam sobie swoją wściekłość. Tyle że staje się to coraz trudniejsze. Wysuwam się z jej objęć, wstaję i zapinam spodnie. Zostawiam ją na podłodze z dżinsami spletanymi wokół kostek.

– Jericho?

Cholera, muszę pomyśleć. Robię krok w stronę drzwi. Po chwili się zatrzymuję i odwracam do Isabelle.

– Czy to był ten sam? – pytam, nie bardzo wiedząc po co.

– Ten sam? – Pytanie zbija ją z tropu.

– Koszmar. W piwnicy. Śnił ci się Gibson?

Dziewczyna mruga, wyraz jej twarzy się zmienia, a zgryzota żłobi pionową kreskę między brwiami. Podciąga kolana, otacza je ramionami, spuszcza wzrok i powoli kręci głową.

– W takim razie co?

Mija dłuższa chwila ciszy. Widzę, że cokolwiek przyśniło się żonie, przeraziło ją.

– Powiedz mi – naciskam.

Isabelle podnosi na mnie oczy z powrotem.

– Grób. Miejsce tuż obok Nellie. Ziemia została odkopana, a dół już na mnie czekał.

Kurwa! Ja pierdolę! Wplątuję palce we włosy i zaciskam mocno powieki.

– Ale to był tylko sen, prawda? – pyta szeptem.

Nie potrafię się powstrzymać i zerkam na nią. To błąd. Kiedy czuję ucisk w klatce piersiowej i ciężko mi zaczerpnąć tchu, zdaję sobie sprawę, że mam przesrane. Wiele mnie kosztuje, by odwrócić się na pięcie i spieszyć ile sił w nogach. Bo po tym wszystkim, co się między nami wydarzyło, nie mogę jej tego zrobić. Nie ma mowy. Zabiłbym każdego, kto by tylko spróbował. Ponieważ ja też ją kocham.

Kurwa, jak ja ją kocham.

### 39 ISABELLE

Patrzę na puste miejsce, gdzie jeszcze przed momentem stał Jericho. Słyszę, jak przekręca klucz w zamku. Wstrząsa mną dreszcz. Spoglądam w dół. Dżinsy i majtki mam splątane wokół kostek. Między nogami jestem mokra od jego nasienia, które wypływa z cipki. Boli mnie w piersi i chociaż żołądek burczy głośno z głodu, nie sądzę, bym była w stanie cokolwiek teraz przełknąć.

Zmuszam się, by wstać. Skopuję spodnie oraz bieliznę i idę do łazienki. Mój wzrok zatrzymuje się na skrzypcach. Skoro je zostawił, jest jeszcze nadzieja. Gdyby mnie nienawidził, odebrałby mi instrument albo roztrzaskałby go na kawałeczki.

Wchodzę do łazienki i ściągam z siebie resztę ubrań. Muszę się rozgrzać. Jest mi zimno w środku. Odkręcam wodę i stoję pod gorącym strumieniem przez całą wieczność, a mój mózg pracuje gorączkowo, żeby rozgryźć to, co się przed chwilą wydarzyło. Powiedziałam mężowi, że go kocham, i jestem boleśnie świadoma faktu, że mi nie odpowiedział. Wyglądał na zagubionego, zdeorientowanego. Nie przypominał diabła, którego z czasem obdarzyłam uczuciami.

Mechanicznie myję włosy i ciało. Przyglądam się brzuchowi, który wciąż pozostaje płaski. Kładę na nim obydwie ręce. Mówiłam serio, nigdy nie skrzywdziłabym tego dziecka. A fakt, że Jericho jest jego ojcem, sprawia, że darzę je jeszcze większą czułością. Myślę, że wszystko się ułoży. Musi. Ponowne zdobycie zaufania męża zajmie trochę czasu, ale rozumiem go. Koniec końców wszystko się dobrze skończy. Będziemy rodziną. On i ja. A właściwie on, ja i cała reszta. Co dziwne, nie potrafię sobie wyobrazić życia bez Jericha czy Angelique. Na samą myśl o tym odczuwam pustkę.

Moje myśli ulatują w stronę Julii. Do dnia, w którym dała mi pigułki, żebym pozbyła się dziecka. Do spotkania w gabinecie Hildebranda, podczas którego opowiedziała nam o roli, jaką Carlton odegrał w zabójstwie Christiana. Kuzynka wydawała się taka szczerą. I taka zmartwioną. Lecz nie wspomniała o Geraldzie Gibsonie, podobnie zresztą jak Jericho. Ten jeden szczegół mnie zastanawia.

Kiedy zakręcam prysznic, z sypialni dobiega mnie nucenie. Owijam się ręcznikiem. To Catherine. Uśmiecham się i wychodzę z łazienki. Gosposia nakrywa dla mnie do stołu. No, właściwie to biurko ustawione pod oknem. Ale gosposia postawiła na nim nawet mały szklany wazonik, do którego włożyła pojedynczą gerberę.

– Proszę bardzo, kochanie – mówi na mój widok. – Mam nadzieję, że nie gniewasz się, że weszłam tutaj, kiedy brałaś prysznic. Przyniosłam zupę, bo pomyślałam, że pewnie jesteś głodna. Próbuje się uśmiechnąć, lecz mięśnie twarzy odmawiają jej posłuszeństwa. Wie, co zrobił mi Jericho. Wie, gdzie byłam. Nie wątpię, że wszyscy pracownicy i domownicy wiedzą. Czuję, jak oblewam się rumieńcem, zawstydzona tym faktem. Zawstydzona tym, jak traktuje mnie mąż. I własną bezsilnością wobec niego.

– Dziękuję – odpowiadam i odsuwam na bok emocje. – Nie potrafię się oprzeć twojej zupie z kluseczkami.

– Przyniosłam więcej. Musisz teraz jeść za dwoje. Masz też sok i mały deser. – Podnosi pokrywkę z talerza, na którym spoczywa wielki kawał ciasta czekoladowego.

– Mały? – pytam i ruszam w stronę stolika.

– Jak powiedziałam, musisz teraz jeść za dwoje i przydałoby ci się trochę ciątka na tych kościach. Wybacz śmiałość, lecz jesteś za chuda.

– To dlatego, że nie czułam się zbyt dobrze – mówię, kiedy otwiera szufladę komody i wyciąga ubrania. Traktuje mnie jak babcia. Jest dobrym człowiekiem. Zawsze się mną opiekuje.

– Ubierz się teraz szybciotko i siadaj do jedzenia. Gdybyś jeszcze czegoś potrzebowała, po prostu daj mi znać.

– Myślę, że to aż nadto. Bardzo ci dziękuję, Catherine.

Kobieta uśmiecha się do mnie ciepło. Wygląda, jakby chciała coś jeszcze dodać, ale w końcu kiwa głową i wychodzi, a ja słyszę dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Wzdycham, wkładam na siebie ubrania wybrane przez Catherine i zaczynam jeść. Przez okno widzę, jak zapalają się lampy na patio i podświetlenie basenu, jak wiatr rozwiewa czerwone liście. Jesień na dobre zawitała w Nowym Orleanie.

Omijam las wzrokiem. Boję się, że mogłabym znów zobaczyć czerwony ognik papierosa, chociaż wiem, że biorąc pod uwagę odległość, to praktycznie niemożliwe. Ale powinnam powiedzieć o tym Jerichowi. Postanawiam, że zrobię to następnym razem, gdy go zobaczę.

Niestety nie mam okazji się z nim spotkać przez trzy dni z rzędu. Catherine przynosi mi jedzenie, trzy posiłki dziennie, lecz poza nią nie widuję nikogo. Nawet nie wiem, czy Jericho sypia u siebie, bo nie dobiegają mnie stamtąd żadne dźwięki. W końcu przypominam sobie, że ściany są dźwiękoszczelne. Nie słyszę nic, nawet jak przykładam ucho do drzwi.

Tęsknię za nim. Gdy pytam Catherine, czy jest w domu, odpowiada wymijająco i widzę, że czuje się niezręcznie, więc porzucam temat. Zastanawiam się, kiedy odbędzie się pogrzeb Carltona. A może już się odbył? Rozmyślam nad wynikami powtórnej sekcji zwłok oraz badań DNA Matty'ego. Czy to możliwe, by naprawdę był synem Carltona?

Gdy siadam przy oknie i gram na skrzypcach, wspominam Christiana. Możliwe, że w tym roku nie pójdę w rocznicę na jego grób. Byłby to pierwszy raz od czasu śmierci brata. Z zadumy wyrывa mnie dźwięk klucza przekręcanego w zamku i pukanie. Odwracam się zaskoczona. Niedawno jadłam lunch, więc to raczej nie Catherine.

– Isabelle?! – woła Ezekiel i puka jeszcze raz.

– Wejdz! – odkrzykuję i wstaję, żeby odłożyć skrzypce.

Zeke wchodzi do pokoju i rozgląda się dokoła. Pomieszczenie wydaje się nagie. Zarówno ściany, jak i półki są puste. Sypialnia wygląda jak więzienie, bo w końcu tym właśnie jest. Dobrze, że Ezekiel to widzi, ponieważ to nie jest w porządku. Nie zasłużyłam, by Jericho mnie tu zamknął, i cieszę się, że jego brat jest tego świadkiem.

Ezekiel odchrząkuje.

– Jak się trzymasz?

Zamykam futerał, odwracam się do mężczyzny i wzruszam ramionami.

– Długo jeszcze będzie mnie tu więził?

Widzę, jak mięśnie jego szczęki się zaciskają. U obu braci można dostrzec pewne charakterystyczne zachowania. Po odpowiednio wnikliwej obserwacji można poznać, czego są oznaką. Pod pewnymi względami Jericho i Zeke są do siebie niezwykle podobni.

– Nie rozmawiałem z nim od kilku dni – mówi w końcu. – Ma dużo na głowie.

– Chodzi o sekcję zwłok czy badania DNA?

– O jedno i drugie.

– Co się dzieje? Czy Carlton został już pochowany?

– Ceremonia odbędzie się dziś wieczorem.

– Więc lekarz zakończył autopsję?

Kiwa głową, że tak.

– I jaki był wynik?



– Tego jeszcze nie wiem.  
– A powiedziałbyś mi, gdybyś wiedział?  
– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia – odpowiada po namyśle, a ja doceniam szczerość. – Ale przyszedłem tutaj w innej sprawie. Masz gościa, Isabelle.  
– Jakiego gościa?  
– Megs. To chyba ta kobieta, która prowadzi cukiernię.  
– Megs tutaj jest?  
Znów kiwnięcie.  
– Martwiła się o ciebie. Powiedziała, że zazwyczaj o tej porze roku widujecie się znacznie częściej.  
– Nadchodzi rocznica śmierci Christiana.  
– Wiem. Chodź.  
Gestem wskazuje otwarte drzwi.  
– Jericho o tym wie?  
– O mojego brata się nie martw, biorę go na siebie.  
Przed oczyma widzę St. Jamesów walczących w kaplicy. Zeke prawdopodobnie uratował mi życie.  
– Dziękuję za to, co zrobiłeś dla mnie w kaplicy.  
Zeke otwiera usta, ale po chwili zamyka je z powrotem i tylko kiwa zdawkowo głową.  
– Chodź, Isabelle. Nie pozwól przyjaciółce na siebie czekać.  
– Dziękuję – powtarzam i wychodzę na korytarz. Rozglądam się po domu, jakbym zawitała tu po raz pierwszy. Zastanawiam się, czy tak właśnie czują się więźniowie, kiedy wychodzą na wolność po odsiadce. Ale potem przypominam sobie, że byłam zamknięta tylko przez kilka dni. Mój mąż w końcu się przekona, że mówię prawdę. Musi.  
– Czekaj na ciebie w bibliotece – informuje Zeke, gdy dochodzimy do podestu schodów. Już stąd słyszę dobiegającą zza otwartych drzwi rozmowę Catherine i Megs. Kiedy tam docieram, uśmiecham się szeroko na widok przyjaciółki.  
– Megs! – Podbiegam do niej i mocno się przytulam.  
Catherine prostuje się znad stolika, na którym nakrywała do podwieczorku, także się uśmiecha, po czym wychodzi z pokoju i zamyka za sobą drzwi.  
– Cześć – mówi Megs i odsuwa się ode mnie. Zdaję sobie sprawę, że płaczę, dopiero gdy ociera mi twarz. – Co się dzieje? Czemu ryczysz?  
Przejeżdżam grzbietem dłoni po zamkniętych powiekach.  
– To nic, tylko się cieszę, że przyszłaś. Tak dobrze cię widzieć.  
– Dlaczego się nie odzywałaś? Nie odbierasz telefonu. Dzwoniłam do ciebie, ale od razu włącza się poczta głosowa. Masz status zaginionej w akcji.  
Wzdycham i siadamy na kanapie. Zauważam pojemnik na ciasto, więc pozwalam sobie go otworzyć, jednak nawet widok kryjących się w środku pyszności nie jest w stanie wydobyć ze mnie bardziej obszernych zeznań.  
– Nie mam już telefonu – mówię tylko, nie patrząc na przyjaciółkę. Jak jej wyjaśnić, co się dzieje?  
– Zgubiłaś go czy co? A może zmieniłaś numer i nie podałaś mi nowego? – podkpiwa.  
Podejmuję decyzję, że nie będę jej okłamywać. Nie zamierzam tuszować dziwnej sytuacji, w której się znalazłam.  
– Jericho mi go zabrał.  
Megs marszczy brwi i próbuje zrozumieć to, co przed chwilą usłyszała.  
– Co masz na myśli?

Odkrawam dwa kawałki ciasta i nakładam je na talerzyki, które przyniosła Catherine, lecz żadna z nas nie zabiera się za jedzenie.

– Moja obecna sytuacja jest... skomplikowana. Jericho...

Biorę głęboki wdech i zastanawiam się, jak mam jej to przekazać. Koniec końców nie muszę, ponieważ ku mojemu zdumieniu przyjaciółka pyta:

– Julia nie kłamała, prawda?

– Julia?

Megs rzuca ukradkowe spojrzenie na zamknięte drzwi i nachyla się w moją stronę.

– Przyszła do mnie kilka dni temu i powiedziała, że się o ciebie martwi. Wspomniała, że mąż nie pozwala ci z nią rozmawiać. Że stałaś się więźniem we własnym domu. Czy to prawda, Isabelle?

Robi mi się gorąco, a krew napływa do twarzy. Obawiam się, że zaraz znów się rozpłaczę, ale jakimś cudem udaje mi się powstrzymać łzy. Moje serce wali jak szalone. Czuję się zawstydzona. To wszystko mnie przerasta.

– Słońce, co się, do diabła, dzieje? Wiesz, że mogę natychmiast zadzwonić na policję, tak?

Potrząsam głową. W gardle rośnie gula, którą muszę przełknąć, nim udaje mi się cokolwiek z siebie wydusić.

– W przeszłości wiele się wydarzyło między naszymi rodzinami, Megs. A Jericho... Policja nic tutaj nie wskóra.

– Co masz na myśli, mówiąc, że policja nic nie wskóra?

– Bo nic nie wskóra. Po prostu...

Muszę zaczerpnąć głęboko powietrza. Co mam zrobić? Opowiedzieć jej o Socjecie? O władzy, którą dierży stowarzyszenie? O dziwacznych, archaicznych tradycjach i rytuałach? Przecież pomyśli, że zwariowałam.

– To nie jest żadne nic, skoro mąż zamknął cię w domu. Co się, do cholery, dzieje, Isabelle? Nie lubię Julii... – Zawiesza głos, wstaje i zaczyna krążyć po bibliotece. – Ale noż kurwa mać! Wygląda na to, że mówiła prawdę.

– Nie wiem, co ci powiedziała, lecz z pewnością przynajmniej część z tego jest prawdą.

– Ja pieprzę.

Przyjaciółka siada, a mi wpada do głowy pewien pomysł. Jest jedna sprawa, z którą Megs może pomóc.

– Słuchaj, mogłabyś coś dla mnie zrobić?

– Jasne, wszystko. Po prostu powiedz, o co chodzi.

– Mogłabyś sprawdzić, czy istnieje człowiek o nazwisku Gerald Gibson? Chyba mieszka gdzieś niedaleko stąd. Nie wiem, gdzie dokładnie, ale na pewno w Nowym Orleanie albo w najbliższej okolicy. Ma brata Danny'ego. – Czuję, jak coś we mnie umiera, kiedy wymawiam to imię. Muszę chwilę odsapnąć, zanim mogę kontynuować. – Pod żadnym pozorem nie jedź do jego domu. Chcę tylko wiedzieć, czy taki ktoś istnieje, a jeśli tak, to gdzie mieszka. Jeśli dałabyś radę, dowiedz się też, czy ma białą furgonetkę. – Ostatnie zdanie wyduszam z siebie z dużym trudem. Megs przygląda mi się uważnie.

– A kto to taki?

– Po prostu sprawdź to, dobrze? Może udałoby ci się odwiedzić mnie jeszcze raz i powiedzieć, czego się dowiedziałas. Ale nie mów Julii, że cię o niego pytałam.

– Isabelle, co się, do diabła, dzieje?

– Jestem w ciąży.

Wygląda na mocno zaskoczoną.

- O tym Julia ci już nie powiedziała, co?
- No nie. Który miesiąc?
- Drugi.
- Dlatego się pobraliście? – Liczy szybko w pamięci.

Potrząsam głową.

– Nie, sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana. Jericho zamknął mnie tutaj, bo znalazł w moim pokoju coś, o czym na śmierć zapomniałam, i pomyślał, że zamierzam pozbyć się dziecka.

– Boże, to brzmi strasznie, gdy mówię o tym na głos, a Megs tego słucha.

– Kurwa.

– Jestem absolutnie pewna, że wszystko się ułoży. Po prostu mam na głowie dużo spraw, które staram się rozgryźć. Gdybyś dowiedziała się czegoś na temat Geralda Gibsona, bardzo byś mi pomogła.

Jeśli facet nie istnieje, to znaczy, że Jericho mnie okłamał. Muszę się przygotować na taką ewentualność. Jednak muszę się także przygotować na możliwość, że istnieje i posiada białą furgonetkę. W takim wypadku Julia rzeczywiście może być w to uwikłana. Tak czy siak, stoję na przegranej pozycji, ale chcę poznać prawdę.

– Posłuchaj, jeżeli uda ci się znaleźć tego gościa, trzymaj się od niego z daleka. Daj mi tylko znać, czy istnieje, czy nie, i gdzie mieszka.

– I czy jeździ białą furgonetką.

Kiwam głową.

– W porządku. Zobaczę, co uda mi się wygrzebać. Zgaduję, że w najbliższym czasie nie zajrzysz do cukierni.

– Wątpię, żeby było to możliwe.

– Nie szkodzi. Wpadnę w odwiedziny jeszcze raz. Co prawda Zeke mnie wpuścił, ale mam wątpliwości, czy Jericho postąpiłby tak samo.

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

– Nie przejmuj się tym. Coś wymyślę – stwierdza i podnosi się z kanapy. – Jest jeszcze coś, co mogłabym dla ciebie zrobić?

Także wstaję.

– Nie, tyle wystarczy. Bardzo ci dziękuję.

Megs kiwa głową i obejmuje mnie.

– Chciałabym móc zostać dłużej, ale muszę odebrać córkę ze szkoły.

– Nie przejmuj się. Cieszę się, że przyszłaś.

Przyjaciółka odsuwa się o kilka kroków i taksuje mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Przynajmniej zjedz trochę ciasta. Musisz przybrać na wadze, skoro jesteś w ciąży. – Przez chwilę się waha. – Isabelle?

– Tak?

– Chcesz urodzić to dziecko?

– Z początku, gdy dowiedziałam się o ciąży, miałam wątpliwości, lecz z czasem to się zmieniło. Chcę tego maleństwa.

– W porządku. Aha, jeszcze jedno. Prawie o tym zapomniałam, bo Julia zachowywała się bardzo enigmatycznie. Kazała mi przekazać, że masz w lesie przyjaciela. Nie wiem, co to znaczy, ale spełniam jej prośbę. Na szczęście wiadomość była tak dziwaczna, że udało mi się ją zapamiętać. Miałam ci ją powtórzyć słowo w słowo. – Wpatruje się w moje oczy. – Najwyraźniej wiesz, o co jej chodziło. To chyba dobrze.

Potakuję, bo owszem, rozumiem, co kuzynka miała na myśli. Chodzi o tajemniczego

palacza, o człowieka, który nie odpowiedział, kiedy go zawołałam. A więc istnieje naprawdę.

– Nie wspominaj Julii, że interesuję się Geraldem Gibsonem, dobrze?

– Nic jej nie powiem. Może i się o ciebie martwi, jednak ciśnienie podnosi mi się za każdym razem, gdy ta kobieta pojawia się w pobliżu. Coś jest z nią nie halo.

Nic na to nie odpowiadam, a kiedy Megs wychodzi, idę na patio, żeby posiedzieć choć chwilę na chłodnym jesiennym powietrzu. Czekam, aż ktoś przyjdzie, żeby odprowadzić mnie do celi, a tymczasem wypatruję czerwonego, żarzącego się papierosa, niepewna, czy palacz to mój przyjaciel czy raczej wróg.

## 40 JERICHO

– Jest pan pewien? Nie ma co do tego wątpliwości? – pytam.

Doktor Rosseau wzdycha.

– Żadnych wątpliwości. Dowody, które znalazłem, utrzymałyby się w każdym sądzie, włącznie z Trybunałem.

Ku własnemu zdziwieniu, choć wieści są dobre, nie potrafię się z nich cieszyć. Przecież na to właśnie liczyłem. Ale są też i złe nowiny.

– A co z badaniami DNA?

– Jak panu wiadomo, nie jestem ekspertem w tej dziedzinie, lecz ufam członkom swojego zespołu, nieraz z nimi współpracowałem. Chłopiec to syn Carltona Bishopa.

No tak, a także jego prawowity spadkobierca.

Kiwam głową, nie odrywając wzroku od raportu z autopsji.

– Poprzedni koroner, który badał tę sprawę, bez wahania ustalił nagłe zatrzymanie krążenia jako przyczynę zgonu. Dlaczego tak się mogło stać?

– Jeśli nie zna się charakterystycznych objawów, jakie wywołuje trucizna, można je przeoczyć. Zresztą na tym polega piękno oleandrów. Zawarte w nich glikozydy są równie trudne do wykrycia, co niebezpieczne. Mają zadatki na idealne narzędzie zbrodni.

Podnoszę na niego wzrok. Doktora Rosseau, specjalistę od trucizn i członka Socjety, polecił mi Santiago. Kilka lat temu lekarz uratował mu życie. A teraz pomógł mi zdobyć dowody, które pogrążą Julię Bishop.

– Chociaż z drugiej strony Bishop cieszył się znakomitą zdrowiem, więc jego nagły zgon powinien wzbudzić podejrzenia – dodaje Rosseau.

– Sugeruje pan, że lekarz został zmotywowany, by stwierdzić taką, a nie inną przyczynę zgonu?

– Niczego nie sugeruję. Nie śmiałybym. Lecz w świetle tego, co udało nam się ustalić, to ciekawa kwestia.

– A czy istnieje jakaś możliwość, by stwierdzić, czy poronienia, które tak często przytrafiały się żonom Bishopa, były spowodowane czynnikami naturalnymi? – Wiem, że przeginam, ale i tak zadaję to pytanie.

– Tego nie jestem w stanie panu powiedzieć. – Lekarz siada i przygląda mi się. – Jednak powinien pan mieć wystarczająco dużo dowodów, żeby panna Bishop poczuła się zobligowana do rozpoczęcia negocjacji.

– Nie zamierzam negocjować z tą kobietą – oznajmiam twardo i wstaję. Spoglądam na zegarek. – A co z wynikami?

– Przesłałem pliki na pańską skrzynkę mailową. Może pan wziąć także te wydruki. Są do pana dyspozycji.

Rosseau wstaje i ciągnie za rękaw koszuli. Ubrał się bardzo elegancko, przy mankietach błyszczą diamentowe spinki, na nadgarstku pyszni się rolex, a garnitur został uszyty na miarę. Gabinet lekarza jest wystawny, urządzone z przepychem, podobnie jak reszta domu.

– Dziękuję, doktorze.

Zbieram teczki z dokumentami i wyciągam ku niemu dłoń.

Potrząsa nią energicznie.

– Do usług, panie St. James. Oczywiście jestem do dyspozycji, gdyby Hildebrand albo

któryś z pozostałych Rajców zażądał mojego zeznania.

– Zakładam, że do tego nie dojdzie.

Mam taką nadzieję ze względu na Isabelle, lecz także ze względu na dzieciaka, Matthew Bishopa. Żaden czterolatek nie powinien być narażony na widok matki zakutej w kajdanki czy, co gorsza, wsadzonej za kraty za morderstwo.

Nie widziałem żony od tamtej nocy, kiedy zostawiłem ją zamkniętą w sypialni. Od czasu, gdy opowiedziała mi o swoim koszmarze. I gdy wyznała, że mnie kocha. Zaczynam się zastanawiać, czy zły sen się powtarzał, ale nakazuję sobie nie zapędzać się w tamte rejony. Nie mogę o tym myśleć. Nie mogę myśleć o niej.

– Jedziemy do domu, proszę pana? – pyta kierowca, kiedy wjeżdżamy na autostradę. Jest nowy. I bardzo młody.

– Jak masz na imię?

– Anthony, proszę pana.

– Anthony. – Mam niejasne wrażenie, że Dex mi o nim wspominał. Na razie chłopak będzie go zastępował. – Nie, nie do domu.

Zerkam na zegarek i jeszcze raz odczytuję wiadomość, którą Zeke przysłał jakieś pół godziny temu. O oplakującej śmierć ukochanego Julii Bishop.

– Zawieź mnie do katedry. – Nie muszę tłumaczyć, o które miejsce chodzi.

– Tak jest, proszę pana.

Piszę SMS-a do Dexa, żeby zapytać, jak się miewają Angelique i matka. W odpowiedzi dostaję zdjęcie potwierdzające, że są całe i zdrowe, a co więcej – dobrze się bawią. Cieszą się wolnym czasem na krytym basenie przy domu, który wynająłem w górach Adirondack<sup>4</sup>. Angelique wygląda na zachwyconą. Od Dexa wiem także, że uwielbia kolory tamtejszej jesieni, jak również przygody, które przeżywa z wujkiem podczas codziennych wędrówek. To ja powinienem ją na nie zabierać, ale utknąłem w Nowym Orleanie, próbując rozprawić się z suką, która zabiła swojego kochanka i kto wie ile innych osób. Która zorganizowała zamach na życie mojej żony i dała jej środki na przerwanie ciąży.

Wracają do mnie słowa Isabelle. Powiedziała, że mnie kocha i że nie mogłaby skrzywdzić naszego dziecka. Przed oczami widzę jej twarz, zbyt często naznaczoną strachem. Najczęściej z mojej winy. A mimo to mnie kocha, chociaż zrobiłem wszystko, żeby zmienić jej życie w piekło.

– Proszę pana, za pięć minut dojedziemy na miejsce.

– Dziękuję. – Już mam odłożyć telefon, ale się rozmyślałam i wysyłam wiadomość do brata.

„Jak się miewa moja żona?”

Na ekranie podskakuje rząd kropek, kiedy Ezekiel pisze odpowiedź.

Zeke: „Jest więźniem we własnym domu. Jak myślisz?”

Kurwa mać!

„Prawie dojechałem do katedry. Czy chłopiec tam jest?”

Zeke: „Chwilę temu odesłała go do domu. Będzie tylko ona i ksiądz. Jadę do koronera. Dam znać, jak się czegoś dowiem”.

„Dziękuję”.

Kierowca podwozi mnie pod frontowe wejście do katedry, gdzie przed momentem odprawiono mszę za duszę Carltona Bishopa. Kapłan zapewne modlił się, by została przyjęta do nieba, lecz ja wiem, że szejnie w piekle. Przynajmniej drań dostał od Julii to, na co zasłużył. Niewątpliwie cierpiał w ciągu ostatnich kilku dni przed śmiercią. Biorąc pod uwagę krzywdy, które wyrządził mojej rodzinie, to i tak za mało, ale musi mi wystarczyć. Kiedy wysiadam z

samochodu w jesienną noc i owiewa mnie chłodne powietrze, zdaję sobie sprawę z faktu, że muszę się tym zadowolić, ponieważ teraz na szali leży więcej istnień. Nie mogę pochować kolejnej ukochanej kobiety.

Dwaj strażnicy z IVI pełnią wartę przed drzwiami katedry. Otwierają je, kiedy się zbliżam. Cieszę się, gdy widzę, że Zeke się nie mylił. Wnętrze świątyni opustoszało, jeśli nie liczyć Julii Bishop i księdza, z którym rozmawia, przy okazji poprawiając lilie zdobiące trumnę Carltona.

Drzwi zatrząskują się za mną z hukiem, a kroki rozbrzmiewają echem w pustym wnętrzu. Na niespodziewany dźwięk oboje odwracają głowy. Oblicze kapłana to maska opanowania, za to twarz Julii wyraża najpierw zaskoczenie, potem gniew. Kobieta spogląda mi w oczy i krzyżuje ręce na piersi. Staje przed trumną, jakby chciała ją przede mną ochronić. Ale Bishop nie żyje. Po co miałbym bezcześcić jego zwłoki? Teraz poluję na nią.

– Czyżbym się spóźnił? – pytam i zatrzymuję się kilka metrów od nich.

– Ceremonia już się skończyła, lecz ciało pozostanie w katedrze aż do rana. Potem zostanie pogrzebane – informuje ksiądz.

– W takim razie mogę pożegnać zmarłego – stwierdzam, ledwie zaszczyciwszy kapłana spojrzeniem. – Panno Bishop, proszę na słówko.

– Nie mam panu nic do powiedzenia.

– Ale ja mam do pani sprawę i sądzę, że chętnie mnie pani wysłucha. – Zerkam na księdza. – Na osobności.

Julia przygląda mi się uważnie. Na moich ustach błąka się cień uśmiechu, chociaż nie czuję ani krzty radości. Bo niezależnie od rozwoju wypadków, i tak ucierpi Isabelle. Ucierpi niewinne dziecko, które niczym sobie na to nie zasłużyło, choćby i było z krwi Bishopów.

Ksiądz popatruje nerwowo to na mnie, to na kobietę.

– Panno Bishop, mogę zostać, jeśli...

– Nie, dziękuję – wchodzi mu w słowo i obraca się, by obdarować go uśmiechem. – Dam sobie radę.

Mężczyzna rzuca mi jeszcze jedno spojrzenie, po czym kiwa głową i rusza w stronę niewielkich drzwi na tyłach katedry. Jego kroki odbijają się echem w ogromnej przestrzeni. Nie otwieram ust, nim nie zniknie w zakrystii.

– Jest pan z siebie zadowolony? Z tego, że opóźnił pan mszę za jego duszę i pochówek?

– Mam to głęboko w dupie – mówię i obchodzę ją, żeby zerknąć na tępą gębę Carltona patrzącą na mnie z oprawionego w ramkę zdjęcia. Podnoszę je i bacznie się przyglądam. – Od samego początku był pani marionetką?

Odwracam się do niej z powrotem. Muszę przyznać, że jest wytrawnym graczem. Większość ludzi na jej miejscu oblałaby się potem.

– Nie wiem, co pan ma na myśli, panie St. James. Informacje, które zdobyłam tamtego dnia... – Spuszcza wzrok, a kiedy znów podnosi głowę, jej czoło przecinają zmarszczki, a oczy są wilgotne. – Kiedy się dowiedziałam, że Carlton miał coś wspólnego ze śmiercią brata Isabelle, serce mi pękło. Poczulałam się zdruzgotana na widok wyrazu twarzy kuzynki, gdy jej o tym powiedziałam.

– Aha. – Odkładam ramkę. – A więc Matthew jest synem Bishopa. Gratulacje. Dobrze to pani rozegrała.

Unosi głowę i nieco ją przekrzywia. Z jej twarzy znikają wszelkie oznaki smutku, zastąpione chłodnym, trudnym do odczytania pięknem.

– To nie była żadna rozgrywka. Kochałam go. Matty jest owocem naszej miłości.

– Och, prawie pani wierzę.

– Do licha, co jest z panem nie tak?  
– Sądzę, że pani kłamie, panno Bishop.  
– Niech pan idzie do diabła, panie St. James. – Odwraca się i rusza w stronę pierwszej ławki, gdzie zostawiła płaszcz i torebkę. – Wracam do domu, do syna.  
– Oleander – mówię, a ona staje jak wryta. Widzę, jak napina wąskie barki. – Sprytne. Niewykrywalna trucizna. No, chyba że się wie, czego szukać.  
Julia kontynuuje spacer do ławki, chociaż na zupełnie sztywnych nogach.  
– Biedak nacierpiał się przed śmiercią, ale chyba o to pani chodziło, prawda? Chciała pani, by choć trochę odpokutował.  
Schyla się, żeby podnieść swoje rzeczy, po czym prostuje się i mierzy mnie wzrokiem.  
– Z pewnością wszystkie jego wizyty w Domu Kocic musiały być dla pani bolesne.  
– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.  
Robię dwa kroki w jej stronę.  
– Nie jestem idiotą, panno Bishop.  
– Doprawdy? Nie wiem, czy mogę się z panem zgodzić w tej kwestii. – Szczerzy się.  
A to suka!  
– Bo widzi pan, sprzątnięcie panu spadku sprzed nosa okazało się o niebo łatwiejsze, niż myślałam. No i ta biedna Isabelle nosząca pański pomiot...  
Wykrzywione wargi sprawiają, że kobieta wygląda brzydko. Nie spuszcza ze mnie wzroku.  
– Chciałam jej pomóc rozwiązać ten problem, ale ona też nie grzeszy bystrością, zresztą od zawsze.  
W uszach słyszę szum krwi, a każdy mięsień w moim ciele się napina.  
– A może seks zawrócił dziewczynie w głowie – stwierdza i oblizuje usta, z założenia kusząco. Jej spojrzenie wędruje po moich barkach, klatce piersiowej, przesuwa się niżej. – Doskonale to rozumiem. – Teraz patrzy mi w oczy. – Z pewnością jest pan niezły w łóżku, a poza tym, cóż, Isabelle była pańską jedyną możliwością, jeśli chciał pan zdobyć rodzinny majątek Bishopów. Ale sytuacja może się zmienić – mówi i wyciąga dłoń, żeby poprawić klapę mojej marynarki. Trzyma ją na piersi nieco zbyt długo. – Właściwie to się zmieniła.  
– Panno Bishop, mdli mnie na sam pani widok. Jako kobieta nie dorasta pani Isabelle do pięt.  
Jej twarz wykrzywia grymas. Na moment opuszcza gardę.  
– Czyż to nie romantyczne? – Mruży oczy. – Wie pan, kazałam skremować ciało. Już go nie ma.  
Skremować? Rzucam okiem na trumnę.  
– Och, w środku znajdują się wyłącznie prochy. Zresztą czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Ciało z biegiem czasu i tak obróci się w proch. – Wymija mnie i podchodzi do trumny. Zdejmuje z wieka jedną lilię, przy okazji zrzucając kilka kolejnych na podłogę. – No i oleander? – kontynuuje, włożywszy kwiat w butonierkę żałobnej sukienki. – Nie wydaje się panu, że to trochę naciągana teoria? Który mamy rok?  
– Proszę mi powiedzieć jedną rzecz – mówię i stoję pośrodku głównej nawy, żeby zablokować jej drogę ucieczki. – Czy to pani zabijała dzieci?  
Mruga zaskoczona, ale chociaż nie udało mi się zdobyć dowodu, uważam, że to jej sprawka. Nie mam co do tego wątpliwości. Jedno poronienie za drugim, u jednej żony po drugiej.  
– Wszystkie te poronienia były pani ogromnie na rękę. A ja cały czas naiwnie myślałam, że to wina niskiej jakości nasienia Carltona.  
– Proszę zejść mi z drogi.



– Trybunał każe panią powiesić – stwierdzam i z przyjemnością obserwuję, jak krew odpływa jej z twarzy. – Bishop był Sprawiedliwym Synem i przynajmniej dwójka z tych dzieci było płci męskiej. A wie pani, jak ważni są dla Socjety mężczyźni potomkowie. Czysta krew i takie tam staroświeckie bzdety. Równie staroświeckie jak wykorzystywanie trucizn, które tak kochają członkowie stowarzyszenia.

– Nie dysponuje pan żadnym dowodem. Pańskie słowo przeciwko mojemu. Mam wyniki sekcji zwłok.

– Ja również. Mam też przekupionego przez panią koronera. – Nie wiem na pewno, czy go przekupiła, ale dałbym sobie głowę uciąć, że tak właśnie było. Wzrok, jakim na mnie patrzy, mówi, że się nie mylę, a Zeke już wkrótce potwierdzi moje przypuszczenia. – Zawieście pani.

– To by zniszczyło Isabelle.

– Ach, jeszcze jedna sprawa. Czy to pani zapłaciła Geraldowi Gibsonowi, żeby ją przejechał furgonetką? A kiedy dał dupy, pojechała pani go zjebać, tej samej nocy, której dała pani mojej żonie tabletki poronne? A może raczej omawiała pani z nim plany kolejnego ataku?

Julia mruga szybko.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Nie? W takim razie zadam łatwiejsze pytanie. Ile pigułek dała pani Isabelle?

Nie odpowiada od razu, tylko znów przywdziewa maskę arogancji. Zimna, wyrachowana żmija powtórnie wystawia łeb.

– Nie powiedziała panu? Sądziłam, że takie dwa zakochane gołąbeczki gruchają sobie o wszystkim i nie mają przed sobą tajemnic. – Podchodzi do mnie na tyle blisko, że do moich nozdrzy ponownie dochodzi smród jej perfum. – Ale przecież człowiek pańskiego pokroju nie potrafiłby zrezygnować z sekretów, prawda? Chyba nie powiedział pan żonie, po co pojechał na tę feralną wycieczkę do Meksyku i spotkał się z szefami kartelu? I ta pańska biedna narzeczona. Miała na ten temat choćby mgliste pojęcie?

Trzymam ręce wzdłuż tułowia i zaciskam dłonie w pięści. Całym wysiłkiem woli powstrzymuję się, by nie zacisnąć ich na szyi kobiety i nie popełnić zbrodni na poświęconej ziemi. Serce tak szybko pompuje mi krew, że aż się dziwię, że przez jej dudnienie w uszach słyszę, co mówi Julia.

– Zamykał pan jakieś sprawy, które zmarły tatuś zostawił po sobie niedokończone, czyż nie? Wydaje mi się, że to dzięki kartelowi, przynajmniej częściowo, dorobiliście się jeszcze za życia starego St. Jamesa. – Julia uśmiecha się szeroko, przenosi ciężar ciała na drugą nogę i opiera rękę na biodrze. – Weszłam w posiadanie kompletnej dokumentacji. Mogłabym ją panu udostępnić do wglądu, gdyby chciał pan rozwiać jakieś wątpliwości. Do licha, mogłabym ją udostępnić do wglądu całemu światu, pokazać, jaką brudną robotę pan tam odwalał, przy okazji udając zaślepienego miłością przyszłego tatusia i męża. Biedna Kimberly. Tak miała na imię, prawda? Równie łatwowierna jak Isabelle. Widać ma pan skłonność do takich kobiet. Jednak... Moja ręka wystrzeliwuje do przodu i chwyta Julię za gardło. Zmuszam ją, by szła tyłem tak szybko, że spadają jej buty. Trumna niemal zlatuje z katafalku, kiedy pcham na nią kobietę. Nachylam się nad jej twarzą.

– Ze względu na Isabelle i ze względu na pani syna, dam pani ostatnią szansę, panno Bishop. Proszę stąd odejść. Zniknąć. Zabrać syna i spieprzać. Wówczas pani grzeszki nie wyjdą na światło dzienne, a pani nie zawieście. Nie wiem, co pani sobie roi, że może mi zrobić, ale koniec końców to pani ciało zadynda na stryczku. A kiedy już się to stanie, zabiorę Matty'ego i wychowam go jak własne dziecko. Zadbam, by w jego głowie nie zostały żadne wspomnienia związane z panią. Oczywiście dla jego własnego dobra. Ma pani trzy dni na podjęcie decyzji. Trzy dni. Wyrażam się jasno?

Jej dłonie szarpią mnie za przedramię. Niewątpliwie mógłbym ją teraz zabić. Dokładnie tu, gdzie stoję. Przypominam sobie, jak kilka dni temu w podobny sposób trzymałem za szyję Isabelle, kiedy mi się zdawało, że usiłowała zamordować nasze nienarodzone dziecko. Czuję, jak coś ciężkiego i mrocznego gromadzi się wokół mnie i w moim wnętrzu. Jak mogłem się dopuścić czegoś takiego względem żony? Jak mogłem ją skrzywdzić w taki sam sposób, w jaki teraz postępuję z tą suką?

Cóż, Julia Bishop nie kłamie na temat mojej wizyty w Meksyku. Pojechałem tam w interesach. Doskonale wiedziałem, kim był Felix Pérez, i zawarłem z nim ostatnią umowę w imieniu ojca. Mogę sobie bez końca wmawiać, że tylko wykonywałem obowiązek wobec starego, ale tak naprawdę dokonałem wyboru. Zdecydowałem, że pojedę. Nawet jeśli wówczas nie wiedziałem, czego się dopuścił wobec Zoë, nawet jeśli nie zdawałem sobie sprawy, jak podłym był człowiekiem, to i tak poleciałem do Meksyku i spotkałem się w jego imieniu z Pérezem. Sfinalizowałem umowę z ludźmi, z którymi ojciec w ogóle nie powinien był się zadawać, i zamknąłem ten rozdział rodzinnej

historii. No i to ja zabrałem ze sobą Kimberly. To ja jestem powodem, dla którego Angelique nigdy nie poznała i nigdy już nie pozna matki.

– Sześć – wyrzuca z siebie z trudem Julia. Jej oczy są szeroko otwarte i nabiegnięte krwią. I tak wybałuszone, że prawie wyskakują z orbit.

Mrugam kilka razy, żeby wrócić do rzeczywistości.

– Sześć... opakowań – udaje jej się w końcu wydusić.

Rozluźniam uchwyt wokół szyi. Sześć opakowań. Tyle samo, ile naliczyłem przed konfrontacją z Isabelle. A więc nie kłamała. Nie wzięła ani jednej. A ja i tak... Kurwa, co ja jej zrobiłem?! Dlaczego wiecznie wyrządzam krzywdę tym, których najbardziej kocham?!

Przed oczyma staje mi słodka twarzyczka Angelique. Myślę o tym, że zamiast ojca wychowywał ją ochroniarz. Moja niewinna córeczka. Jaką krzywdę jej wyrządzę? Jak wielkich zniszczeń dokonam w psychice własnego dziecka?

Julia upada na kolana w tej samej chwili, w której ją puszczam. Nie fatyguję się nawet, aby przy niej przystanąć i sprawdzić, czy nic jej nie jest. Idę prosto do drzwi, a moje kroki odbijają się głośnym echem, zagłuszając spazmatyczny oddech kobiety. Nie są jednak w stanie zagłuszyć poczucia winy. Świadomości tego, kim – a właściwie czym – jestem.

Jestem diabłem.

4. Pasma górskie znajdujące się na północnym wschodzie stanu Nowy Jork, w pobliżu granicy Stanów Zjednoczonych z Kanadą (przyp. tłum.).

## 41 ISABELLE

Budzę się w środku nocy, gdy coś upada na podłogę. Przestraszona siadam gwałtownie. Oczy potrzebują czasu, żeby przywyknąć do ciemności. Jakiś cień schyla się, by podnieść futerał ze skrzypcami i oprzeć go o ścianę. W końcu się prostuje.

– Jericho?

Kiedy się do mnie odwraca, nawet w nikłym świetle przesączającym się przez zasłony dostrzegam jego twarz i natychmiast zdaję sobie sprawę, że coś się stało. – O co chodzi? – pytam.

Odrzucam koc, by wstać i podejść do męża. Wyczuwam alkohol, jeszcze zanim do niego docieram. Gdy zatrzymuję się przy nim, spogląda na mnie i kładzie mi rękę u dołu pleców. Wypowiada moje imię i lekko się zatacza.

– Jesteś pijany, Jericho.

– Nie.

– Jesteś, jesteś.

Biorę go za rękę i prowadzę do łóżka. Włączam lampkę stojącą na szafce nocnej, po czym sadzam męża. Zsuwam mu marynarkę z ramion. Jest wygnieciona i wygląda, jak gdyby nie zdejmował jej przez dobę. Odrzucam ją na bok i przypatruję się Jerichowi. Siedzi i patrzy na mnie. Włosy ma potargane, jakby ciągle wzburzał je palcami. Widać, że dawno się nie golił. Szczękę i policzki zdobi już nie wieczorny zarost, ale zaczątek brody.

– Isabelle. – Wyciąga dłoń, by dotknąć mojej twarzy, gładzi mnie po policzku, po włosach, na koniec pozwala, by ręka opadła znów na łóżko.

– Co się stało? – Klękam, żeby rozsznurować mu buty i zsunąć je ze stóp. To samo robię ze skarpetkami. Następnie prostuję się i rozpinam koszulę, a Jericho wciąż siedzi i patrzy na mnie. Za każdym razem, gdy nasze spojrzenia się krzyżują, w jego oczach dostrzegam bezbrzeżny smutek.

– Czemu jesteś dla mnie dobra? – pyta zmęczonym głosem. Wygląda na wykończonego.  
– Po wszystkim, co ci zrobiłem...

Wyciągam koszulę ze spodni, rozchylam ją na piersi, dotykam ciepłej skóry. Kładę mu dłoń na policzku.

– Już ci kiedyś mówiłam. Nie pamiętasz?

Mruga, zamyka oczy, po czym otwiera je ponownie, a ja potrząsam głową i próbuję mu zsunąć koszulę z barków.

– Powiedz, co się stało – ponaglam. Milknę na moment, zaalarmowana brakiem odpowiedzi. – Czy z twoją mamą i Angélique wszystko w porządku?

Wygląda na zdezorientowanego, ale po chwili kiwa głową.

– Nic im nie jest. Angélique świetnie się bawi z Dexem. Wiesz, on jest dla niej lepszym ojcem niż ja.

– To nieprawda. Połóż się.

Bez słowa spełnia rozkaz. Patrzę na jego głowę na poduszce, potężne, muskularne ciało na moim łóżku. Choć podwójne, to jednak jest dużo mniejsze niż jego wielkie łoże z baldachimem. Tutaj wygląda jak zbłąkany olbrzym, a zarazem jakoś tak bezbronne. Doskonale widzę, że jest wyczerpany.

– Czemu się tak zadręczasz? – pytam bardziej siebie niż jego, rozpinając mu pasek. Zdejmuję spodnie, wyciągam kołdrę spod nóg męża i kładę się obok. Przykrywam nas oboje i

używam jego ramienia jako poduszki. Jericho przytula się do mnie, a kiedy wyrównuje mu się oddech, zamykam oczy. Chyba na moment przysypiam, być może nawet robimy to oboje, ale wybudzam się, słysząc cichy, głęboki głos.

– Ona umarła przeze mnie.

Zastanawiam się chwilę, nim do zamglonego umysłu dociera, że ma na myśli Kimberly.

– Wiedziałem, co robię i z kim wdaję się w interesy, kiedy tam pojechałem. Nie powinienem zabierać jej ze sobą. To był potworny błąd.

Podnoszę głowę, żeby przyjrzeć się jego twarzy w przyciemnionym świetle lampy. Jericho wpatruje się w sufit.

– Pojechałem na spotkanie z Pérezem w interesach. Właściwie w interesach ojca.

– Co masz na myśli?

– Ojciec skumał się z tym sukinsynem. To on skontaktował Péreza z dostawcami po naszej stronie. Pośredniczył w zawieraniu umów. Zarobił dla rodziny kupę forsy.

– Twój ojciec prowadził interesy z kartelem?

Jericho kiwa głową.

– Zeke o tym nie wie. Cholera jasna, świetnie nam idzie dochowywanie tajemnic. I zobacz, gdzie nas to zaprowadziło.

– Co zrobiłeś? Jaką rolę odegrałeś?

Wzdycha głęboko, a ja zdaję sobie sprawę, że czuje się winny. Ta rozmowa to jego spowiedź.

– Dokończyłem sprawę ojca. Umówiliśmy się, że to był ostatni raz. Przypuszczam, że właśnie dlatego Pérez tak ochoczo poszedł na współpracę z Bishopem i zgodził się pomóc mnie sprzątnąć. Przystał na moje warunki bez słowa sprzeciwu i jakby nigdy nic przyjął nas w salonie. Z ust nie schodził mu pełen zadowolenia uśmiech, który od pierwszego wejrzenia mi się nie spodobał. Teraz już wiem, dlaczego na mnie nie naciskał, kiedy powiedziałem, że to koniec. Chciałem przeciąć łączące mnie z kartelem więzy.

– Och, Jericho.

– A potem Kimberly wzięła na siebie kulę, która była przeznaczona dla mnie.

Nie chcę się czuć skrzywdzona ani zazdrosna. To jego przeszłość. Kimberly jest częścią tej przeszłości. Wiem o tym. I zawsze będzie obecna w życiu Jericha, a więc teraz także i w moim. Lecz tak właśnie powinno być. To matka Angelique, a Jericho ją kochał.

Mąż odwraca głowę w moją stronę, dotyka policzka.

– Ilu ludzi jeszcze skrzywdzę? Jestem przeklęty, Isabelle. Krzywdzę wszystkich, których kocham. Albo i gorzej.

Mrugam szybko, by odpędzić wilgoć z oczu, a Jericho ociera zbłąkaną łzę opuszką kciuka.

– Bliscy przeze mnie giną – dodaje.

– Nie. To, co przytrafiło się Kimberly, to nie twoja wina. Nie ty powinieneś ponieść za to odpowiedzialność.

– Wręcz przeciwnie, kochanie.

– Jericho...

Kładzie mi ręce na głowie i przyciąga ją bokiem do piersi, żeby mnie uciszyć. Jedna dłoń spoczywa na moim policzku, ramieniem drugiej ręki otacza mnie w pasie.

– Kocham cię, Isabelle. Naprawdę. Gdybym był lepszym człowiekiem, pozwoliłbym ci odejść, zanim wyrządę ci jeszcze większą krzywdę niż do tej pory. Ale nie jestem. I nie potrafię tego zrobić.

Przekręca głowę i przyciska wargi do mojego czoła. Przytula mnie mocno do siebie i

całuje, tak po prostu, a ja rozmyślam o jego życiu, o brzemieniu, które niósł i niesie do tej pory, o poczuciu winy. I ja także tulę go do siebie, najmocniej jak umiem.

## 42 ISABELLE

Znów budzę się sama i mam wrażenie, jakby wczorajsza noc w ogóle się nie wydarzyła. A może Jericho po prostu za dużo wypił, żeby cokolwiek pamiętać. Ale drzwi do mojego pokoju nie są zamknięte na klucz. Ubieram się więc szybko i schodzę do jadalni. Mąż popija kawę i rozmawia z bratem.

Milkną, kiedy zatrzymuję się w łukowatym przejściu. Jericho mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. Przebrał się, ogolił, chyba niedawno wyszedł spod prysznica. W niczym nie przypomina tego złamanego życiem człowieka, którego widziałam w nocy. Zastanawiam się, czy w ogóle pamięta, co mi powiedział. Historie, które dał mi poznać. Swoje wyznanie miłości.

– Dzień dobry – wita mnie Zeke i uśmiecha się szeroko. – Dobrze cię widzieć poza pokojem.

– Ja też się cieszę, że już nie muszę tam siedzieć.

Zeke wychodzi z jadalni, a ja odwracam się i widzę, że Jericho nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Nie słyszałam, kiedy się wymknąłeś.

– Spałaś tak spokojnie, że nie chciałem cię budzić. Wejdź, zjemy śniadanie.

Atmosfera robi się niezręczna, przynajmniej dla mnie, gdy zapada między nami cisza. Mąż przygotowuje mi jedzenie, pamięta, żeby nie nakładać boczku. Stawia przede mną wypełniony po brzegi talerz, sam siada z podobnym.

– Dobrze spałaś po tym, jak cię obudziłem? – pyta.

– Byłeś nawalony jak messerschmitt – mówię zamiast odpowiedzieć na jego pytanie.

– A ty się mną zajęłaś. Wchodzi ci to w krew. – Pakuje do ust kęs jedzenia.

– Powiedziałeś mi różne rzeczy.

Uśmiecha się.

– Owszem.

– O kartelu. – Rzucam okiem na korytarz. Na szczęście zostaliśmy sami.

Ponownie kiwa głową, lecz tym razem się nie uśmiecha.

– O mnie i o tobie – dodaję, odchrząknąwszy, i wpatruję się intensywnie w talerz.

– Pamiętam, Isabelle.

Posyłam mu szybkie spojrzenie.

– Gdybyś się zastanawiała, to mówiłem szczerze.

Przyglądam się mężowi. Zdaje mi się, że głęboko pod powierzchnią dostrzegam ślad mężczyzny, którego wczoraj poznałam. Ledwie mgnienie tej drugiej, bezbronnej istoty.

– Ja również.

– I bardzo cię przepraszam za to, co zrobiłem w kaplicy. Naprawdę mi przykro, że napędziłem ci takiego stracha. Wiem, że nie brałaś tych tabletek.

– Wierzysz mi?

– Twoja kuzynka potwierdziła, ile sztuk ci dała.

– Aha. – Wycieram usta serwetką. Nagle straciłam apetyt. – Mnie nie wierzysz, ale Julii owszem. Milusio. Wcale nie czuję się dotknięta, zwłaszcza zważywszy na fakt, że podobno jej nienawidzisz.

Oblicze Jericha zasnuwa mrok.

– To nie tak, że wierzę jej bardziej niż tobie. Po prostu zdobyłem dowód potwierdzający.

– Czy ty się słyszysz?  
Ociera usta i odchrząkuje.

– Tak.

W jego kieszeni rozlega się brzęczenie telefonu. Wyciąga go, odczytuje wiadomość, która pojawiła się na ekranie, po czym wsuwa go z powrotem i zrywa się z miejsca. Staje za moim krzesłem i pochyla się nade mną, tak że niemal dotyka wargami ucha. Serce zaczyna bić mi szybciej, gdy mam go tak blisko. Jego dłoń jest ciepła, a świadomość, że Jericho znajduje się tuż za moimi plecami, sprawia, że drżę od sprzecznych emocji. Pragnę tego mężczyzny jak jeszcze nigdy nikogo, ale przekonałam się, że potrafi być mściwy. I choćby nie wiem jak mnie kochał, to przecież sam wczoraj ostrzegł, że jest przeklęty, prawda? Twierdził, że cierpią wszyscy, których kiedykolwiek obdarzył miłością. Stąpam po cienkim lodzie.

– Nie zmienię się z dnia na dzień, lecz się staram, Isabelle.

Stoi tak blisko, że jego oddech łaskocze mi ucho i sprawia, że przechodzą mnie ciarki. Najpierw całuje kącik moich ust, a potem składa na nich głęboki, namiętny pocałunek.

– Musimy się nauczyć ufać sobie nawzajem, dobrze?

W odpowiedzi tylko kiwam głową, bo nie jestem w stanie nic z siebie wydusić. Serce tłucze się o żebra. Nie wiem, czy to przez hormony ciążowe czy przez coś zupełnie innego, ale nie dałabym teraz rady sformułować sensownego zdania.

Jericho uśmiecha się i odsuwa kilka kroków. Musi widzieć wszystkie te emocje malujące się na mojej twarzy.

– Dokończ śniadanie. Mam dla ciebie niespodziankę.

– Jaką niespodziankę? – pytam, kiedy wyciąga telefon z kieszeni i wychodzi z jadalni.

– Po śniadaniu pojedziemy do doktora Barnes'a na twoje pierwsze USG.

– USG?

– Dzisiaj zobaczymy dziecko, Isabelle. Chcesz tego, prawda?

Uśmiecham się i potakuję, bo tak, bardzo mi na tym zależy. Powiedziałabym nawet, że umieram z niecierpliwości.

\* \* \*

Do kliniki doktora Barnes'a dojeżdżamy tuż przed południem. Natychmiast po przybyciu zostajemy wywołani z pełnej przepychu poczekalni do gabinetu. Pomieszczenie jest wielkie i na tyle komfortowe, na ile pozwalają jasne światło i sterylne otoczenie. Mężczyźni ściskają sobie dłonie, a mnie pielęgniarka prowadzi do niewielkiego pokoiku, gdzie przebieram się w szpitalną koszulę. Kiedy jestem gotowa, kobieta zabiera mnie z powrotem do gabinetu, gdzie lekarz właśnie tłumaczy Jerichowi coś w związku z aparatem do USG.

– Proszę się tu położyć, pani St. James. Za chwilę przyjrzymy się po raz pierwszy pani dzidziusiowi – mówi uśmiechnięty doktor Barnes.

Dzisiaj wydaje mi się zupełnie innym człowiekiem niż podczas naszego pierwszego spotkania w rezydencji, w dniu, kiedy dowiedziałam się o ciąży, kiedy zrozumiałam, co zrobił Jericho. Ile się zmieniło w moim życiu w tak krótkim czasie.

Jericho staje u wezglowia fotela ginekologicznego, gdy ja wspinam się na niego osłonięta obszerną koszulą i wsuwam w strzemiona stopy odziane w skarpetki. – Wykonam USG transwaginalne – wyjaśnia lekarz i siada między moimi nogami.

Jericho chwyta moją dłoń, czym kompletnie mnie zaskakuje. Spoglądam na niego niepewnie. Jestem zdenerwowana. Nie wiem dlaczego, ale nie potrafię opanować stresu, a mąż wygląda, jakby czuł się podobnie. Patrzy mi w oczy i ściska moją rękę. Przypominam sobie, co powiedział dzisiejszego ranka. Że się stara, lecz potrzebuje czasu. Że musimy się nauczyć ufać sobie nawzajem. Oddaję uścisk dłoni w chwili, gdy czuję, jak doktor Barnes wprowadza głowicę

ultrasonografu. Pokrywający ją żel jest tak zimny, że aż się wzdrygam.

Nie mam jednak czasu, żeby skoncentrować się na własnym dyskomforcie ani na niczym innym, bo właśnie to słyszę. Pierwsze odgłosy wydawane przez nasze dziecko. Zanim odwracam głowę, by zerknąć na ekran aparatu, czuję, jak dłoń Jericha zaciska się mocniej wokół mojej. Oczy wypełniają mi się gorącymi łzami. Rozpiera mnie szczęście, gdy słucham szybkiego, obco brzmiącego bicia serca maluszka.

– Tutaj jest – oznajmia doktor Barnes. – Na tym etapie nie potrafię jeszcze określić płci, o ile w ogóle chcą ją państwo poznać przed rozwiązaniem.

– Nie – mówię szybko i spoglądam na Jericha, który wpatruje się intensywnie w ekran. – Nie chcemy wiedzieć.

Mąż zerka na mnie i kiwa głową.

– Jak sobie życzysz – stwierdza, po czym, podobnie jak ja, przenosi wzrok z powrotem na monitor, by obejrzeć tę maciupką fasolkę, która wyglądem nie przypomina jeszcze dziecka.

Lekarz dokonuje pomiarów i wyjaśnia różne kwestie. Jego słowa nie docierają do mnie, bo jestem zbyt zajęta słuchaniem bicia malutkiego serduszka oraz oglądaniem rozwijającego się życia. I całkowicie oczarowana.

Opuszczamy gabinet godzinę później. W ręce ściskam około dwudziestu zdjęć ultrasonograficznych malucha.

– Angélique z pewnością się ucieszy, jak jej to pokażemy – mówię w zamyśleniu, kiedy wsiadamy na tylne siedzenie samochodu. Nie znam kierowcy. To nowy pracownik, który zastąpił Dexa po jego wyjeździe. Zerkam na Jericha, który właśnie zamyka za sobą drzwi. – Kiedy ona wróci?

– Jeszcze nie wiem.

Wyraz twarzy męża staje się mroczny, a mnie przypomina się druga strona naszego życia. Ta, w której nie jesteśmy normalną parą oglądającą po raz pierwszy swoje nienarodzone dziecko, tylko parą zmagającą się z ludźmi chcącymi jej zaszkodzić. A zagrożenie, któremu stawiamy czoła, jest na tyle realne, że Jericho odesłał córeczkę daleko od domu, by zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Czego się dowiedziałeś dzięki autopsji? – pytam. Szczęśliwy, beztroski nastrój pryska jak bańka mydlana. Jakby go w ogóle nie było.

Mąż patrzy na mnie.

– Zająłem się sprawą, nie musisz zaprzętać sobie tym głowy.

Przyglądam mu się przez chwilę i dochodzę do wniosku, że kierują nim dobre intencje. Naprawdę tak sądzę, lecz ta sprawa dotyczy również mnie.

– Aha, czyli coś znaleźliście. – Nie mam co do tego wątpliwości. Nie wiem, skąd to wiem, ale wiem. – Carlton nie umarł na zawał, prawda?

Jericho wzdycha. Ani nie potwierdza moich przypuszczeń, ani im nie zaprzecza. Wlepia wzrok przed siebie, gdy jedziemy w kolejne miejsce. Jak zgaduję, przygotował dla mnie jeszcze jedną niespodziankę. Auto zatrzymuje się przed Watą Cukrową, a ja przez witrynę widzę, że w cukierni nie ma ani jednego klienta. Światła jednak są pozapalane, a Megs za ladą zapisuje coś na laptopie. Tuż przy niej stoi kubek.

– Druga niespodzianka – oznajmia mąż i otwiera drzwi. Wyskakuje z samochodu i wyciąga rękę, by pomóc mi wysiąść.

Wciąż ściskam w dłoni zdjęcia, więc otwieram torebkę, żeby włożyć je do środka, biorę podaną mi rękę i wysiadam na chodnik. Nie mogę się powstrzymać i odruchowo spoglądam w stronę miejsca, skąd wyjechała tamta furgonetka. Jericho chyba to zauważył, bo przyciąga mnie do siebie.



– Wszystko w porządku – uspokaja. – Nie przywiózłbym cię tutaj, gdyby groziło ci jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Uśmiecham się do niego, lecz pytanie, które zadałam kilka chwil temu, wciąż wisi w powietrzu bez odpowiedzi i kładzie się cieniem na skądinąd idealnym dniu.

Jericho musiał coś znaleźć w wynikach sekcji zwłok. Coś, co potwierdza, że mój przyrodni brat nie zmarł z przyczyn naturalnych. Przed oczami ukazuje mi się Julia. Nie, nie mogę iść tą drogą. Jeszcze nie teraz.

– Dlaczego w cukierni jest pusto? – pytam, gdy wchodzimy do środka, a kierowca staje koło drzwi.

– Klucz znajdziesz w zamku – tłumaczy Megs Jerichowi, a kiedy ten odwraca się do nas plecami, żeby zamknąć drzwi, przewraca oczami.

– Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, co tu się dzieje? – rzucam w przestrzeń.

Megs wychodzi zza lady i zbliża się do niewielkiego, nakrytego dla dwóch osób stolika, który został udekorowany różowymi i niebieskimi balonami. Na obrusie stoi srebrny dzbanek z kawą, czajniczek z parującą herbatą, a pomiędzy nimi prześliczny, różowo-niebieski tort.

– Twój mąż wynajął lokal na cały dzień – oznajmia przyjaciółka i przenosi wzrok na Jericha, który uśmiecha się i obejmuje mnie ramieniem. – Bo najwyraźniej brak mu piątej klepki – dodaje, wskazując stolik. – Usiądź tam, gdzie leży prezent.

Jericho wysuwa krzesło.

– Wynająłeś całą cukiernię? – pytam, sadowiąc się.

– Tak – odpowiada, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem. – Nie uważasz, że te balony to lekka przesada? – zwraca się do Megs.

Kobieta opiera rękę na biodrze i mierzy Jericha wzrokiem. Pod takim spojrzeniem większość mężczyzn skuliłaby się ze strachu, ale mój mąż nie należy do większości.

– Nie, w ogóle tak nie uważam. A skoro tak bardzo ci się podobają, to będziesz zachwycony wnętrzem tortu.

Jericho przenosi wzrok na jaskrawo udekorowane ciasto.

– Chryste – mamrocze pod nosem i siada.

– Widzisz, dzięki tobie ten dzień stał się właśnie jeszcze piękniejszy. Chociaż już i tak był piękny, bo za wynajęcie lokalu zarobiłam jakieś pięć razy tyle, ile wynoszą moje codzienne obroty. Przy okazji chciałam ci za to serdecznie podziękować – mówi mu Megs, po czym uśmiecha się promiennie i zwraca się do mnie: – A ty otwórz swój prezent.

Jej twarz nie zdradza, że w czasie wizyty w naszym domu dowiedziała się ciekawych rzeczy. Nie jestem pewna, jaki jest jej stosunek do Jericha. Nie nazwałabym ich przekomarzań wrogimi, ale nie są też do końca przyjacielskie.

– Uwielbiam prezenty – mówię, a przyjaciółka przygląda się, jak rozrywam ozdobny papier. W środku znajduję książkę na temat ciąży i tego, czego mogę się spodziewać podczas tych dziewięciu miesięcy, tydzień po tygodniu. – Jest świetna! Nie miałam takiej.

– Cieszę się, że ci się podoba, lecz pamiętaj, że to dopiero początek. Skoro mam być ciotką i matką chrzestną...

– Matką chrzestną? – przerywa jej Jericho i unosi brwi.

Megs zupełnie na niego nie zważa.

– Oczywiście będę ją lub jego rozpieszczać. Już zaczęłam zbierać różne rzeczy. Za dużo czasu minęło, odkąd trzymałam niemowlę w ramionach. – Przyjaciółka schyla się, by mnie przytulić. – Wszystko u ciebie w porządku? – szepcze mi do ucha.

Ściskam ją mocniej

– Tak. Bardzo dziękuję.

– Strona dwieście osiemdziesiąta szósta – dodaje jeszcze, nim się odsuwa i zwraca do mojego męża. – Będiesz tam tak siedział czy się na coś przydasz i nalejesz damie filiżankę herbaty?

Spoglądam w dół, na leżącą na moich kolanach książkę. Korci mnie, żeby od razu zajrzeć na wskazaną stronę. Wkładam wiele wysiłku, by tego nie zrobić, ale w końcu odkładam poradnik na bok i zaczynam się przysłuchiwać ich słownym przepychankom.

– A to przypadkiem nie twoja praca? Sądziłem, że za kwotę, którą zapłaciłem, obsługa będzie przynajmniej na przyzwoitym poziomie.

Z tonu głosu Jericha wnioskuję, że chyba polubił Megs. Przynajmniej nie nienawidzi jej ani nie obdarza całkowitym brakiem zaufania.

Kiedy zaczynamy kroić ciasto, rozbrzmiewa telefon męża. Zatrzymuję się w pół ruchu, z nożem delikatnie dotykającym lukru, i przyglądam, jak Jericho odbiera. Po chwili wstaje, odchodzi kawałek i rozmawia z kimś przyciszonym głosem.

– Czy jemu się wydaje, że jest jakimś szpiegiem? – pyta Megs, przyglądając się jego plecom. Mojej uwadze nie umyka spojrzenie, które posyła Anthony’emu. – Ale to słodkie z jego strony, że wynajął dla ciebie to miejsce. Szkoda, że go nie słyszałaś, jak do mnie zadzwonił. – Potrząsa głową. – Jakbym nie znała go z tej gorszej strony, to pomyślałabym sobie, że to taki wielki pluszowy miś.

Pluszowy miś. Hm, już drugi raz ktoś go tak nazywa w mojej obecności.

– Mam zdjęcia z USG. – Zmieniam temat.

Megs przysuwa sobie krzesło. Odkładam nóż do krojenia ciasta i wyjmuję wydruki, żeby pokazać je przyjaciółce. Rzut oka na męża wystarcza, aby wiedzieć, że cokolwiek się dzieje, cały się gotuje.

– O rany, ależ ono podobne do tatusia! – wykrzykuje Megs, jak tylko Jericho się rozłącza i wraca do stolika.

Widzę, że nastrój znacząco mu się popsuł. Rzuca spode łba spojrzenie mojej przyjaciółce.

– A ty nie powinnaś nas obsłużyć i sobie iść?

Megs przewraca oczami i oddaje mi zdjęcia.

– Cóż, miejmy nadzieję, że charakter odziedziczy po mamusi, bo inaczej będzie mieć przekichane.

– Do kurwy nędzy – zaperza się Jericho, a Megs wybucha śmiechem i odchodzi.

Odkrawam kawałek tortu, z którego na paterę i stół wycieka półpłynne nadzienie obficie doprawione różową i niebieską posypką. Widok jest tak uroczy, że nie mogę się nie roześmiać. Myślę o tym, jak bardzo tort spodobałby się Angelique. Ja także mam ochotę piąć z zachwytem. Niestety zanim otwieram usta, by poprosić męża o zrobienie zdjęcia, nim on zdąży docenić dzieło albo zirytować się na Megs za tak absurdalny pomysł, jego telefon znów się rozdzwania. Odbiera i zwraca się ostrym tonem do rozmówcy. Zapada długa cisza, gdy osoba po drugiej stronie coś mu opowiada. Rzucam przelotne spojrzenie Megs, która obserwuje nas zza lady. Kiedy wracam wzrokiem do męża, ten rzuca pod nosem przekleństwo, rozłącza się i wpycha telefon z powrotem do kieszeni. Przenosi uwagę na mnie, jednak widzę, że ciało ma spięte, nogi trzyma sztywno.

– Wracamy – oznajmia.

– Co? Dlaczego?

– Muszę zająć się jedną niecierpiącą zwłoki sprawą. – Podnosi ze stołu książkę, chwytając moją torebkę i gestami pogania, żebym wstała.

– Co się dzieje? – pytam, wciąż siedząc.

– Nic, czym powinnaś się przejmować. Po prostu musimy już wyjść.  
– Pamiętasz, co mówiłeś dziś rano o zaufaniu?  
– Tak, mówiłem, że się staram i że wypracowanie wzajemnego zaufania zajmie nam trochę czasu. Chodźmy, Isabelle.  
– Jedź sam. Chciałabym zjeść trochę tortu.  
– Nie zostawię cię tutaj.  
– A dlaczego nie? Drzwi są zamknięte na klucz. Anthony może mnie odwieźć do domu, jak skończę. Ty przecież i tak jesteś zajęty.  
– Isabelle...  
– Więc powiedz, o co chodzi. Wytłumacz mi, dlaczego znowu się rozgniewałeś. I zdradź, czego się dowiedziałeś po sekcji zwłok Carltona.  
Jericho zgrzyta zębami i zaciska dłonie w pięści. Zamyka oczy, po jakichś dziesięciu sekundach otwiera je z powrotem i bierze głęboki wdech.  
– W porządku. Zostań tutaj. Anthony będzie cię pilnował. Drzwi mają być cały czas zamknięte na klucz. Anthony! – woła, a po chwili mężczyzna już stoi przy naszym stoliku. – Muszę wziąć auto. Poproś, by podstawili ci drugie. Gdy moja żona skończy jeść, odwieź ją do domu. Nikogo tu nie wpuszczaj, nikogo stąd nie wypuszczaj. Jasne?  
Przewracam oczami i podnoszę widelczyk do ciasta. Przestała mnie interesować ich rozmowa. Jestem wściekła na rozwój wydarzeń i rozczarowana, bo słowa Jericha na temat zaufania okazały się cczą gadaniną.  
– Tak jest, proszę pana – odpowiada Anthony, jak przystało na dobrą marionetkę.  
– Znakomicie. – Jericho kładzie wielkie łapsko na moim ramieniu. – Przepraszam.  
Zrzucam jego dłoń i wkładam kawałek tortu do ust. Chociaż smakuje wybornie, nie mogę go przełknąć. Chwilę później męża już nie ma, a ochroniarz zajmuje swoje poprzednie miejsce tuż przy drzwiach. Megs siada ze mną przy stole.  
– Cholera. Taki dobry tort się zmarnuje. – Odkrawa sobie kawałek i zerka na Anthony'ego. – Ale przynajmniej możemy porozmawiać.  
– Co się znajduje na stronie dwieście osiemdziesiątej szóstej?  
– Kurde, naprawdę jestem w tym dobra – mówi nieco za głośno, po czym zniża głos. – Znalazłam dom w Siódmej Dzielnicy, który kiedyś należał do nieżyjącej już Marjorie Gibson.  
– Słucham?  
– Adres zapisałam na stronie dwieście osiemdziesiątej szóstej. Marjorie miała syna o imieniu Gerald. Facet może się poszczycić kartoteką grubą jak moje ramię. Jego brat Danny odsiaduje obecnie wyrok za zabójstwo niejakiego Christiana Yorcka. Dowiedziałam się tego od kumpla, który pracuje w dochodzeniówce. Isabelle, do cholery, co się dzieje?  
– Szlag, gość naprawdę istnieje.  
– I paskudny z niego typek.  
– No, wypisz wymaluj jak jego brat. Mieszka w tym domu?  
– Ostatnie znane miejsce zamieszkania to Las Vegas.  
– Las Vegas?  
Megs kiwa głową.  
– Mógł nie poinformować władz o zmianie adresu.  
– A co z furgonetką? – pytam niepewna, czy chcę wiedzieć. Chyba wolałabym jednak żyć w nieświadomości.  
– Gerald jest właścicielem białej furgonetki. Co to oznacza?  
– Nie jestem pewna. Jeżeli nadal przebywa w Las Vegas, to nic. Lecz jeśli przeprowadził się do Nowego Orleanu... – To znaczy, że mąż mówił prawdę, przynajmniej po części. Możliwe

także, że Julia skłamała. – Twój samochód jest gdzieś w pobliżu? – pytam. Mnie samej nie podoba się pomysł, na który wpadłam, lecz nie potrafię wymyślić nic lepszego.

– Mój samochód? – powtarza zdziwiona Megs.

Potakuję.

– Stoi na tyłach cukierni. – Mruży oczy. – Ale nie, nie weźmiesz go i nie pojedziesz do tego gnoja w odwiedzinie.

– Nie mam zamiaru składać mu wizyty, o ile w ogóle tutaj jest. Chciałam tylko zobaczyć ten dom i sprawdzić, czy furgonetka stoi w garażu. – Przekonać się na własne oczy, czy to ta sama, która omal mnie nie rozjechała.

– Nie zgadzam się.

– Druga taka okazja raczej mi się nie trafi. Nie mogę wychodzić z domu bez Jericha. Nie mogę dzwonić ani do ciebie, ani do nikogo innego. Nic nie mogę zrobić bez jego pozwolenia.

Megs rzuca ukradkowe spojrzenie Anthony'emu.

– A co z nim?

– Może skusi się na kawałek tortu? – podsuwam, a przyjaciółka wkłada rękę do kieszeni i wyciąga z niej pęk kluczy.

– Tym otworzysz drzwi na końcu korytarza, za damskim kibelkiem. Auto stoi tuż za nimi.

Zaciskam dłoń na kluczach i spoglądam na ochroniarza, który uśmiecha się do ekranu swojego telefonu. Ukradkiem wrzucam je do torebki, a Megs szybko wpycha tam także swoją komórkę.

– Znasz PIN. Obiecuję, że tylko przejedziesz obok.

Kiwam głową.

– Powinnaś tam dojechać w dwadzieścia minut. Jak po tym czasie się do mnie nie odezwiesz, dzwonię po gliniarzy i wysyłam ich do domu Gibsona.

– No weź, potrzebuję więcej czasu.

– Dobra, masz dwadzieścia pięć minut. Ale potem wracasz prosto tutaj. Umowa stoi?

Znów potakuję i wstaję. Przyjaciółka kładzie swoją dłoń na mojej i ścisza.

– Tylko nie rób niczego głupiego, Isabelle, słyszysz?

Kiwam głową, posyłam jej uśmiech i zwracam się do Anthony'ego:

– Mógłbyś zapakować resztę tortu? Ja muszę jeszcze skorzystać z toalety.

– Oczywiście, pani St. James.

– Nie zaszkodzi, jak najpierw zjesz kawałeczek – mówi Megs i odkrawa dla niego porcję. Zmusza go, żeby usiadł przy stoliku, a ja w tym czasie prześlizguję się do wyjścia.

## 43 ISABELLE

Doskonale rozumiem, dlaczego Megs nazwała swój samochód ziemniakiem. To stary, niezgrabny mustang, który dławi się dobrą chwilę, nim w końcu odpala, a potem dość długo pokaszkuje. Zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle uda mi się ruszyć z miejsca. W końcu warkot oraz buczenie ustają i jakimś cudem wrzucam jedynkę.

Wnętrze samochodu zostało wyczyszczone na błysk, chociaż w powietrzu unosi się zapach benzyny. Przyjaciółka uwielbia tego rzęcha. Należał do jej ojca, dlatego Megs było żal się go pozbyć. On kochał to auto.

Siódma Dzielnica nie należy do najlepszych okolic w Nowym Orleanie, dobrze o tym wiem. O tej porze dnia powinnam być jednak względnie bezpieczna. Zastanawiam się, co zrobię, jak już dotrę do domu, w którym prawdopodobnie mieszka Gerald Gibson. To brat Danny'ego, człowieka, który usiłował mnie zgwałcić. Człowieka, który zabił Christiana. Nie wiem, czy dam radę, ale muszę. Bo chcę poznać prawdę o Julii. Jeśli znajdę w garażu furgonetkę, która niemal mnie potrafiła, to nie będzie przypadek.

Carlton nie zmarł z przyczyn naturalnych, jestem tego pewna. Jericho wierzy, że za wszystkim stoi moja krewna. Za śmiercią Carltona i za zamachem na moje życie. Być może także za napadem, podczas którego zginął Christian.

Światło na skrzyżowaniu kilka przecznic od domu Geralda Gibsona zmienia się na czerwone. Zatrzymuję samochód i pocieram twarz. Czy jestem gotowa, by poznać prawdę? Czy jestem gotowa, by dowiedzieć się, że kuzynka, której ufałam, z którą się zaprzyjaźniłam i której syna pokochałam, próbowała mnie skrzywdzić? Że miała coś wspólnego ze śmiercią mojego brata? Wtedy na spotkaniu u Hildebranda tak zgrabnie się wytłumaczyła. To możliwe, że Carlton posłużył się jej nazwiskiem i adresem mailowym przy dokonywaniu płatności. Ale po co miałby zostawiać ślad na papierze? To bez sensu. Kto trzyma dowody własnej zbrodni? Choć równie dobrze może to być prawda, tyle że Jericha tak zaślepiła gniew, że tego nie dostrzega. Skoro Matty jest synem Carltona, to spadek należy się jemu. Jericho pewnie wpadł w furję, jak się o tym dowiedział, więc Julia stała się dla niego naturalnym celem ataku.

Ktoś trąbi, czym wrywa mnie z zamyślenia. Światło zmieniło się na zielone, najwyraźniej już jakiś czas temu. Zdejmuję nogę z hamulca i jadę przed siebie, wypatrując nazw ulic. Jestem niedaleko celu, co wzmacnia mój niepokój. Zmniejszam prędkość grubo poniżej dopuszczalnej, aż w końcu, kiedy skręcam w ulicę, przy której mieści się dom Marjorie Gibson, auto ledwie się toczy. Budynek, którego szukam, stoi na końcu. Jest doskonale nijaki, wtapia się w otoczenie. Okolica wygląda na zapomnianą przez Boga i ludzi, parterowe domy widziały lepsze czasy, we wszystkich oknach szczerze pozaciągano zasłony. Samochody zaparkowane wzdłuż krawężnika i na podjazdach to stare, od dawna niepopularne modele.

W domu Gibsonów jest ciemno, a na podjeździe pusto. Chyba nikogo nie zastałam. Właściwie budynek wygląda na opuszczony. Podjazd kończy się garażem. Jego drzwi wyglądają, jakby się zacięły. Przejeżdżam powoli obok posesji i próbuję zajrzeć do środka, lecz znajduję się zbyt daleko, by stwierdzić z całą pewnością, że stoi tam jakiś pojazd. Wydaje mi się jednak, że dostrzegam coś białego.

Na końcu ulicy zawracam i znów powoli toczę się w stronę budynku. Parkuję i gaszę silnik. Przez dłuższą chwilę siedzę w aucie i zaciskam spocone palce na kluczykach. Muszę tylko zerknąć do garażu. Chociaż tamten dzień pamiętam jak przez mgłę, jedna rzecz dotycząca

furgonetki wryła mi się w pamięć.

Patrzę na zegarek. Mam jeszcze dziesięć minut, zanim Megs zadzwoni na policję, więc wyciągam z torebki jej telefon, wstukuję PIN i wybieram numer cukierni. Przyjaciółka odbiera po pierwszym sygnale. Z pewnością czekała przy aparacie.

– Hej – mówi.

– Właśnie podjechałam pod dom.

– Pamiętasz, że miałaś tylko przejechać obok?

– Muszę zajrzeć do garażu.

– Isabelle...

– Czy Anthony się zorientował, że mnie nie ma?

– Wmówiłam mu, że masz problemy żołądkowe, ale szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby udało mi się dłużej ciągnąć tę ściemę.

– Pospiesz się. Muszę się upewnić, a dom wygląda na opuszczony. Nikogo nie widać.

– Mam nadzieję, że tego nie pożałuję.

Nie wiem, co mogłabym na to odpowiedzieć, więc po prostu się rozłączam. Lepkimi dłońmi wyciągam kluczyki ze stacyjki, otwieram drzwi i wychodzę. Wsuwam kluczyki do torebki, po czym ruszam chodnikiem w stronę domu. W oknach dostrzegam firanki, które kiedyś mogły być całkiem ładne. Widać przez nie, że w środku jest ciemno. Nikogo nie ma, jest bezpiecznie, a mimo to moje serce wali jak szalone. Boję się. Boję się tego, co mogę odkryć.

Rozglądając się po ulicy, zauważam kilka niewielkich grupek ludzi. Słyszę dźwięki dochodzące z pozostałych domów, włączone telewizory, suszarkę bębnową obijającą się o coś w trakcie wirowania, kobietę krzyczącą na dziecko, by już wracało do środka. Bez wahania ruszam podjazdem, jakbym też tutaj mieszkała.

Brama garażowa jest uchylona, jej dolna krawędź sięga mi mniej więcej do połowy uda. Sam garaż stoi nieco dalej od ulicy niż dom. Kiedy się do niego zbliżam, schylam się, żeby zajrzeć do środka. Tętno mi przyspiesza, a po karku spływają strużki potu. Wewnątrz znajduje się biała furgonetka. Co prawda nie musi to być ta sama, która nieomal mnie rozjechała, ale za dużo tutaj zbiegów okoliczności.

Wsuwam się przez niedomknięte drzwi. W powietrzu unosi się silny zapach benzyny i starego dymu papierosowego. Podchodzę do wozu od strony kierowcy. Okno jest otwarte. Zaglądam do wnętrza. Widzę okropny bałagan, porozrzucone opakowania po jedzeniu na wynos, paczkę papierosów na desce rozdzielczej, popielniczkę pełną niedopałków i popiołu.

Jednak to nie żadna z tych rzeczy sprawia, że otaczam się ramionami, tylko to, co wisi pod lusterkiem wstecznym. Powraca wspomnienie tamtego dnia. Przypominam sobie chwilę, w której pomachałam do Angelique, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam pędzący na mnie pojazd, opony podskakujące na krawężniku, jakby kierowca wpadł w poślizg. Przypominam sobie twarz mężczyzny, jego oczy. Do tej pory mój mózg wypierał te wspomnienia, lecz teraz już wiem, że kierowca wcale nie stracił kontroli nad autem. Jechał prosto na mnie. Ale najgorszy był widok podniszczonego pluszowego misia, którego ktoś zawiesił pod lusterkiem wstecznym na sznurze oplatającym jego szyję. Jak można tak traktować zabawki, które mają nieść pociechę dzieciom? Pamiętam, jak maskotka podskakiwała i odbijała się od przedniej szyby.

Odczuwam nieprzeparłą potrzebę wydostania się z garażu. Ściskając kurczowo torebkę, której pasek zsunął mi się z ramienia, drugą ręką gorączkowo grzebię w środku w poszukiwaniu kluczyków i wychodzę z pomieszczenia. Nim udaje mi się wyprostować po przejściu pod drzwiami, wpadam na coś twardego. Czyjeś ręce brutalnie zaciskają się na moich ramionach, żeby zatrzymać mnie w miejscu. A kiedy podnoszę głowę, czuję się tak, jakbym patrzyła prosto w oczy Danny'ego Gibsona. Widzę tę samą bezdenną pustkę, której nie potrafię wyrzucić z

pamięci. I podobnie jak tamtej nocy zasycha mi w gardle. Nie mogę wydobyć z siebie dźwięku, choćby pisnąć. Jestem bezsilna.

Zupełnie jak wtedy.



## 44 JERICHO

– Jest w środku? – pytam Zeke’a, gdy pokonuję podjazd i docieram do frontowych drzwi domu Jonesa. Brat stoi w otwartym wejściu.

Jones mieszka jakąś godzinę drogi od Nowego Orleanu. To koroner, który wykonał pierwszą autopsję Carltona Bishopa i wydał zgodę na skremowanie ciała.

– Tak, w gabinecie.

Kiedy drzwi zamykają się za nami, dwaj ochroniarze stają na straży. Przechodzę przez salon, a Zeke dotrzymuje mi kroku.

– Pewnie nie jest zbyt szczęśliwy, że się zjawiliśmy, co?

Dochodzimy do gabinetu. Ezekiel także tutaj przydzielił wartownika.

– Nie bardzo. Najwyraźniej przeszkodziliśmy mu w wyjeździe na Bahamy.

Bratu udało się wreszcie dopaść Jonesa wczoraj wieczorem, kiedy ten wsiadał na pokład prywatnego samolotu. Przez ostatnich kilka dni wydawało się, że doktor zniknął z powierzchni ziemi. Nawet zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie spotkał go tragiczny koniec z rąk Julii Bishop.

– Był sam?

Ezekiel kiwa głową i otwiera drzwi.

– Nie jest pan zbyt rozmowny, prawda, doktorze? – pyta, kiedy wkraczamy do środka.

Abe Jones siedzi na krześle z prostym oparciem, które wygląda, jakby przytaszczono je tutaj z jadalni. Obydwa nadgarstki ma przykute do nóg mebla. Za jego plecami stoi kolejny strażnik, wbijając wzrok w ścianę za naszymi plecami. Najemnicy, z których usług korzystamy, są dobrze opłacani nie tylko za fachowe umiejętności, lecz także za dyskrecję.

– Kajdanki były konieczne? – pytam brata.

Na oko lekarz zbliża się do pięćdziesiątki i chociaż wygląda na dość sprawnego fizycznie, nie mam wątpliwości, że Zeke z łatwością by go obezwładnił. Pewnie nawet chętnie wzięłby udział w pościgu. A gdyby nawet facetowi jakimś cudem udało się prześlizgnąć obok Ezekieła, to zostawał jeszcze oddział mężczyzn uzbrojonych w broń palną.

Brat wzrusza ramionami.

– Zaistniało podejrzenie chęci ucieczki z kraju przed wymiarem sprawiedliwości. Nie mogłem ryzykować.

Parskam śmiechem.

– A skąd podbite oko?

Ezekiel szczyrzy zęby.

– To za marnowanie mojego cennego czasu. Ganiałem po całym mieście i szukałem gnoja. Zgadza się, doktorku? – odpowiada z emfazą godną aktora dramatycznego.

– Zgłoszę sprawę do Trybunału, jak tylko zostanę uwolniony. Zażądam pełnego wymiaru kary za to, co mi zrobiliście – odgraża się Jones.

Unoszę brwi i zerkam na brata.

– A mówiłeś, że nie jest zbyt gadatliwy.

– Najwyraźniej cię polubił i się rozgadał – stwierdza Zeke, po czym siada za biurkiem i zaczyna przetrząsać szuflady.

Przysiadam na brzegu stolika kawowego przodem do Jonesa. Przyglądam się, jak niechlujnie wygląda. Co prawda nie należy do stowarzyszenia, lecz figuruje na jego liście płac.



Pochodzi z rodziny o długich tradycjach w zawodzie koronera, a IVI od dawna korzysta z ich usług.

– Wątpię, żeby Trybunał zechciał wysłuchać pańskich zarzutów, ale oczywiście ma pan prawo złożyć skargę – mówię i poprawiam mu kołnierzyk koszuli. – Zdejmij to – nakazuję strażnikowi, wskazując kajdanki.

– Tak jest, proszę pana.

Dochodzi mnie fuknięcie brata. Fotel, na którym usiadł, skrzypi niemiłosiernie, widocznie się na nim buja.

Gdy Jones jest wolny, pociera obolałe nadgarstki. Na jednym z nich dostrzegam lśniącego rolexa. Pewnie kosztował więcej niż wszystkie meble w tym gabinecie razem wzięte.

– Nowy? – pytam, wskazując zegarek.

Doktorek uśmiecha się, strzepuje z siebie nieistniejący pyłek i kiwa głową.

– Bardzo ładny. Prezent od Julii Bishop?

Mężczyzna blednie.

– Była mi wdzięczna za to, że udało się przeprowadzić sekcję zwłok pana Bishopa w tak krótkim czasie.

– Nie wątpię. A ile panu zapłaciła za wydanie zezwolenia na kremację?

Oczy rozszerzają mu się z przerażenia, wodzi nimi nerwowo po całym pokoju.

– Proszę, niech mnie pan nie zmusza, żebym pana gonił – oznajmiam. – Za mną kilka naprawdę paskudnych dni. – Wstaję, rozciągam ramiona i strzelam palcami u rąk. – Ma pan dzieci? – pyta zniecierpliwiony Zeke. Znalazł w szufladzie laptopa i wstukuje coś na jego klawiaturze.

– Nie – odpowiada Jones i przenosi wzrok na mnie, gdy stoję za bratem i spoglądam na ekran.

– Dziewczynę? Ukochane zwierzątko?

Lekarz zaprzecza.

– Może chociaż złotą rybkę?

– Nie.

Zeke odwraca się w jego stronę i kręci głową z dezaprobatą.

– No dobra, załatwmy to szybko. Proszę mi po prostu podać hasło do komputera.

– Po co wam ono?

– Jesteśmy ciekawi, jak wysokie wynagrodzenie otrzymał pan za stwierdzenie, że Carlton zmarł na atak serca, choć bez trudu szło się domyślić, że było inaczej – wyjaśnia brat.

Jonesowi opada szczeka, a krew odpływa z twarzy.

– O czym pan mówi? Przyczyną zgonu pana Bishopa było nagłe zatrzymanie krążenia. Przecież nie skłamałbym w raporcie na taki temat. Za poświadczenie nieprawdy mógłbym stracić prawo do wykonywania zawodu albo i gorzej.

– Hasło – ponagla Zeke.

Kiedy facet nie odpowiada, brat wykonuje gest w kierunku strażnika. Osilek chwyta Jonesa za włosy, podnosi go i odchyła mu głowę tak mocno, że krzesło się przewraca. Szyja doktora wygina się pod takim kątem, że nawet ja krzywię się z bólu.

– Mexico2020 – odpowiada prędko.

– Wielkie litery?

– Tylko M.

Zeke wklepuje hasło i voilà, wchodzimy do systemu.

– To nie było aż takie trudne, co? – stwierdza brat i odszukuje aplikację banku.

Podchodzę do Jonesa, podnoszę krzesło z podłogi i kiwam głową strażnikowi, żeby posadził lekarza z powrotem. Mężczyzna spełnia polecenie, ale nie zdejmuje doktorowi ciężkiego

łapska z ramienia.

– Przeprowadzał pan już wcześniej autopsje na zlecenie Socjety. Pańska rodzina świadczy tego typu usługi od wielu lat.

– Zgadza się.

– Proszę powiedzieć, co pan wie o oleandrze.

Jones wpatruje się we mnie ze zmarszczonym czołem, a ja nie potrafię go rozgryźć. Ciekawe. Może naprawdę sądził, że Bishop wykitował na zawał.

– No, to taka roślina – stwierdza w końcu niepewnie.

– A także... – Zawieszam głos i gestem nakłaniam go, żeby dokończył zdanie za mnie.

– Trucizna.

– Zgadza się. Skoro pracuje pan dla IVI, to pewnie jest pan obeznany z tematem.

– Nie odkryłem żadnych śladów sugerujących, że śmierć nastąpiła w wyniku popełnienia czynu zabronionego – odpowiada. – Serce pana Bishopa nie wytrzymało w ferworze miłosnych uniesień. Byli na to świadkowie. Liczni, dodajmy.

– Tak słyszałem, lecz wolałbym sobie tego nie wyobrażać, jeśli pan pozwoli.

Jones zaciska dłonie na bokach siedziska i czeka, aż dokończę wywód, ale milczę.

– Znalazłem jedynie dowody świadczące o tym, że denat zmarł na skutek NZK. Nic, co wskazywałoby na udział osób trzecich – mówi, nie doczekawszy się ciągu dalszego.

– A zadał pan sobie trud, żeby dobrze to sprawdzić?

Nie odpowiada.

– Doktorze Jones, czy zadał pan sobie ten trud?

– Powiedziano mi, że wskazany jest pośpiech, by jak najszybciej pochować pana Bishopa ze względu na okoliczności zgonu i dobro jego syna.

– Kto tak panu powiedział?

Zaciska usta w wąską kreskę i spuszcza wzrok.

– No kto?

– Panna Bishop. Lecz Rajca Hildebrand przyklasnął pomysłowi. Nie było podstaw, by wątpić w ich osąd sytuacji.

– A kto podpisał zezwolenie na kremację?

Jones chrząka. Żeby można było skremować ciało Sprawiedliwego Syna, zarówno Rajca, jak i koroner muszą podpisać zgodę. W tym przypadku powinien to zrobić Hildebrand. Tyle że ja doskonale znam jego podpis.

– Rajca Hildebrand. – Jones próbuje mnie nabrać.

– Więc gdybym go zapytał, bez trudu przypomnieliby sobie, że to zrobił, tak? Podobno ma doskonałą pamięć.

Koroner ucieka wzrokiem w bok, a na czoło występują mu krople potu.

– Jericho! – woła mnie Zeke.

Na chwilę daję spokój Jonesowi i podchodzę do brata, który wskazuje palcem wpłatę na koncie bankowym lekarza. Z konta Carltona kilka dni po jego śmierci przelano koronerowi dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

– Wygląda na to, że Bishop był bardzo wdzięczny za usługę autopsji, którą przeprowadził pan na jego zwłokach. A może raczej za bezzwłoczną kremację? – pytam Jonesa.

– Nie, to panna Bishop mi zapłaciła. Przejęła zarządzanie kontem kuzyna. Jej syn jest spadkobiercą pana Bishopa, ale oczywiście jako małoletni nie posiada zdolności do czynności prawnych.

Pod pachami lekarza zauważam mokre plamy.

– A za co panna Bishop była bardziej wdzięczna?

Jones odchrząkuje.

– Powiedziano mi, że to dla dobra dziecka.

Wracam do niego, znów przysiadam na blacie stolika, naruszając tym samym przestrzeń osobistą doktora.

– Za co panna Bishop była bardziej wdzięczna, Jones? – powtarzam pytanie i nachylam się ku niemu.

– Powiedziała, że zajmie się uzyskaniem podpisu Hildebranda, jak tylko wydam zgodę na kremację. I tak miała się z nim zobaczyć. Chciałem do niego zadzwonić, ale było już późno, a ona bardzo nalegała.

– A po tym, jak przelała na pańskie konto pieniądze, uznał pan, że sprawa brakującego podpisu już nie jest istotna.

Przełyka z trudem ślinę i siedzi jak trusia. Strużka potu spływa mu ze skroni.

Wstaję, odwracam się i widzę, że Zeke się nam przygląda, stojąc w nonszalanckiej pozie. Brat ma także mroczną stronę i potrafi ją świetnie ukrywać. Wyraz jego twarzy jest jota w jotę taki sam jak ten, który widziałem na ziarnistym nagraniu z austriackiego hotelu. Kiwam mu głową, a on daje mi znak, że rozumiał. Znow patrzę na Jonesa. Ten przenosi spojrzenie ze mnie na Zeke'a i z powrotem. Chwytam doktora za kołnierzyk koszuli, stawiam go szarpnięciem na nogi i ciskam na ścianę.

– Zmarnował pan już wystarczająco dużo naszego czasu. Uciekał, chował się jak pieprzony kryminalista. Wycarterował nawet samolot, którym miał lecieć na Bahamy, i zmusił nas, żebyśmy za panem ganiali. Ale dam panu wybór. Albo odpowie pan na nasze pytania, a wtedy my grzecznie sobie stąd pójdziemy, albo zmarnuje pan jeszcze więcej naszego czasu i będziemy zmuszeni przekazać pana w ręce Hildebranda. Mogę pana zapewnić, że Rajcy nie spodoba się, że ktoś podrobił jego podpis w celu zatajenia dowodów przed Trybunałem. Którą opcję pan wybiera?

– To jej sprawka, nie moja!

– Proszę mówić dalej.

– Przyszła do mnie do domu z dwoma goryłami. Wielkie chłopska. Jak wy dwaj i ten tam. Wielkie i do tego wredne. Oznajmiła, że zmieniła zdanie co do sposobu pochówku i życzy sobie, aby ciało zostało poddane kremacji. Gdy wyjaśniłem, jakich procedur przestrzega Trybunał, i poinformowałem, że Rajca musi złożyć podpis pod zezwoleniem, kompletnie jej odbiło. Jeden z osiłków musiał ją uspokajać. A potem wpłaciła pieniądze na moje konto. Wcale o to nie prosiłem, przysięgam. Po prostu się bałem. Złożyłem podpis, gdzie mi kazała, a kiedy wyszli, spakowałem się i zwałem. Nie uciekałem przed wami, tylko przed nią i przed nimi. Przeraziłem się jak cholera. Ta kobieta to wariatka.

– Sprawdź, czy wszystko mamy – proszę brata, nie spuszczać wzroku z Jonesa.

Zeke odtwarza końcówkę nagrania.

– Mamy.

– Świetnie. Dzwoń do Hildebranda. Niech tu kogoś przyśle.

Telefon zaczyna wibrować mi w kieszeni, więc puszczam Jonesa, który chwieje się mocno, ale udaje mu się utrzymać na nogach. Odczytuję nazwisko na wyświetlaczu. Dzwoni człowiek, któremu kazałem obserwować rezydencję Bishopów.

– Słucham?

– Kobieta przed chwilą wyszła z dwoma facetami.

Zerkam na Jonesa i przypominam sobie, jak opisywał obstawę Julii.

– Chłopiec jest z nimi?

– Nie, proszę pana.

– Jedź za nimi i daj znać, dokąd się udali. – Przychodzi mi do głowy, że Julia może chcieć wyjechać z Nowego Orleanu, lecz przecież nie zostawiłaby syna. Coś tutaj zdecydowanie nie gra.

– Tak jest, proszę pana.

Rozłączam się i już mam włożyć telefon do kieszeni, kiedy ponownie się rozdzwania. Nie znam numeru, ale rozpoznaję numer kierunkowy. Dzwoni ktoś z miasta. Odbieram.

– Jericho?

Słyszę znajomo brzmiący kobiecy głos. Próbuję przyporządkować go do osoby, jednak zanim mi się to udaje, moja rozmówczyni ponownie się odzywa:

– Tu Megs.

W chwili, gdy się przedstawia, serce podchodzi mi do gardła, bo przecież kobieta nie ma powodu, by się ze mną kontaktować.

– Zrobiłam coś głupiego.

## 45 ISABELLE

W ciągu kilku sekund Gerald Gibson zaciąga mnie do swojego domu. Jest wielki jak jego brat. I równie groźny.

– Zacznieś krzyżeć, to cię ogłuszę – ostrzega, zamknawszy drzwi na klucz.

We wnętrzu panuje bałagan. Wszędzie walają się opakowania po żarciu na wynos, butelki po piwie i innych alkoholach. Z przepełnionych popielniczek wysypują się pety. W niewielkiej odległości od telewizora stoi mocno podniszczony rozkładany fotel z podnóżkiem. Na podłokietnikach widzę dziury wypalone papierosami, brązowa tapicerka jest miejscami podarta. Obok stoi na wpół opróżniona butelka piwa. Pod przeciwległą ścianą umieszczono kanapę, najwyraźniej od kompletu.

Gibson ciągnie mnie w kierunku telewizora i go włącza. Podkręca głośność na maksa. Akurat leci jakiś stary sitcom. Publiczność wybucha śmiechem. Potem jestem wleczona w głąb domu. Za łukowato sklepionym przejściem dostrzegam jadalnię, w której króluje stół zawalony śmieciami. To tam zaciąga mnie Gibson, mocno ściskając moje ramię, po czym sięga po telefon leżący na blacie.

– Puszczaj. – Udaje mi się w końcu wydukać. Jakimś cudem nadal trzymam w dłoni torebkę.

– Kazałem ci się zamknąć, nie? – odpowiada i zaciska palce jeszcze mocniej. Z pewnością będę miała w tym miejscu siniaki.

Komórka Gibsona to jakiś stary model z klapką. Otwiera ją jedną ręką, wciska kilka klawiszy i przysuwa telefon do ucha.

– Jest tutaj – mówi do mikrofonu.

Nie słyszę, co odpowiada osoba po drugiej stronie linii, ale facet szczerzy radośnie zęby i patrzy na mnie.

– No, to na pewno ona. Bez dwóch zdań.

Na chwilę zapada cisza, a uśmiech spełza z ust Gibsona.

– Dziesięć minut. I weź ze sobą szmał.

Zamyka telefon i poświęca mi całą swoją uwagę. Oddycham płytko i szybko powietrzem, które cuchnie kocimi szczykami. W jednym z rogów dostrzegam przepełnioną kuwetę. Rozglądam się dokoła, byle nie patrzeć mu w oczy. Identyczne jak oczy jego brata.

– Usiądź sobie.

Odsuwa od stołu drewniane krzesło z prostym oparciem. Stawia je w przejściu między jadalnią a salonem i sadza mnie na nim. Kiedy się nachyla, do moich nozdrzy dolatuje nieświeży oddech. Zamykam oczy i odwracam głowę, by nie wymiotować. Facet każe mi się nie ruszać. Przytrzymuję się krawędzi siedziska, by się uspokoić i nie wiercić. Gibson puszcza w końcu moje ramię, lecz, jak się okazuje, tylko po to, żeby sięgnąć po kilka opasek zaciskowych, których kupka leży na stole.

Spogląda na mnie z lubieżnym uśmiechkiem błakającym się na wargach.

– Dobra dziewczynka.

Staje za moimi plecami. Chwyta ręce, złącza je razem, po czym zaciska na nadgarstkach długą pomarańczową trytytkę. Ciągnie mocno. Plastik wrzyna się głęboko w skórę.

– Bolało? – Odciąga mi głowę i taksuje mnie wzrokiem.

Nagle rozlega się dźwięk wibrującego telefonu i uśmiech znika Gibsonowi z twarzy. To

komórka Megs. Pewnie przyjaciółka próbowała się do mnie dodzwonić, ale wyciszyłam aparat. Oboje wpatrujemy się w podłogę. Po chwili mężczyzna schyla się po torebkę, otwiera ją i grzebie w środku. Rozrzuca zdjęcia z USG po brudnym, zaplamionym dywanie. W końcu udaje mu się znaleźć telefon. Zerka na wyświetlacz, po czym ciska aparatem o ścianę z taką siłą, że nie potrafię powstrzymać krzyku. Następnie spogląda na zegarek i odwraca się do mnie. Podchodzi parę kroków, nie bacząc na to, że depta buciorami wydruki z ultrasonografu.

– Mamy jeszcze kilka minut – oznajmia. – Zabawmy się. Ależ ten mój brat ma dobry gust. Mówił, że jesteś słodka, ciepła i taka mokra między nogami.

Ostatnie słowa wypowiada tak blisko mojej twarzy, że muszę wstrzymać oddech. Serce wali jak szalone, a w głowie kłębią się wspomnienia tamtej nocy. Zdawało mi się, że dręczące mnie koszmary były aż nazbyt realne, lecz teraz, gdy znalazłam się tutaj, w obecności tego człowieka, kiedy czuję na sobie jego oddech, wydają się niczym.

– Policja już tu jedzie – mówię, gdy Gibson kuca i kładzie ręce na moich kolanach. Ten dotyk sprawia, że żołądek podchodzi mi do gardła. Facet rozsuwa moje nogi, a ja zaczynam żałować, że nie założyłam dzisiaj dżinsów. Jak na złość ubrałam się w tę sukienkę swetrową, która tak spodobała się Jerichowi.

– Możliwe, ale zdążyłem się nauczyć jednego o naszych przystojniakach w niebieskich mundurkach: nigdy im niespieszno do tej części miasta. A poza tym – kontynuuje, przenosząc wzrok z mojego krocza na oczy i z powrotem – chciałbym posmakować cipki z górnej półki.

Podsuwa mi sukienkę do góry, po czym wykonuje nieprzyzwoity gest językiem, od którego się wzdrygam. Kiedy przesuwają łapami po moich udach, czuję się dokładnie tak samo jak tamtej nocy, gdy jego brat rozpiął mi dżinsy, ściągnął je razem z majtkami i wsadził rękę między nogi. Zaraz dostanę ataku paniki. Trzęsę się jak w febrze i z trudem łapię oddech.

Nagle mój wzrok pada na jedno ze zdjęć dzidziusia. Uspokajam się, czując przyływ sił. Wyłączam emocje i zaczynam działać. Podnoszę kolano, po czym z całej siły walę Gibsona w podbródek, aż zęby mu dzwonią. Siła uderzenia jest tak duża, że głowa mężczyzny odskakuje, a on sam traci równowagę i upada na dupsko. Wykorzystuję zdobytą przewagę i kopię go w twarz. Wrzeszczy z bólu, a jego łepetyna odbija się od ściany. Niestety krzesło, na którym siedzę, leci w tył, a własny ciężar przygważdża mi ręce do podłogi.

Krzyczę i próbuję się uwolnić. Słyszę, jak Gibson przeklina i gramoli się na nogi. Podnoszę głowę, żeby zobaczyć dokładnie, co się dzieje. Przygotowuję się na najgorsze, lecz nim następuje atak, drzwi otwierają się z hukiem. Oboje ze zdziwieniem widzimy, że do domu wchodzi dwóch zwalistych mężczyzn. Wyglądają znajomo. Za nimi kroczy moja kuzynka Julia.

## 46 ISABELLE

Gdy wzrok Julii pada na mnie, przez jedną krótką chwilę czuję ulgę. Kuzynka wpatruje się intensywnie w moją twarz, po czym przenosi spojrzenie na Gibsona, który zdołał już wstać. Ściska nos obiema dłońmi, a spomiędzy palców leje się krew.

– Ta dziwka złamała mi nos – skarży się i rusza w stronę Julii. Jeden z goryli pospiesznie zamyka drzwi wejściowe na klucz, a drugi staje pomiędzy nią a Geraldem. Julia kładzie mu dłoń na ramieniu i odsuwa go na bok.

– Podnieś Isabelle z podłogi – nakazuje.

Chociaż czuję radość i otuchę, coś w głębi mojej duszy mówi, żebym jej nie ufała. Mówi, że Julia nie przyjechała tutaj, aby mi pomóc.

Osiłek mija Gibsona, trącając go przy tym ramieniem tak mocno, że tamten z powrotem upada. Zbliża się do mnie i bezceremonialnie stawia krzesło do pionu, zupełnie nie będąc przy tym delikatny. Nadgarstki i ramiona pulsują mi bólem.

Przyglądam się, jak Julia pochodzi do Geralda. W ogóle się go nie boi. Na sobie ma czarne spodnie i, jak zwykle, szpilki. Coś jest nie tak z jej włosami. Spięła je w kok, lecz fryzura się rozpadła, a makijaż rozmazał. Co dziwne, warg nie ozdobi charakterystyczna dla niej czerwona szminka. Zauważam też, że żakiet i spodnie są wygniecione, jakby od dłuższego czasu ich nie zdejmowała.

Dotyka twarzy Gibsona, chwyta go mocno za szczękę, po czym wbija paznokcie w skórę, i obraca głowę na wszystkie strony, żeby ocenić szkody.

– Oj, Gerald, nos wcale nie jest złamany. Ale z ciebie miękka faja. – Wypuszcza go i odpycha od siebie, a Gibson ściera rękawem krew z twarzy.

– Przyniosłaś resztę szmalu?

Po szyderczym uśmiechu, którym Julia obdarza faceta, poznaję, że się nim brzydzi. Na chwilę przenosi wzrok na mnie, by znów wpatrzeć się w Gibsona.

– Zdaje się, że nie dokończyłaś roboty – stwierdza, wymija go i podchodzi do mnie. Facet, który podniósł krzesło razem ze mną, stoi za moimi plecami. Odnoszę wrażenie, jakby czaiła się za nimi potężna bestia.

– Kuzynko. – Julia taksuje mnie od stóp do głów. – Wszystko w porządku?

Zanim otwieram usta, by odpowiedzieć, słyszę, jak depcze coś butami. Obie spoglądamy w dół. Okazuje się, że zniszczyła zdjęcia z USG. Podnosi nogę, bo jedno nabiło się jej na szpilkę. Widok przedziurawionego obcasem wydruku jest równie okropny jak miś powieszony za szyję w furgonetce Gibsona. Zaczynam płakać, gdy w końcu dociera do mnie, że zostałam zdradzona przez kuzynkę.

– Stałaś za tym od samego początku? Christian zgiął przez ciebie, tak?

Nie odpowiada, tylko ściąga zdjęcie z obcasa i przypatruje mu się z przekrzywioną głową.

Kobieta, którą widzę przed sobą, to zupełnie inna osoba niż ta, którą wydawało mi się, że znam. Musiała się bardzo przy mnie pilnować, żeby nie pokazać prawdziwego oblicza. Nigdy nie była szczególnie ciepła, lecz niektórzy już tak po prostu mają. Jest wystarczająco dobrą matką dla Matty'ego, chociaż kiedy o tym myślę, przypomina mi się, że czasem nawet wobec niego trzymała się na dystans.

Patrzy na mnie przez moment z szerokim uśmiechem.

– Och, czyż to nie słodkie? – Spuszcza wzrok na dywan, żeby przyjrzeć się zdjęciom rozrzuconym pod naszymi stopami. Jej wargi wykrzywia nagle wyraz obrzydzenia.

– Czy Christian zginął przez ciebie? – ponawiam pytanie, tym razem silniejszym głosem.

Julia wydaje się zaskoczona, nie wiem tylko, czy bardziej pytaniem czy moim tonem. Upuszcza zdjęcie na podłogę i patrzy mi w oczy, mrużąc swoje.

– Nie, za tamtą sprawą naprawę stał Carlton. Ja tylko pomogłam uprzątnąć bałagan, którego narobił.

– Dlaczego mnie przygarnęliście?

– Bo wiedzieliśmy, że pochodzenie Isabelle York w końcu wyjdzie na jaw. Zbyt wiele osób słyszało o twoim istnieniu, w tym członkowie IVI. Zostaliśmy zapędzeni w kozi róg. A biorąc pod uwagę bliskie pokrewieństwo mnie i Carltona oraz jego stan cywilny, podejrzewaliśmy, że fakt, iż Matty jest prawowitym spadkobiercą, zostanie zakwestionowany. Monique wiedziała, że jej mąż spędzał noce ze mną, i przemykała na to oko. Poronienia sprawiły, że stała się wrakiem człowieka.

Przypominam sobie, że Julia kiedyś opowiadała mi o Monique i licznych poronieniach, których doświadczyła.

– Łatwo było sobie z nią poradzić – kontynuuje. – Nie grzeszyła bystrością, podobnie jak pozostałe żony Carltona.

Żółć podchodzi mi do gardła. Zawsze zastanawiałam się nad nieracjonalnym zachowaniem Monique, a ona po prostu przeżyła załamanie. Przez Julię.

– A te poronienia... Czy ty...?

Słowa nie chcą mi przejść przez usta. Nawet po tym, jak dowiedziałam się o kuzynce prawdy, nie potrafię powiedzieć ich na głos. Ledwie jestem w stanie o tym myśleć.

– Nie zachowuj się jak skończona idiotka. Matty to prawowity dziedzic. Carlton powinien był go uznać, ale odmówił. Zagroził, że odetnie mnie od kasy, jeśli w jakikolwiek sposób zdradzę, co jest między nami. Dlatego sprezentował Monique dom we Francji. Zamknął jej w ten sposób usta. Nie wiem, czemu Carlton miał obiekcje. Małemu przecież nic nie dolega.

Odchodzi, sięga do kieszeni i coś z niej wyciąga.

– Gerald, chodź tutaj.

Stoi plecami do mnie, więc nie widzę, co mu podaje.

– Chcesz dostać resztę pieniędzy? Mam je. W gotówce. Są w tamtej torbie.

Wskazuje palcem niewielki czarny worek marynarski leżący przy drzwiach. Nawet nie zauważyłam, że wniosła coś do środka. Gibson także spogląda w tamtym kierunku. Obserwuję ich. Mężczyzna patrzy na przedmiot, który przed chwilą otrzymał, potem w moją stronę, na końcu na Julię.

– Dokończ robotę, Gerald.

Gibson podchodzi do mnie, a ja w końcu widzę, co trzyma w dłoni. Nóż sprężynowy. Niewielki, lecz zapewne ostry jak brzytwa i śmiertelnie niebezpieczny.

– Wykonaj zadanie, a będziemy mogli żyć długo i szczęśliwie. No, może nie moja droga kuzynka, ale wszyscy pozostali już tak.



## 47 JERICHO

Wciskam hamulec do podłogi, samochód zatrzymuje się z piskiem, przednimi oponami ryjąc wybują, zarośnięty trawnik przed domem Marjorie Gibson. Element zaskoczenia diabli wzięli. No trudno. W oddali słyszę syreny radiowozów. Megs zadzwoniła na policję. Dwóch ochroniarzy, którzy pojechali z nami do domu Jonesa, wypada z auta i w biegu wyciąga broń. Gnam do drzwi wejściowych, Zeke depcze mi po piętach. Nie wziąłem pistoletu. Jestem nieuzbrojony, jednak nie dbam o to. Muszę się dostać do środka. Muszę dotrzeć do Isabelle. Co prawda Julii udało się zgubić ogon, który kazałem jej przyczepić, ale nie pomyliłem się co do celu podróży tej suki – na podjeździe stoi rolls-royce Carltona. Kiedy zbliżam się do wejścia, słyszę włączony telewizor, przez który przebija się głos Bishopówny. Wydaje rozkaz zabicia mojej żony.

Chwytam za klamkę. Drzwi są zamknięte na klucz. Uderzam w nie barkiem, lecz nie ustępują.

– No, zrób to! Teraz! – krzyczy Julia. Wie, że została przyłapana na gorącym uczynku. Już się nie wywinie. I jest przez to jeszcze bardziej niebezpieczna.

– Panie St. James! – woła jeden z ochroniarzy i kieruje lufę pistoletu w stronę zamka. Naciska spust, jak tylko schodzę z linii strzału.

Drzwi stają otworem. Sekundę później jestem w środku. W tej samej chwili rozlega się wystrzał, a pocisk wbija się w moje ramię. Siła odrzutu sprawia, że cofam się kilka kroków, nim udaje mi się odzyskać równowagę.

Człowiek, który przestrzelił zamek, wchodzi i znów robi użytek z broni. W uszach wibruje mi krzyk Isabelle. Prę do przodu, ogarniając wzrokiem, co dzieje się w pomieszczeniu. Jakiś facet leży na dywanie, drugi mierzy z pistoletu do naszego człowieka. Jeden z najemników strzałami toruje sobie drogę od strony tylnego wejścia, Zeke podąża tuż za nim. Jest uzbrojony. Nie wiedziałem, że ma przy sobie broń.

Przeciwnik trafia mojego ochroniarza, który obrywa kulkę w pierś i pada jak długi na podłogę. A ja wśród bólu i dymu widzę tylko Isabelle. Moją przywiązaną do krzesła żonę, która została uwięziona i nie może ani uciec, ani ukryć się przed gradem kul. Gerald Gibson znajduje się może z metr od niej. Kątem oka dostrzegam, że doskakuje do niego Julia. Rzucam się w stronę Isabelle, by zakryć ją przed latającymi wszędzie pociskami.

Krzesło przewraca się na bok. Siła uderzenia jest tak duża, że wyciska powietrze z moich płuc. Na szczęście udaje mi się wsunąć rękę pod głowę żony, zanim wali nią o podłogę. Isabelle wydaje z siebie okrzyk bólu, a ja słyszę trzask pękającej kości. Na niewiarygodnie brudnej podłodze dostrzegam zdjęcia naszego małżeństwa, a na ścianie dziury po kulach, szpecące ją niczym ślady po ospie ludzką twarz.

Julia wyje jak potępieniec i rzuca się na nas. Kiedy odwracam się w jej stronę, widzę, jak ramię kobiety zatacza łuk, więc podnoszę rękę, by je zatrzymać. Suka celuje nożem w brzuch Isabelle. Przekręcam się tak, by moje ciało znalazło się między żoną a krótkim, śmiertelnie ostrzem. Muszę przeszkodzić Julii. Za wszelką cenę muszę sprawić, by historia się nie powtórzyła. Czuję palący ból, gdy metal zagłębia się w moim boku.

Wszystkie mięśnie spinają mi się instynktownie, a ręka, na której się podpieram, odmawia posłuszeństwa. Julia szarpie całym ciałem i łąduje na podłodze obok mnie, obficie krwawiąc. Isabelle leży uwięziona pode mną. Zdjęcia dzidziusia zmieniają kolor na czerwony,

krw wsiąka w uchwycony na papierze obraz nowego życia.

Podnoszę wzrok. Ostatnim, co widzę, są oczy Isabelle. Jej przesywające błękitne oczy przypominające kawałki potłuczonego szkła. Takie piękne. Zbyt piękne jak na ten paskudny świat. I chociaż wiem, że żona wykrzykuje moje imię, już jej nie słyszę. Ledwie ją dostrzegam, bo wzrok także mi szwankuje, obraz robi się coraz bardziej zamazany.

I znika.

## 48 ISABELLE

Jericho umiera w karetce. Słyszę jednostajne piszczenie aparatury, kiedy linia na ekranie się wypłaszcza. Krzyczę do ratowników, by pozwolili mi przy nim być, ale mnie przytrzymują. Pod ich dotykiem ból ręki staje się nie do zniesienia.

Twarcz męża poszarzała jak popiół. Oczy ma zamknięte, usta półotwarte. Krew wycieka z jego boku i rany na ramieniu. Jeden z ratowników liczy i uciska mostek, drugi podaje tlen.

– Wróć do mnie! Błagam, nie zostawiaj mnie!

Na zmianę krzyczę i łkam. Znajduję się tak blisko niego, a jednak nie mogę go dotknąć, nie mogę wziąć go w ramiona ani zatrzymać przy sobie.

– Proszę! Boże, dopomóż!

Gdy dojeżdżamy do szpitala, drzwi natychmiast stają otworem. Lekarze i pielęgniarki wybiegają nam na spotkanie, wyciągają z karetki nosze na kółkach. Ratownicy nie przestają uciskać i liczyć. W kółko. Bez końca. Ktoś pomaga mi wysiąść. Zespół zabiegowy biegnie z Jerichem w głąb budynku, a mnie jakimś cudem udaje się za nimi nadążyć. Nie dbam o uszkodzone ramię, kiedy mogę stracić miłość życia.

– Jericho! – wykrzykuję imię męża, kiedy medycy przekraczają próg szpitala.

I wtedy słyszę dźwięk, który niesie nadzieję. Jednostajne piszczenie aparatury monitorującej funkcje życiowe zmienia się w rytmiczne pikanie.

– Wrócił! – woła ktoś, a ja mam ochotę go przytulić.

Zespół przepycha nosze przez kolejne przejście. Jakaś osoba zatrzymuje mnie i nie pozwala iść dalej. W tym samym momencie Jericho na sekundę otwiera oczy.

Spotykamy się wzrokiem. Czas zatrzymuje się gwałtownie niczym samochód hamujący z piskiem opon. Wciąż słyszę dźwięki aparatury i odgłosy ludzkiej krzątaniny, ale dochodzą jakby z oddali. Zostaliśmy tylko we dwoje, przeniesieni do innej rzeczywistości. Przykładam dłoń do ust, z gardła wyrывa mi się szloch. Kiedy Jericho z trudem się uśmiecha i wyciąga dłoń w moją stronę, wiem, że mnie widzi i słyszy. I wiem, że do mnie wróci.

Po chwili mąż znika za drzwiami.

Personel zabrania mi za nim iść. Osuwam się na podłogę i łkam. Bezwolnie pozwalam lekarzom i pielęgniarkom się sobą zająć, zbyt wyczerpana, by zrobić cokolwiek innego.

## 49 JERICHO

Na fotelu naprzeciwko łóżka drzemie Isabelle. Przyglądam się jej, a wokół popiskuje aparatura medyczna. Cokolwiek jest w kropłówce, sprawia, że ciężko mi utrzymać powieki w górze, ale walczę dzielnie. Chcę popatrzeć na żonę. Potrzebuję nasycić oczy jej widokiem.

Lewą rękę ma zabandażowaną od nadgarstka aż za łokieć. Na czole także dostrzegam niewielki opatrunek, a na policzku – zadrapania. Na stopach widzę grube skarpetki i nosi tę samą dzianinową sukienkę co wcześniej. Lewy rękaw został odcięty, a reszta wygląda, jakby przeszła przez piekło. Cóż, w zasadzie właśnie tak było. Wszyscy przez nie przeszliśmy.

Przenoszę wzrok na sufit. Dzisiaj umarłem. Wykres wypląszczył się na ponad trzy minuty. Ostatnim obrazem, który pamiętam, są oczy żony. I przepelniająca je panika.

Mówią, że w chwili śmierci życie przelatuje człowiekowi przed oczami, ale ja zobaczyłem jedynie tamten jasny, słoneczny poranek w Meksyku, który zmienił się w najkrwawszy dzień, jaki dane mi było przeżyć. No, po tym, co stało się dziś, drugi najkrwawszy. Czułem, jak leżąca w moich ramionach Kimberly umiera. A potem zobaczyłem jej twarz. Nie okrwawioną i pozbawioną życia, nie poszarzałą, ze zwiotczalymi mięśniami. Zobaczyłem ją taką, jaka była przed śmiercią. Młodą, pełną radości i piękną, ozdobioną uśmiechem szczęścia. Narzeczona dotknęła dłonią mojego policzka, nie zważając na krew, po czym położyła mi ją nad sercem. Nie odezwała się słowem. Cały czas tylko się uśmiechała.

Później Kimberly chwyciła moją lewą rękę, a jej wzrok zatrzymał się na złotej obrączce. Obróciła ją kilkukrotnie wokół palca. Przysięgam, że wciąż pamiętam to uczucie. Zanim zacząłem się tłumaczyć, zanim opowiedziałem, co zrobiłem, by pomścić jej śmierć, zanim wyjaśniłem, że zakochałem się w Isabelle, znów położyła dłoń nad moim sercem i nachyliła się, żeby pocałować mnie w czoło. Zrozumiałem, że mi wybaczyła, a nawet więcej – dała swoje błogosławieństwo. W ten sposób się ze mną pożegnała.

Kiedy ponownie otworzyłem oczy, znajdowałem się z powrotem w tym świecie, zamknięty w obolałym ciele. I zobaczyłem twarz Isabelle. Usłyszałem, jak żona woła moje imię. Nasze spojrzenia spotkały się na moment, a potem kolejny raz pograżyłem się w niebycie. Obudziłem się kilka godzin później w szpitalnym łóżku.

Ruch po drugiej stronie sali przykuwa moją uwagę. Przenoszę wzrok na żonę, która porusza się we śnie, a potem otwiera oczy. Gdy posyłam jej uśmiech, natychmiast zrywa się na nogi, podbiega i ściska oburącz moją dłoń.

– Obudziłeś się.

Wzdycham.

– Chyba tylko na chwilę – udaje mi się powiedzieć ochrypłym głosem. Leki ciągną mnie niczym kamień z powrotem w krainę snu.

– Tyle musi mi wystarczyć – odpowiada z uśmiechem, odgarniając włosy z mojego czoła. – Śpij, Jericho. Będę tutaj, kiedy znowu się obudzisz.

\* \* \*

Nie wiem, ile czasu mija, zanim ponownie odzyskuję przytomność. Znajduję się w tej samej sali, ale otaczające mnie dźwięki są inne. Nie ma już tylu buczących maszyn.

– Najwyższy czas – słyszę męski głos.

Rozglądam się po pomieszczeniu i widzę, jak Zeke wstaje z fotela i podchodzi do łóżka. Wygląda, jakby przyjechał tutaj prosto z biura.

– Leżałeś nieprzytomny przez trzy dni. Napędziłeś nam niezłego stracha – oznajmia.

W gardle zaschło mi tak bardzo, że nie mogę mówić. Zerkam na kubek stojący na szafce nocnej. Brat podnosi go i wkłada mi słomkę do ust. Upijam łyk i czuję się jak w niebie. Wypijam wszystko. Kiedy kończę, Zeke odstawia naczynie i przyciąga fotel bliżej łóżka.

– Jak się czujesz?

– Bywało lepiej – odpowiadam, chociaż nic mnie nie boli. Jestem tylko zeszywniały i zmęczony. – A co u ciebie?

– Nawet niedraśnięty. Nasi ludzie też wyszli z tego cało. Lekarze musieli zoperować Roberta, ale już go wypisali ze szpitala. Wypoczywa teraz w domu. Przyjąłeś na siebie główne uderzenie. Oberwałeś kulkę w ramię i zostałeś pchnięty nożem w lewą nerkę. Została ci tylko jedna, więc postaraj się unikać urazów tej drugiej.

Próbuję się uśmiechnąć.

– Gdzie Isabelle?

– Wysłałem ją do domu, żeby się wykapała i zjadła coś porządnego. Poza kilkoma godzinami pierwszego dnia po wydarzeniach w domu Gibsona nie chciała odejść od twojego łóżka.

– Dobrze zrobiłeś. Wszystko z nią w porządku?

Ezekiel kiwa głową.

– I z nią, i z dzieckiem. Ma złamaną rękę i kilka szwów, lecz to nic poważnego. Uratowałeś jej życie.

Historia lubi się powtarzać? Na szczęście nie tym razem.

– A Julia?

– Zarobiła dwie kulki. Przeżyła, jeśli cię to ciekawi. Wraca do zdrowia kilka pokoi dalej. Strażnicy przysłani przez IVI pilnują wejścia do sali. Jak wyjdzie ze szpitala, resztę życia spędzi w jednej z cel Trybunału.

Kiwam głową, jednak z jakiegoś powodu ta informacja mnie nie cieszy. Jakżeby mogła?

– Co z Gibsonem?

– Nie żyje. Dostał kulkę w łeb.

– I dobrze. Sam powinienem ją tam umieścić, jak tylko dowiedziałem się o jego istnieniu.

– Nieźle się popieprzyło, ale na szczęście wszyscy są cali. Nie ma potrzeby, żebyś bił się w pierś. Czas skończyć z tą zemstą, nie uważasz?

Przed oczami staje mi sen. Nie, to nie był sen. To Kimberly do mnie przyszła. I nagle przypominam sobie coś, a właściwie kogoś innego.

– Co się stało z chłopcem? Z Mattym?

Ezekiel odchrząkuje i przygląda mi się przez chwilę.

– Cóż... Isabelle wzięła go do nas. Pamiętaj, że ta suka Julia zostawiła go samego w wielkim, pustym domu. Twoja żona znalazła małego, gdy próbował sobie zrobić na obiad płatki z mlekiem, bo kochana mamusia nie wróciła.

– Jezu.

– Mama i Angeliqie się nim opiekują. No i Catherine. Tuczy to biedne dziecko i, słowo daję, jak tylko nadarza się okazja, bierze go na ręce i przytula.

– Cała Catherine. Czyli Angeliqie i mama wróciły?

– Tak. Zaraz po tym, jak cię zoperowali, zadzwoniłem do Dexa. Angeliqie ciągle pyta, kiedy będzie mogła cię w końcu zobaczyć.

– Co jej powiedziałaś?

– Że źli ludzie chcieli skrzywdzić Isabelle, ale ją uratowałem.

– A nie mogłeś jej skłamać, że wyjechałem w interesach?

– Za mądra jest na takie kity, braciszku. Od razu by mnie przejrzała. A zresztą przeglądałaś się już w lustrze?

– Kurwa, aż tak źle?

Drzwi się uchylają, zanim udaje mu się odpowiedzieć, i Isabelle wsuwa głowę przez szparę. Dex przytrzymuje skrzydło tuż nad nią.

– Jericho!

Wpada do środka i zatrzymuje się parę centymetrów przed łóżkiem. Chyba miała zamiar rzucić się na mnie z radości, lecz tylko się uśmiecha i całuje mnie w czoło, a potem w usta. Następnie odwraca się do Zeke'a.

– Obiecałeś, że mnie zawiadomisz, jak tylko otworzy oczy.

– Ocknął się dosłownie przed chwilą.

– A ty nie zadzwoniłeś.

Parskam śmiechem na widok miny brata i wyciągam rękę, żeby pogłaskać żonę po włosach. Zostawiła je rozpuszczone, by spływały kaskadą po plecach. Są miękkie i nadal wilgotne po myciu. Isabelle ubrała się w dżinsy i moją koszulę. Ktoś rozciął rękaw, żeby mogła ją założyć na jaskrawożółty gips.

– To moja koszula? – pytam.

– Och... – Rzuca na nią okiem. – Tak. Pomyślałam, że nie będziesz miał nic przeciwko.

W końcu tyle ich masz.

– Hmm.

– Poza tym wciąż tobą pachnie.

Ściskam jej dłoń.

– Szefie – odzywa się Dex. – Mam nadzieję, że czujesz się lepiej, niż wyglądasz.

– Też się cieszę, że cię widzę, druhu.

– Pojadę do domu – oznajmia Ezekiel. – Przyda mi się trochę odpoczynku. Ty zostajesz? – pyta Isabelle, która przysuwa krzesło do łóżka.

– Nigdzie się nie wybieram – odpowiada żona i odwraca się, żeby pomachać chłopakom na pożegnanie. Kiedy znów na mnie patrzy, ma poważny wyraz twarzy i zamglone oczy. – Ocaliłeś mi życie i omal sam przy tym nie zginąłeś. Brak mi słów.

Przyglądam się jej i dostrzegam niewinność, szczerłość i dobro, które ma w sobie.

– Wystarczy „dziękuję”.

Uśmiecha się i ociera zbląkaną łzę.

– Dziękuję.

Kiwam głową.

– Tak łatwo się nie wymigasz. Jak tylko mnie stąd wypuszczą, czeka cię kara.

Isabelle oblewa się rumieńcem i spuszcza wzrok.

– Wiem. Tak strasznie cię przepraszam, że ci nie zaufałam. I tak mi przykro, że przeze mnie zostałeś ranny. Zresztą ochroniarz też.

– To nie twoja wina. Nie ty trzymałaś pistolet ani nóż. Julia wcześniej czy później by zaatakowała. To była tylko kwestia czasu. Zapędziłem ją w kozły róg.

– Ale i tak...

– Otruła Carltona i prawdopodobnie stała za śmiercią twojego brata.

– Wiem.

– Skrzywdziła też wiele innych osób.

– Masz na myśli poronienia?

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Nie da się tego udowodnić, lecz to byłby za duży zbieg okoliczności. Cztery żony i żadna nie urodziła facetowi dziecka. A jej się udało. Przypuszczam, że romansowali ze sobą o wiele dłużej, niż nam wiadomo. Ciekawe, czy od samego początku miała spadek Bishopów na oku.

– Zamierzam porozmawiać z nią dzisiaj po południu.

– Jeszcze czego! Dotrzymasz słowa i się stąd nie ruszysz. Twój tyłek zostaje na tym krześle. Wyrażam się jasno?

– Jericho, muszę ją zapytać...

– Tyłek na krześle. Coś powtórzyć?

Zastanawia się przez chwilę, po czym otwiera usta, ale nie daje jej dojść do słowa.

– Pamiętasz, jak mówiłem, że czeka cię kara? Mam już pewne plany. Nie wiem, czy zniesiesz więcej.

Twarz żony robi się czerwona.

– Od dzisiaj będziemy zachowywać się inaczej, Isabelle. Zaczniemy sobie ufać. Koniec z tajemnicami. Koniec z półprawdami. Koniec z dystansem pomiędzy nami. Rozumiesz?

Kiwa głową.

– Tak, Jericho, i bardzo mi się to podoba.

– I dobrze. To nie wszystko... – Patrzę żonie prosto w oczy – Kocham cię.

## 50 ISABELLE

Kilka dni później Jericho opuszcza szpital. Angelique zobaczy go po raz pierwszy, odkąd wyjechała z babcią. Na jej twarzy maluje się niepokój, gdy czeka na tatę. Matty stoi u mojego boku, ściska mnie za rękę i ssie kciuk. Wydaje mi się, że wciąż jest skołowany. Zmienił miejsce zamieszkania i od dłuższego czasu nie widział matki. Jest za mały, by zrozumieć, co się dzieje.

Otwierają się drzwi i Jericho wchodzi do domu przy wtórze okrzyków: „Niespodzianka!”. Staje jak wryty. Przygląda się ze zdziwieniem balonom i dekoracjom, które zrobiliśmy z dziećmi.

– Tatusiu!

Angelique podbiega do niego z zamiarem rzucenia mu się na szyję, lecz zatrzymuje się tuż przed ojcem. Powiedzieliśmy jej, że będzie musiała przystopować. Ale Jericho kuca i otwiera szeroko ramiona.

– Na co czekasz? Śmierdę czy co? Kąpałem się przecież...

– Nie, głuptasie! – Mała wpada na niego z impetem.

Widzę, jak Jericho krzywi się z bólu, jednak zaciska powieki i przytula ją z całych sił. Sądzę, że ta chwila była warta odrobiny dyskomfortu.

– Mój mały aniołek.

– Tak się cieszę, że wróciłeś do domu. Cieszę się, że wszyscy tu jesteśmy – mówi Angelique.

Jericho wstaje z kucek, podnosząc ją ze sobą. Gdy Zeke wkracza do akcji, żeby przejąć dziewczynkę, mąż kręci głową.

– Dam radę – stwierdza, po czym podchodzi do mnie, daje mi całusa i przytulamy się jak rodzina. Po dłuższej chwili mąż się odsuwa, ponownie kuca i stawia córkę na podłodze. Angelique podchodzi do Matty’ego, wyjmując mu rączkę z buzi i splata z nim palce.

– Tatusiu, to Matty, mój nowy przyjaciel. Matty, to mój tatuś, opowiadałam ci o nim. Jest twoim... wujkiem... Chyba. Zgadza się? – Odwraca głowę i patrzy na mnie pytająco.

– Yyy, zgadza. – Chyba.

– Miło mi cię poznać, Matty.

Córka daje ojcu kuksańca.

– Uściśnij mu rękę – nakazuje scenicznym szeptem.

– Och, no tak, oczywiście. – Jericho wyciąga dłoń, a Angelique wsuwa w nią rączkę Matty’ego. Jericho uśmiecha się szeroko, chłopiec także próbuje. – Który pokój dostałeś, kolego?

– Ten obok pokoju Angelique – odpowiada cichutko.

– Znakomity wybór – mówi Jericho, a potem nachyla się nad malcem. – Mam nadzieję, że moja córka nie zmusza cię do zabawy lalkami księżniczkami.

Uśmiech Matty’ego staje się szerszy.

– Czasami. Ale powiedziałem, że za żadną się nie przebiorę.

– Bardzo mądra decyzja – stwierdza Jericho, czocho mu włosy i wstaje z kucek.

Angelique chwyta obie dłonie chłopca. Zachowuje się wobec niego naprawdę słodko i chociaż jest tylko o rok starsza, traktuje go jak dzidziusia, którym musi się opiekować.

– Idziemy, Matty? To specjalna okazja, chyba pozwolą nam zjeść ciasto na drugie śniadanie. Chodźmy.

– Dobrze – odpowiada chłopiec i daje się zaprowadzić do jadalni.



Wszyscy przyglądamy się, jak znikają. Wówczas dobiega mnie głos Megs. Jericho także go słyszy. Dex i Zeke ulatniają się w mgnieniu oka.

– Mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę! – Przysuwam się do męża, kładę mu ręce na ramionach i całuję w policzek. – Megs tu jest! Przyniosła ciasto.

– Będę musiał zamienić z nią słówko na osobności. – Próbuje mnie wyminąć, lecz stoję mu na drodze.

– Nie obwiniaj jej o to, co się stało. Wkurzyła się, że chcę tam jechać. Zmusiłam ją, aby mnie kryła. Ponoszę całą odpowiedzialność.

Dokładnie w chwili, gdy Jericho unosi zdziwiony brwi, słyszymy, jak ktoś odchrząkuje. Oboje odwracamy się i dostrzegamy Megs. Przyglądamy się, jak idzie korytarzem. Kiedy się z nami zrównuje, wyciąga w stronę Jericha niewielkie pudełeczko prezentowe.

– Gałązka oliwna.

Mąż stęka. Daję mu kuksańca, więc bierze pudełko i od razu je otwiera. W środku leży karta upominkowa z Waty Cukrowej.

– Co to jest, do diabła?

– Nielimitowany bon na ciasto. Dożywotni zapas. Dla ciebie i twojej rodziny. – Przyjaciółka się uśmiecha.

Jericho czyta napis na karcie, po czym podnosi na nią wzrok.

– Posłuchaj. – Wróciła stara, dobra Megs. – Oboje kochamy Isabelle. Od dawna kocham też Matty'ego, a jakiś czas temu na liście pojawiła się również twoja córka. Dlatego tym bardziej jest mi przykro, że przyłożyłam do tego rękę. Nie powinnam była pozwolić, by moja uparta jak osioł przyjaciółka – mówi i rzuca mi spojrzenie pełne nagany – wprowadziła w życie swój idiotyczny plan.

Jericho uśmiecha się na te słowa.

– Jednak pozwoliłam i mogę się tylko cieszyć, że wszyscy wyszliście z tego cało, chociaż niestety nie obyło się bez uszczerbku na zdrowiu.

Jericho ponownie stęka.

– Wygląda na to, że nasze losy są teraz nierozzerwalnie związane, a ja, choć sama się temu dziwię, nie czuję do ciebie niechęci. Więc może puścimy w niepamięć wzajemne urazy, co?

Mąż spogląda jeszcze raz na kartę podarunkową, potem podnosi wzrok z powrotem na Megs.

– Cóż, ja chyba też nie czuję do ciebie niechęci. Co prawda jesteś bezczelna i podejmujesz kiepskie decyzje, ale wydaje mi się, że masz dobre intencje.

– Wow – mówię, lecz oboje mnie uciszają.

– Witaj w moim domu, Megs.

– Dziękuję, Jericho – odpowiada. – A, czekaj, należą mi się podziękowania za balony – dodaje, kiedy podążamy za nią do jadalni. Pomieszczenie wygląda, jakby wybuchło w nim kilka puszek pastelowych farb. Nieprzebrane ilości balonów unoszą się pod sufitem, a dzieciaki podskakują, żeby uchwycić wstążki.

– Zajebście – mamrocze Jericho pod nosem.

– Cieszę się, że ci się podoba. I nie ma za co.

Wymieniają przyjacielski uśmiech i po raz pierwszy, odkąd poznałam Jericha St. Jamesa, zachowujemy się jak normalna rodzina. Jemy wspólnie ciasto.

Tak po prostu.

## 51 JERICHO

Pod naciskiem żony i mając na uwadze dobro Matty'ego, wchodzę do gabinetu Hildebranda i zamykam za sobą drzwi. Rajca siedzi obok Sędziego na skórzanej kanapie, a na ławie przed nimi leżą porozkładane dokumenty.

– Panie St. James – wita mnie Hildebrand i wstaje.

– Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć. Sędzio, również dziękuję za przybycie.

Od kilku tygodni konsultuję z Lawsonem Montgomerym kwestie prawne związane ze sprawą Julii i Matty'ego. Ze względu na jego wiedzę prawniczą oraz pozycję w strukturach IVI dobrze mieć takiego sojusznika.

– Proszę usiąść. – Hildebrand wskazuje dłonią szklaneczkę whisky stojącą na biurku. – Napije się pan? Myślę, że obaj tego potrzebujemy.

– Chyba ma pan rację.

Przygotowuje mi drinka, dolewa także sobie i Sędziemu, po czym wraca na miejsce.

– Sytuacja, w której się znaleźliśmy, jest niecodzienna.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Dyskrecja to teraz kwestia najwyższej wagi, zresztą jak zwykle w naszych szeregach.

To samo powiedział, gdy rozmawialiśmy na temat Isabelle.

– Wydaje mi się, że dążymy do wspólnego celu. W końcu w sprawę zamieszane jest dziecko.

– Jak się miewa chłopiec?

– Całkiem nieźle. Przyzwyczyił się do nowego otoczenia.

– To dobrze. A pańska żona?

Uśmiecham się na myśl o Isabelle.

– Także w porządku. – Brzuszek już się zaokrąglił. Cięża najwyraźniej jej służy, bo wygląda jeszcze piękniej niż do tej pory.

Od wydarzeń, które rozegrały się w domu Gibsona, minęły cztery miesiące. Matty zadomowił się u nas. Nie jest tym samym przestraszonym chłopcem, którego poznałem. To słodki, towarzyski dzieciak. On i Angélique wypełniają dom śmiechem i radością. Nasze życie jest wspanialsze, niż mógłbym sobie wymarzyć. Jedyne problemy polegają na tym, że Matty ciągle dopytuje o matkę, a my, niestety, nic nie możemy na to poradzić. Powiedzieliśmy mu, że musiała na trochę wyjechać. Chyba zaakceptował to wyjaśnienie, ale widzę, że jest lekko skołowany. Przynajmniej dzięki Rajcy mógł się z nią dwukrotnie spotkać. To jeden z powodów, dla których się tu dzisiaj zjawiałem.

– Zajmijmy się najpierw prostszym problemem – zaczyna Hildebrand. – Panu Jonesowi udzielono nagany za rolę, jaką odegrał w zniszczeniu dowodów poprzez skremowanie zwłok Carltona.

Twierdzi, że został zastraszony. Wierzę mu. Miałem do czynienia z panną Bishop i znam jej metody działania.

– W porządku. Wierzę, że w razie czego wiedza i reputacja doktora Rosseau wystarczą przeciwko Jonesowi.

– Nie dojdzie do żadnego starcia. Ten rozdział został zamknięty. Przejdźmy do panny Bishop.

Biorę głęboki wdech.

– Nie spodziewałem się, panie St. James, że zechce się pan za nią wstawić i przyjdzie błagać, byśmy oszczędzili jej życie.

Nie podoba mi się, że użył słowa „błagać”.

– Ja również, Rajco. Zjawiłem się tu ze względu na chłopca.

No, w zasadzie także ze względu na Isabelle. Ma zbyt dobre serce, by kierować się zasadą „oko za oko”. Potrafi wybaczać. Ale jej słodki charakter nie jest w stanie wzruszyć Hildebranda. Co innego los Sprawiedliwego Syna. Stanie na rękach, żeby pomóc Matty’emu Bishopowi.

– Cóż, ja także tylko z tego względu wyraziłem zgodę.

Zastanawiam się, czy to cała prawda. Jego też Julia wykorzystwała w swoich gierkach i on dobrze o tym wie. Postawienie jej przed Trybunałem ukazałoby w niezbyt dobrym świetle i jego. Jako Rajcę chroni go immunitet, więc nie zostałby ukarany, lecz nazwisko Hildebrand zmieszano by z błotem. Zapewne musiałby zrezygnować z pełnienia dotychczasowej funkcji. Upokorzenie byłoby zbyt wielkie i obaj mamy tego świadomość.

Sędzia chrząka.

– Sądzę, że doszliśmy do rozwiązania, które najlepiej przysłuży się dziecku.

Otwiera jedną z teczek leżących na biurku i wyciąga z niej dokumenty. Znam ich zawartość, więc rozsiadam się wygodnie i sączę whisky, podczas gdy Sędzia pokazuje Rajcy papiery.

– Panna Bishop zgodziła się zrzec praw rodzicielskich do syna. Matthew Bishop będzie zaadoptowany przez swoją krewną Isabelle oraz jej męża i zostanie wychowany pod własnym nazwiskiem. Biorąc pod uwagę niedawne zjednoczenie rodów, takie rozwiązanie wydaje się najrozsądniejsze.

– Pod czyją kontrolą pozostanie spadek do czasu, aż chłopiec osiągnie pełnoletniość? – pyta Hildebrand.

Uśmiecham się i podnoszę szklankę w toaście.

– Oczywiście pod moją jako głowy rodu.

– Ach tak, oczywiście.

– Proszę nie patrzeć na mnie takim wzrokiem, Rajco. Nie mam zamiaru sabotować przyszłości Matty’ego. Waśń między Bishopami a St. Jamesami się zakończyła. Uważam, że obydwie rody zapłaciły wystarczająco wysoką cenę. Mur pomiędzy posiadłościami zostanie rozebrany, a domy połączone. Musi pan przyznać, że tak będzie najlepiej dla wszystkich, ze stowarzyszeniem włącznie.

Hildebrand przegląda papiery. W końcu kiwa głową.

– A rola Trybunału w tej sprawie to... – Zawiesza głos, a Sędzia podejmuje się wyjaśnień.

– Trybunał oszczędzi życie Julii. Resztę życia spędzi na wygnaniu, z dala od dziecka i Socjety, w dożywotnim areszcie domowym, w miejscu osobiście wybranym przez pana, Rajco.

– Na koszt IVI? – pyta z uniesionymi brwiami.

– Na mój koszt – odpowiadam.

– Jeśli dobrze rozumiem, miejsce jej pobytu ma pozostać tajemnicą, tak? – upewnia się Hildebrand.

– Zgadza się. Nikt nie może go poznać. Julia zniknie z naszego życia, a resztę swojego spędzi w odosobnieniu. Dzięki temu nikogo więcej nie uda jej się zatruć swoim jadem.

Rajca podnosi na mnie wzrok i szczerzy zęby. Oho, zaraz się zacznie. Hildebrand w końcu wyrze zemstę na Julii Bishop.

– Znam idealne miejsce.

– Znakomicie.

Kolejna godzina mija nam na dogrywaniu szczegółów, a po złożeniu wszelkich niezbędnych podpisów, żegnam się i wracam do żony i reszty rodziny.



## Epilog 1 ISABELLE

Christian St. James przychodzi na świat dwa tygodnie po planowanym terminie porodu. To śliczne dziecko. Idealne. Gdy siedzę na szpitalnym łóżku i przyglądam się, jak zasypia przy piersi, myślę o tym, jaka jestem szczęśliwa. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że od dawna się tak nie czułam. Jakie to dziwne, że potrafimy zapomnieć o szczęściu albo nie zdawać sobie sprawy, że nam go brak, dopóki znów nie zagości w naszym życiu.

Moją uwagę przykuwa delikatnie pukanie do drzwi. Uchylają się i do środka zagląda Jericho. Na nasz widok uśmiecha się promiennie.

– Nie śpią? – Z zewnątrz dobiega sceniczny szept Angelique, która przeciska się przy nogach taty i wchodzi do sali. – Belle! – wykrzykuje podekscytowana, kiedy nas zauważa. Jej donośny głos płoszy małego.

– Angelique – gani ją Jericho. – Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym, że przy dzidziusiu trzeba się zachowywać cicho?

– Ojej, przepraszam! – Mała biegnie ku nam, ciągnąc za sobą jakiś tuzin balonów, które objają się o siebie. Tuż za nią, z łapką wsuniętą w jej dłoń, podąża Matty. W drugiej ręce ściska pojedynczy balonik.

– Wybacz. – Jericho zamyka drzwi i usuwa wypełnione helem balony z drogi. – Przeklęta Megs – mamrocze pod nosem.

Widzę, że niesie pudełko z logo Waty Cukrowej, które odstawia na stolik.

– Nie ma czego wybaczać. Mały musi się najeść, ale ciągle zasypia – mówię, gdy Angelique i Matty popatrują z ciekawością na noworodka.

– A co on robi? – pyta Matty.

– Pije mleczko – odpowiada rezolutnie Angelique. – W ten sposób jedzą dzidziusie – tłumaczy chłopcu.

– Dajmy Isabelle i małemu trochę przestrzeni – zarządza Jericho i kładzie ręce na głowach dzieci, by nieco je odsunąć. Sam podchodzi bliżej, całuje mnie, a potem czółko Christiana.

Patrę na męża, potem na maluchy. Matty ssie kciuk, a Angelique się uśmiecha. Oboje z podziwem przyglądają się nowemu członkowi rodziny. To dopiero ich drugie spotkanie z braciszkiem.

– Chcielibyście go potrzymać? – pytam, gdy Christian puszcza pierś. Kładę go sobie na ramieniu i masuję mu plecki.

– Jasne! – wykrzykuje Angelique i aż podskakuje z radości.

Małeństwo beka cicho.

– Chodźcie tutaj – nakazuje Jericho i podnosi Matty'ego, żeby posadzić go w obszernym fotelu. Tuż obok niego sadza córkę. Malec nie odstępował Angelique na krok. Kocha ją jak starszą siostrę. Ona też go uwielbia.

– Gotowi! – woła dziewczynka i wyciąga ramiona.

Mąż odwraca się w moją stronę.

– Przytrzymam go – uspokaja.

Kiwam głową i przekazuję mu zawiniątko. Patrę, jak ten olbrzymi mężczyzna niczym wielki pluszowy miś bierze syna na ręce i delikatnie wkłada w ramiona córki. Kuca tuż obok dzieci i mówi do nich szeptem. Matty przygląda się buzi Christiana, a Angelique poprawia mu

czapeczkę.

– O wiele lepiej, słoneczko – chwali małą.

Jericho spogląda na mnie przez ramię i posyła mi uśmiech. Jesteśmy teraz rodziną. Prawdziwą rodziną. Angeliqne poszła do szkoły, a Matty trzy razy w tygodniu uczęszcza do przedszkola, które mieści się w tym samym budynku. W dziewczynce zaszła ogromna zmiana. Nie tylko wiele się nauczyła, ale też wyszła w końcu ze skorupy. Nabrała pewności siebie, przestała się wszystkiego bać. Jest ciekawa świata, tak jak powinno być każde dziecko w jej wieku.

Matty także nieźle sobie radzi. Każdego wieczoru pyta o mamę, lecz wydaje mi się, że zaakceptował jej ciągłą nieobecność. Za kilka tygodni pojedziemy z nim w odwiedziny do Julii. To część umowy. Zgodziliśmy się, że będzie go widywać pod nadzorem cztery razy do roku. Wydaje się pogodzona z losem, choć z drugiej strony nie miała za bardzo wyjścia. Gdyby stanęła przed Trybunałem, czekałoby ją coś o wiele gorszego. Czasem szkoda mi kuzynki, ale potem przypominam sobie, czego się dopuściła. Przypominam sobie, ile osób skrzywdziła, ilu pomogła przenieść się na tamten świat. Wiem, że do pewnego stopnia jej działania wynikały z faktu, że chroniła siebie i syna. Rozumiem nawet, że mogła się zakochać w Carltonie, lecz to, co mu zrobiła, nie miało z miłością nic wspólnego. Nie znaczy to, że usprawiedliwiam przyrodniego brata. Wręcz przeciwnie, jego czynów również nie da się wybaczyć. Może pewnego dnia mi się to uda, jednak jeszcze nie dziś.

Około dwudziestu minut później przychodzi Leontine, żeby zabrać dzieci. Jericho spędzi noc w szpitalu ze mną i Christianem, a rano wrócimy razem do domu.

Kiedy zostajemy sami, a synek smacznie śpi, mąż przysuwa krzesło do mojego łóżka i spogląda na mnie z poważnym wyrazem twarzy.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Tak, wszystko gra. Ale muszę ci coś powiedzieć. Miałaś rację, jakiś obcy rzeczywiście przebywał na naszej posesji.

Opowiedziałam mu o łopacie opartej o grób Nellie i o nieodpartym wrażeniu, że ktoś mnie obserwuje.

– Jak się dowiedziałeś?

– Hildebrand wydobył tę informację z Julii.

Rajca wciąż przesłuchuje moją kuzynkę i przekazuje Jerichowi ważne dla nas informacje, mąż z kolei powtarza je mnie. Staruszek nie należy do osób, z którymi można bezkarnie zadzierać, a Julia wystrychnęła go na dudka.

– Przyznała się, że kogoś wynajęła, lecz nadal utrzymuje, że ten człowiek miał ci pomóc. Że był twoim sojusznikiem.

– A co z łopatą wbitą obok nagrobka Nellie?

– Rzekomo nic nie wiedziała na ten temat.

– Nie wierzę. – To ona cały czas robiła rzeczy, o które oskarżała mojego męża. Terroryzowała mnie, żeby nas poróżnić. – Wiadomo chociaż, kto to był?

– Jakiś dzieciak, którego zgarnęła z ulicy. Zapłaciła mu kilka stów, by przeszedł przez mur oddzielający posesje i cię nastraszył. Podobno nic więcej. Nie wiem, czy miała wobec niego jakies inne plany, lecz koniec końców okazało się, że rzeczywiście to zwykły dzieciak z ulicy. Szczerze mówiąc, nie sądzę, że byłby zdolny zrobić cokolwiek poza ukrywaniem się na terenie posiadłości.

– Znalazłeś go?

– Zeke'owi się to udało.

– Ale wy nie... Nie zrobiliście mu nic złego, prawda?

– Nie. Julia go wykorzystała i nawet bez naszej interwencji wydawał się wystarczająco wystraszony.

– I co teraz?

– Teraz?

Jak na zawołanie Christian zaczyna się wiercić i kwilić, więc Jericho wstaje, wyjmując go z łóżeczka i siada obok mnie, trzymając go w ramionach. Oboje uśmiechamy się do naszego dziecka, do naszego słodkiego synka, który jest tak podobny do mojego zmarłego brata, że gdy otwiera oczka i uśmiecha się bezzębnymi dziąsłami, rozklejam się.

– Wiesz, że tak małe dzieci się nie uśmiechają? Pewnie ma gazy – mówi mąż i chichocze.

– Wiem. – Wycieram oczy. Jego słowa nie są w stanie sprawić, że emocje znikną. – Lecz i tak się wzruszyłam.

Jericho przytula nas oboje i potrząsa głową, jednak uśmiech nie schodzi mu z twarzy. Wtulony w jego pierś Christian ponownie zasypia.

– Wróćmy do twojego pytania. Rano pojedziemy do domu i będziemy żyć. Odchowamy dzieci, ciesząc się każdym dniem. Kocham cię, Isabelle. I nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

– Ja też cię kocham, Jericho. I cieszę się, że nie potrafisz sobie wyobrazić życia bezemnie, bo ja potrzebuję cię w swoim. Teraz i na zawsze.



## Epilog 2 JERICHO

Brzuch Isabelle znów pięknie się zaokrąglił. Jest w ciąży z naszym drugim dzieckiem. Stojąc we wnętrzu domu, przyglądam się, jak siedzi przy krawędzi basenu w bikini. Piersi ma pełniejsze, zaś długie, grube włosy spływają luźno z pleców. Ściąga Christianowi rękawki i owija go ręcznikiem. Jest wspaniałą matką i pełną wewnętrznego blasku kobietą. Tym bardziej teraz, kiedy nosi pod sercem mojego potomka. Marzy mi się gromadka dzieci. Choć już o tym rozmawialiśmy, żona nadal uważa, że żartuję. Wcale nie. Według mnie fajnie byłoby mieć sześcioro. Może nawet siedmioro.

Zdejmuję marynarkę, przewieszam przez oparcie krzesła, podwijam rękawy koszuli i wychodzę na zewnątrz.

– Tatusiu! – woła Angelique i podskakuje w basenie, rozchlapując dokoła wodę.

– Zobacz, czego się nauczyłem, wujku! – krzyczy Matty i znika pod powierzchnią. Maskę do nurkowania zakrywa większą część jego drobnej twarzyczki, rurka wystaje ponad wodę. Ułamek sekundy później wynurza się jakieś dziesięć centymetrów od miejsca, w którym zanurkował. – Umiem pływać!

– Wow, niezłe ci idzie – mówię z udawanym podziwem.

– Ale pamiętaj, że nie wolno ci samemu wchodzić do wody, Matty – oznajmia Angelique bardzo poważnym tonem.

Chłopiec potakuje.

– No, wiem.

Podchodzę do Isabelle, całuję ją, po czym biorę na ręce Christiana, który z daleka wyciąga do mnie ramionka i szczerzy wszystkie cztery ząbki. Z wielkimi błękitnymi oczami bardzo przypomina matkę.

– Czy Angelique i ciebie uczy pływać? – pytam synka.

Córka staje obok mnie i moczy mi koszulę, kiedy kucam, żeby ją wyściskać.

– On jest jeszcze za mały, tatusiu. Nauczę go, jak będzie w wieku Matty’ego.

Uśmiecham się szeroko. Moja mała córeczka to wspaniała starsza siostra.

– Dobry pomysł – chwalę ją.

Catherine wychodzi na patio z lodami i dzieciaki biegną w jej stronę. Przejmuje ode mnie Christiana, żeby dać mu coś do zjedzenia, a ja zarzucam Isabelle ręcznik na ramiona.

– Wspaniale wyglądasz – mówię i przytulam się do niej. – Z brzuszkiem ci do twarzy.

– Przeze mnie zaraz będziesz cały mokry – zauważa, lecz się nie odsuwa.

– W takim razie lepiej zdejmijmy ten kostium – odpowiadam i ciągnę ją w stronę domu.

– Niedługo wracamy – rzucam Catherine i dzieciakom, nim znikamy w środku.

Prowadzę żonę na górę, do naszej sypialni i rozbieram ją. Robię kilka kroków w tył i napawam oczy jej widokiem. Jest taka piękna. Piękna, silna, niesamowita. Codziennie na nowo budzi mój podziw.

– Co robisz? – pyta zarumieniona i bierze mnie za rękę.

– Przyglądam ci się.

Podnoszę jej podbródek i całuję ją w usta. Żarliwie oddaje pocałunek. Idziemy do łazienki. Odkręcam wodę pod prysznicem i zrzucam ubrania. Razem wchodzimy do kabiny.

– Jesteś wspaniałą mamą i ciocią, wiesz? Jesteś taka dobra dla dzieciaków. Dla każdego z nich.



– Dziękuję. Ty też jesteś świetnym tatą i wujkiem. Cała trójka cię uwielbia. Jesteś ich wielkim pluszowym misiem.

Uśmiecham się, całuję ją i namydlam. Niczego nie pragnę teraz bardziej, niż się z nią kochać. Chciałbym zamknąć drzwi na klucz, zanieść ją do naszego łóżka i nie wychodzić z niego przez kilka dni. Ale mamy dzisiaj coś do załatwienia. Dlatego kilka minut później, wykąpani i przebrani, schodzimy na parter i wychodzimy tylnym wyjściem. Po drodze mijamy bibliotekę, gdzie moja mama i Catherine bawią się z dziećmi.

– Gotowa?

– Gotowa.

Biorę ją za rękę i ruszamy w las. Ścieżka została poszerzona i wybrukowana kamieniami aż do końca posesji, gdzie stykają się ziemie Bishopów i St. Jamesów, a grunt gęsto porastają polne kwiaty.

Isabelle ścisną moją dłoń, a kiedy docieramy do karczowiska, jej oczy robią się okrągłe ze zdumienia. Nie przychodziła tutaj, odkąd rozpoczęliśmy prace.

– Och, Jericho! – wykrzykuje, rozglądając się wokół. – To niesamowite!

– Podoba ci się?

Jej oczy lśnią. Zerkam w tę samą stronę co ona, na piękny, łukowato sklepiony portyk, który stoi w miejscu, gdzie niegdyś znajdował się mur. Dziś jest to okazała brama. Łączy zamiast dzielić. Wiodącą do niej szeroką ścieżkę porastają po obu stronach kwitnące krzewy i drzewa. Pomiędzy nimi stoją latarnie, które nocą nadają temu miejscu złocisty blask.

Isabelle odwraca się i dotyka dłońmi mojej twarzy.

– Jest idealnie. Udało się w końcu zjednoczyć nasze rodziny. Nic już nas nie podzieli. Dziękuję ci za to. Dziękuję, że przygarnąłeś Matty’ego i że zrobiłeś to wszystko.

– To dla całej naszej rodziny, Isabelle. Bo jesteśmy jedną wielką rodziną.

– Dziękuję.

– Została jeszcze coś, co muszę zrobić.

Ręka w rękę idziemy do kaplicy. Z komina unosi się dym, a w środku rozchodzi się silny zapach kadzidła.

– Co się dzieje? – pyta żona, kiedy wkraczamy do środka. Nigdy wcześniej nie widziała rozpalonego tutaj ognia. Płomienie nadają wnętrzu zupełnie inny wygląd. Ich blask sprawia, że wydaje się cieplejsze.

Prowadzę Isabelle do kominka usytuowanego przy ścianie naprzeciwko drzwi. Sztynnie na widok księgi leżącej na kamiennej półce nad paleniskiem. To pamiątki Draki. Zdejmuję go i trzymam pomiędzy nami. Dziewczyna odrywa od niego wzrok i patrzy na mnie. Dostrzegam, że księga rzuca cień na jej twarz. Nie chcę już nigdy widzieć, jak cokolwiek odbiera szczęście mojej żonie. – Powinna zostać spalona wieki temu, ale robię to teraz. I przyrzekam ci, że już nigdy żaden St. James nie skrzywdzi członka rodziny Bishopów.

Uśmiecha się i kładzie mi dłoń na przedramieniu.

– Jesteś pewien, że chcesz puścić ją z dymem?

– Na sto procent – odpowiadam i odwracam się od żony, żeby cisnąć księgę w szalejący w palenisku ogień. Obserwuję, jak ją pochłania. W jednej chwili płomienie strzelają wyżej, jakby nie przyjęły zaoferowanego im pokarmu, jakby chciały wypluć to plugastwo. Ale strony wreszcie płoną, obracają się w proch, jak niegdyś człowiek, który je zapełnił. Człowiek, który przelał swoją nienawiść na papier i obdarzył ją samodzielnym życiem. Owa nienawiść przetrwała o wiele dłużej niż on sam.

– Spoczywaj w pokoju, Draco St. Jamesie.

Odwracam się do żony i widzę na sobie jej wzrok. Bierze mnie za rękę, staje na palcach i

całuje. Czuję, że w moim wnętrzu opadły kajdany, opuściła je jakaś mroczna siła. Odwzajemniam pocałunek Isabelle, kobiety, którą kocham, kobiety, która zobaczyła we mnie diabła, a mimo to go pokochała.

## O AUTORCE

Natasha Knight jest bestsellerową autorką powieści z gatunku romantic suspense i darków z list USA Today. Sprzedała ponad pół miliona książek, które przetłumaczono na sześć języków. Obecnie mieszka w Holandii z mężem i dwiema córkami. Kiedy nie pisze, spaceruje po lesie, słuchając audiobooków, siada w kąciku z książką albo zwiedza świat tak często, jak tylko może oderwać się od obowiązków.

Napisz do Natashy na adres: [natasha@natasha-knight.com](mailto:natasha@natasha-knight.com)

[www.natasha-knight.com](http://www.natasha-knight.com)

### Inne książki autorki wydane w Papierówce

#### SERIA BRACIA BENEDETTI

1. Salvatore
2. Dominic
3. Sergio
4. Killian
5. Giovanni

#### SERIA SOCJETA (w duecie z A. Zavarelli)

1. Requiem duszy
2. Odkupienie grzechu
3. Odrodzenie serca – w przygotowaniu



